

A woman's profile is shown in a dark, moody setting. A white deer skull is placed on her head, positioned as if it were her own. The background is filled with dried, brown leaves and twigs, creating a textured, naturalistic atmosphere. The overall color palette is muted, with greys, browns, and a touch of orange from the text.

NOCAMI KRZYCZĄ SARNY

KATARZYNA ZYSKOWSKA

Każda rodzina ma swoje tajemnice. A te „na ziemi przeklętej przez Niemców” są wyjątkowe. Tam, gdzie nocami krzyczą sarny, trudno jest przecież zapomnieć o przeszłości.

SYLWIA CHUTNIK

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

KATARZYNA ZYSKOWSKA

**NOCAMI
KRZYCZĄ
SARNY**

znak *litera
nova*
Kraków 2023

*Bór nici wąskie palce i krosna wierności
oczekiwania ciemne flukta
więc przy mnie bądź pamięci krucha
udziel swej nieskończoności.*

Zbigniew Herbert, *Tkanina*

Noc Mokosz

Epilog

Wszystko, co wydarzyło się tamtej letniej nocy na zboczach góry o dwóch wierzchołkach, na zawsze zostanie tajemnicą.

Pamiętam, że pierwsze, co widzę, gdy nad ranem odzyskuję świadomość, to światło. Wpada do piwnicy przez szczeliny w suficie, spełza po kamiennej ścianie na klepisko zasłane suchymi liśćmi i wreszcie dosięga moich bosych stóp. Nie wiem, gdzie jestem ani jak się tu znalazłam. Czuję jedynie strach i pragnienie. I ból. Siniaki nabrały barwy oberżyny, ale krew zdążyła już zakrzepnąć na ranach, tworząc tu i ówdzie czarne smugi strupów.

W pomieszczeniu panują półmrok, wilgoć i chłód. Niskie, zwieńczone łukiem wejście tarasują zwały gruzu i zasłania je kolczasty krzew dzikiej róży. W środku pachnie zbutwiałym drewnem, ziemią i czymś nieoczywistym, co jednak wydaje mi się znajome: suszonym lnem, a także wodną roślinnością i mułem; tą martwą substancją zalegającą na dnie stawu, gdy spuścić z niego wodę.

Gnejsowe głazy, z których dawno temu zbudowano piwnicę, są pokryte porostami, a z sufitu zwisają korzenie roślin, które zarastają sklepienie od zewnątrz. Natura każdą szparą wdziera się do środka i tworzy żywe zasieki wokół budynku. To dobrze, myślę, bo dzięki temu nikt mnie tu nie znajdzie, jestem bezpieczna.

Jakby w odpowiedzi gdzieś z całkiem bliska nadpływa nawoływanie i ujadanie psów. Ktoś raz za razem wykrzykuje moje imię:

– Ma-nia, Ma-nia...! – Niesie się echem po górach.

Drzę. Na wszelki wypadek zabieram nogi ze smugi światła, mocniej oplatom ramionami półnagie ciało i spłoszona wklejam się w mrok.

W przeciwległym kącie coś się porusza. Zapach zgnilizny i lnu się wzmacnia, a piwnicę wypełnia spokojny dziewczęcy głos:

– *Schlaf, mein Engelchen*¹.

Rozumiem każde słowo, chociaż słabo znam niemiecki. Powinam się wystraszyć, lecz w szeptach jest coś kojącego i wzbudzającego zaufanie. Chcę nawet zapytać, kto tu jest, ale chyba kolejny raz tracę świadomość, a gdy ją odzyskuję, ogarniają mnie cisza i ciemność.

Jak długo już tu jestem? Noc i dzień, kolejną noc i kolejny dzień?

Szum lasu i jednostajne mormorando gór wsączają się do środka przez bruzdy w kamiennych ścianach. To dziwne, ale przebudziwszy się tym razem, nie czuję chłodu. Jest mi całkiem wygodnie i ciepło. Wyciągam dłonie i przesuwam po ciele. Ktoś mnie okrył mchem i liśćmi paproci. Ktoś ułożył pod głowę poduszkę z traw.

– Przemyłam ci rany, gdy spałaś. – Z ciemności dobiega ten sam głos co poprzednio. Znów mocniej pachnie szlamem i lnem.

Mrugam kilka razy, nieznacznie unosząc głowę znad pośłania. Moje oczy zaczynają przyzwyczajać się do ciemności i wreszcie na tle ściany dostrzegam zarys postaci. Nieopodal mojego legowiska stoi dziewczyna. Jest piękna. W jasne włosy ma wplątane wodorosty. Uśmiecha się do mnie, wyciągając przed siebie dłonie złożone w łódkę.

– Pij! – Podsuwa wodę do moich ust.

Czuję ogromne pragnienie, więc wypijam wszystko do ostatniej kropli.

– Przyniosłam też trochę dzikich malin i jeżyn. Gdy zjesz, poczujesz się lepiej.

Wyjmuje garść owoców z kieszeni fartucha, który ma nałożony na sukienkę, i przesypuje je na moją dłoń. Pachną latem i słońcem. Rozkoszuję się ich słodyczą. Gniotę, dociskając językiem do podniebienia, a wówczas rozpływają się w ustach.

Wyczerpana opadam z powrotem na poduszkę z traw.

Dziewczyna siada pod ścianą nieopodal mojej głowy i nie przestając się uśmiechać, głaszcze mnie po włosach.

– A teraz śpij. *Schlaf, meine Liebe*². Sen jest dobry. Pozwala zapomnieć.

Jestem zmęczona. Śmiertelnie zmęczona. Dziewczyna pachnąca lnem ma rację: sen jest dobry. Potrzebuję go. Powieki znowu mi opadają...

Budzi mnie szept:

– *Du musst aufwachen*³.

I męski głos dochodzący od strony zasypanego gruzem wejścia.

– Jest tutaj! Mamy ją!

Otwieram oczy. Ostre światło wdziera się do piwnicy przez krzaki dzikiej róży, które mężczyzna ubrany w policyjny mundur odciąga na bok.

– Znalazłem ją. Chodźcie tu, prędko! – wydziera się przez ramię, wyraźnie z siebie zadowolony.

Liście, którymi byłam przykryta, musiały zsunąć się ze mnie w nocy, bo znowu czuję kamienny chłód. A teraz – gdy zza krzewu spogląda na mnie tamten gliniarz – także wstyd. Nie licząc strzępów T-shirtu z podobizną Kurta Cobaina i majtek, jestem niemal naga.

Odruchowo zasłaniam piersi resztkami paproci.

W otworze pojawia się kolejna głowa. Nowo przybyły celuje światłem latarki w głąb piwnicy.

– Matko Boska... – szepcze na mój widok. A potem woła: – Mała, nic ci nie jest?!

Chcę odwarknąć, żeby wyłączył to cholerne światło, żeby mi dali spokój, ale głos grzęźnie mi w gardle, więc przywierając mocniej do ściany, tylko kręcę głową.

Za usypiskiem kamieni i płataniną róż pojawiają się kolejne osoby. Jedni w mundurach, inni po cywilnemu.

– O kurwa! – rzucają jeden przez drugiego, przeciskając się i zaglądając w otwór.

Czuję się jak zaszczute zwierzę. Wreszcie przed piwnicą pojawia się ktoś przytomny. Ich zwierzchnik?

– Panowie, do diabła! – grzmi. – Nie stójcie tak, trzeba uprzątnąć ten gruz i dostać się do niej. I niech któryś da swoją koszulkę czy inny łach. Musimy dziewczynę w coś ubrać, zanim ją stąd zabierzemy. – A potem zwraca się do mnie łagodnym, niemal ojcowskim tonem: – Ty jesteś Mania, prawda? Nie bój się, jesteśmy z policji, szukamy cię od trzech dni. Wszyscy cię szukają. Twój koledzy, cała wieś. Martwiliśmy się o ciebie. Twoja mama i babcia czekają. Zaraz cię stąd zabierzemy.

To, co dzieje się później, w moich wspomnieniach zapisze się niewyraźnie, jak narkotyczny trans. Pamiętam, jak znoszą mnie do samochodu na prowizorycznych noszach, bo nie mogę ustać na nogach, a nad głową mającą nam czarne świerki i zbocze góry o dwóch wierzchołkach, którą dawniej – na długo, nim się urodziłam – nazywano Neumanns-Koppe. Pamiętam radio, przez które informują inne grupy poszukiwawcze, że się znalazłam, i mijany po drodze krzyż choleryczny. A potem wewnątrz radiowozu śmierzące fajkami. Wsadzają mnie na

tylną kanapę dużego fiata, oddzieloną od szoferki kratą, przykrywają kocem i włączają syreny. Ruszamy w dół, drogą do wsi. Jeden z gliniarzy, ten w fotelu pasażera, nie przestaje trąkotać, wciąż zadaje pytania:

– Pamiętasz, co się stało? Co robiłaś przez ostatnie trzy dni? Nie słyszałaś, jak cię wołaliśmy? Dlaczego nie wróciłaś do domu?

– Daj jej spokój, stary – strofuje go zza kierownicy ten drugi. – Nie widzisz, że jest w szoku? Musi odpocząć. Na przesłuchanie przyjdzie czas. Wkrótce wszystko sobie przypomni. Prawda? – Spogląda na mnie we wstecznym lusterku.

Przypomnę sobie? Rozchyłam palce lewej dłoni, którą miałam dotąd zaciśniętą w pięść. Chowam w niej niewielki metalowy przedmiot. Odznaka połyskuje w słońcu: srebrny romb ze swastyką umieszczoną w centralnym miejscu i emaliowanymi polami dookoła – na przemian czerwonymi i białymi.

Na powrót zmykam dłoń.

A może czasami lepiej nie pamiętać?

Radiowóz podskakuje na dziurawej drodze, za szybą falują Góry Sowie, lato chyli się ku końcowi, a we mnie narasta przekonanie, że niczego sobie nie przypomnę. Bo nie chcę.

¹ (niem.) Śpij, mój aniołku.

² (niem.) Śpij, kochanie.

³ (niem.) Musisz się obudzić.

Teraz – Maria

Jestem królową na balu życia. Jestem spełniona, ceniona, wygrana, może nawet podziwiana.

Jestem diwą pozorów.

Są we mnie ciemność oraz smutek, starsze i pierwotniejsze od tutejszych gór. Wiem, że meandrują bezustannie między mózgiem a dołem brzucha. Czasami czuję, jak niepostrzeżenie prześlizgują się wzdłuż rdzenia kręgowego, po synapsach i zamieniają receptory na lód, czyniąc moje ciało niewrażliwym na dotyk, na ból. Innym razem na wiele miesięcy tylko zwijają się w czarny miękki kłębek, podskubują mnie od środka, żebym o nich nie zapomniała. I czekają. Czekają przyczajone, drzemią, cicho pomrukując. Bardzo głęboko we mnie.

Ale zawsze tam są.

Może dlatego napisałam *Noc Mokosz*? Żeby zamknąć lęki w pozornej fikcji – w „prawdziwym zmyśleniu”, jak swoją technikę twórczą określał kiedyś Hłasko – i wreszcie się od nich uwolnić, pogrzebać w rozdziale „kiedyś”, razem z tamtymi wakacjami z końca lat dziewięćdziesiątych, z pytaniem o trzy dni, które spędzałam w ruinach ponemieckiej piwnicy, i wreszcie – z babką Maryjką.

To po niej odziedziczyłam imię: Maria, nadmierną skłonność do postrzegania rzeczy zwykłych niezwykłymi – co w pisaniu się przydaje, aczkolwiek w życiu codziennym bywa uciążliwe – i popadający w ruinę dom na końcu świata w Górach Sowich. Nie byłam tam od ćwierćwiecza, ale ponieważ zamierzam go sprzedać, w najbliższych dniach będę musiała go odwiedzić. Przy okazji premiery książki i tę sprawę postanowiłam doprowadzić do końca.

Mój samochód, wymuskany mini cooper, dławi się, prując pod górę w stronę przełęczy. Zaczyna śmierdzieć palonym sprzęgiem, silnik charczy, koła ślizgają się po mokrym asfalcie – niedawno nad górami przeszła burza i teraz poboczami spływa woda.


Znajduję się już naprawdę wysoko. Zostawiam za plecami wyciągi narciarskie w Rzecze i górującą nad wsią Wielką Sowę. Doliną płynie mgła. Robi mi się duszno z emocji, których nie umiem nazwać. Zupełnie zapomniałam, jak stromy jest ten odcinek drogi – do tego stopnia, że zimną zamyka się go i nie odśnieża. Wtedy należy jechać naokoło, przez Walim, i ja też powinnam była wybrać objazd. Chociaż jest lato, połowa sierpnia, to moje miejskie auto niespecjalnie nadaje się na podobne wyprawy: nie ma napędu na cztery koła, a zawieszenie jest zbyt niskie.

Ponad moją głową zamyka się las. Mini się poci. Ja także. Jazda po Warszawie, stale zakorkowanej frustracją i wkurwieniem kierowców, wydaje się fraszką przy pokonywaniu tej stromizny. Otwieram szyberdach. Do środka wpada zapach mokrej ziemi. Skupiam się na prowadzeniu.

Droga skręca ostro w lewo i trawersuje zbocze. Po prawej mam uskok, za nim przepaść. Nie jest specjalnie głęboka, to nie Tatry czy Alpy, jeśli jednak się zsunę, będzie po mnie. Poniżej asfaltu widać kikuty świerków połamanych przez wichury i omszałe głązy. Ściółkę wokół nich znaczą nieregularne rynny, jakby kamienie – gdy nikt nie patrzy – powoli pełzły ku dolinie. Przez głowę przelatuje mi myśl, że zgodnie z prawami fizyki blizny wryte w leśnym poszyciu powinny być proste, a jednak nie są. Przypominają ślady dżdżownic na piasku. Jak gdyby tutejsze skały były żywe, a przecież to, co martwe, nie może być żywe. Wyobraźnia mi szaleje, zimny dreszcz przechodzi po plecach.

W lesie panuje cisza, jest pięknie i strasznie zarazem. Jeszcze tylko jeden zakręt i trasa w końcu staje się płaska. Ja i mini oddychamy z ulgą.

Drzewa się przeredzają, przede mną roztacza się niezwykle widok na drugą stronę gór. Znajduję się na końcu świata.

Zatrzymuję się na poboczu, nieopodal zielonej tablicy, na której widnieje nazwa wsi. Jej pierwszą literę ktoś farbą w sprayu zamienił w runy . Kilka metrów dalej, na pniu przydrożnego jesionu dostrzegam charakterystyczną tabliczkę PTTK z informacją o przebiegających tędy szlakach. Znajduję się na Rozdrożu pod Sokołem, siedemset czterdzieści jeden metrów nad poziomem morza.

Na stokach kładą się cienie, góry parują po deszczu. Naprawdę zapomniałam, jak tu pięknie. Zapomniałam, bo nie chciałam pamiętać. Odruchowo chwytam za telefon i robię zdjęcie – dziś żaden pisarz nie istnieje bez social mediów – po czym wrzucam je bez filtra na Instagram z lakonicznym komentarzem: „Śladami bohaterów *Nocy*”, i kilkoma hasztagami.

Gaszę silnik, wyłączam nawigację w komórce i chowam smartfon do kieszeni. Zabieram mały turystyczny plecak z fotela pasażera, zamykam samochód i pełną drogą ruszam pod górę. Na nogach zamiast porządnych butów za kostkę mam sneakersy, ale to nie problem. Szlak nie jest ani długi, ani trudny. Jedynie pod koniec podejście robi się nieco bardziej strome, ale na pewno bez trudu dam radę.

Odnoszę wrażenie, że wszystko tu wygląda zupełnie jak dwadzieścia pięć lat temu. Jakby czas stanął w miejscu. Może tylko świerki są teraz wyższe. Kiedyś kopuła szczytowa wyraźniej wybijała się ponad las – a w zasadzie kopuły, bo to góra o dwóch wierzchołkach i dwóch imionach. Wyższa z nich to Sokół, niższa: Niczyja. Lubię szczególnie tę drugą nazwę. Ta góra od zawsze jest moja. I niczyja.

Jeszcze parę tygodni temu nie sądziłam, że znowu ją zobaczę. Opuściłam to miejsce pod koniec wakacji w dziewięćdziesiątym ósmym i nie wróciłam nawet po śmierci matki, gdy oprócz jej mieszkania na

Nadodrze we Wrocławiu otrzymałam w spadku także dom babki Maryjki, wraz z całym otaczającym go bardakiem: rozpadającą się stodołą, starą bielarnią lnu, kawałkiem ugoru, dziurą po stawie rybnym oraz pastwiskiem, na którym od dawna niczego nie wypasano.

Wrocławskiego adresu szybko się pozbyłam i to samo zamierzałam zrobić z poniemiecką rudera – mieszkałam już wtedy w Warszawie, żyłam innym życiem i nie zamierzałam wracać na Dolny Śląsk – jednak nie znalazłam chętnego.

Dopiero kilka lat temu zgłosił się do mnie jakiś fantasta, który zakochał się w tym odludziu. Zamierzał wraz z rodziną przenieść się na wieś, żeby otworzyć agroturystykę, hodować pstrągi w stawie, pasać kozy czy może owce – mniejsza o to – i bawić się w serowara. Dom babki idealnie nadawał się pod tego typu działalność, a okolica od kilku lat znowu zaczęła zyskiwać na popularności.

Oprócz typowo górskich atrakcji turystów jak magnes przyciąga tajemnica Olbrzyma, a może raczej to, co zostało z osobliwych podziemnych instalacji hitlerowskiego projektu Riese. Sztolnie, które podczas wakacji u Maryjki eksplorowałam z innymi dzieciakami, brodząc po kolana w szlamowatej wodzie, dziś można zwiedzić w sposób cywilizowany i z przewodnikiem.

Marzyciel z miasta wyczuł koniunkturę, jednak brakowało mu środków na zakup. Zgodziłam się na wynajmem długoterminowy. Telefonicznie dogadaliśmy szczegóły umowy i kwestię ewentualnych remontów – dałam mu wolną rękę – jednak nawet nie przyjechałam, żeby zobaczyć dom. Ostateczne formalności załatwiliśmy w biurze agencji nieruchomości i od tego czasu mój związek z tym miejscem ogranicza się do comiesięcznego przelewu, który zasila konto, stanowiąc przyjemny dodatek do tantiem autorskich.

Wdrapuję się coraz wyżej, horyzont mi ucieka. Las na południowym zboczu musiał mocno oberwać podczas którejś z wichur, bo co i rusz natykam się na wiatrołomy. Chociaż dzięki temu wieś mam cały czas jak na dłoni, to staram się nie patrzeć w jej stronę. Wylękniona odwracam głowę, jakbym miała tam ujrzyć ducha.

Zaczynam odczuwać zmęczenie. Szczyt tylko z pozoru wydaje się łagodny i wędrówka daje mi w kość. Dyszę jak parowóz. Kondycja w skali od jeden do dziesięciu: mocne trzy – efekt pracy przy biurku. Nie pamiętam, żeby dawniej ta trasa nastęrczała mi trudności, ale dziś pot spływa z czoła, plecak ciąży, jakbym dźwigała w nim kamienie.

Zastanawiam się, po co tak naprawdę włączę na tę górę. Co mnie tam pcha? Mogłabym przecież zrobić, co do mnie należy, a po powrocie do Warszawy zapomnieć o sprawie.

Kilka tygodni temu Magda, dziewczyna z wydawnictwa, która zajmuje się promocją *Nocy Mokosz*, przekazała mi zaproszenie na dwa spotkania autorskie w bibliotekach. Oba w okolicy Gór Sowich.

– Wiem, że to zadupie, drugi koniec Polski, ale dobrze, żebyś pojechała. W końcu akcja powieści dzieje się właśnie tam. Wynajmiemy ci jakiś hotel, zwrócimy koszty paliwa. To ładne miejsce. Może przy okazji trochę odpoczniesz – przekonywała, kiedy zaczęłam kręcić nosem.

Byłam już zmęczona szumem wokół książki. W ostatnich tygodniach odwiedziłam chyba wszystkie rozgłośnie radiowe oraz kanapy śniadaniówek, uśmiechałam się z plakatów na przystankach i wyskakiwałam z lodówki.

Poprosiłam Magdę, żeby grzecznie odmówiła bibliotekom.

Tymczasem dzień później w skrzynce mailowej znalazłam wiadomość od najemcy domu babki – zawsze w ten sposób się

kontaktowaliśmy, bo nie lubię rozmawiać przez telefon. Zwykle w mailach uzgadnialiśmy różne niecierpiące zwłoki remonty i inne tego typu techniczne kwestie, jednak tym razem chodziło o coś innego. Facet wreszcie miał zdolność kredytową umożliwiającą zakup domu i prosił, żebym przyjechała, aby omówić warunki sprzedaży i ewentualnie, jeżeli dojdziemy do konsensusu, sfinalizować sprawę u notariusza.

Pomyślałam, że może to nie przypadek, że obie propozycje spłynęły niemal równocześnie. Napisałam książkę, tkwiącą od lat we mnie jak drzazga, w której rozliczam się z przeszłością i rodzinnymi demonami, a jednak dom babki, dom zły, wciąż kotwiczył mnie w tamtym miejscu. Los podsuwał mi szansę, by raz na zawsze zerwać łańcuch.

Zadzwoiłam do Magdy, by powiedzieć, że jednak przyjmę zaproszenie na spotkania, a potem poinformowałam najemcę o przyjeździe.

Miałam nadzieję, że wydawca znajdzie dla mnie na tych kilka dni jakiś przytulny hotel w Wałbrzychu bądź Jedlinie-Zdroju, ale stało się inaczej. Był szczyt sezonu, okolica atrakcyjna turystycznie i wszystko już porezerwowano. Zdołali zaklepać jedynie wolny domek letniskowy położony w samych górach.

– Ma aneks kuchenny, osobną sypialnię na antresoli, salon i ekstrawidok z tarasu. Stoi na uboczu, ale do obu bibliotek będziesz miała stamtąd blisko. No i do wyłącznego użytku. Nikt nie będzie ci zawracał głowy, czyli tak, jak lubisz – przekonywała przez telefon Magda na kilka dni przed wyjazdem. – Jeżeli chcesz, podrzucę ci link do Bookingu, żebyś sama zobaczyła, jak to wygląda.

Otworzyłam stronę. I od razu zamknęłam. A potem oddzwoniłam do Magdy. Powiedziałam jej, że muszą mi znaleźć coś innego, wszystko jedno gdzie, ale ta konkretna lokalizacja nie wchodzi w grę.

Magda trochę się zdziwiła. Może domek letniskowy to nie Ritz, ale naprawdę zdawał się w porządku. Pewnie pomyślała, że uderzyła mi sodówka, jednak obiecała poszukać czegoś innego.

Zbliżał się dzień zero. Szukała, ale nie znalazła.

I teraz jestem tutaj. Idę po własnych, dawno zatartych śladach. Wydaje mi się, że w ustach czuję smak soku z jeżyn wyciskanego przez babcię Maryjkę, który piłam w tamte wakacje, a w uszach słyszę stukot kołowrotka. Pod powiekami migają plamy powidoków: las, iskry z ogniska, niebo pełne gwiazd, a potem chłód poniemieckiej piwnicy w opuszczonym domu, wycie policyjnej syreny...

Szlak ostro pnie się pod górę. Jeszcze chwila, a serce wyskoczy mi z piersi. Wreszcie docieram na szczyt Sokoła, ale nie zatrzymuję się tutaj. Główna ścieżka prowadzi w dół do Rzeczeki, gdzie zimą działają stoki narciarskie, i dalej na Wielką Sowę, tymczasem ja skręcam w prawo, na wschód, i dalej idę grzbietem. Tu szlak nie jest już tak dobrze widoczny. Trawa zarasta ścieżkę. Niewiele osób się tu zapuszcza.

Po kolejnych pięćdziesięciu, może stu metrach docieram pod drzewo z tabliczką: „Niczyja”. Słońce chowa się za chmurami. Wyjmuję wodę. Piję zachłannie, parę kropel spływa mi po brodzie.

Cel mojej wycieczki znajduje się jeszcze dalej. Muszę zejść na południe, przedzierając się przez gęsty las. Z powrotem zarzucam plecak i wchodzę między świerki. Suche poszycie trzeszczy mi pod nogami, wokół panuje szarówka. Chyba od dawna nikt tędy nie chodzi. Gdziekolwiek dostrzegam jedynie przecinki wydeptane przez dzikie zwierzęta i znaczone ich odchodami.

Las z każdą minutą robi się ciemniejszy. Przedzieram się przez zarośla, gałęzie szarpią mi ubranie. Mam wrażenie, że za każdym drzewem coś się czai. Powinna już była dotrzeć na miejsce, jednak chaszcze się nie kończą. Może się zgubiłam, krążę w kółko. Strach liże

mnie po karku i depcze po piętach. To był naprawdę idiotyczny pomysł, żeby przychodzić tu samotnie.

Wreszcie zauważam prześwit między drzewami. Przyspieszam kroku.

Jestem na miejscu.

Krąg ułożony z kamieni, stanowiący miejsce do siedzenia, wciąż tu jest. Przed nim czernieje palenisko. Ziemię nieopodal znaczą kwadraty ubitej trawy. Widocznie ktoś niedawno tu biwakował.

Siadam na prowizorycznej ławce i patrzę przed siebie. Stok spływa miękko w stronę wsi. Widzę czubek wieży kościoła, a dalej lasek, za którym stoi – stąd niewidoczny – dom babki Maryjki. Łąki falują. W oddali, na lewo, za Wzgórzami Wyrębińskimi rozciągają się Góry Stołowe, a na południowym wschodzie dostrzegam kopułę Śnieżnika wybijającą się ponad horyzont.

To wyjątkowo malownicze i spokojne miejsce, a mimo to wciąż pod skórą czuję vibrato grozy. Gdzieś na tym zboczku znajduje się opuszczona niemiecka osada pochłaniana przez las, paprocie i krzaki dzikiej róży, a w niej zapadnięta piwnica, w której pochowałam pamięć.

Czuję zapach dymu z ogniska. Napływa do mnie wraz gitarowymi akordami *Polly*, starego kawałka Nirvany, chociaż wiem, że to tylko moja wyobraźnia.

Słońce wypala krwawą dziurę w niebie. Sosny szumią:

– *Du musst aufwachen.*

Staram się uspokoić, wiem. To tylko wyobraźnia! Tamto dawno mam za sobą, minęło, nie wróci. Nic mnie nie łączy ani z tymi górami, zapomnianą wsią na końcu świata, ani z domem w dolinie i babką Maryjką.

Nic prócz może jednego: obie powierzyłyśmy Mokosz swoje tajemnice.

Dawno – Mareike

1942

Podczas gdy czternastoletnia Mareike Rogen wdrapuje się polną ścieżką przecinającą zbocze Neumanns-Koppe, słońce powoli opada za horyzont. Mareike zatrzymuje się, żeby wyrównać oddech. Wzgórze nie jest wysokie, podobnie jak całe pasmo Eulengebirge, Sowich Gór, chociaż podejście na szczyt – szczególnie jego ostatni odcinek – jest dość strome, a przez to męczące.

Mareike nabiera powietrza, ociera pot z czoła i luzuje skórzany pierścień zbierający pod szyją chustę *Bund Deutscher Mädel*⁴. Krew buzuje jej w żyłach, biała koszula klei się do ciała. Wokoło nie widać żywego ducha i tylko na drodze do Wüstewaltersdorfu porusza się jakiś punkt. Ktoś z mozołem pedałuje na rowerze w stronę przełęczy. Być może któryś z pracowników zakładu tkackiego Websky’ego, Hartmanna i Wiesena udający się na nocną zmianę. Fabryka produkuje obecnie na potrzeby Wehrmachtu – na Ostfroncie potrzeba ciepłych ubrań – maszyny pracują więc przez całą dobę.

W trawach cykają świerszcze. Powietrze pachnie rumiankiem i wrotyczem, a to przypomina Mareike, że już pora nazbierać ziół. Zeszłoroczne zapasy się wyczerpały, a od czasu, gdy zostali z ojcem sami, domowe obowiązki w całości spoczywają na jej barkach. Mareike obiecuje sobie, że jutro o świcie pójdzie na łąkę. Napar z wrotyczu pomaga na stany zapalne i przeróżne bóle, ale przede wszystkim doskonale koi nerwy. Musi zaparzyć go ojcu – jest bardzo przygnębiony od chwili, gdy miesiąc temu otrzymali wiadomość, że Klaus, starszy z dwóch braci Mareike walczących na Wschodzie, zginął na Krymie. Od

tamtego dnia *Vati* nie chce słuchać radia, nie czyta gazet, rzadziej chadza do wdowy po buchalterze Bartwigu, a częściej do gospody, i błędnie za każdym razem, gdy do ich drzwi puka listonosz.

Mareike też jest smutno z powodu śmierci Klause – chociaż nie byli ze sobą szczególnie związani, bo dzieliło ich siedem lat i brata pochłaniały dorosłe już sprawy: pewna dziewczyna z Dorfbachu i spotkania sekcji Hitlerjugend – lecz przy całej miłości do niego uważa, że przydarzyła mu się najpiękniejsza z możliwych śmierci. Klaus zginął honorowo, walcząc dla Rzeszy i Führera, a z lekcji ideologii w *Grundschule*⁵ Mareike wie, że to największy zaszczyt.

Tymczasem *Vati* całkiem zatracił się w swoim cierpieniu – jakby on jeden na całym Dolnym Śląsku oddał syna dla sprawy – i zdaje się, że ani trochę nie jest dumny z jego bohaterstwa i nawet nie myśli o zaszczycie, jaki spotkał Klause.

Mareike nieobywatelska postawa ojca bardzo niepokoi, dlatego koniecznie musi nazbierać ziółek. Chwyta jeszcze jeden głęboki oddech i przygląda granatową plisowaną spódnicę od mundurka. Chustką, którą wycierała pot z czoła, poleruje teraz marszowe buty. Zakurzyły się na polnej ścieżce, a obuwie niemieckiej dziewczyny musi mieć *glanz*.

Z miejsca, gdzie stoi, ma doskonały widok na Rudolfswaldau, rodzinną wieś, i całą okolicę. W dole, wzdłuż drogi oraz potoku wartko spływającego dnem doliny, wyrastają tynkowane na biało domy o odeskowanych poddaszach oraz ceglane zabudowania gospodarskie: stodoły, tkalnie, bielarnie, przędzalnie. Słońce odbija się w taflach stawów rybnych.

Centralny punkt osady wyznacza drewniany kościół, obok którego mieści się cmentarz – tam spoczywają *Oma* Ursula i *Opa* Georg, rodzice ojca, a także *Mutti* i Annelise, siostrzyczka, która zmarła wkrótce po narodzinach i na długo przed przyjściem Mareike na świat. Dalej stoją

remiza strażacka, *Gasthaus Hippe's*, Zajazd Chmielny, szkoła, młyn i wreszcie, na końcu wsi, gospoda Pod Jeleniem. Góry rysuje łagodna kreska, a południowe stoki płożą się pasmami blich⁶. Do niedawna suszono na nich len, z którego tkano kanwę na makatki, chętnie kupowane przez przybywających w góry turystów, ale dziś nikt nie ma głowy do wędrówek i nikomu nie potrzeba souvenirów, toteż na łąkach nic się nie suszy, a zamiast tego pasą się krowy. Od czasu, gdy wprowadzono kartki na żywność, mleko jest bardziej potrzebne niż len.

Mareike rusza dalej pod pierwszy z dwóch wierzchołków Neumanns-Koppe. Nie chce, by ominął ją moment, gdy na pobliskich szczytach zacznie się zabawa i zapłoną ogniska. Czuje dreszcz podniecenia. Ścieżka biegnie w tym miejscu przez świerkowy las, a gdy osiąga pierwszy ze szczytów, odbija w lewo, prowadząc na drugie, wyższe wzniesienie. Stąd, zza drzew, wyłania się już widok na Hohe Eule⁷ i Wieżę Bismarcka. W dole, w cieniu Wysokiej Sowy rozciągają się wsie Dorfbach i Falkenberg, ale dziś okna domów są ciemne, bo wszyscy mieszkańcy wyszli w góry.

Mareike długo czekała na ten wieczór, chociaż od dwóch lat *Mittsommerfest*, święto letniego przesilenia, odbywa się z mniejszą pompą, niż to dotąd bywało, no i mężczyzn jest niewielu, gdyż większość wcielono do armii walczącej na Wschodzie. Zostali tylko ci, którzy są za młodzi, za starzy lub ze względu na stan zdrowia przedstawiają niedostateczną wartość bojową – bądź tak jak jej *Vati*: są niezbędni na miejscu, do pracy w fabryce.

Mareike przechodzi na zacienioną, północną stronę Neumanns-Koppe. Tu trawa jest wilgotna, a powietrze chłodniejsze. Mrok sunie z mlaskiem po mchu. Mareike wkłada granatową kurtkę od mundurka, którą zapobiegliwie zabrała z domu.

Do jej uszu docierają pierwsze odgłosy zabawy. Dźwięki muzyki mieszają się ze śmiechem i wieczornym oddechem gór. Dawniej do tańca przygrywała orkiestra strażacka, a ludowe pieśni wyśpiewywał chór męski, dziś ich miejsce zajmie dwóch grajków z Hippe's: Johann Jąkała z akordeonem – młody i krzepki, którego nie wzięto do wojska przez wadę wymowy – oraz stary, niewidzący na jedno oko, trębacz Peter.

Mareike wychodzi z lasu na polanę, gdzie zebrała się cała wieś. Wszyscy w odświętnych ubraniach i dobrych humorach. Wokół wysokiego stogu drewna, dla lepszego cugu polanego smołą, krąży rozwrzeszczana dzieciarnia. Gospodynie stoją przy stołach skleconych z desek, uginających się pod ciężarem jedzenia. Częstoują zebranych domowym ciastem i piwem. Nieliczni mężczyźni z kuflami w dłoniach, zbici w grupki, ćmią papierosy, dyskutując o partii i dalszej zwycięskiej ofensywie Führera na Wschodzie, która planowana jest na lato.

– No, jesteście wreszcie. – Z boku dobiega dziewczęcy głos.

To Annika Hermann. Niska i krępa, o różowych policzkach, z nieodłącznym uśmiechem na pulchnych wargach. Chodzą z Mareike do tej samej szkoły, Annika o klasę wyżej, i należą do jednej drużyny BDM⁸ w miejscowych strukturach organizacji. Annika także mieszka w Rudolfswaldau, w górnej części wioski. Jej ojciec, właściciel młyna, obecnie walczy na Ostfroncie, co Annikę, zagorzałą młodą nazistkę i wyznawczynię Baldura von Schiracha, znającą na pamięć podręcznik *Die Mädelschaft*, napawa dumą. Ona także na tę wyjątkową okazję założyła *Kluft*⁹.

– Herr Jürgen nie przyszedł z tobą? – pyta, chwytając Mareike pod ramię i prowadząc w stronę ogniska.

– Vati musiał jeszcze zrobić coś w gospodarstwie, pewnie dołączy później – kłamie Mareike.

Annika nie rozumiała, że *Vati*, miast celebrować *Mittsommerfest*, woli w samotności wpatrywać się w dno kufła, rozpaczając za Klausem. Dla niej śmierć brata Mareike to nie powód do rozpacz. To ofiara za Tysiącletnią Rzeszę – każdy z radością powinien złożyć ją Führerowi. Mareike podejrzewa, że Annika skrycie marzy, aby i jej ojciec zginął w walce. Mogłaby się tym chwalić przed koleżankami na zbiórkach *Mädelschaft*¹⁰. Zresztą gdy był w domu, miewał ciężką rękę, więc córka na pewno za nim nie tęskni.

Nieopodal muzykantów Mareike dostrzega strzelistą postać doktora Thiela, a także piątkę jego dzieci, w tym najstarszą córkę, swoją najbliższą przyjaciółkę, Gretę. Delikatnie wyswobadza się z uścisku Anniki.

– Słuchaj, porozmawiamy później. Powinnam się przywitać z doktorostwem.

Przeciska się przez tłum i macha do Grety. Tamta uśmiecha się szeroko na widok Mareike i przywołuje ją ręką.

Greta, w przeciwieństwie do niej i Anniki, nie ma na sobie mundurka. Zamiast niego na dzisiejszy wieczór wybrała zwiewną sukienkę w kwiaty, na którą narzuciła rozpinany sweter. Ciemne włosy zaplotła w dwa warkocze, na głowę nasunęła wianek z polnych kwiatów. Na nogach ma wełniane skarpety i wygodne półbuty – niepasujące do sukienki, lecz odpowiednie w góry. Na rzemiennym pasku przewieszonym przez szyję wisi nowiutki aparat Leica. Greta dostała go od ojca na trzynaste urodziny i od tego czasu się z nim nie rozstaje. Marzy, że gdy będzie starsza, kupi sobie kamerę i będzie jak Leni Riefenstahl – chociaż zamiast filmów propagandowych wołałaby kręcić przyrodnicze – ale na początek aparat jej wystarczy.

Mareike podchodzi i grzecznie wita się z doktorem i jego żoną. Ich potomstwo – sześciolatek Fritz, rok młodszy Hans i trzyletnie

bliźniaczki: Birgit i Berta – kręci się pod nogami, robiąc przy tym mnóstwo hałasu. Przekrzykując dzieciaki i muzykę, Mareike i rodzice Greta wymieniają kilka kurtuazyjnych zdań. Doktor, jak zwykł czynić w ostatnim czasie, to znaczy od dnia, gdy Rogenowie otrzymali z frontu wiadomość o śmierci Klause, dopytuje Mareike o samopoczucie *Herr* Jürgena i o to, czy mają jakieś informacje o losie młodszego z braci, Matthiasa. Mareike odpowiada, zgodnie z prawdą, że *Vati* nie czuje się najlepiej, a o Mattim na razie nie mają żadnych wieści, co jednak napawa ich optymizmem, albowiem brak wiadomości z frontu to zwykle dobra wiadomość.

Doktorowa – niezbyt wylewna, kostyczna i zazwyczaj pozostająca w cieniu męża – prosi jeszcze, by Mareike przekazała ojcu wyrazy współczucia, głaszcząc ją dyskretnym spojrzeniem po policzku i wreszcie dziewczęta mogą odejść na bok, żeby pogawędzić o swych dziewczęcych sprawach.

– Od godziny cię wypatruję, sądziłam, że już się nie pojawisz – mówi Greta, gdy zostają same.

– Do ostatniej chwili czekałam, że *Vati* zmieni zdanie i ze mną przyjdzie. Ale wolał zostać w domu.

– Znowu pije?

– To nie to, po prostu nie lubi *Mittsommerfest* – odpowiada wymijająco Mareike, chociaż z Gretą, w przeciwieństwie do Anniki, mogłaby być całkiem szczerą. – Zawsze uważał, że to pogańskie zabobony, a teraz to już w ogóle nie jest w nastroju do zabawy.

– Upłynął zaledwie miesiąc. – Greta dotyka ramienia przyjaciółki. – Na pewno potrzeba czasu, żeby oswoił się ze śmiercią syna.

Mareike przytakuje, zerkając na Hohe Eule, której zwaliste ciało wyrasta po drugiej stronie doliny. Wieża Bismarcka czerwieni się

w ostatnich promieniach słońca. Gdy zajdzie, w niebo trysną iskry z ognisk, a w płomieniach spopielą się złe duchy, które podczas długich zimowych ciemności panowały nad światem. Wtedy wszystko się ułoży i będzie jak dawniej. Hitler jest przecież geniuszem, więc na pewno pokona Stalina i Matti wróci szczęśliwie do domu.

W noc przesilenia złe odchodzi i nastaje czas miłości i światła – tak twierdziła *Oma* Ursula. To ona, póki żyła, zabierała Mareike, Klause i Matthiasa na *Mittsommerfest*. Mówiła, że skakanie przez ogień ma moc oczyszczenia: będzie ich chronić przed nieszczęśliwymi wypadkami, chorobami, nagłą śmiercią.

I bracia Mareike skakali przez ogień. A mimo to Klaus dzisiaj nie żyje.

– Klaus jest bohaterem, zginął za Rzeszę. To dobra śmierć – mówi Mareike głucho, bo nagle czuje ciężar, jakby na jej piersi przysiadła nocna zmora.

– Tak... – przytakuje Greta, chociaż wygląda, jakby wątpiła, że jakakolwiek śmierć jest dobra.

Greta ma piwne oczy i skórę o barwie miodu, a gdy się uśmiecha, w jej policzkach tworzą się urocze dołki. Jest piękna, a jednak to jasnowłosa i błękitnooka Mareike *Frau* Paschke, nauczycielka w *Grundschule*, uważa za najładniejszą w klasie i na każdej lekcji *Rassenkunde*, nauki o rasie, stawia za wzór germańskiej urody. Taka uroda zobowiązuje. Kiedyś Mareike zostanie wspaniałą niemiecką matką, z co najmniej szóstką dzieci jak pani Goebbelsowa, uważa *Frau* Paschke, a wtedy, ku chwale Trzeciej Rzeszy, otrzyma medal, wódz zaprosi ją na herbatkę do Berlina i cały kraj usłyszy o ich wsi.

– Kiedy odeślą wam ciało? – ciągnie Greta, korzystając z chwili ciszy, Peter i Johann odłożyli bowiem na bok instrumenty, żeby łyknąć piwa.

– Dwa dni temu dostaliśmy list kondolencyjny od dowódcy kompanii Klause – mówi Mareike. – Front przesuwa się w głąb Rosji. Musieli pochować Klause na cmentarzu w jakimś krymskim miasteczku, razem z innymi chłopcami z jego dywizji. Przesłano nam dokładny opis tego miejsca, numer alejki i kwatery. Podobno rosną tam palmy i ze wzgórza roztacza się widok na morze. Ogrodnicy posadzili na grobach kaktusy. Niedługo mamy dostać zdjęcie. – Milknie, a po chwili dodaje, ale już ciszej: – Na pewno pojedziemy z ojcem, żeby odwiedzić grób Klause, gdy Führer zajmie Moskwę.

Peter i Johann znowu zaczynają grać. Robi się coraz ciemniej. Greta wzdycha. Nic nie mówi, tylko kiwa głową, a jednak Mareike wie, że przyjaciółka wątpi w powodzenie planu krymskiej wycieczki. Wątpi w zwycięstwo Rzeszy nad komunistami, mimo że syreny na stacji kolejki w Wüstewaltersdorfie wyją wesoło co kilka dni, donosząc o kolejnych sukcesach armii: o wygranych bitwach, storpedowaniu kolejnych statków podwodnych wroga lub zestrzeleniu jego samolotów.

Mareike podejrzewa, że Greta wstąpiła do *Jungmädelbund*¹¹ tylko dlatego, że w trzydziestym siódmym wprowadzono taki obowiązek, ale w głębi serca podziela poglądy swego ojca. We wsi plotkuje się, że doktor Thiel, który do Rudolfswaldau przeprowadził się z rodziną z Breslau zaledwie osiem lat temu, to umiarkowany entuzjasta narodowego socjalizmu i w przeciwieństwie do większości mieszkańców okolicznych wiosek, gorąco popierających działania partii i wodza, postrzega pochód armii faszystowskich Niemiec na Moskwę jako błąd, który będzie ich wiele kosztował.

Mareike odruchowo zerka na jego postać, stojącą bliżej ogniska – doktor wygląda, jakby czuł się nieswojo na tej wiejskiej zabawie. Na ustach ma wymuszony uśmiech. Pewnie takiego światowca nie bawią miejscowe zwyczaje i folklor. Przyszedł tu wyłącznie ze względu na dzieci, które chciały zobaczyć nocne ognie.

Dzień wreszcie gaśnie i niemal równocześnie ze szczytu Hohe Eule bucha płomień, przygotowany przez mieszkańców Falkenbergu i Dorfbachu. To sygnał – zapadła najkrótsza noc czterdziestego drugiego roku – i teraz także pod stos na Neumanns-Koppe ktoś podkłada zapałkę. Rozmowy i śmiechy milkną, dzieciaki przestają ganiać w kółko, muzyka cichnie. Wszyscy gromadzą się przy ognisku, które syczy i trzeszczy. Mareike i Greta także podchodzą bliżej. Przystają obok doktorostwa.

Na początku płomień nieśmiało liże polana, a potem wspina się coraz wyżej i wyżej, by w minutę ogarnąć cały stos. Powietrze przesycę kwaśny zapach palonej smoły. Zebrani unoszą głowy. Snop ma co najmniej pięć metrów.

Greta wyciąga aparat ze skórzanego etui, ustawia przesłonę i naciska spust migawki.

– Spójrzcie, dzieci. – Doktor wskazuje ręką na kolejne szczyty.

Jasne punkty rozświetlają teraz także Kleine Eule, Turnberg, Sonnenkoppe i kilka pomniejszych szczytów. Mareike z zachwytem ogląda spektakl światła.

Kobiety kiwają z zadowoleniem głowami: zdaje się, że w tym roku ich stos jest najwyższy, wyższy nawet niż ten na Wysokiej Sowie, i takie ciepło daje, i najpiękniej się pali. To dobry znak. Mężczyźni stukają się kufkami i poklepują po plecach, życzą sobie nawzajem powodzenia, by chłopcy czym prędzej wrócili z frontu, a zbiory tego lata były owocne.

Któryś odstawia piwo na stół, staje na baczność i wyciąga prawe ramię nad głowę.

– *Sieg Heil!* – woła z radością w roziskrzone niebo.

W jego ślad idą następni:

– *Sieg Heil, Sieg Heil!*

Mareike staje przed oczami Klaus, który przed dwoma laty podczas *Mittsommerfest*, tak jak ci tutaj, wznosił rękę w zwycięskim geście *saluto romano*. Dziś Klaus jest martwym zwycięzcą.

– *Sieg Heil, Sieg Heil!* – Niesie się po górach.

Do mężczyzn dołączają kobiety, a nawet dzieci. Na policzkach pojawiają się łzy radości i wzruszenia.

Wreszcie Mareike także się prostuje.

– *Sieg Heil!* – krzyczy z całej siły. – *Sieg Heil!*

⁴ Nazistowska organizacja młodzieżowa: Związek Niemieckich Dziewcząt, zrzeszająca dziewczęta w wieku 14–18 lat.

⁵ (niem.) Szkoła podstawowa.

⁶ Miejsce, w którym bielono płótno, najczęściej łąki w pobliżu rzek na południowych stokach. Inaczej blech.

⁷ Z niem. Wysoka Sowa. Obecnie Wielka Sowa.

⁸ Bund Deutscher Mädel.

⁹ (niem.) Mundur Bund Deutscher Mädel.

¹⁰ (niem.) Drużyna licząca od 10 do 15 dziewcząt.

¹¹ (niem.) Nazistowska organizacja młodzieżowa: Związek Młodych Dziewcząt, zrzeszająca dziewczęta w wieku 10–13 lat.


Noc Mokosz

Wtedy – Mania

1998

Za oknem sennie przewijają się kadry lata, lipcowe słońce wysysa życie z traw, krajobraz coraz mocniej się kołysze, a mnie chce się płakać. Pogłębiam muzykę w discmanie. Kurt szłocha razem ze mną depresyjnymi słowami *Dumb*.

– Zaraz będziemy na miejscu – rzuca przez ramię matka z fotela pasażera, przekrzykując dźwięki w słuchawkach i równocześnie kładąc dłoń na kolanie pana Romana.

Właśnie mijamy tablicę z nazwą wsi. Ktoś zamazał farbą pierwszą literę, kreśląc na niej runy .

Zanim znowu uciekam wzrokiem za szybę, by nie patrzeć na palce matki, które wędrują po udzie pana Romana, dostrzegam jeszcze, jak ten zza kierownicy posyła jej pożądlive spojrzenie. Nie on pierwszy stracił dla niej głowę. Mój nowy wujek. Od dwóch miesięcy trwa ta sielanka. Zabiera mamę na kolacyjki do knajp, codziennie przynosi kwiaty albo słodycze. Kiedy nadeszło lato, a ona napomknęła mu, że zamierza mnie odstawić na kilka tygodni na wieś do babci, od razu wyszedł z propozycją, że nas tu przywiezie.

– Żebyśmy nie musiały się tłuc z torbami pociągiem, a potem jeszcze tym cholernym śmierdzącym pekaesem – ekscytowała się matka. – Wiesz, Roman ma nowiutkiego poloneza caro w kolorze zielony metalik, z fabrycznie wbudowanym radiem i welurową tapicerką. Zamiast stracić

pół dnia na podróż, w dwie godzinki będziemy na miejscu. Bardzo miło z jego strony, nie uważasz, Maniu? To doprawdy wspaniały mężczyzna...

Doprawdy wspaniały. Chociaż ja, zamiast jechać teraz wymuskanym polonezem na wakacje do babci, wolałabym tkwić z przyjaciółmi w ścisłości przy kiblu w pociągu zmierzającym nad morze – większość moich znajomych ostatnie lato przed maturą spędzi na Helu pod namiotem: w dzień będą się smażyć na plaży, a nocą pić tanie sikacze i tańczyć przy muzyce techno w dyskotecie na kempingu.

Bardzo chciałam jechać nad morze, ale z forszą u nas krucho. Zimą przez kilka miesięcy mama siedziała na bezrobociu i dopiero przed wakacjami znalazła nową pracę. Właśnie u pana Romana, w jego hurtowni materiałów biurowych. Wyjazd nad morze nie wchodzi więc w grę.

Dawniej, kiedy byłam mała, całkiem lubiłam spędzać lato w górach. Babcia Maryjka nie jest może typową babcią, taką, co to rozpieszcza, przytula i opowiada bajki na dobranoc, ale okolica jest piękna, a włóczenie się po ruinach poniemieckich domów i bieganie po łąkach z miejscowymi dzieciakami zdawały się niezłą alternatywą dla tkwienia w rozgrzanych upałem murach Wrocławia.

Ale nie tym razem. Wizja wakacji w zabitej dechami wsi, w starym domu, gdzie jedyną rozrywkę stanowi radziecki telewizor marki Rubin, który śnieżąc, łapie dwa programy, a o satelicie czy magnetowidzie można pomarzyć, doprowadza mnie do rozpacz i czuję się, jakbym jechała na zsyłkę.

– Skręć, Romuś, tutaj – ćwierka matka, wskazując na szutrową drogę, odbijającą przed kościołem w lewo.

Polonez pana Romana, pokaszując, zaczyna pokonywać wzgórze i po chwili zza muru świerków wyłania się piętrowa bryła z dachem z rudej

dachówki, którą od północy pokrywa liszaj mchu. Mijamy studnię, ceglaną stodołę i zatrzymujemy się przed głównym wejściem.

Kilka kur na podwórku dziobie trawę, na schodach wygrzewa się tłusty czarny kocur, pod ścianą drzemie wyliniały kundel, który na nasz widok jedynie niemrawo unosi łeb. Dookoła panuje drżąca upałem cisza. O tym, że w domu ktoś jest, świadczy jedynie otwarte szeroko okno kuchenne.

Ostatni raz byłam tu półtora roku temu w święta. Na wakacje nie przyjechałam. Całe lato spędziłam we Wrocławiu. Nikt wtedy nie miał głowy do wyjazdów. Miasto dotknęła powódź tysiąclecia, a ja – podobnie jak reszta mieszkańców – najpierw byłam zajęta układaniem worków z piaskiem, a gdy nasze wysiłki na niewiele się zdały, po przejściu pierwszej, a potem drugiej fali, uprzątnięciem ulic ze szlamu.

Od mojej poprzedniej wizyty nic się tutaj jednak nie zmieniło. Dom nadal sprawia przygnębiające wrażenie i może tylko bałagan w obejściu jest teraz większy. Widocznie babka, grubo już po siedemdziesiątce, nie ma siły, by o wszystko właściwie zadbać. Gdzieniegdzie zalegają trupki rolniczych sprzętów, jakieś stare maszyny, przerdzewiałe wiadra, poidła dla krów. Pod ścianą stodoły piętrzą się usypiska niewykorzystanego zimną węgla, deski oraz cegły ze stojącej niegdyś na przeciwległym krańcu podwórza komórki, którą babka musiała w ostatnim czasie rozebrać. Tynk na fasadzie jeszcze mocniej poszarzał, a data wybita nad drzwiami wejściowymi właściwie całkiem się zatarła: chociaż jeszcze zeszłej zimy można było odczytać dwie pierwsze cyfry: jeden i osiem.

Pan Roman wrzuca bieg na luz i zaciąga hamulec ręczny, ale silnik pozostawia włączony, jakby przewidywał, że czeka go szybka ewakuacja. Matka tymczasem wysiada z samochodu i od razu zaczyna grzebać w torebce w poszukiwaniu papierosów – ukochany nie zgodził się, żeby paliła w drodze, boby mu zasmrodziła welur. W jej ruchy

wkrada się nerwowość – niemal czuję, jak w cieniu tego surowego domiszcza traci rezon, jak z trudem próbuje zapanować nad nerwami.

– No, Mania, jesteśmy na miejscu. Wsiadaj, kochanie – szczebiocze do mnie przez otwarte okno z przesadną lekkością, zapalając wreszcie papierosa, który delikatnie drży w jej palcach. – I zdejmij, najmocniej cię proszę, słuchawki z uszu.

Wyłączam muzykę, zbieram swoje rzeczy z fotela i wysiadam z samochodu. W ślad za mną, porzuciwszy kluczyki w stacyjce, gramoli się pan Roman. On chyba także czuje się nieswojo, bo chrząka raz i drugi i nie patrząc w stronę domu, od razu rusza do bagażnika. Wyjmuje ze środka moje graty i stawia je nieopodal schodów.

Firanka w kuchennym oknie odchyła się na centymetr. W szparze miga oko. Kot podnosi się na łapach i miauczy przeciągle, patrząc na nas wrogo. Sierść jeży mu się na karku.

Czekamy, aż drzwi się otworzą i zostaniemy wpuszczeni do środka, lecz nic takiego się nie dzieje. Głupia sytuacja. Podobno gdy matka zadzwoniła do babci w sprawie wakacji, ta ucieszyła się na mój przyjazd, ale najwyraźniej nie zamierza rozwijać czerwonego dywanu.

Pan Roman, włochaty i nabity tłuszczem, przypomina teraz zagubione dziecko. Nie wiedząc, co począć z rękami, co chwilę wyjmuje ericssona z kieszeni – jakby czekał na pilny telefon, który jednak nie przychodzi – i raz za razem przeciera łapą spocone czoło. Matka, coraz bardziej rozdrażniona, nie odrywając oczu od okna, wysuwa bojowo dolną szczękę. Znowu zaciąga się dymem.

– Chodź tu, Mania. – Macha na mnie. – Masz parę groszy. – Wciska mi w dłoń banknoty wyjęte z portmonetki. Jest ich więcej, niż się spodziewałam. Może chce w ten sposób uciszyć wyrzuty sumienia? – Tylko nie wydaj wszystkiego na, no wiesz... na głupoty i piwo. – Śmieje się nerwowo, ciągle kątem oka zerkając w stronę firanki w kuchni. –

Żartuję, wiem, że jesteś mądrą i grzeczną dziewczynką. No już, już, rozchmurz się.

Przyciąga mnie do siebie i przytula wolnym ramieniem. Wydmuchuje mi dym przy uchu, a potem całuje w policzek.

– Nudziłabyś się we Wrocławiu – mówi niemal wesoło. – Roman przynosi biuro hurtowni w nowe, bardziej prestiżowe miejsce, będę miała przy tym mnóstwo roboty, ciągle siedziałabyś sama w domu, a tu przynajmniej pooddychasz świeżym powietrzem.

Znowu mnie całuje, tym razem w nos, czule odgarnia mi włosy z czoła, ciska niedopałek na ziemię, wgniata go podeszwą sandałka w piach i z przesadną lekkością zwraca się do pana Romana:

– No to co, Romuś, na nas chyba pora.

Pan Roman, nie do końca chyba rozumiejąc, co tu się wyprawia i dlaczego matka mojej matki nie wyszła przed dom, żeby się z nami przywitać, skwapliwie kiwa głową i rzuca się usłudze, żeby otworzyć drzwi od strony pasażera. Matka ostatni raz spogląda na mnie, a potem posyła panu Romanowi słodki uśmiech i niczym angielska królowa z gracją wsiada do środka.

Gdy drzwi auta się zatraskują, rzuca w moim kierunku przez otwarte okno:

– Kochanie, w razie czego dzwoń z telefonu u sołtysa. Jeśli nie zastaniesz mnie w domu, to znasz numer na komórkę pana Romana. Przyjadę pod koniec sierpnia. Baw się dobrze, córciu, i słuchaj się... babci – kończy, krzywiąc się z niesmakiem, jakby natrafiła w kiełbasie na obrzydliwą chrząstkę.

Pan Roman w dwóch susach okrąży auto i wskakuje za kierownicę poloneza zielony metalik, z welurową tapicerką i fabrycznym radiem. Znowu czuje się pewnie, odzyskuje humor. Zwalnia ręczny i wzbijając

tumany kurzu na podwórku, szybko cofa do drogi. Chwilę później dudniący odgłos silnika niesie się doliną, aż wreszcie rozplywa się w oddali.

Chwytam torby i ruszam w stronę wejścia, ale nie uchodzę nawet metra, kiedy drzwi otwierają się na oścież z przeciągłym skrzypnięciem dawno nieoliwionych zawiasów.

Babka Maryjka stoi na progu z koroną siwych włosów zaplecioną wokół głowy, w sukience z non-ironu pamiętającej głęboki Peerel, na którą narzuciła kuchenny fartuch. Jej twarz żłobią grube zmarszczki. Skóra opalona na ziemisty brąz sprawia, że oczy wydają się jaśniejsze. Mimo upału na nogach ma cieliste rajstopy.

Od poprzednich świąt chyba przybyło jej w pasie kilka centymetrów i zmaląła, przykuliła się do ziemi, przez co przypomina kasztanowego ludzika – brązowa kulka na cienkich nóżkach z zapalek.

– Nie stój tak, Mania, wchodź – mówi spokojnie, wycierając w fartuch dłonie białe od mąki. – Obiad czeka.

Na dźwięk jej głosu czarny kocur wypręży się, zeskakuje z murowanej balustrady i ocierając się o jej kostki, jako pierwszy wchodzi do środka. Gdy wdrapuję się po schodach, babcia czeka w progu, a potem przepuszcza mnie przodem. Zamyka za nami drzwi na zasuwę i rusza w stronę kuchni. Porzucam torby w korytarzu i posłusznie drepczę za nią.

Ten dom zawsze dziwnie pachnie. Czymś mdławym i kwaśnym zarazem. Starością, myszami i wilgocią. W zimie nigdy nie jest dostatecznie ogrzany. Od ponad dziesięciu lat – czyli od śmierci dziadka Edka – babka w najchłodniejsze miesiące przenosi się z sypialni na górze do małego pokoiku na parterze, przy kuchni, i tylko tę część ogrzewa. W pozostałych pomieszczeniach, na piętrze i strychu, utrzymuje temperaturę zaledwie kilku stopni powyżej zera – tyle, żeby

grzyb nie wszedł w mur, a rury nie popękały od mrozu. Latem, chociaż często wietrzy i rozkłada w pokojach różne wonne zioła, ten zapach nadal da się wyczuć. Wzარł się głęboko w struktury ceglanych ścian.

Ciągle się zastanawiam, dlaczego nie sprzeda domu. Przecież dla jednej starej kobiety jest stanowczo za duży. Albo chociaż nie wynajmie jego części, tak jak od lat dzierżawi łąki rozciągające się za niecką po stawie; nie jest już w stanie samodzielnie ich kosić, a tym bardziej wypasać krów, których podobno dawniej w gospodarstwie było kilka. Dziwi mnie jej uporczywe trzymanie się tego miejsca, ale nigdy jej o to nie pytałam. Dom należy do niej i ma prawo robić z nim, co chce.

– Ten dom to ja – mówi, gdy matka czasem jednak odważy się napomknąć, że może już czas, by przeniosła się do miasta. – Nie przesadza się starych drzew. Tu przeżyłam życie i tu umrę.

Przechodzimy do kuchni wąskim, pozbawionym okien korytarzem. Pośrodku stoi duży stół, pomalowany na biało farbą olejną, która gdzieśgdzie łuszczy się, ukazując poprzednie warstwy. Pod brudnymi ścianami tkwią stare meble, jakieś ciężkie drewniane komody i szafa chlebowa, obok nich lodówka pamiętająca czasy gierkowskiej prosperity oraz zupełnie nowa kuchenka gazowa, z której babka korzysta na zmianę z kaflową kuchnią opalaną węglem.

Teraz na jednej z fajerek stoi sagan pełen dryfujących po wierzchu pierogów. Kilka z nich pękło i woda zabarwiła się od jagód na fioletowo.

Kot, nie spuszczać ze mnie oka, wskakuje na okap i zwija się w kłębek. Babka chwyta ciężki gar i na swych krótkich nóżkach turla się z nim do zlewu. Ja wyjmuję z kredensu dwa talerze i nakrywam do stołu.

– Co to znowu za jeden? – rzuca w moją stronę, nie przestając wyławiać pierogów cedzakiem i przekładać ich do miski.

– To pan Roman – wyjaśniam.

– Co za Roman?

– Nowy szef mamy.

– Ta... – prycha.

Chwyta parującą michę i przenosi na stół.

– Podaj śmietanę. Jest w lodówce – zwraca się do mnie, zajmując jedno z krzeseł.

Robię, o co prosi, po czym siadam obok. Ona w tym czasie nakłada nam po górze pierogów, które – jakby obawiała się, że są niewystarczająco treściwe – dodatkowo zalewa grubą warstwą kwaśnej, gęstej kremówki i na koniec prószy cukrem.

Żegna się i przez chwilę mamrocze coś pod nosem: zaklęcia, modlitwę w intencji dobrego trawienia?

– Jedz, Mania – nakazuje, chwytając wreszcie widelec.

Wsuwam kawałek pieroga do ust. Przeżuwam słodko-tłustą maź. Mdli mnie. Nie mam apetytu. Znowu chce mi się płakać. Moi znajomi na pewno dotarli już do Gdyni, gdzie mają się przesiąść w kolejkę jadącą na Hel. *Hell* – ja też jestem w piekle.

– Nie smakuje ci? – Babcia Maryjka łypie na mnie znad talerza.

Sama szybko pochłania swoją porcję, przełykając na raz zbyt duże kawałki. Śmietana i sok z jagód zaczynają się gromadzić w kącikach jej ust.

– No jedz. Błado wyglądasz.

Już zapomniałam, że właściwie całe życie w tym domu skoncentrowane jest na jedzeniu, a każda myśl babki orbituje wokół niego. Zawsze taka była – gotowa na dolnośląski hołodomor, trzecią wojnę światową albo atak jądrowy. Wiecznie nienasycona i owładnięta myśleniem o tym, co będzie jadła na śniadanie, obiad, kolację, co należy

upichcić, zawekować, ususzyć, zgromadzić w spiżarni na gorsze czasy. Dla babki rok nie składa się z miesięcy, tylko z agrarnych czasookresów, gdy należy przerobić aktualnie obradzające dary ziemi: najpierw truskawki, czereśnie, jagody, jeżyny, potem jabłka, gruszki, śliwki, grzyby, ogórki, kapustę, buraki... Spiżarnia znajdująca się na północnej ścianie domu i dla lepszej izolacji obłożona od środka miejscowym gnejsem zawsze jest pełna słoików, worków z ziemniakami i mąką, gliniaków z masłem i śmietaną, pęt kielbasy i płatów słoniny wiszących pod sufitem.

Uważałam to za nieszkodliwą fiksację – podobno wiele osób tak ma, przeżywszy koszmar wojny – a właściwie wcale mi to dotąd nie przeszkadzało, bo mama prawie w ogóle nie gotuje, zwykle kupuje byle jaką garmazerkę i mrożonki, a tu mogłam najeść się do syta domowych dań.

– Przecież zrobiłam takie, jak lubisz – stwierdza z pełnymi ustami.

– Dobrze, ale nie jestem głodna. – Odkładam widelec.

Babka wzrusza ramionami.

– Z Ulki nie zawsze była taka latawica – rzuca po chwili między jednym kęsem a drugim. – Inaczej ją wychowałam. Do kościoła prowadziłam, skromności uczyłam, jak Pan Bóg przykazał. A i w tym domu nigdy takiej rozwiązłości nie było. – Kręci smutno głową. – A ona za tymi chłopami jak suka w rui.

– Babciu... – protestuję, choć wiem, że ma trochę racji. Matka rzeczywiście nie należy do kobiet, które umieją trzymać kolana razem, chociaż ona sama twierdzi, że po prostu taki ma styl bycia, *carpe diem*.

Odkąd pamiętam, zawsze taka była. Ula, Uleńka, kobieta-dziecko, wiotka, dziewczęca, jasnowłosa, uroczo niefrasobliwa. Królowa balu życia, mistrzyni dramy, diwa pozorów. Wciąż jest atrakcyjna – chociaż

późno mnie urodziła i jest już po pięćdziesiątce – zawsze umalowana, zadbana, usta w karminie, podobnie jak długi pazur, ubrana z gustem i fantazją w ciuchy, które kupuje za grosze w lumpeksie, spowita zapachem słodkich perfum, wina i fajek. Moje koleżanki uważają, że jest super, taka barwna i zabawna, nie to co ich matki: zaniedbane kocmołuchy z brudną głową, kompleksami i pretensjami, że im w życiu nie wyszło. Moi kumple z liceum pożerają ją wzrokiem. Zresztą wszyscy mężczyźni. Każdy chce się nią zaopiekować, w szczególności ci żonaci. A ona umie się bawić tą adoracją. Jest czuła, opiekuńcza i słodka. Któż by jej nie kochał.

Więc i ja ją kocham. Chociaż rola samotnej matki różnie jej wychodzi. Jest zbyt roztrzepana, żeby pamiętać o prozaicznych sprawach, od zakupu ziemniaków na obiad poczynając, a na wizycie u dentysty, gdy rozboli mnie ząb, kończąc.

– Z tym Romanem długo już Ulka jest? – dopytuje dalej babcia.

– Nie. Miesiąc, może dwa.

– No to pewnie do końca wakacji się odkocha – wyrokuje. – Żadnego chłopca przy sobie na dłużej utrzymać nie potrafi.

Ostatnim pierogiem wyciera do czysta talerz z soku i śmietany, po czym wsuwa do ust. Przelyka. Przeciera kąciki warg wierzchem dłoni.

– Ty tu pewnie z własnej woli byś nie przyjechała, co, Mania? Nie dziwota, w twoim wieku siedzieć ze starą babką na wsi to żadna atrakcja. Ale głowa do góry, może nie będzie tak źle. Ta Dominika od Wasylków, coście się zawsze razem bawiły, całe lato tu jest. Nawet pytała o ciebie, kiedy ją ostatnio na drodze spotkałam. Rodzicom pomaga w pensjonacie. Pełne obłożenie mają. Dużo młodzieży. – Wreszcie podnosi wzrok znad talerza. Nie umiem określić ich koloru. – Zobaczysz, czasem do człowieka co nieoczekiwanego przychodzi, kiedy najmniej się tego spodziewa.

Dawno – Mareike

Mareike zamyka drzwi na klucz. Chociaż dochodzi osiemnasta, *Vati* wciąż nie wrócił do domu. Przecina podwórze, mija studnię, stodołę, bielarnię, świerkowy zagajnik i schodzi w dół do głównej drogi. Nad górami zapada zmierzch. Tłuste jesienne chmury układają się do snu na szczytach. Mżawka pokrywa brunatną kurtkę Mareike, wiatr wyrywa włosy spod beretu.

Gospodarstwo Rogenów leży nieco na uboczu, na malowniczym stoku, w drugiej linii zabudowy. Do najbliższych sąsiadów jest stąd kilkaset metrów, co zapewnia prywatność i spokój. Za dnia rozciąga się stąd wspaniały widok na dolinę i strome zbocza Sudetów Środkowych.

W połowie ubiegłego wieku, jeszcze za Kaisera, ojciec dziadka Georga, Otto, nabył dom wraz zabudowaniami i łąką od gospodarza Galatkego, jednego z najprężniej działających tkaczy w dolinie, który jednak po kolejnej fali nieurodzaju i głodu postanowił raz na zawsze porzucić trudy życia na wsi i przenieść się do wygodnego mieszkania w Waldenburgu, gdzie otworzył sklep z cygarami.

Dom jest porządnie zbudowany i postoi w nienaruszonym stanie jeszcze wiele długich lat. Przetrwa nawet koniec świata, jaki pozna Mareike. Dach wykonano z ceramicznej dachówki, okna wieńczą dekoracyjne łuki z cegły. W skalnym bloku miejscowego gnejsu, który wmurowano nad drzwiami wejściowymi, wciąż można dojrzeć wyrytą datę budowy: rok tysiąc osiemset osiemdziesiąty piąty. Parter to pomieszczenia mieszkalne z wygodną kuchnią, jadalnią, pokojem dziennym, gabinetem ojca, a nawet łazienką, na piętrze znajdują się sypialnie, natomiast odeskowane poddasze, na które prowadzą

zewewnętrzne schody, zajmują suszarnia i przędzalnia lnu. Pod ścianami stoją maszyny tkackie: krosna i kołowrotki.

Oma Ursula uczyła na tym strychu Mareike, czym jest międlenie i jak oddzielać włókna od paździerza. Pokazywała, z jaką siłą i prędkością naciskać na pedał, by skręcająca się przędza była delikatna w dotyku, gładka, a równocześnie wytrzymała. I jak przeciągać ją przez wrzeciono, żeby się przy tym nie ukłuć – każde dziecko wie, że niesie to za sobą przykre konsekwencje: oprócz dziury w palcu można zapaść w sen na sto lat.

Babcia uważała, że tkanie ma uzdrawiającą moc, łagodzi nerwy i koi smutek, a cały proces powstawania tkaniny, wraz z jednostajnością i powtarzalnością każdego ruchu, uspokaja, uczy cierpliwości i szacunku do pracy. Praca jest w życiu najważniejsza. Człowieka mierzy się jej wartością. Jest tym, co wytworzy, albowiem tylko tyle po nim pozostaje.

Mareike z uwagą słuchała słów *Omy*, posłusznie wykonywała jej polecenia i chłonęła wiedzę. I tak, kilka lat temu, w pewien aksamitny jesienny wieczór, przy żeliwnym piecyku, który wypełniał poddasze ciepłem, mała Mareike własnoręcznie, choć pod czujnym okiem babci, uprzedła pierwszą przędzę i utkała na krosnach kanwę pod makatkę. *Vati* bardzo był z niej dumny. Powiedział wtedy, że gdy ona, Matthias i Klaus dorosną, odbudują piękną tkacką tradycję i przywrócą świetność gospodarstwu, bo żadne parowe czy elektryczne maszyny z zakładu *Websky’ego*, *Hartmanna* i *Wiesena* w *Wüstewaltersdorfie*, gdzie ojciec już wtedy pracował jako inżynier, nigdy nie dorównają kunsztowi rąk. Maszyny są zimne i nie mają duszy, twierdził *Vati*, a przędza musi ją mieć, jako że w swej naturze jest nieskończona. Jest najdoskonalszym z ludzkich dzieł.

Na koniec schował makatkę do kieszeni, poklepał Mareike po policzku i wręczył jej dwadzieścia reichspfennigów, żeby kupiła sobie

cukierków.

Mareike z rozrzewnieniem wspomina tę scenę sprzed lat, schodząc do wsi. Dziś nic nie wygląda jak wtedy. Jesień nie jest już aksamitna, jest przygnębiająca. Cukierki dawno zostały zjedzone, a na poddaszu hula wiatr. Nie ma już *Omy* Ursuli, która zmarła późnym latem czterdziestego pierwszego na dychawicę oskrzelową – jak twierdził doktor Thiel – a w istocie – jak uważa Mareike – z tęsknoty, bo to właśnie wtedy Klaus i Matti powędrowali na wschodni front.

Oma umarła, mimo że *Vati*, zgodnie z zaleceniem doktora, posłał ją na dwa letnie miesiące do pobliskiego Bad Charlottenbrunn. Przeszła tam kurację serwatkową i kefirową, spacerowała dwa razy dziennie po parku zdrojowym, piła leczniczą wodę, kąpała się w naparach z igieł świerkowych i pierwszy raz w życiu naprawdę wypoczywała. Jednak ani kefir, ani zabiegi nie pomogły na tęsknotę, która toczyła zmęczone ciało babci. *Oma* zbyt wiele lat przepędziła w morderczym kieracie *Kinder, Küche, Kirche*, żeby w dwa miesiące odzyskać siły i chęć do życia, toteż przestała oddychać i umarła. I już nie ma *Omy*.

I nie ma też Klausea.

A *Vati* chyba wyzbył się marzeń o wielkim odrodzeniu tkackiej tradycji w ich rodzinie. Chociaż z tego, co Mareike wie, tamta kanwa na makatkę wciąż leży w szufladzie jego biurka, tuż obok zdjęcia *Mutti* w sukni ślubnej, Srebrnej Odznaki Sprawnościowej Hitlerjugend Klausea oraz mlecznego zęba Matthiasa, który brat wybił sobie podczas zabawy, gdy skakał z dachu stodoły.

Mareike schodzi do głównej drogi. Greta, przestępując z zimna z nogi na nogę, czeka na nią przy murze kościoła, skąd razem mają udać się na *Heimabend*¹². Spotkanie BDM jak zwykle odbędzie się w izbie przy młynie, którą matka Anniki Hermann raz w tygodniu udostępnia organizacji.

– *Heil Hitler!* – Mareike unosi ramię w pozdrowieniu.

– Daj spokój. – Greta macha ręką. – Zostaw to na zbiórkę.

Ruszają w stronę przełęczy. W oknach domów po obu stronach gościńca palą się światła, deszcz wciąż siąpi i zamarza na drodze – chwyta pierwszy w tym roku mróz.

– Macie nowe wieści od Mattiego? – pyta Greta, gdy mijają kolejne zagrody. Od młyna, który leży w górnej części wsi, dzieli je dziesięć minut marszu.

Mareike kręci głową.

– Podobno Rosjanie kilka dni temu przystąpili do kontrofensywy w rejonie Stalingradu – ciągnie przyjaciółka. – W radio mówią, że nasi chłopcy doskonale sobie radzą, ale ojciec nie do końca wierzy oficjalnym przekazom. Uważa, że Berlin nie o wszystkim nas informuje.

Mareike nadal milczy. Ostatni list od Matthiasa przyszedł kilka tygodni po *Mittsommerfest*, pamiętnej nocy na Neumanns-Koppe i ogniach, które miały wypędzić złe duchy, lecz tym razem chyba nie wypędziły, skoro niemiecka ofensywa wciąż nie przełamała radzieckiej obrony i stanęła w miejscu.

Matti pisał, że po roku spędzonym z dala od rodzinnych stron bardzo już tęskni za domem i górami, że Rosja jest bezkresna i pusta, a ludzie żyją tam prymitywnie, w nędzy trudnej do wyobrażenia. Zima była ciężka i na długi czas zatrzymała ich oddział, ale brat wciąż żywił nadzieję, że wraz z nadejściem lata sytuacja Armii Południe nacierającej na Donbas, poprzez rejon Wołgi w stronę Kaukazu, wreszcie się poprawi. Zdobędą Stalingrad, potem ruszą na północ i zajmą Moskwę, a wtedy będą mogli wrócić do domu, i chociaż Klause już nie ma, spróbują żyć jak dawniej: będą wędrować po górach, a zimą jeździć na nartach. Matthias pokaże Mareike siedliska dzikich zwierząt, nauczy ją

pohukiwać jak sowa i odławiać pstrągi ze stawu za domem. I z czasem zapomną o wojnie...

Od tamtego listu upłynęły ponad cztery miesiące, lato dobiegło końca, wkrótce minie też jesień, a jednak na froncie nie doszło do żadnego przełomu. Matti też więcej się nie odezwał. Ani on, co oznaczałoby, że żyje, ani nawet jego dowódca, co oznaczałoby...

– Matthias na pewno niedługo wróci, zobaczysz – pociesza ją Greta.

– Na pewno. – Mareike stara się uśmiechnąć.

Dziewczęta docierają na miejsce i pokonują mostek nad szumiącym w dole strumieniem. Młyńskie koło skrzypi w ciemności, woda jednostajnie pluska o łopatkę, jakby przez ciemność kroczył stwór ulepiony z błota i tęsknoty.

Wchodzą na podwórze i od razu kierują się do budynku gospodarczego. Izbę, służącą na co dzień jako kantorek, wypełniają śmiech i rozmowy. Są tu już wszystkie koleżanki, w sumie kilkanaście dziewcząt, a także ich instruktorka Katharine Koch. Wszystkie ubrane w *Kluft*, siedzą na krzesłach, skrzyniach lub workach z ziarnem. Niektóre zajadają ciasteczka, zgodnie ze zwyczajem przygotowane przez Annikę, inne robią na drutach skarpety, które zostaną wysłane chłopcom na front. W piecyku syczą polana drewna. Ze ściany nad biurkiem, przy którym *Frau* Hermann dobija targu z nabywcami mąki, z ukontentowaniem przygląda się im wódz.

– *Heil Hitler!*

– *Heil Hitler!*

Wymieniają pozdrowienia, odkładając na bok ciasteczka i druty, gdy Mareike i Greta, odwiesiwszy wierzchnie okrycia na wieszak przy drzwiach, dołączają do kręgu i zajmują wolne miejsca na workach.

– Bądź wierna, bądź czysta, bądź Niemką! – skanduje Katharine Koch. Zawsze zaczyna spotkanie w ten sposób: od przywołania dewizy Bund Deutscher Mädel.

Dziewczęta chórem powtarzają za nią.

– Bądź wierna, bądź czysta, bądź Niemką!

Katharine ma włosy w kolorze mysi blond, zawsze ciasno zaplecione w dwa warkocze, szczupłą talię i drobne piersi. Niedawno skończyła siedemnaście lat, ale wśród miejscowych członkiń organizacji jest najwyższa stopniem – jest *Ringführerin* – co potwierdza srebrny emblemat z orłem i swastyką dumnie połyskujący na jej piersi. Ponadto ma już pewne doświadczenia z chłopcami, więc może wprowadzać młodsze koleżanki w arkana t y c h spraw.

– Dziś zaczniemy od omówienia filmu *Wieczny Żyd*¹³, na który, jak mi wiadomo, *Frau Paschke* zabrała was w zeszłym tygodniu – zaczyna Katharine.

Po izbie przetacza się szelest podniecenia.

– Która z was chciałaby nam wyjaśnić, jakie wnioski z niego płyną?

– Żydzi to plaga Europy! – Annika pierwsza wyrwa się do odpowiedzi. Gdy mówi, z jej ust wypadają okruszki ciastka.

– Tak. – Przeciągając samogłoskę, z zadowoleniem przyznaje instruktorka.

– Przenoszą choroby jak szczury – dodaje piskliwym głosem Helena, najmłodsza z obecnych. Jest malutka i chuda, ale też gibka i najlepsza w biegach przełajowych, a organizacja ceni wysportowane dziewczęta.

– Jakie choroby? – drąży Katharine.

– Tyfus, cholerę, dyzenterię, trąd – wymienia na bezdechu Helena.

– Dokładnie! – potakuje tamta z zadowoleniem. – Oraz wiele innych.
A po czym można poznać Żyda?

– Ma wielki haczykowaty nos! – wyrywa się do odpowiedzi następna z dziewczyn.

– Odstające uszy, ślepią wylupiaste, włosy czarne, szczeciniaste jak u zwierza! – wtóruje któraś z koleżanek.

– Wysokie czoło!

– Płaską potylicę!

Przekrzykują się jedna przez drugą.

– Spojrzenie ma chytre, a głos nieprzyjemny i skrzekliwy – dodaje Mareike.

Katharine uśmiecha się szeroko.

– Tak, moje drogie, właśnie tak. To najbardziej pokraczny, niedoskonały, a równocześnie najniebezpieczniejszy przedstawiciel rodzaju ludzkiego. Chytry, przebiegły, pozbawiony talentów i intelektu, które zastępuje sprytem i podstępem. Zapamiętajcie! Żyd w niczym nie przypomina prawego i szczerego człowieka rasy aryjskiej. Nawet skład jego krwi jest inny: ma smak i konsystencję błota – kończy w uniesieniu.

W kantorku zapada cisza. Mareike ma wrażenie, że Adolf Hitler patrzy wprost na nią i kiwa z uznaniem głową.

– A czy to prawda, że Żydzi swoim synom w niemowlęctwie obcinają kawałek skóry z... no wiecie z czego? – dopytuje z wypiekami na twarzy mała Helena.

– Tak jest! – przytakuje Katharine. – Żydzi to barbarzyńcy.

– A ja słyszałam – wtrąca Annika, przegryzając kolejne ciastko – że łono Żydówek, wbrew prawom natury, ułożone jest w poprzek.

Izbę wypełniają okrzyki zdziwienia pomieszane z chichotem. Niektóre dziewczęta zasłaniają roześmiane usta dłonią, inne czerwienią się ze wstydu.

– To bardzo możliwe – przyznaje w zadumie Katharine.

– To nieprawda! – wypala nagle milcząca do tej pory Greta.

W pomieszczeniu zapada cisza. Wszystkie głowy odwracają się w jej stronę. Mareike odruchowo chwyta dłoń siedzącej przy jej boku przyjaciółki i lekko ją ściska. Lepiej, żeby Greta nie mówiła już nic więcej.

Ale ona najwyraźniej nie zamierza milczeć.

– Mój ojciec mówi, że wszyscy ludzie zbudowani są tak samo. Wszyscy ludzie są równi.

Twarz Katharine się zmienia, jej czoło przecina zmarszczka, na usta wypływa kpiący uśmiezek.

– Chcesz powiedzieć, że Żydzi są nam równi? Albo Słowianie?

Greta milczy. Mareike widzi, jak lewa powieka przyjaciółki zaczyna delikatnie drżeć. Jeszcze mocniej ściska jej rękę.

– Chcę powiedzieć – odzywa się dziewczyna wreszcie, ale nieco spokojniej – że w żadnej z medycznych książek, które mój ojciec trzyma w bibliotece, nie ma mowy o tym, co tu przytaczacie. Żydówki zbudowane są tak jak my, a ich krew ma taki sam skład jak nasza.

– Doktor pozwala ci czytać swoje książki? – dziwi się Annika.

Greta przytakuje niepewnie.

– Nie powinien ci na to pozwalać – zauważa twardo Katharine. – Na pewno źle zrozumiałaś to, co tam wyczytałaś, musiałaś coś pokręcić. Takie naukowe zagadnienia nie są dla kobiet.

– Ale mnie to ciekawi. – Grecie zaczyna trząść się broda. –
W przyszłości chciałabym studiować medycynę.

– Medycynę? – prychna instruktorka. – Zadaniem kobiety jest
rodzenie dzieci, dbanie o dom i potrzeby mężczyzny. Z żony i rodzicielki
jest dla Niemiec większa pociecha niż z absolwentki uniwersytetu. Taka
jest nasza powinność! I wszystkie sobie to zapamiętajcie. – Rozgląda się
uważnie po izbie, jakby i u pozostałych szukała przejawów buntu. – My,
członkinie BDM, powinnyśmy być przykładem dla innych dziewcząt,
stanowimy jądro nowego pokolenia, na nas spoczywa odpowiedzialność
za kraj, za czystość rasy, za narodowy socjalizm!

¹² (niem.) Wieczornica, tutaj: partyjne spotkanie poświęcone tematowi ideologii i prokreacji.

¹³ *Der ewige Jude*, niemiecki film propagandowy z 1940 roku.

Noc Mokosz

Wtedy – Mania

Dominika Wasylko przychodzi do domu na wzgórzu dzień po moim przybyciu na wieś. Właśnie kończymy z babcią Maryjką jeść obiad – jak zwykle zbyt obfity. Szybko zmywam talerze i wychodzimy przed dom. Dominika podwędziła staremu kilka fajek i koniecznie chce zapalić, więc wdrapujemy się po rozpadających się zewnętrznych schodach na poddasze, gdzie – jak zakładam – nie sięga trzecie, wszystkowiedzące oko babci Maryjki.

W środku panuje nieprawdopodobny bajzel. Dookoła walają się przeróżne śmieci: stare meble i maszyny tkackie, których babcia używa od wielkiego dzwonu, a jednak nie pozwala wyrzucić. Lipcowy upał potęguje unoszący się w środku fetor kurzu, zbutwiałego drewna i mysiego gówna.

– Fajnie, że przyjechałaś. – Dominice zapachy chyba nie przeszkadzają, bo z zadowoleniem rozsiada się na starej skrzyni i wyciąga pomięte papierosy z kieszeni szortów.

Odpala zapałkę, kilka razy z wprawą się zaciąga, po czym podaje fajka mnie. Nie mam ochoty palić, brak mi doświadczenia, jednak głupio odmówić. Doma jest tu moją jedyną rówieśniczką i towarzyszką niedoli, a zatem powinnam z nią trzymać, jeśli chcę jakoś przetrwać letnie zesłanie i nie umrzeć przy tym z nudów.

Odbieram od niej papierosa, wsuwam do ust i zaciągam się. Dym wżera mi się w gardło, zaczynam kasłać, chce mi się wymiotować.

Dominika chichocze, pokazując zęby z niewielką diastemą między jedynekami.

Znamy się od dziecka. Odkąd pamiętam, gdy przyjeżdżałam na wieś, szwendałyśmy się po górach i myszkowałyśmy w ruinach poniemieckich chałup, ale naszej relacji nie nazwałabym przyjaźnią. Kontakt zrywa się za każdym razem, gdy tylko wracam do Wrocławia. Tam są moje prawdziwe koleżanki i prawdziwe życie. Dominika swoją paczkę ma zaś w Nowej Rudzie, dokąd dojeżdża do liceum. Ja słucham depresyjnej Nirvany, ona preferuje naszprycowane lukrem kawałki Spice Girls i Britney, ale lubię ją i myślę, że z wzajemnością. Nasza osobliwa przerywana znajomość ma swoje plusy. Przez ulotność chwili i hermetyczność tego miejsca w pewien sposób przypomina wakacyjny romans. Wiemy, że to, co wydarzy się w górach, zostanie w górach, zamknięte w czasie przeszłym. Do następnego spotkania.

– Do kiedy zostajesz? – pyta, nie przestając się uśmiechać.

– Pewnie do końca sierpnia.

Odbiera ode mnie fajka.

Przyglądam się jej, gdy znowu się zaciąga. Robi to z wprawą. Wydoroślała od mojej ostatniej wizyty. Nigdy nie była przesadnie ładna, rysy twarzy ma raczej proste, ale bije od niej coś, czego mnie samej brakuje, a co w moich oczach czyni ją atrakcyjną: pewność siebie, otwartość i żywiołowość. Teraz dochodzą do tego zaokrąglone po kobiecemu ciało i kokieterijny błysk w oku. Rzęsy ma pociągnięte niebieskim tuszem, usta podkreśla błyszczący. Różowa koszulka z napisem: *...Baby One More Time* opina wydatne piersi, z nogawek szortów wystają opalone nogi – Dominika musi mieć spore powodzenie u chłopaków.

– No to chujnia. – Wydmuchuje chmurę dymu.

Przerzuca włosy z jednego ramienia na drugie. Są bardzo gęste, błyszczące i czarne jak skrzydła kruka. Moje: lekko falujące, w kolorze mysi blond, nigdy nie chcą się tak układać.

– Nieźle cię matka wydymała – dodaje.

Wzruszam ramionami. Gdy tu szłyśmy, zdążyłam jej już opowiedzieć o moim niedoszłym wyjeździe nad morze oraz panu Romanie, który okrętuje w życiu matki.

– ...Ale spoko, razem jakoś to przetrwamy. Ja też nigdzie w te wakacje nie wyjeżdżam – ciągnie. – Starzy mają pełne obłożenie w pensjonacie. Muszę im pomagać. Ciągle, kurwa, coś, a Hubert wiadomo: święta krowa. Stworzony do wyższych celów. Albo siedzi przy komputerze, albo w książkach, w swojej kanciapie. I cały ten burdel z letnikami spada na moją głowę.

Dominika ma dwóch braci: siedmioletniego Wojtusia i trzy lata od nas starszego Huberta, którego nigdy nie lubiłam. Jest zadufanym w sobie, aroganckim dupkiem. Gdy przyjeżdżałam na wieś w poprzednich latach, zawsze trzymał się na dystans. Traktował Dominikę i mnie jak gówniary, jakby nie dzieliło nas kilka lat, ale co najmniej dekada. Kujon i mruk. Nawet w wakacje się uczył. Podobno jest piekielnie inteligentny. Lokalna gwiazda. Dwa lata temu jako laureat olimpiady bez egzaminu otrzymał indeks. Wahał się między medycyną a jakimś kierunkiem na wrocławskiej polibudzie. Ku rozczarowaniu rodziców wybrał tę drugą opcję, ale i tak pękają z dumy. Pan student. Jako pierwszy w rodzinie zdobędzie wyższe wykształcenie. I nawet stypendium dostaje za dobre wyniki. No istny geniusz.

– Ojciec z matką zapieprzają, bo siedzi u nas cała grupa z Warszawy – kontynuuje Dominika. – Obóz sportowy. Niedawno przyjechał drugi turnus. Sporo jest przy nich roboty, ale nie ma tego złego... Właściwie to prawie same chłopaki. – Puszczą do mnie oko.

Rodzina Wasylków od pewnego czasu uchodzi za miejscowych Rockefellerów. Ma jedno z większych gospodarstw w okolicy, sporo gruntów i budynków gospodarczych, a przy tym ojciec Dominiki jest naprawdę łębskim gościem. Kiedy z początkiem lat dziewięćdziesiątych padł tutejszy pegeer i zaczęto zamykać kopalnie, a ludzie masowo łądowali na bezrobociu, on, zamiast rwać włosy z głowy bądź jak inni usiąść pod budką z piwem, wyjechał do Reichu. Przez kilka lat harował na budowach. Forsa, z którą wrócił, wystarczyła na rewitalizację zapuszczonego poniemieckiego spichlerza leżącego w głębi ich parceli i przekształcenie go w pensjonat. Wasylko własnoręcznie wyremontował budynek, żeby dostosować go do potrzeb turystów: na górze wydzielił kilkanaście pokoi z łazienkami, dół zajmują wygodna sala jadalna, kuchnia i świetlica.

Ludzie we wsi pukali się w głowę, nikt nie wierzył, że interes wypali – kto normalny przyjedzie na to zadupie? – a jednak się udało. Latem przyjmują zorganizowane grupy, zimą odbywają się tam zielone szkoły, a w weekendy wesela. W ostatnich latach ojciec Domy zainwestował jeszcze w budowę stawu, wiaty grillowej i boiska do siatkówki. Interes się kręci.

Doma kończy jarać, a następnie gasi niedopałek na metalowym okuciu skrzyni.

Zerka na zegarek.

– O ja pierd... powinnam już lecieć. Muszę odebrać ciasto na podwieczorek od Wróblowej. Matka nie wyrabia się w kuchni, dlatego zleca robienie wypieków – wyjaśnia mi szybko. – Jak nie masz, Mania, nic ciekawego do roboty, to chodź ze mną. Ojciec kupił nowy magnetowid i telewizor do pensjonatu. Zrobię, co mam do zrobienia, i możemy sobie puścić jakiś film.

Nie mam nic ciekawego do roboty, w zasadzie w ogóle nie mam co począć z resztą dnia. Zamykam drzwi strychu na skobel i schodzimy na podwórko. Wołam przez otwarte okno w stronę kuchni, że wychodzę, i na przełaj, przez łąkę, wędrujemy w dół do wsi.

Żar leje się z nieba i rozpuszcza asfalt, który klei się nam do tenisówek. Góry spowija letni spleen. Na zboczu pod lasem, w cieniu, wylegają się krowy.

Mijamy z Dominiką starą remizę, nieczynny zajazd, przystanek autobusowy i dawną szkołę. Na prawo, nieco wyżej, widnieją białe zabudowania pegeeru, przed nimi zalega zdezelowany sprzęt rolniczy. Na ścianie jednej z obór ktoś namazał z błędem: „Balcerowicz to huj”.

Małeńki dom Wróblów znajduje się naprzeciwko. Działkę, której chyba od wieków nikt nie kosił, zarastają dorodne chaszczce. Zza nich wyłania się kostropata elewacja budynku w kolorze kurzu. Baranek łuszczy się, tu i ówdzie odpada, odsłaniając ceglany mur.

Przedzieramy się na podwórko rzadko uczęszczaną ścieżką.

– Poczekaj tu na mnie chwilę. – Dominika wskazuje mi ławkę pod ścianą, a sama znika w środku.

Z nudów rozglądam się po obejściu. Panuje tu okropny bajzel. Śmierdzi biedą i smutkiem. Pod ścianą rozpadającej się komórki zalegają sterty śmieci: stara przerdzewiała pralka, połamany wózek dziecięcy, płatanina drutów, które kiedyś musiały być sprężynami z dna łóżka. Dach domu od strony drogi zapada się, sprawiając wrażenie, jakby w każdej chwili mógł runąć do środka. Szybę w jednym z okien przecina blizna pęknięcia, które nieumiejętnie zlepiono wyciętym z gazety pasem papieru.

Z tego, co wiem od babci Maryjki, Wróblowa jest wdową. Jej stary zapił się niedługo po zamknięciu pegeeru. Oboje tam pracowali. On przy

obrzędki w oborze, ona jako dojarka. Nie wiem, z czego obecnie się utrzymuje. Pewnie z głodowej emerytury, a teraz dodatkowo z wypieków dla ośrodka.

Dominika pojawia się w drzwiach. W obu rękach dźwiga wiklinowe kosze. Spod ścierek, którymi je przykryto, dobywa się słodkawy zapach drożdżowego ciasta.

Wstaję z ławki. Wręcza mi jeden z koszy.

– Nie lubię tu przychodzić – mówi, gdy zarośniętą ścieżką wracamy do głównej drogi. – Dziwna jest ta stara. Od śmierci męża prawie nie wystawia nosa za próg chałupy, a po zmierzchu to już wołami jej na dwór nie wyciągniesz. Jak tu zaglądam, zawsze uraczy mnie jakąś dziwną historią. Mówi, żebym uważała na duchy, że nasza wieś jest przeklęta i inne tego typu rzeczy. Na łeb jej się rzuciło na starość, ale ciasta robi najlepsze w okolicy.

Odruchowo zerkam przez ramię na dom, który wygląda, jakby go matka natura wkrótce miała chapsnąć na raz. W jednym z okien, tym sklejonym, miga mi postać. Kobieta o ptasiej twarzy, z dużym, ciemnym znamieniem na policzku i gniazdem siwych włosów na głowie. Przyglądała mi się z nieprzeniknioną miną. Po plecach przechodzą mi dreszcze.

– Duchy? – Odwracam się znowu w stronę Dominiki.

Idziemy główną drogą, a mimo to wciąż czuję na sobie oczy staruchy z okna.

– No – przytakuje. – Wróblowa twierdzi, że jak Niemcy stąd odchodzili, to tę ziemię przeklęli. Ona tutaj przyjechała zaraz po wojnie. Twierdzi, że wiele razy widziała tu rzeczy, których nie da się wytłumaczyć. Pamiętam, że raz to aż do nas z krzykiem przybiegła. Akurat wracała z przystanku, było już ciemno. Od strony wzgórza za

niemieckim cmentarzyskiem usłyszała tętent konia. A potem go zobaczyła.

– Konia?

– Konia i jeźdźca. Ale ani jeden, ani drugi nie miał głowy.

– Daj spokój. – Uśmiecham się, bo nie wierzę w takie rzeczy.

– A innym razem widziała ducha topielicy. Podobno tu niedaleko. Jak ta polna droga skręca za starym zajazdem. Zmora schodziła ze zbocza. Miała na sobie mokrą sukienkę, włosy sięgały jej do pasa. Wróblowa początkowo pomyślała, że to zwykła dziewczyna, że może coś jej się stało, wpadła do jednego ze stawów rybnych pod lasem i potrzebuje pomocy, ale gdy tamta się zbliżyła i odwróciła do niej głowę, Wróblowa zrozumiała, że to upiór. Oczy miał puste, usta sine. – Dominika milknie.

Przez chwilę idziemy w ciszy. Cieszę się, że świeci słońce, bo po ciemku nie chciałabym słuchać tych historii.

– Chyba nie wierzysz w takie bzdury? – pytam.

Dominika spogląda na mnie z grobową miną.

A potem wybucha śmiechem:

– No weź, Mania. Oczywiście, że nie wierzę. Stara ma po prostu nierówno pod sufitem. Jak jeszcze jej mąż żył, to ona z nim równo garowała. Podobno przestała łąć, jak umarł, ale widocznie niektóre styki się poprzepalały. Chociaż te ciasta to naprawdę świetne piecze...

Dominika coś jeszcze mówi, ale się wyłączam. Przypominam sobie, że kilka lat temu podobną bajeczkę o duchach szwendających się po okolicy sprzedała mi babcia Maryjka. Ani trochę jej wtedy nie uwierzyłam. Zawsze miała bujną wyobraźnię i myślę, że prostu chciała mnie nastraszyć, żebym nie włączyła się do późna.

Szybko o tym zapomniałam, aż do teraz.

Dawno – Mareike

Vati znowu nie wrócił do domu, chociaż jest już naprawdę późno. Mareike ubiera się ciepło, zamyka dom i schodzi drogą do wsi. Zimowy mrok sunie koleinami, skrzypiąc na śniegu. Wiatr z drobinami lodu uderza ją w twarz, mróz ogarnia ciało i zaciska się obręczą wokół ramion. Dziewczyna mija kościół i skręca w lewo. Trochę się boi, przechodząc obok cmentarza, ponieważ we wsi mówi się, że po zmroku można tu napotkać upiora – gdy nastaje noc, ze wzgórza zjeżdża jeździec bez głowy, a po wsi niesie się tętent jego konia, także łba pozbawionego.

Mareike nie wierzy w istnienie jeźdźca ani w ogóle w duchy – dzielne dziewczęta z BDM muszą twardo stąpać po ziemi – aczkolwiek faktem jest, że przed niemal dwustu laty na polach Rudolfswaldau, podczas wojny siedmioletniej, rozegrało się kilka bitew. Po którejś z nich, jak mówi legenda, gdy łąki spłynęły krwią, chłopci pochowali w niepoświęconej ziemi, pod bukiem na szczycie, wielu wojaków, w tym pewnego bez głowy, którą nieszczęsnemu w walce odrąbano. I teraz błąka się jego dusza potępiona po wsi i pobliskich pagórkach, poszukując zguby. A gdy na kogo na swej drodze trafi, to mu jego głowę, w zamian za swoją, utraconą, zabiera.

Faktem jest również, że przed laty synka miejscowego gorzelnika znaleziono po zmroku pozbawionego dziecięcej niewinności i główki właśnie.

Oma, sama będąc wówczas małą dziewczynką, na własne oczy podobno widziała, jak chłopca w krótkiej trumience chowano – albowiem główki jego nie odnaleziono – jednak zawsze powtarzała

wnuczce, że to żaden zły duch, a zły człowiek tak okrutnie malca skrzywdzić musiał.

Mareike ufa zapewnieniom *Omy*, a mimo to po zmierzchu przy cmentarnym murze zwykła przyspieszać kroku.

W oknach sąsiednich domów palą się światła. Większość mieszkańców wsi układa się pewnie do snu. Czujna suka doktora Thiela zaczyna ujadać przy budzie, słysząc, że ktoś nadchodzi.

– Cicho, Schwarze! – woła Mareike, by uspokoić psa. Jeszcze głupie psisko lichy zbudzi.

Na dźwięk znajomego głosu suka natychmiast cichnie i zaczyna merdać ogonem. Mareike podejrzewa, że doktor nadał psu imię z przekory, kundel ma bowiem sierść w kolorze słomy z białym wybarwieniem na brzuchu. Ale jeżeli Führer mógł swoją sukę rasy owczarek niemiecki o ciemnym grzbiecie oraz mordzie i łapach podpalanych rudością nazwać Blondi, to dlaczego jasna przybłąda doktora nie miałyby się nazywać Schwarze?

Za domem doktorostwa droga schodzi w dół i zakręca. Stąd już widać stary dwór, taflę zamarznętego stawu wśród drzew i wreszcie budynek zajazdu, którego bryła jaśniej na tle styczniowego nieba.

Mareike ostatnio często tu bywa. W zasadzie niemal każdego wieczoru.

Vati po pracy w tkalni, zamiast wracać prosto do domu, gdzie córka czeka z kolacją, zachodzi do Hippe's na kufel piwa bądź kieliszek sznapsa – aczkolwiek na jednym nigdy się nie kończy. I chociaż bywają jeszcze wieczory, że choć wężykiem, to jednak o własnych siłach, dociera szczęśliwie do domu, coraz częściej zdarza się, że nie dociera, a wtedy, gdy wybija dwudziesta pierwsza, a jego wciąż nie ma, Mareike rusza do Gasthausu; koniec stycznia czterdziestego trzeciego roku jest

wyjątkowo mroźny i śniegu spadło więcej niż zazwyczaj, toteż słusznie Mareike konkluduje, że nocne eskapady papy mogą się fatalnie zakończyć. Jeżeli zgubi drogę albo w pijackim zamroczeniu zaśnie w którejś z zasp, będzie po nim. Góry zimą lekkomyślności nikomu nie wybaczą.

Ojciec nigdy wcześniej nie pił. To znaczy pił, ale od święta i tyle co inni. Dopiero w zeszłym roku, od czasu, kiedy dotarły do nich wieści o śmierci Klause, zaczął częściej wstępować do Hippe's. Mareike sądziła, że ojcu smutki wreszcie miną, każdy smutek kiedyś mija – poza tym Klaus poległ jako bohater – ale *Vati* wciąż spuszcza nos na kwintę, w upartym milczeniu, jakby w zbroi się zakuł. Niemcem się nie czuł, Führera nie kochał i wielkim jego zamysłem nie ufał. O Mattim słowem nie wspomina i nawet listonosza już nie wypatruje. Jakby i drugiego syna spisał na straty, a przecież Matthias żyje. Żyje na pewno!

Wiatr duje coraz mocniej, śnieg okleja pnie drzew i ściany domów. Mareike mija stary dwór i zatrzymuje się przed zajazdem. Jasne prostokąty światła wylewają się z okien. Przez chwilę waha się, czy wejść do środka. Może jeśli poczeka, to *Vati* sam zaraz wyjdzie?

Górką dolinę spowija mrok. Ten mrok wypełnia jej usta i nos. Gdzieś od strony wzgórza i cmentarza dochodzi odgłos kroków. A może to nie kroki, ale tętent bezgłowego konia? Widoczność ogranicza śnieżycą. Jeździec woła za nią: „Mareike, Mareike, poczekaj...!”. To głos czy wiatr? Po drodze sunie cień. Wyobraźnia Mareike szaleje. Teraz nie jest dzielną dziewczyną z Bund Deutscher Mädel, jest wystraszonym dzieckiem, chwyta więc za klamkę i szybko wchodzi do środka. Otrzepuje buty, odciąga na bok kotarę przy drzwiach.

W Gasthausie panuje zgiełk zupełnie niezwykły jak na niedzielny wieczór.

Sala jest obszerna i zajmuje niemal cały parter budynku. Ściany zdobią landszafty z widoczkami gór i głowy martwych zwierząt: jeleni, dzików, lisów, a nawet muflonów o porożu pozawijanym w precle. Pośrodku stoją ławy i stoliki pokryte obrusami w czerwono-białą kratę. Na lewo od wejścia znajdują się bar, służący także za recepcję, i drzwi do lodowni w piwnicy. Na półkach lśnią butelki, kieliszki i kufle poustawiane równo, jak w wojskowym ordynku. Z drzewca zatkniętego pod sufitem spływa flaga. Na czerwonym tle jaśnieją ramiona swastyki.

Po drugiej stronie, tuż obok schodów wiodących do części hotelowej, umieszczono kamienny kominek, w którym tańczy ogień, nad nim wisi balkon dla orkiestry – dziś pusty – nieopodal stoi kredens, a na nim odbiornik radiowy.

Gdy Mareike wchodzi do środka, z głośników, w akompaniamencie szumów i trzasków, płynie właśnie ponure *Adagio* z siódmej symfonii Brucknera.

W lokalu wszystkie miejsca siedzące są zajęte, toteż część gości zgromadziła się na środku, tu gdzie parkiet do tańca. Mareike rozgląda się, ale w tłumie nie dostrzega ojca. Wszystko zasnuwa papierosowy dym. Mężczyźni pozbijani w grupki rozmawiają półszepem, co i raz spoglądając w stronę wyjącego upiornie radia.

Franz Schutt, jowialny i zawsze czerwony na gębie właściciel zajazdu, uwija się za barem, napełnia kieliszki i kufle, w myślach pewnie przeliczając nieplanowany utarg. Jego żona, chuda *Frau* Elsa, lawiruje między stolikami z pełną tacą i – nie wiedzieć czemu – oczami pełnymi łez.

W kącie siedzi kilku przyjezdnych, wynajmujących pokoje na piętrze. Ostatnio coraz więcej kręci się ich po okolicy.

Dawniej, zanim Führer zaczął realizować wielki wojenny plan, *Gasthaus* zimą zawsze był obłożony w pełni. Okolicę odwiedzali

narciarze i kibice przybywający na zawody w skokach, które organizowano na zboczach Neumanns-Koppe, jednak w ostatnim czasie turystyka zimowa prawie całkiem podupadła. Zawody nie odbywają się od czterdziestego roku, a narty zarekwirowano na potrzeby Wehrmachtu – służą dziś na bezkresnych, zimnych polach Wschodu.

Ci z kąta sali nie wyglądają na turystów. Miny mają marsowe i nawet piwa nie piją. Po wsi krążą plotki, że to jacyś naukowcy, a może nawet wojskowi w cywilu. Podobno całymi dniami chodzą po górach. Coś mierzą, coś liczą, robią odwierty w skałach.

Mareike właśnie zamierza ruszyć w głąb sali w poszukiwaniu ojca, gdy jeden z przyjezdnych, siedzący najbliżej radia, ucisza zebranych i przekręca do oporu gałkę odbiornika. *Adagio* cichnie, wszyscy milkną, z eteru, spomiędzy trzasków i pisków, zaczyna płynąć niski głos spikera. Mareike wyłuskuje poszczególne słowa komunikatu: szósta armia, południowy kocioł, olbrzymie straty, feldmarszałek Paulus, kapitulacja.

Słucha i nic nie rozumie. Jaka kapitulacja? Jakie straty? Czyje straty?

Krew uderza jej do twarzy, w głowie zaczyna się kręcić, przed oczami migają plamy. Próbuje nabrać powietrza, ale jej usta knebluje panika.

Spiker monotonnym, wykastrowanym z emocji głosem powtarza komunikat. Tym razem radiowych fal nic nie zakłóca. Słysząc każde słowo.

Frau Elsa stoi pośrodku sali, trzęsąc się jak w febrze. Szkło na tacy podzwania niczym werble, piwo z kufli wylewa się i skapuje na podłogę, o której czystość *Frau* tak obsesyjnie dba. Na jej białej jak papier twarzy, podobnie jak na twarzach pozostałych, stupor miesza się z przerażeniem; nawet *Herr* Schutt przestał chyba liczyć w myślach marki, a zamiast tego rozdziawił gębę jak ryba.

Kapitulacja, olbrzymie straty...

Straty?

Matthias...

Spiker milknie. Radio znowu zaczyna płakać siódmą symfonią. Sala wybucha dziesiątkami głosów.

– Mareike! – Ktoś kładzie jej dłoń na ramieniu.

Wyrwana z otępienia, niemal podskakuje.

Tuż za nią, przy kotarze osłaniającej drzwi, stoi doktor Thiel. Na połach jego podbitej karakułami pelisy połyskuje śnieg – widocznie on też dopiero co wszedł do środka. Może to jego wzięła za jeźdźca bez głowy?

Doktor jest wysoki, szczupły, a chociaż niestary, pewnie w podobnym wieku co ojciec Mareike, to skronie ma całkiem siwe. Za zaparowanymi szklami okularów połyskują uważne, orzechowe oczy – takie same jak u Grety.

Doktor rzadko odwiedza zajazd. Od dobrych paru lat prowadzi we wsi praktykę, a jednak niespecjalnie się zadomowił. Ludzie tutaj znają się zwykle od kilku pokoleń, wiele przeszli, dzieląc trudy samotnego, górskiego życia, a czasami razem cierpiąc głód. Tworzą hermetyczną społeczność, własny, osobny *Heimat*. Rozumieją mowę zwierząt, elokwencję ciszy i wiedzą, co dla nich dobre – Hitler jest dla nich dobry, ponieważ przywrócił im godność, bezpieczeństwo i wiarę w moc narodu, a przy tym dał pracę i teraz nikt nie chodzi głodny i niegodny. Nie to co za Kaisera. Ale ktoś, kto nie jest stąd, kto nie poznał smaku chleba z perzu i uczucia wykluczenia, ktoś, kto lepiej rozumie kantaty Bacha niż ciszę, bo przybył z wielkiego świata – podobno doktor nie tylko w Breslau, ale też w Wiedniu i w Paryżu studiował, a dodatkowo posiada

przed nazwiskiem *von*, którego jednak nie używa – miejscowych nijak nie zrozumie.

Doktor chyba akceptuje taki stan rzeczy, bo nie próbuje przełamywać lodów. Z ludźmi zadaje się wtedy, gdy komuś koklusz, lumbago bądź atak ślepej kiszki dokuczy, a wówczas – trzeba mu sprawiedliwość oddać – jest serdeczny, troskliwy i nie szczędzi dobrego słowa.

Jednak do Hippe's przychodzi od wielkiego dzwonu, na przykład przy okazji dorocznej karnawałowej zabawy, na której pojawić się wypada, albowiem zjeżdża na nią cała miejscowa elita, włącznie z naczelnikiem gminy.

– Mareike, nie powinno cię tu teraz być, dziecko – mówi łagodnie, znowu kładąc dłoń na jej barku.

Nie mógł słyszeć komunikatu. Wszedł, gdy z powrotem popłynęła muzyka, a zatem o wszystkim dowiedział się z radia w domu. Jak długo nadawana jest ta informacja? Od jak dawna wiadomo? Przecież jeszcze kilka dni temu nie było mowy o nadciągającej katastrofie. Mimo trudności wszystko szło jak należy. Zwycięstwo było blisko. Tak pisali w gazetach, tak mówili w radio. Tak uważali wszyscy we wsi. Przecież wielka niemiecka armia nie mogła przegrać bitwy z niepiśmiennym chłopem, który śpi z żywcem w jednej izbie, w chałupie strzechą krytej, za potrzebą chodzi za stodołę, na nogach nosi onuce, a karabin na sznurku.

To niemożliwe!

– Mareike! – Doktor zwraca się do niej, lekko zaciskając przy tym palce na drżącym ramieniu. – Dobrze się czujesz? Jesteś bardzo blada.

Mareike kiwa głową na znak, że wszystko jest w porządku, chociaż nic przecież nie jest w porządku! Doskonały świat, którego wizję

właczano jej do głowy w szkole, na zbiórkach Bund Deutscher Mädel i podczas seansów kroniki filmowej, właśnie runął.

– *Vati*, on gdzieś tu jest – duka monosylabami, nerwowo rozglądając się po zajeździe za ojcem.

– Obiecuję, że go przyprowadzę – uspokaja doktor. – A ty, dziecko, wracaj do domu. To nie jest miejsce dla ciebie.

Mareike znowu mechanicznie potakuje. Przy każdym ruchu w jej głowie tłuką się słowa: kapitulacja, szósta armia, kocioł, straty!

Strata!

– Czy to znaczy, że przegraliśmy i że *Matti*...? – Słowa dobiegające z jej ust kaleczą gardło.

Doktor opuszcza rękę, ucieka w bok spojrzeniem.

– Nie wiem, *Mareike*. Doprawdy nie wiem.

Nie wierzy mu. Oczywiście, że doktor wie. On od początku wiedział, chociaż nikt go nie słuchał. Przemądrzały, przeklęty doktor Thiel.

Mareike czuje, jakby coś bardzo zimnego, co do tej pory ścisnęło jej serce, teraz pękało i tkanka po tkance skuwało całe ciało w lód.

– Idź, dziecko. – Doktor popycha ją delikatnie do wyjścia.

Mareike posłusznie robi krok w stronę kotary osłaniającej drzwi i wtedy wreszcie dostrzega ojca, który przysiadł w drugim końcu salki, nieopodal kominka, pod wypchanym łbem sarny. Przed ojcem stoi nietknięty kufel, w popielnicy tli się papieros. Oczy ojca i sarny są martwe.

Teraz – Maria

Kiedy jadę w dół przez wieś, słońce chowa się za horyzont. Cienie połykają dzień. Wiele chałup popadło w ruinę, nieliczne dostały nowe tynki i dachy. Bogactwa tu nie widać. W większości obejść bałagan, psy na łańcuchach, rozpadające się komórki i spichlerze z czerwonej cegły w podwórkach, zaniedbane ogródki zarosłe perzem i pokrzywą. Na łąkach wypasa się kilka chudych kóz. Cap na za długim postronku wylazł na drogę i gdy podjeżdżam na kilka metrów, najpierw patrzy na mnie swym żółtym diabelskim okiem o pionowej źrenicy, a dopiero potem łaskawie, choć bez pośpiechu, schodzi na pobocze.

Mijam szutrówkę odbijającą w bok, przy której wbito tablicę z napisem „Agroturystyka, pstrągi, ser”, oraz drewniany kościół Matki Boskiej Śnieżnej. Mimo upływu lat budynek zachował dawny urok – widać, że był remontowany. Na lewo, na wzniesieniu obrosłym świerkami, znajduje się dom babki Maryjki, ale dziś nie zamierzam go odwiedzać. Muszę się na to przygotować.

Nawigacja pokazuje, że miejsce docelowe znajduje się przy szlaku wiodącym do stawów i lasu. Skręcam obok przystanku autobusowego tuż przed starym zajazdem, który nie działa od wieków. Za nim wznosi się budynek, którego nie pamiętam. Nowy pensjonat? Wspinam się bitą drogą, co i raz wpadając w dziury pełne rudego błota. Klnę pod nosem. Mini znowu zaczyna się dławić.

Kiedyś na tym zboczach, należącym do pegeeru, wypasano krowy, bezpłodna gleba do niczego innego się nie nadawała, dziś wyrosło niewielkie wakacyjne osiedle. Kilka domów w typie nowoczesnych stodół. Przed nimi samochody na nietutejszych numerach.

Ja jadę dalej. Według nawigacji domek letniskowy, który zarezerwowało wydawnictwo, znajduje się w miejscu, gdzie szutrówka zmienia się w polną drogę. Mijam dwie kobiety z kijami do nordic walkingu. Zmierzają w stronę lasu na wieczorny spacer – kłaniamy się sobie, chociaż się nie znamy. I wreszcie go widzę. Wygląda jak na zdjęciach, chociaż wydawał się większy. Jest drewniany, w całości pomalowany na czarno, z czarnym dachem i oknami. Na tarasie grill i leżaki. Na jednym z nich siedzi mężczyzna, grzebiąc w komórce. Na widok mojego samochodu podnosi się i macha ręką. Brama jest otwarta, więc nie czekając na dodatkowe zaproszenie, wjeżdżam. Parkuję obok starego land rovera discovery po dach zachlapanego błotem, z farfocłami trawy w nadkolach.

Facet zbiega ze schodów.

– Dzień dobry! – wita mnie, podchodząc bliżej. Uśmiecha się szeroko, gdy wysiadam z auta.

Jest ode mnie sporo młodszy, może mieć trzydzieści kilka lat, i chociaż mógłby być wyższy, to wydaje mi się zupełnie przystojny. W typie krzepkiego rolnika z reklamy nawozów sztucznych. Ma opaloną twarz i szerokie ramiona. Pewnie jeszcze przed chwilą przerzucał siano na łące. Na koszulce niedbale wsuniętej za pasek dżinsowych szortów widnieje sprany napis: *Born to Be Wild*. Pod pachami ciemnieją ślady potu.

Wydaje mi się znajomy.

– Pani Maria? – pyta, gdy staję tuż przed nim.

I już wiem, kto to! Poznaję mimikę twarzy i kruczoczarne włosy. Przed oczami wciąż mam scenę sprzed lat, gdy jako mały chłopiec bujał się przed domem na huśtawce z opony. To on. Nie pamiętam, jak naprawdę się nazywa. W książce to Wojtuś, dzieciak ze strupami na kolanach, mały łobuziak. Dziś dorosły mężczyzna.

Czuję, jak żołądek wywraca mi się na nice, serce łomocze. A jeżeli i on mnie rozpozna? Bardzo bym tego nie chciała. Chociaż mogłam przewidzieć, że wracając w to miejsce, natknę się na tych, których nie chciałabym spotkać.

Muszę zachować spokój.

– Dzień dobry. – Wyciągam rękę na powitanie.

Ściska ją energicznie.

– Czekałem na panią. Jestem Witek – przedstawia się. Jego dłoń jest szorstka i ciepła. – Zwykle to żona przyjmuje gości – tłumaczy – ale musiała jechać do sklepu, a ja wyskoczyłem tu prosto z roboty. – Wskazuje wzgórze po drugiej stronie doliny, na którym kładą się podłużne pasy wykoszonej trawy, tu i tam naznaczone belami siana w białej folii. – Nawet do domu nie zdążyłem, prysznic wziąć...

– Nic nie szkodzi – uspokajam go.

Czuję, że w środku coraz mocniej drzę. Mam nadzieję, że tego nie widzi.

– Da pani swój bagaż, to zaniosę i pokażę domek – zaprasza, uśmiechając się.

Chcę mu powiedzieć, że nie trzeba, że z walizką poradzę sobie sama, ale jest szybszy. Wymija mnie, otwiera bagażnik, wyciąga bagaż ze środka i wskazuje ruchem głowy, abym podążyła za nim. Idziemy zwirową ścieżką. Wdrapujemy się po schodach na taras. Tu się zatrzymujemy i obracamy w stronę gór. Niebo nad nimi wygląda jak żywe stworzenie, przywodzi mi na myśl obrazy Williama Turnera. Róż bełta się z fioletem, czerwienią i złotem. Pruski błękit chmur od spodu przechodzi w granat.

– Pięknie, prawda? – Wskazuje na horyzont.

– Tak – przytakuje. – Przyjemne miejsce.

– Ale widokami człowiek się nie naje. – Posępnieje i widzę, że zaraz włączy mu się gawędziarz. – A u nas obecnie tylko z turystyki da się jako tako utrzymać. Wokoło żadnego przemysłu, kopalnie pozamykali, żadnych szans na znalezienie roboty. I ziemia do niczego. Można co najwyżej krowy pasać i siano kosić. Przez lata po tym, jak pegeer upadł, ugory odłogiem leżały, dopiero kiedy dotacje z Unii dali, ludzie na łąki wrócili. Z turystami też przez długi czas było krucho. Jak ktoś przyforsie, to wolał w Karkonosze, do Karpacza jechać, do Szklarskiej albo nawet do Zakopanego. Przeszło dwadzieścia lat temu moi rodzice mieli tu pensjonat. Wszystko popadło w ruinę. Drgnęło dopiero wtedy, jak zaczęli pompować pieniądze w Osówkę. Odkopali kilka niedostępnych dotąd korytarzy, ściągnęli przewodników. Potem zbudowali jeszcze restaurację, całą infrastrukturę. Turyści wrócili. A potem była ta heca ze złotym pociągiem. Słyszała pani o tym?

Kiwam głową.

– Nic nie znaleźli. Bicie piany, ale informacja poszła na cały kraj, a nawet dalej. Wie pani: tajemniczy Dolny Śląsk. Ludzie to hasło zapamiętali i teraz autokarami do nas zjeżdżają, żeby zwiedzać. Prywatnie i wycieczki szkolne. Przez cały rok. Czasami nawet z zagranicy. Jak mi z tym domkiem interes wypali, to postawię jeszcze ze dwa takie, a potem może nawet odbuduję pensjonat. Coraz częściej brakuje miejsc noclegowych. – Odwraca głowę w moją stronę. – A pani była już w sztolniach?

– Nie – kłamię.

– No to koniecznie musi pani je zobaczyć. Tu zresztą więcej takich poniemieckich tajemnic. Co dziura w ziemi. Pewnie jeszcze wiele nieodkrytego zostało. W zeszłym roku w Jugowie była taka historia. Do jednego z rolników przyjechało latem dwóch Niemców na

monachijskich blachach. Poprosili gościa, czy mogą się rozbić namiotem na jego polu, na dwa tygodnie. Że niby po górach będą chodzić, zwiedzać tutejsze zamki. Chłop się zgodził, bo mu za biwakowanie z góry, i to w euro zapłacili. Trochę się tylko zdziwił, jak ten namiot rozstawili. – Parska pod nosem. – Bo to nie był taki zwykły, wie pani, turystyczny, tylko wojskowy, jak hangar, że busa można by w środku zaparkować. No i ostatecznie niewiele ci turyści po górach chodzili, tylko właśnie w tym namiocie siedzieli. A po trzech dniach ich samochód zniknął. Chłop zajrzał do środka, a tam ich rzeczy, w pośpiechu widać porzucone i łopaty, i kilofy, i wielka jama w ziemi. Ewidentnie ślad po jakimś depozycie z czasów wojny. Niemiaszki sporo poukrywali, nim ich stąd pognano na Zachód w czterdziestym piątym. Pewnie myśleli, że tu jeszcze wrócą i sobie rodzinne skarby odkopią. Ale nie wrócili i teraz ich wnuki przyjeżdżają. Takie tu mamy historie.

Otwiera drzwi i puszcza mnie przodem.

Czarny domek ma białe serce. Wszystko w środku jest w tym kolorze: ściany, podłoga, meble w aneksie kuchennym, kanapa, stół, klosz lampy i schodki na antresolę. Z wyjątkiem stojącej w rogu żeliwnej kozy.

Mężczyzna widocznie zauważa moją zaskoczoną minę, bo mówi:

– Żona tak sobie wymyśliła. Żeby optycznie przestrzeń powiększyć. I fajno, ale po każdej zimie trzeba malować, odświeżać, bo od palenia w piecyku wszystko żółknie, ściany upaprane w sadzy. – Stawia moją walizkę na podłodze. – Za tymi drzwiami ma pani łazienkę. Ciepła woda jest z bojlera, ale wystarczy na długi prysznic. W szafkach kuchennych znajdzie się chyba wszystko, co potrzebne do gotowania, ekspres i czajnik elektryczny, ale gdyby czegoś brakowało, to proszę dzwonić. Przywiozę.

– Raczej nie będę gotować – mówię, rozglądając się po wnętrzu.

Na półce oprócz kluczy od domku, kilku książek i radia zauważam opakowanie sprayu z gazem łzawiącym.

Mężczyzna chwyta moje spojrzenie.

– To nic takiego – uspokaja mnie. – Zostawiam gościom na wszelki wypadek. Czasem potrafi się tu lis wieczorem zakraść. I w lesie ostatnio widziano wilki, więc jeśli zamierza się pani wybrać na spacer, to polecam zabrać gaz. Ale oprócz tego to bezpieczne miejsce. Wiem, co się mówi o okolicach Wałbrzycha, tu faktycznie przed laty była spora przestępczość: kradzieże, rozboje, morderstwa, ale to przeszłość. Do ostatniego takiego zdarzenia doszło u nas dwadzieścia pięć lat temu.

Jego słowa mnie zmrażają. Czuję, że blednę.

– Co się wtedy stało? – pytam i od razu żałuję, że się odezwałam. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam, na jaką cholere drażę temat?

– Tu niedaleko, na Niczyjej... – waha się. Patrzy w podłogę. – Ale wolę o tym nie mówić, bo to dotyczy mojej rodziny. Wie pani, po czymś takim już nic nie jest takie samo. To się odbija na całym życiu...

– Przepraszam, przykro mi – mówię, a moje myśli odruchowo szybują przez czas na szczyt góry, przez morze łąk kołyszących się na jej zboczach, do ruin poniemieckiej piwnicy i trzech dni, które w niej spędziłam. Dlaczego wciąż nie umiem sobie przypomnieć nocy, która je poprzedziła?

Witek podnosi wzrok. Przygląda mi się z uwagą. I chyba wreszcie zaczyna dostrzegać coś, co do tej pory mu umykało. Widzę, jak przeczesuje zakurzone kąty pamięci.

Daje jednak za wygraną, wzrusza ramionami.

– Było, minęło.

Kieruje się do drzwi, ja idę za nim, wychodzimy na taras.

– W razie czego ma pani mój numer. Mieszkam tu niedaleko, przy głównej drodze, pod numerem dwudziestym. Do widzenia.

Unoszę rękę na pożegnanie, gdy zbiega po schodach.

To będzie trudniejsze, niż myślałam. Chcę i nie chcę wiedzieć, co się wtedy stało. Ciepły kokon, w którym ukryłam się na wiele lat, zaczyna pękać.

Opieram się o barierkę tarasu i patrzę, jak terenówka odjeżdża. Gdy znika za drzewami, wyciągam komórkę, najpierw przeglądam powiadomienia z aplikacji – mnóstwo osób polubiło fotkę, którą wrzuciłam na Insta, jest też sporo komentarzy, na które odpowiem później – i wreszcie wybieram numer.

Połączenie przez chwilę zawisa w próżni, nie mogąc zdecydować, czy jeszcze jestem w zasięgu polskiego, czy już czeskiego operatora, i wreszcie trzask. Jakub odbiera niemal od razu, jakby czekał na telefon ode mnie.

– Jesteś na miejscu. – Słyszę troskę w jego głosie.

– Tak – odpowiadam.

– I jak się miewasz? Wszystko w porządku?

Noc zapada nad górami i liże mnie szorstkim językiem po plecach. Wyjmuję z kieszeni małą odznakę w kształcie rombu, tu i ówdzie nadgryzioną przez rdzę. Patrzę na nią.

– To nie był dobry pomysł. Nie powinnam była tu przyjeżdżać.

Dawno – Mareike

Droga łącząca wieś z Wüstewaltersdorfem mierzy niewiele ponad pięć kilometrów. Od kilku miesięcy Mareike każdego dnia pokonuje ją na rowerze Matthiasa; to znaczy jeździ od chwili, gdy stopniały śniegi, ponieważ wcześniej trasa była zasypana i trzeba było chodzić na piechotę.

Trakt początkowo wspina się poprzez łąki, w lesie opada siodłem, by wreszcie osiągnąć najwyższy punkt u podnóża Wolfsbergu, na przecięciu kilku szlaków, tuż obok Schirgenschänke, tawerny narciarskiej, najstarszego schroniska mieszczącego się w tej części Eulengebirge. Dalej jest już z górki. Widać kominy fabryki tkackiej i czerwone dachy osady leżącej w dolinie.

Mareike mija właśnie tawernę, gdy zza jej pleców dochodzi huk. Wojskowy furgon toczy się drogą. Ostatnio okropny tu ruch i coraz więcej kręci się obcych.

Ryk silnika uderza Mareike w plecy. Dziewczyna zsiada z roweru i przystaje na poboczu, żeby przepuścić ciężarówkę. Brezentowa paka po dach upaprana jest rudym błotem, glina utworzyła kleiste grudy w nadkolach. Kłapa z tyłu furgonetki nie została zaciągnięta, dzięki czemu Mareike widzi, co znajduje się w środku.

Na skraju ławki siedzi strażnik z bronią, w głębi zaś mającą szare twarze. Mareike przenika dreszcz. Tamci wyglądają jak gotowe do ataku nocne zwierzęta. W mroku błyszczą ich ślepia.

Mareike wie, że w zakładach tkackich i wielu gospodarstwach już od czterdziestego roku przymusowo pracują jeńcy z Francji, Włoch, Czech i Polski, a od czterdziestego pierwszego również z Rosji. Widziała ich

wiele razy na ulicach Wüstewaltersdorfu, ale wyglądali zupełnie normalnie i chyba byli całkiem dobrze traktowani – większość gospodarzy utrzymywała z nimi poprawne stosunki. Ale ci tutaj wyglądają inaczej. Przypominają złe duchy.

Mareike czuje lęk, choć młody strażnik nie wygląda, jakby bestie przyczajone za jego plecami robiły na nim wrażenie. Ciało ma rozluźnione, lufę mauzera skierowaną niedbale w niebo, twarz znudzoną, a w niej oczy martwe i bez wyrazu, jakby wszystko już widział i niczemu się nie dziwił.

Furgon, poparskując na śliskiej nawierzchni, jedzie prosto, a potem odbija w prawo, w ślepy trakt. Na jego końcu nie ma nic prócz nieuprawnej łąki i stawu. Gdy ciężarówka ginie za wzniesieniem, Mareike znowu wsiada na rower.

Przydrożne rowy porastają wczesnowiosenne kwiaty. Ziemia pachnie zgniłymi liśćmi i żelazem. Pachnie wiosną. Stoki Wysokiej Sowy w ostatnich dniach zrobiły się całkiem zielone, ale Mareike to nie cieszy. Po raz pierwszy w życiu nic jej cieszy. Od trzech miesięcy nic nie jest ważne. Nic prócz tego, czy Matthias żyje.

Zjeżdża w stronę osady. Rower na kocich łbach podzwania, jakby zaraz miał się rozpaść, chociaż na pewno do tego nie dojdzie – torpedo-werke to pierwszorzędna maszyna. Ma stalową ramę w kolorze zielonego groszku, chromowany dzwonek i profilowane siodełko z bawolej skóry. Matthias dostał go od ojca, gdy z wyróżnieniem ukończył szkołę. Tak się z niego cieszył, że wstawił sobie do pokoju, przez tydzień ciągle się weń wpatrywał i polerował chrom szmatką.

Zabudowa wokoło robi się coraz gęstsza. Mareike mija Grund, wioskę, która dawniej stanowiła osobny byt, obecnie zaś jest dzielnicą Wüstewaltersdorfu, i przejeżdża przez most nieopodal kościoła ewangelickiego. Na głównej ulicy panuje spory ruch. Po wybrukowanej

nawierzchni suną samochody dostawcze należące do fabryki, wojskowe kübelwageny, a nawet eleganckie osobowe limuzyny. Między nimi przeciskają się motocykle, nieliczne wozy konne, a także rowery. Pod delikatesami Schuberta stoi kolejka. Przed wjazdem na teren browaru zaparkowała ciężarówka. Dwóch robotników wrzuca na pakę beczki z wypalonym na drewnianych wiekach nazwiskiem właściciela: „J. Klesse”. Na rogu, pod zakładem fryzjera Köhlera, kilku mężczyzn głośno dyskutuje, paląc papierosy i zajmując całą szerokość chodnika. Do Mareike docierają niektóre słowa: Stalin, masowe groby, polscy oficerowie, dziesięć tysięcy, Las Katyński, dzicz, swołocz, międzynarodowa komisja. Nic jej nie obchodzi jacyś polscy oficerowie ani ich masowe groby. Nawet nie wie, gdzie leży tamten las. Chce tylko wiedzieć, gdzie jest teraz Matthias.

Mija gorzelnię, aptekę Prause’a, warsztat oraz sklep z elektryką Güttlera i wreszcie skręca w Reichenbacher Strasse. Pod kasynem stoją zaparkowane limuzyny Wehrmachtu; czarny opel admiral i horch 830 BL. Dawniej w sali restauracyjnej przy lampce koniaku i sznycłu wiedeńskim spotykał się zarząd fabryki, dziś obiadują wojskowi.

Gmach poczty znajduje się tuż obok. Mareike stawia torpedo-werke pod wejściem, wbiega na klatkę schodową i w kilku susach wdrapuje się na półpiętro. Chwyta za mosiężną klamkę oszklonych drzwi, które zabezpiecza krata. Kierownik, *Herr Kramer*, żylasty, o pożółkłej skórze, zapadniętych policzkach i wyłupiastych oczach – Mareike podejrzewa, że wytrzeszcz ów jest ściśle powiązany ze zbyt ciasnym i zanadto wykrochmalonym kołnierzykiem koszuli pana Kramera – rzuca na nią okiem zza szyby boksu, gdzie jak automat przystawia pieczętki na kopertach.

Na widok Mareike jego urzędowa prawica uzbrojona w stempel zamiera w pół kolejnego uderzenia o papier. Marszczy czoło, na które

opada kilka rzadkich włosów, przyklejonych dotąd do czaszki grubą warstwą pomady.

Kierownik poprawia koafiurę i podciąga palcem okulary, które zsunęły mu się z nosa.

– Nie. Odpowiedź brzmi: nie – rzuca gniewnie, zatrzymując Mareike w połowie drogi do lady. – Dziś też nic dla ciebie nie mam. I jutro też pewnie nie będę miał. Ani pojutrze. I być może nigdy. Kiedy wreszcie to do ciebie dotrze, dziewczyno? Dziesiątki zaginęły bez wieści. Twój brat nie jest jedyny. Poza tym czy ty nie powinnaś być teraz w szkole? Twój ojciec wie, że codziennie tu przychodzisz? No już, już... Zmykaj stąd. I żebym cię więcej nie widział.

Macha zniecierpliwiony ręką, jakby opędzał się od natrętnej muchy, a następnie, jak gdyby nigdy nic – jakby wcale nie wyrwał właśnie serca Mareike z piersi i nie przepuścił przez maszynkę do mięsa – wraca do stemplowania.

Mareike zagryza wargi i zawraca w stronę drzwi. Gdy wychodzi na klatkę schodową, z piętra powyżej zbiega jedna z pracownic poczty. Młodziutka, jasnowłosa, w granatowej garsonce. Drobi małe krocuki w opinającej uda spódnicy, dzierżąc przed sobą kilka plików listów, posegregowanych i powiązanych szarym sznurkiem.

Na widok Mareike zatrzymuje się kilka stopni powyżej spocznika.

– Znowu nic? – pyta.

Mareike kiwa głową.

– Może nie powinnaś tu przychodzić. Na pewno wiele cię to kosztuje. Obiecuję, że jeżeli tylko będziemy mieli dla was przesyłkę, listonosz dostarczy ją w pierwszej kolejności.

Mareike się nie odzywa. Dziewczyna schodzi jeszcze niżej, przystaje obok i kładzie rękę na jej ramieniu.

– Wiem, że jest ci ciężko i martwisz się o brata. Ale nie trać nadziei, lada dzień nadejdą dobre wiadomości, zobaczysz. – Głaszcząc ją współczującym tonem.

A w Mareike budzi się irytacja. Nie chce niczyjej litości. Ta dziewczyna z poczty nic nie rozumie. Mareike nie przychodzi tu po dobre wieści. Nie przychodzi po nadzieję, bo ta dawno przegniła i rozsypała się jak ciało Klause w krymskim grobie. Przychodzi, bo musi poznać prawdę. Jej świat wymalowano w czerni i bieli – zło od zawsze było złem, a dobro Führerem – a teraz świat ten nagle zrobił się szary, mętny, niezrozumiały i właśnie to jest nie do zniesienia! Dlatego musi mieć pewność, że Matthias nie żyje, że wszystko, w co dotąd wierzyła, o czym zapewniano w *Grundschule* i na zbiórkach Bund Deutscher Mädel, było kłamstwem. Tylko tak zdoła odzyskać równowagę i spokój. Tylko wtedy będzie mogła żyć dalej.

Ból, smutek i strach czuła tylko na początku, zaraz po ogłoszeniu kapitulacji. Czuła je, kiedy cuciała spitego do nieprzytomności ojca i gdy każdego poranka przekazywała do fabryki wiadomość, że jest chory. Czuła, zmywając z jego twarzy łzy, a z podłogi wymiociny. Czuła, piorąc zabrudzoną bieliznę. Wtedy naprawdę chciała umrzeć: żeby to wszystko się wreszcie skończyło.

Ale po kilku dniach Vati nagle wyzdrowiał. W czwartkowy poranek po prostu wstał i powiedział to, czego Mareike bała się nawet pomyśleć: że Matthias już do nich nie wróci – ojciec zobaczył to w pijanym widzie – i nic już nie będzie jak kiedyś. Vati przeprasza, że córka oglądała go w takim stanie, ale musiał wypić, co było do wypicia, i wyrzucić z siebie, co było do wyrzucenia. Dzięki temu już wszystko rozumie. Klapki spadły mu z oczu i już wie, że narodowy socjalizm, wszystkie wzniosłe peany na cześć germańskiej hegemonii, to guano i stek bzdur i że Führer, genialny strateg i nieomylny wódz, ich oszukał. Oszukał! Wszystko, co pisano o sukcesach armii na Wschodzie, to element

propagandy spreparowany w szalonej głowie tego cwane go kuternogi Goebbelsa. Musiał ojciec do dna się upodlić, żeby to zrozumieć.

Mareike nie mogła uwierzyć własnym uszom.

Tymczasem *Vati* poszedł do gabinetu i zrobił coś, co jeszcze kilka dni temu nie mieściłoby się jej w głowie, co wydawało się świętokradztwem: zdjął wiszący na ścianie portret wodza i wyjął odbitkę zza szybki, a na jej miejsce włożył zdjęcie Klausa. Następnie zabrał stojący na honorowym miejscu w biblioteczce zaczytany egzemplarz *Mein Kampf* i wraz z nim oraz podobizną Führera wrócił do kuchni, gdzie jedno i drugie wrzucił prosto do pieca.

Mareike patrzyła, jak płomienie liżą twarz największego człowieka w historii, jak pożerają karty jego dzieła i zmieniają idee w popiół. Dziwnie się przy tym czuła. Rozpacz po stracie Matthiasa zastępowało coś nowego, choć nie mniej silnego. To były rozczarowanie i wściekłość.

Kiedy brunatne opus magnum wraz z jego autorem rozsypało się w proch, a ojciec zamknął drzwiczki pieca, Mareike przestała być dzieckiem.

Noc Mokosz

Wtedy – Mania

Upał nie daje za wygraną. Miękką woń drożdżówek od Wróblowej dobywa się z koszyków i miesza z zapachem asfaltu. Nie możemy już dłużej się powstrzymywać i zjadamy po jednej. Są naprawdę przepyszne.

Dom Dominiki zasłaniają stuletnie graby o pniach pooranych pęknięciami, które przypominają skórę staruchy. Dalej wznosi się żywopłot ze świerków, zasłaniający tę część działki, gdzie Wasylkowie prowadzą swoje turystyczne eldorado – zresztą właśnie tak, nieco kiczowato, nazwali ośrodek. Kiedyś z głównej drogi na posesję można było się dostać tylko przez starą kładkę zbitą z grubych bali, ale gdy powstał pensjonat, ojciec Dominiki kawałek dalej zbudował dla gości drugą, porządniejszą, z kamienia i betonu.

My jednak wybieramy starą. W dole szemrze strumień. Drzewa dają przyjemny cień. Szutrową ścieżką docieramy na przestronne, zadbane podwórko.

Na konarze rozłożystego klonu, który wyrasta naprzeciwko wejścia, na bujawce ze starej opony huśta się chłopiec. Siedmioletni Wojtuś, młodszy z braci Dominiki – poznaję go od razu po identycznych jak u siostry, kruczoczarnych włosach.

– Mama w domu czy w pensjonacie? – Doma pyta brata.

– W domu. – Wojtuś nie przestaje się bujać. Jego kolana pokrywają strupy – stygmaty dobrej zabawy.

Dominika puka w uchylone okno i woła w głąb domu:

– Mamo, już jestem!

Obejście, chociaż mocno nadgryzione zębem czasu, w przeciwieństwie do pozostałych we wsi wygląda przyzwoicie. Przed domem, na którym niedawno wymieniono dach, kwitną kwiaty, dwuskrzydłowe wrota do ceglanej stodoły wyglądają na nowe. Nieopodal zadaszonej wiaty, wypełnionej równo ułożonymi szczapami drewna na opał, stoi zaparkowany golf matki Dominiki. Generacji może nie najnowszej, ale też nie złom. Kojarzę go z moich poprzednich wizyt na wsi. Obok błyszczą zupełnie nowy dostawczak, również niemieckiej marki – widocznie świeży nabytek państwa Wasylków. Boki i tylną klapę samochodu zdobią nalepki reklamowe z napisem Eldorado i numerem telefonu.

Z wnętrza domu dochodzi odgłos kroków, a zaraz potem drzwi się otwierają i na podwórko wychodzi pani Wasylko. Okrągła, niewysoka i rumiana na twarzy. Włosy z pasemkami i trwałą przycięte ma na sprzedawczynię z mięsnego – krótko po bokach, z dłuższą grzywką i natapirowaną górą.

Wyciera dłonie w fartuch narzucony na letnią sukienkę z tandetnymi nadrukami: *love, pink, sex*.

– Mam jagodzianki od Wróblowej – rzuca od razu Dominika.

– Mania? – Matka ignoruje jej uwagę i szeroko uśmiecha się na mój widok. – Dlaczego nie zaprosiłaś koleżanki do środka? – zwraca się z wyrzutem do córki.

Doma w odpowiedzi wzrusza ramionami.

– Dzień dobry. – Kłaniam się pani Wasylko.

– Aleś ty wyrosła. – Kręci głową z niedowierzaniem. Zalakierowane na beton włosy ani drgną. – Ile czasu już cię u nas nie było? Rok?

– Półtora – prostuję.

– No tak, ta straszna powódź w zeszłe wakacje. Was też zalało?

– Na szczęście nie, mieszkamy na drugim piętrze, ale u sąsiadów na dole było ponad metr wody.

Potakuje smutno, nie przestając się we mnie wpatrywać.

– Ale z ciebie wykapaną Ula. Te same oczy, usta. I figurka taka drobna. – Chwyta się pod boki. – A co u niej? Od dawna jej tu nie widuję. Pewnie czasu nie ma, karierę robi we Wrocławiu, co? A pani Maryjka nigdy sama z siebie nic nie opowie, nie pochwali się córką, pewnie przez skromność. Ja jestem młodsza od twojej mamy, ale pamiętam doskonale, jak jeszcze tu mieszkała. Taka zdolna była, artystycznie utalentowana i sportowo, w szkole najlepsza, same piątki, chociaż szalona głowa. A jak ona pływała? Jak ryba. Podobno każdego chłopaka w wodzie potrafiła wyprzedzić. Nawet jakieś zawody wojewódzkie wygrała w Wałbrzychu. Nad Jezioro Bystrzyckie jeździła, na basen w Głuszycy, a i z tutejszych stawów nie szło jej latem wyciągnąć. Wędkarze na nią pomstowali, to potem trenowała w tym waszym stawiku za domem. Aż się ludzie śmiali, że jej płetwy wyrosną.

– U mamy wszystko dobrze – bąkam cicho.

Co też pani Wasylko wygaduje? Że matka pływała, medale zdobywała na zawodach?

Owszem, znam ja te opowieści o jej różnych talentach i jak to nie docenili jej w Katowicach i nie przyjęli na studia wokalne, a ona nie miała pieniędzy, żeby dalej szkolić głos. Ale jaki basen, jakie stawy? Przecież ona pływać nie umie.

Pamiętałam, jak pod koniec lat osiemdziesiątych zabrała mnie latem na kąpielisko „Morskie Oko” na wrocławskim Zalesiu. Akurat wdała się w nowy romans, z jakimś panem Tadziem czy Władziem, i widocznie uznała, że to dobre miejsce, aby w kostiumie kąpielowym zaprezentować

mu swoje wdzięki na plaży. Przez cały upalny dzień opalała się na kocu, a ja pluskałam się jak szalona, aż mi skóra na dłoniach i stopach się pomarszczyła. Pan Tadzio czy Władzio bawił się ze mną piłką, co jakiś czas robiąc rundkę kraulem. Napinał mięśnie i namawiał matkę, żeby się z nami wykąpała, ale ona, popijając piwo na brzegu, tylko chichotała zalotnie, że nie chce włosów moczyć, bo jej się fryzura rozpadnie, a poza tym w wodzie to się wyłącznie ludzie topią i ryby pierdola.

Myślałam wtedy, że po prostu nie chce się przyznać, że nie potrafi pływać – ona, taka we wszystkim najlepsza – albo że jest już zbyt pijana, albo jedno i drugie. Ale może chodziło o coś innego. Czego jeszcze nie wiedziałam o mojej matce?

– No to jak dobrze, to dobrze. – Pani Wasylko szczerze się cieszy. – I ty pewnie też w szkole wzorowa uczennica, co? Jak mama. Bo moja Dominika to ledwie na trójach. Za rok matura, a jej nie chce się uczyć. Nie to co nasz Hubert.

– Mamo, błagam... – Na wspomnienie starszego brata, wzoru cnót wszelakich, Dominika się krzywi.

– Co mamo? Prawdę mówię. On rok w rok stypendium od rektora dostaje, a ty wcale głupsza ani mniej zdolna od niego nie jesteś. Gdybyś tyle w książkach siedziała, co przed lustrem, to i z ciebie by coś wyrosło. Na studia byś się dostała.

– Ale ja wcale nie chcę iść na studia! – obrusza się Dominika. – Pójdę do szkoły wizażu, a potem wyjadę do Reichu. Albo od razu po maturze wyjadę.

– No i sama widzisz, Maniu, jaka ona pyskata. Nie przegadasz jej...

– Mamo, jagodzianki – przerywa jej Dominika.

– A tak, tak. Trzeba zanieść. Lećcie, dziewczynki. Tam już pewnie czekają. Zawsze jak wracają z tych swoich biegów po lesie, to głodni jak

wilki. A, i przekaz tam, Dominika, ich opiekunom, że na dziewiętnastą kolacja będzie gotowa. Kompotu z jabłek im nagotowałam. Stoi w jadalni. I przy okazji zajrzyj no do kuchni, w garnku przemieszaj, bo ja tam fasolkę po bretońsku dla nich wstawiłam.

Żegnam się z panią Wasylko i ruszamy przez podwórze. Mijamy klon, na którym wciąż, jak w transie, buja się Wojtuś, a potem ogródek warzywny i żywopłot z przyciętych świerków. Tu znajduje się drugi wjazd na posesję. Droga wysypana żwirem ciągnie się półkolem wzdłuż brzegu stawu porośniętego tatarakiem i kaczeńcami, przechodzi w parking i kończy bieg pod dawnym spichlerzem.

Z kamiennej podmurówki wyrasta ceglany gmach. W tle płożą się łąki rozgwieżdżone jaskrami, a jeszcze dalej ciemnieje ściana lasu. Parter budynku doświetlają ogromne, półkoliście zwieńczone okna. Poddasze, gdzie mieszczą się pokoje, zdobią mansardowe okienka z pomalowanymi na niebiesko okiennicami. Nowy dach i stolarka, oczyszczona z zacieków brudu elewacja oraz wypielęgnowana zieleń dookoła czynią to miejsce wyjątkowo klimatycznym.

Zza pensjonatu dochodzą pokrzykiwania i śmiechy. Na boisku toczy się jakaś gra. Na podjeździe stoi minibus na warszawskich blachach z logo klubu sportowego.

Na lewo, w głębi parceli, za krzakami bzu wznosi się jeszcze jeden, niewielki budynek. Stara bielarnia, jakie w tej okolicy można spotkać obok każdego domostwa. Kiedy byłam tu ostatnio, przypominał ruinę. Musiał zostać odremontowany niedawno. Na dachu leży nowa blacha, ceglane mury odcinają się od zarośli.

Dominika chwyta moje spojrzenie.

– To dziupla Huberta – stwierdza z kwaśną miną. – W zeszłym roku za pieniądze ze stypendium odnowił z ojcem tę rudere i teraz, latem, cały czas tam przesiaduje, ma tam nawet łóżko. W zasadzie dla mnie to

dobrze, bo rzadziej się widzimy i nie czepia się, jak za głośno puszcze muzykę.

Podchodzimy do pensjonatu. Całą północną ścianę porasta winobluszcz, tworząc na niej zielony kożuch.

– Poczekasz na mnie? – pyta Dominika. – Tu, albo wejdź do środka, jak wolisz. Zaniosę tylko jagodzianki na boisko, przemieszam tę cholerną fasolkę w kuchni i zaraz wrócę, okej? Potem możemy obejrzeć w świetlicy jakiś film.

Przytakuję. Dominika odbiera ode mnie kosz i rusza ścieżką prowadzącą za budynek.

Przez chwilę stoję przed drzwiami, wpatrując się w podjazd. Nieopodal mruga zielone oko sadzawki – znowu przypominam sobie, co pani Wasylko mówiła o mojej matce i jej pływackich dokonaniach. Odkąd pamiętam, w stawie za domem babci Maryjki nigdy nie było wody, a mulasty piasek zalegający na dnie zdążył zarosnąć zielskiem. Czy to możliwe, że ktoś się tam kiedyś kąpał? Że matka tam pływała? Muszę zapytać babcię.

Spaceruję po podjeździe tam i z powrotem, ale Dominiki wciąż nie ma, więc postanawiam poczekać na nią w środku. Chwytam za klamkę, drzwi nie są zamknięte na klucz. Przeszczępnę próg, od kamiennej podłogi bije chłód, w środku panuje gęsta cisza.

Tu też, podobnie jak na zewnątrz, ojciec Dominiki zachował wiele oryginalnych elementów – posadzki, stare belki stropowe i ceglane sklepienia okien. Spichlerz musi być równie wiekowy jak nasz dom, ale dzięki otwartemu planowi nie czuję się tu przytłoczona. Naprzeciwko drzwi znajdują się schody prowadzące na górną kondygnację, na lewo zaś króluje imponująca jadalnia, z bufetem pod jedną ze ścian, przejściem na zaplecze i do kuchni oraz pustym miejscem pośrodku, które podczas wesel zapewne służy do tańca. Ściany zdobią trofea

myśliwskie – spojrzenia szklanych oczu martwych zwierząt przyprawiają mnie o ciarki – i całkiem niebrzydkie zdjęcia krajobrazów Gór Sowich. Słońce wpadające przez sięgające podłogi okna sieka przestrzeń i kładzie się świetlistymi smugami na stolikach.

Przeciągam dłonią po znajdującej się nieopodal schodów komodzie. Stoi na niej porcelanowa figurka pasterki. Dotykam palcem jej ukruszonego nosa... I w tym momencie ciszę przecina kobiecy krzyk.

Krew zamarza mi w żyłach. Wrzask wciąż rozrywa budynek. Rozglądam się dookoła w panice. Na parterze, oprócz kuchni, jedyną zamkniętą przestrzenią jest ta kryjąca się za drzwiami na prawo od schodów.

Instynktownie rzucam się w ich stronę, ktoś potrzebuje pomocy, szarpię za klamkę.

W sali wypełnionej krzesłami, stolikami kawowymi i małymi klubowymi fotelami panuje półmrok, wszystkie okna są zasłonięte. Jedyne źródło światła stanowi stojący na szafce ogromny telewizor. Na ekranie widzę wykrzywioną twarz Boba mordercy, która zamienia się w diaboliczną, uśmiechniętą, należącą do ojca Laury Palmer – to właśnie jej wrzask wciąż wibruje w powietrzu.

Ktoś siedzi naprzeciwko telewizora. Na odgłos otwieranych przeze mnie drzwi unosi rękę i wcelowuje pilota w czerwony punkt na magnetowidzie. Kadr nieruchomieje, krzyk dziewczyny cichnie. Ciemnowłosy chłopak, który siedzi rozwalony w fotelu, odwraca leniwie głowę w moją stronę.

Hubert?

– Cześć – bąkam zawstydzona, gdy wbija we mnie pytające spojrzenie.

Jego oczy mają ten sam kolor co Lelanda Palmera. Są bladoniebieskie. Ładne, ale też w pewien sposób niepokojące. Do tej pory sądziłam, że całe rodzeństwo Wasylków ma ciemne oczy.

– Sorry, nie wiedziałam, że ktoś tu jest. – Robię krok w tył. Obecność brata Dominiki mnie peszy. Jakbym przyłapała go na czymś niewłaściwym, intymnym. Doskonale znam *Ogniu, kroc z mną* i wiem, że na zapauzowanym ekranie widać końcówkę mocno sprośnej sceny, w której ojciec, opętany przez złego ducha, uprawia z córką kazirodczy seks.

Czuję się tym skrepowana. Hubert zaś chyba ani trochę.

– Mania? – Marszczy brwi, wstając z fotela.

Dopiero teraz dostrzegam, jak bardzo się zmienił od czasu, gdy widziałam go ostatni raz dwa lata temu: wyrósł i schudł. Po ciapowatym kujonie nie ma śladu. Wszystkie łuki w jego ciele się wyostrzyły, krągłości wyprasowały. Czarne włosy, które kiedyś ścinał tak krótko, że można go było wziąć za skinheada, teraz sięgają ramion. Twarz pokrywa kilkundniowy zarost. Przypomina mi kogoś, ale w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć kogo. Ma na sobie białe szorty i spraną niebieską koszulkę, która podkreśla kolor jego oczu i uwydatnia opaleniznę, na nogach sportowe buty.

Jest naprawdę niebrzydki. Nie wiem, dlaczego wcześniej nie zwróciłam na to uwagi.

– *Ogniu, kroc z mną* – mówię, wskazując na smużący w stop-klatce telewizor.

– Znasz to?

Przytakuje.

– Jasne. Oglądałam wiele razy. Uwielbiam Lyncha. Teraz nastąpi ciekawe przejście między scenami. Tu mamy przerażoną Laurę,

a kolejne ujęcie zaczyna się od najazdu kamery na płatki śniadaniowe zanurzone w mleku. Biel jako symbol niewinności. W kontekście tego, co zaszło między nią a ojcem, wydaje się to upiorną drwiną – wymądrzam się, aby tylko zagłuszyć ciszę.

Po raz pierwszy się uśmiecha.

– Masz ochotę obejrzeć to ze mną? – proponuje nieoczekiwanie.

– Dominika... To znaczy... – zaczynam, ale on mi wchodzi w słowo.

– Do końca filmu zostało dosłownie kilka minut. Zamknij drzwi i chodź.

Zajmuje swoje poprzednie miejsce, mnie wskazuje fotel obok. Zamykam drzwi, siadam przed telewizorem.

Hubert wciska przycisk *play* na pilocie. Na ekranie pojawiają się mleko i płatki. Znowu się do mnie obraca i uśmiecha jak kot z Cheshire. Nie wiem, co znaczy ten uśmiech, ale całkiem się w nim roztapiam.

Myślę o słowach babci Maryjki: czasem do człowieka przychodzi coś nieoczekiwanego, kiedy ten najmniej się tego spodziewa.

Dawno – Mareike

Mareike wchodzi po pas do wody i rozrywa błonę rzęsy dłońmi, wywołując na lustrze zielonkawe wiry. Chociaż to już końcówka lata, słońce wciąż wypala dziurę w niebie. Na szczęście staw daje przyjemny chłód.

Nieopodal, przy brzegu, w cieniu kaliny, siedzi Greta Thiel, celując w przyjaciółkę obiektywem aparatu.

– Spójrz w moją stronę – prosi, a gdy Mareike odwraca się przez ramię, zwalnia spust migawki. – Słyszałaś, że Annika jest w ciąży? – rzuca od niechcienia, odkładając leicę na koc.

Mareike potakuje. Owszem, słyszała. Cała wieś o niczym innym nie mówi, tylko o tym, kto tej małej z młyna brzuch doprawił.

– Jak one sobie teraz z matką poradzą? Pan Hermann już oficjalnie został uznany za zaginionego i raczej nie wróci z frontu. I ciekawe, kto jest ojcem – zastanawia się Greta.

– Czy to nie wszystko jedno? Na pewno zajmą się nią ci z *Hilfswerk Mutter und Kind*¹⁴ i skierują do któregoś z domów samotnej matki. A tam jedyne, o co Annikę zapytają, to czy ojciec był czysty rasowo.

– Ale ona ma dopiero szesnaście lat. – Greta kręci głową.

– Zanim urodzi, będzie miała siedemnaście – stwierdza głucho Mareike, wpatrując się w wodę.

– To wciąż niewiele. Mój *Vati* uważa, że dziewczęta w tym wieku nie powinny rodzić, tylko dalej się uczyć.

Mareike wraca do rozgarniania rzęsy. Małe listki przyklejają się do jej skóry.

– Zrobiła, co do niej należało – zauważa z przekąsem. – Nie pamiętasz, co nam mówiły Katharine i *Frau* Paschke? Nie należy tłumić biologicznych popędów. *Frau* na pewno jest dumna z Anniki. Mamy straty na froncie, więc trzeba rodzić dzieci. Potrzeba świeżej krwi.

– Ojciec mówi, że do jesieni będzie po wszystkim. Dziecko Anniki nawet nie zdąży przyjść na świat – zauważa trzeźwo Greta. – Długo już na łuku kurskim się nie utrzymamy.

Dawniej Mareike pewnie zbeształaby przyjaciółkę za defetyzm i brak wiary w ich dzielną armię, ale teraz tylko ponownie wzrusza ramionami i robi krok w głąb stawu. Wszystko jej jedno, co będzie z Anniką, jej dzieckiem i czy Ruscy wyprą ich ze Wschodu. Dopóki nie zobaczy listu wyjaśniającego, co się stało z Matthiasem, wszystko jej jedno.

Woda sięga prawie do pośladka i kończy się w miejscu, gdzie Mareike ma niewielkie znamię w kształcie serca. Czuje, jak stopy zapadają się w muliste dno. Nogi głaszczą podwodne pnącza. Oprócz nich były tu kiedyś pstrągi, ale od wyjazdu chłopców na front ojciec nie zarybia stawu. Nie ma na to czasu. Opieka nad hodowlą należała do obowiązków Klausea i Mattiego.

Robi kolejny krok. Woda wsiąka w bawełnę, z której uszyty jest kostium. Chłód wypełnia jej podbrzusze.

– Zobaczysz – ciągnie niewzruszenie Greta – za chwilę cofniemy się przed Dniepr i tylko patrzeć, jak front przewali się na zachód, może nawet dotrze do Wisły, a wtedy... Ojciec mówi, że Hitler całkiem utracił zdolność jasnego myślenia, a doradcy tylko utwierdzają go w słuszności jego *idée fixe*. Nie wygramy wojny, bo wojen nikt nie wygrywa. Może poza politykami i przemysłem zbrojeniowym. Zwykli ludzie zawsze ponoszą ofiary. Wszystko jedno, po której walczy się stronie. –

Wzdycha. – Biedni nasi chłopcy. Tam się muszą dziać straszne rzeczy. Słyszałaś o Andreasie Klimkem?

Mareike kiwa głową. Andreas to dawny przyjaciel Matthiasa. Byli razem w Pimpfach¹⁵, a potem także w Jungvolku¹⁶. Niedawno wrócił z frontu. Podobno całkiem oszalał.

Dawniej bardzo jej się podobał. Może nawet trochę się w nim podkochiwała? Wciąż pamiętała pewne letnie popołudnie sprzed kilku lat, gdy Matthias zabrał ją na świeżo oddany do użytku odkryty basen w Wüstegiersdorfie. Z głośnika płynęła ulubiona piosenka Führera, *Bei Mir Bist Du Schön*. Powietrze pulsowało swingowym rytmem. Chorągiewki ze swastyką wesoło furkotały na wietrze, w budce sprzedawano lody i zimną lemoniadę. Chłopcy wygłupiali się w wodzie, przeżyli muskuły, ścigali się, który szybciej przepłynie basen.

Mareike nie mogła oderwać oczu od przyjaciela brata. Andreas był taki piękny: roześmiany, jasnowłosy, wysoki, o szerokich ramionach i mocnych nogach. Jakby go żywcem wycięto z posteru Hitlerjugend. Mimo że nie zwracał na nią uwagi – była wtedy jeszcze zbyt smarkata – roiała sobie, że kiedyś, gdy dorośnie, to właśnie z nim spłodzi dla Führera doskonałe dzieci. Chłopców o zdrowych i silnych ciałach, o wypukłych potylicach i mocnych zuchwach. Stworzą z Andreasem idealną niemiecką rodzinę, nowy lepszy świat...

A potem Andreas wyjechał na front. Powołano go w tym samym czasie co braci Mareike. Przetrwał rzeź Stalingradu, jednak w połowie lutego został ranny w walkach o Charków. Odłamek z radzieckiego granatnika utkwiał mu w okolicy obojczyka. Naruszył kość, lecz nie uszkodził narządów. Obrażenia nie zagrażały życiu, więc Andreego poskładano i załatano jeszcze na miejscu, w szpitalu polowym, a następnie odesłano w celu rekonwalescencji w rodzinne strony, *nach Niederschlesien*¹⁷. Fizycznie szybko się wylizał, ale podobno wiosną

i wczesnym latem w wojskowym lazarecie w Breslau kilka razy próbował się zabić. Po wsi krążyły opowieści, jak to wieształ się na prześcieradle, łykał tabletki podebrane pielęgniarkom i ciął nadgarstki żyłką. Wreszcie wypuszczono go do domu i od miesiąca jest już u matki w Wüstewaltersdorfie.

Szalony Andreas, tak się teraz o nim mówi. Szalony Andreas, z którym miała stworzyć idealny niemiecki świat.

Mareike zanurza się po szyję w wodzie. Greta coś jeszcze do niej mówi, ale ona już nie słucha. Chłód jest taki przyjemny. Zamraża członki i myśli. Utopić się w gorący dzień – to byłaby taka przyjemna śmierć. Nogi Mareike zapadają się jeszcze głębiej w miękkie dno. Jeżeli zaraz nie zacznie nimi poruszać, ciemność ją pochłonie.

Zamyka oczy i zatapia się w zielonej otchłani. Migotliwa woda zamyka nad nią swoje lustro. Wojna, stracone złudzenia, świat zbudowany na kłamstwie i propagandzie zostają na powierzchni. Pod wodą nie ma przegranych bitew, nie ma Klause i Mattiego gnijących w radzieckiej ziemi oraz szalonego Andreasa Klimkego, pięknego chłopca z Hitlerjugend, podcinającego sobie żyły. Są cisza, glony, ciemność i miękkość mułu. Cisza. Bąbelki powietrza wydobywają się z ust i nosa Mareike, a ją ogarnia spokój. Prąd górskiego strumienia, który przepływa przez staw, kołysze jej ciałem. Buja nim w synkopowym rytmie swingu. Śmierć szepcze jej do ucha słowa piosenki: „Przy mnie jesteś piękna...”.

Mareike wypuszcza resztki powietrza. Płuca rozrywa dobry, kojący ból. Nic już nie jest ważne.

Ciemność przecina plusk. Gdzieś tuż obok, blisko. Fala uderza w Mareike z pełną mocą; czuje ręce, które wsuwają się pod jej ramiona, obejmują ją i ciągną do góry, do światła. Próbuje się wyszarpnąć – tu jest

jej dobrze, woli zostać – ale ręce nie dają za wygraną. Stopy Mareike zapierają się o dno, głowa wydobywa się z wody.

– Mareike, co ty wyprawiasz? Czyś ty postradała zmysły? – Greta wyciąga ją na brzeg. Dyszy. Sukienka klei jej się do ciała. Wskoczyła do stawu, tak jak stała, nawet nie zdjęwszy butów. Odgarnia mokre włosy z twarzy Mareike i patrzy na nią z niepokojem. – Mogłaś się utopić!

Mogłam, myśli Mareike, kaszląc zieloną wodą i rozczarowaniem.

¹⁴ Organizacja społeczna zajmująca się opieką nad kobietami w nieślubnej ciąży.

¹⁵ Sekcja Hitlerjugend zrzeszająca chłopców do 10. roku życia.

¹⁶ Sekcja Hitlerjugend zrzeszająca chłopców w wieku 10–14 lat.

¹⁷ (niem.) Dolny Śląsk.

Noc Mokosz

Wtedy – Mania

Powietrze stoi, zalepiając dolinę żarem i płaczem saksofonu. Dryfuję poza ciałem wraz z rozkołysanymi dźwiękami *Dance Of The Dream Man* Badalamentiego. Śpię mocno, jakbym była martwa. I widzę czerwone welwetowe zasłony oraz tajemnicę, którą skrywają. Widzę tańczącego karła strzelającego palcami w rytm muzyki, w rytm uderzeń kołowrotka. I Huberta – czuję na sobie jego niebieskie spojrzenie, spojrzenie Lelanda Palmera. Jego dłonie na moich udach i piersiach... Jazz rozrywa dół mojego brzucha małą śmiercią – *la petite mort* – mieszając wstyd z podnieceniem.

Budzi mnie krzyk Laury – mój krzyk? Z trudem otwieram oczy, wciąż czując wilgoć między udami. Skóra lepi się od potu. Muzyka w mojej głowie powoli ucicha. Zegarek stojący na szafce przy łóżku wskazuje dziesiątą rano.

Schodzę do łazienki i biorę zimny prysznic. Przemywam oczy i twarz, próbując wytrzeć spod powiek ostatnie powidoki sennych upojeń. Chcę zapomnieć o Hubercie. O obscenicznym rzeczach, które robiłam z nim we śnie. I o spotkaniu w pensjonacie Eldorado – boję się tego, co poczułam na jego widok. Pociąga mnie, a równocześnie odpycha.

Ubieram się pospiesznie i wędruję do kuchni, gdzie jak sądzę, zastanę babcię Maryjkę. Lecz nie ma jej tutaj. Królestwo bez królowej? Jestem zdziwiona, ponieważ miała dzisiaj zalewać octem kolejną tonę

grzybów, które wczoraj przyniosła z lasu. Leżą już nawet wyczyszczone i przygotowane w miskach.

Na stole, ukryte pod ścierką na talerzu, czekają kanapki, które przygotowała dla mnie na śniadanie. Chleb z masłem i ogórkiem.

– Babciu! – wołam w pustkę.

Dom odpowiada milczeniem.

Gdyby wyszła gdzieś dalej, do sąsiadki po mleko albo na pekaes, żeby pojechać do miasta, zostawiłaby mi kartkę. Poza tym jestem niemal pewna, że gdy przed półgodziną umierałam w ramionach brata Dominiki, ze strychu, wybełtany z jazzem, dochodził odgłos kołowrotka. Tak wyraźnie go słyszałam. Ale może to też był sen? Babka Maryjka rzadko zasiada do przedzenia, widziałam ją przy tej pracy zaledwie kilka razy w życiu, ale kto wie, co jej dziś strzeliło do głowy. Czasami chodzi tam, żeby się odprężyć. Twierdzi, że monotonia tej roboty pomaga jej w układaniu myśli i porządkowaniu wspomnień.

Nie wiem, jakie wspomnienia babka porządkuje na strychu, bo w ogóle niewiele o niej wiem. Nigdy nie opowiada o swojej przeszłości, o wojnie, o życiu w Peerelu, o wszystkich tych sprawach, o których dziadkowie czasem opowiadają wnukom. Babcia Maryjka jest skryta, milcząca i po chłopsku w tym milczeniu konsekwentna. Prosta, niewykształcona kobieta – taką ją widzę. A podobni jej, nieskomplikowani ludzie żyją zwykle napędzani rutyną i codziennością, tym, co należy zrobić, co zjeść, co obejrzeć wieczorem w telewizji – żyją tu i teraz.

– Babciu!

Głos niesie się po domu i wsiąka w kurz na meblach.

Postanawiam wyjść na dwór i rozejrzeć się po obejściu, ale tu też jej nie widzę. Głaszczę psa, który jak zwykle wyleguje się w cieniu pod

ścianą domu, okrążam budynek i wdrapuję się po schodach na poddasze.

Ostatnio bywam na górze prawie codziennie – tu możemy z Dominiką w spokoju pogadać, podczas gdy ona jara fajki – więc od razu zauważam zmianę. Maszyny tkackie zostały wysunięte na środek, na podłodze wokół międlarki leżą resztki lnu pomieszane z włóknami paździerza. Przed kołowrotkiem stoi pusty stołek, na szpuli wrzeczona tkwi resztką przędzy.

Jednak babki ani śladu.

Wychodzę z powrotem na dwór. Niebo jest bezchmurne, mimo to gór prawie nie widać. Gęste powietrze przypomina dziś budyń, rozmiękcza kontury krajobrazu i klei się do ciała.

– Babciu! – wołam znowu, a mój głos grzęźnie w upale.

Zbiegam na dół, czując narastający niepokój. Przed oczami stają mi wizje ostateczne, że gdzieś upadła przez tę pogodę, straciła przytomność, że może nawet nie żyje. W końcu ma już swoje lata, ludzie w jej wieku czasami umierają ot tak, nagle, bez sygnałów zwiastujących koniec. Biegnę z powrotem do domu. Obchodzę cały parter i piętro. Nigdzie żywego ducha. Zatem znowu wychodzę przed dom. Zaglądam do kurnika, za pryzmę z węglem, do rozpadającej się stodoły. Nie mam więcej pomysłów. Zrezygnowana ruszam do ogrodu.

Babka nadal stara się uprawiać warzywa, chociaż od jakiegoś czasu ma problemy z kręgosłupem, przez co nie za bardzo może się schylać i na niewypielonych grządkach dominują obecnie dorodne chwasty. Przedzierałam się w poprzek zarośniętych zagonów.

I wreszcie ją zauważam.

Babka Maryjka klęczy kilka metrów dalej – pod krzakiem kaliny, nieopodal niecki, która kiedyś była stawem, a dziś jest pustą dziurą obrosłą bagienną roślinnością – i bujając się w przód i w tył,

z zamkniętymi oczami, mamrocze coś pod nosem. Głos przy tym ma inny niż zwykle: niski, gardłowy. Nigdy takiego u niej nie słyszałam. Przed nią, na trawie, widnieje kopczyk gliniastej ziemi, obok świeżo wykopany dołek. Niezbyt głęboki. Musiała go wydłubać palcami, bo jej dłonie są całe brudne.

Przykucam, żeby mnie nie zauważyła. Czuję, że nie powinno mnie tu być, nie powinnam teraz do niej podchodzić, wyrwać jej z transu. Jest w jej zachowaniu, w tej scenie, coś intymnego i niepokojącego zarazem.

Babcia, nie przestając szeptać, wyjmuję z kieszeni fartucha kulkę czegoś popielatego, przypominającego kocie kłaki i umieszcza w dołku. Następnie zagarnia kopczyk na miejsce i delikatnie uklepuje, wyrównując powierzchnię. Przez chwilę trwa tak, trzymając rękę przyłożoną do gruntu i przystawiając doń ucho – jakby nasłuchiwała. Później znowu szepcze i znowu słucha. Czy moja babka rozmawia z ziemią? Do reszty jej odbiło? Ale jeżeli, jak twierdzi, spotkała kiedyś ducha, to czemu nie miałyby sobie o poranku, zamiast pić kawę, konwersować z ugorem.

Wreszcie ów dziwaczny dialog chyba dobiega końca, bo przestaje mruzczyć i unosi głowę.

– Chodź tu, Mania – rzuca nieoczekiwanie w stronę chwastów, za którymi się ukrywam.

Martwieję, chociaż jej głos znowu brzmi całkiem zwyczajnie.

– Nie chowaj się, przecież cię widzę. Słyszałam, jak żeś się zakradała. Ruszasz się jak słoń w składzie porcelany. I grządki na pewno mi zdeptałaś.

Podnoszę się i zakłopotana wychylam zza ściany zielska. Babka z trudem dźwiga się z klęczek i otrzepuje sukienkę na kolanach.

– Szukałam cię, babciu – bąkam. – Martwiłam się.

– Niepotrzebnie. – Wyciera brudne ręce w fartuch. Znowu spogląda na dopiero co zasypyany dołek, a potem na mnie. – Pewnie sobie myślisz, że ja, stara, do reszty zgłupiałam.

Nie odpowiadam, bo dokładnie tak myślę. To, co przed chwilą zobaczyłam, nie wyglądało normalnie. Przypominało dziwaczny okultystyczny rytuał; moje skojarzenia instynktownie wędrują w stronę Twin Peaks, czerwonych kotar, strzelających palcami karłów, jeźdźców bez głowy i duchów topielic. Tylko patrzeć, jak babcia zacznie chodzić z pieńkiem na rękach i rozmawiać z nim. Z ziemią już to robi.

– To nic takiego – stwierdza, wzruszając ramionami. – Ot, stary ludowy zwyczaj. Zupełnie nieszkodliwy. Czasami odprawiam sobie taki obrządek. Może nie pomoże, ale na pewno nie zaszkodzi.

– Co, babciu, włożyłaś tam, do ziemi? – Nabrawszy nieco odwagi, wskazuję na zasypyany dołek.

– Przędę. To ofiara dla bogini Mokosz. – Łamie suchą słomkę tataraku porastającego brzeg niecki i końcówką zaczyna wydłubywać glinę zza paznokci. – Słyszałaś o Mokosz?

– Nie.

– Niczego was w szkołach teraz nie uczą – irytuje się. – Mokosz to bóstwo stare i wszechwładne. Matka Ziemia, Wielka Tkaczka, patronka kobiet, płodności. Ona wie, co ludziom w głowach i lędźwiach siedzi, czego skrycie pragną, czego pożądamy. Od niej zależy nasz los. Tak się on plecie, jak go Mokosz uprzedzie. Nitka po nitce. Wszystko to jej zasługa, a czasami wina.

Słuchając wynurzeń babki, widocznie mam niewyraźną minę, bo ta fuka niezadowolona:

– Wy, młodzi, w nic teraz nie wierzycie. Ale nie wszystko da się na chłopski rozum wyjaśnić. Nie wszystko od widzimi się człowieka zależy.

Tak zawsze było, jest i będzie. Możesz sobie, Mania, myśleć, że na starość w głowie mi się miesza i że to świętokradztwo takim bóstwom ofiary składać, szczególnie jak się do kościoła chodzi co niedzielę. Ale jedno drugiemu nie wadzi. Ja i w Maryję wierzę, ale to właśnie Mokosz o wszystkim opowiedzieć mogę. Każdą tajemnicę, którą w jej czarne ucho wyszepczę, zachowuje dla siebie. I każdej prośby wysłucha – przemawia coraz bardziej zapalczywie. – Nawet wtedy, w czasie wojny, kiedy tak ciężko było, też mnie słuchała. I potem. Doktory mówili, że ja już dziecka miała nie będę, że mi brzuch wyjąłowili i tylko te trumienki, hen daleko zostały, a jednak mam. Jest Ulka. I to Mokosz mi ją ofiarowała. Dlatego teraz i w twojej intencji przedzę jej przyniosłam.

Nie wiem, co mnie bardziej dziwi: składanie przez babkę ofiary jakiemuś bóstwu, o którym nigdy wcześniej nie słyszałam, czy to, że właśnie przypadkiem coś mi o sobie powiedziała. Zdradziła więcej niż kiedykolwiek. Czy babcia miała inne dzieci, nim na świat przyszła moja matka? Gdzie teraz są? W trumienkach, hen daleko? Co lub kto wyjąłował jej brzuch?

– W mojej intencji złożyłaś, babciu, przedzę? – dukam, starając się zachować powagę i nie parsknąć śmiechem.

– A tak, w twojej. – Babka Maryjka kiwa głową. – Bo ty już prawie dorosła jesteś i trzeba, żebyś właściwie swoim losem umiała kierować. Żebyś żyć umiała, szczęśliwa być umiała. Nie to co Ulka. Zmarnowane ziarno. Dlatego poprosiłam Mokosz, żeby ci głupoty jakie do głowy nie strzeliły. Żeby nad tobą czuwała. W końcu za rok maturę zdasz, zdolna jesteś, na studia powinnaś pójść. A w twoim wieku o nieszczęście nietrudno. Ciągłe urzędujecie z tą Dominiką, papierosy popalacie na strychu, nie zaprzeczaj, ja głupia nie jestem i ten smród z daleka wyczuję. Zaraz i jakieś piwko pewnie będzie, i chłopaki do tego. Te miastowe kolonisty od Wasylków w głowach wam pomącą. Tak, tak, nie rób mi tu, Mańka, takich zdziwionych oczu.

– Babciu, ale my z Dominiką nic... Naprawdę.

Rzuca zużytą słomkę pod nogi i przybliża dłonie do oczu, by sprawdzić, czy już wszystko wydłubała zza paznokci.

– Dobrze, dobrze. Już ja wiem, co mówię. Krew nie woda. – Wzdycha. – Nie chcę, żeby z tego jakie problemy były. Jeśli wiesz, co mam na myśli?

Doskonale wiem i ani myślę dyskutować z nią na takie tematy. Nawet z matką nigdy o tym nie rozmawiamy. Ona uważa, że wszystkiego, co trzeba, dowiem się w swoim czasie i bez jej udziału. Wychowanie przez zaniechanie. Taką metodę dydaktyczną wobec mnie przyjęła. Może słusznie, a może nie. Nie wiem. Mam siedemnaście lat i do tej pory nawet się nie całowałam. Wszystko, co wiem o seksie, ogranicza się do pierwszych prób masturbacji, kilku obejrzanych filmów erotycznych i mokrych snów, takich jak ten dzisiejszy.

Do mojego ogólniaka chodził pewien chłopak, rok starszy ode mnie, w którym durzyłam się od pierwszej klasy, lecz od początku było to skazane na fiasko. Ja byłam zbyt nieśmiała, żeby wyjść z inicjatywą, on, szkolny casanova, kompletnie nie zwracał na mnie uwagi. A teraz jest po ptakach: w maju zrobił maturę i wiem, że więcej go nie zobaczę. Czasami zastanawiam się, czy naprawdę byłam nim zauroczona, czy zainteresował mnie, bo był poza zasięgiem. Dzięki niemu miałam alibi. Przez trzy lata byłam bezpieczna, miałam spokój i z nikim mnie nie swatano, no bo wiadomo: Mania jest nieszczęśliwie zakochana.

– Ulki nie umiałam na ludzi wyprowadzić – kontynuuje babcia. – Chociaż ona też była zdolna i jak to mówią: dobrze się zapowiadała. W szkole zawsze pierwsza. Ale potem co? Wstyd przed ludźmi się przyznać, jaka ona teraz. Rozwód wzięła i tylko skacze z kwiatka na kwiatek. Kiedyś taki rozwód to nie do pomyślenia był. To grzech. Jak się przed Panem Bogiem przysięga, to już do końca życia trzeba wytrwać.

A i twój ojciec to jest przecież zupełnie porządny człowiek, chociaż zwykły robotnik. Nie rozumiem ja, że też się Ulce odwiedziało. Nie pił, nie bił, pieniądze do domu przynosił. Chyba że właśnie za dobry dla niej był i znudziła się. – Zaciska wargi i przez chwilę stoi w zadumie. – Ty musisz lepiej życie sobie poukładać. A Mokosz ci w tym pomoże.

Słucham jej, patrząc na zagłębienie po stawie, i uznaję, że to idealny moment, by zapytać o to, co mi powiedziała pani Wasylko.

– Czy mama umie pływać? – rzucam niby od niechcenia.

Czoło babci Maryjki przecina pionowa bruzda.

– A co cię tak nagle naszło?

– Podobno kiedyś pływała w tym stawie – mówię, ignorując jej zdziwienie.

– Nie pamiętam – bąka pod nosem. Znowu zaczyna wycierać dłonie w fartuch, chociaż już od dawna nie ma na nich śladu ziemi.

– Pani Wasylko mi opowiadała, że mama wspaniale pływała. Podobno nawet wygrała zawody pływackie.

– Naprawdę nie pamiętam – powtarza, coraz wyraźniej niezadowolona, i rusza energicznie z miejsca. – Zresztą to nie jest staw kąpielowy, tylko rybny.

– To znaczy, że kiedyś w stawie była woda? – Czuję, że dotykam czegoś, co ją drażni, ale nie odpuszczam.

– Oczywiście, że była – stwierdza niechętnie. – Dziadek Edek pstrągi hodował.

– Nie wiedziałam – przyznaję. – Odkąd pamiętam, zawsze był pusty.

Ani na chwilę nie zwalniam, zerka na mnie przez ramię. W jej oczach widzę cień lęku.

– Bo to było na długo, nim się urodziłaś. Potem górski potok, co staw zasilął, przekierowali w sztuczny kanał schodzący do drogi, a wodę tu spuścili.

– Szkoda. Przyjemnie by było czasem w upale nogi pomoczyć. Musiał być ładny. Ten staw. Z widokiem na góry.

– Ja tam nie wiem: ładny czy nieładny. Po prostu nie był już potrzebny. – Wzrusza ramionami. Po czym dodaje coś, co kiedyś już chyba słyszałam: – Poza tym jak jest woda, to ludzie się topią.

Dawno – Mareike

Mareike wstaje jak zawsze tuż przed szóstą, głaszcze kota i idzie do kurnika. Podbiera kurom jajka, a potem robi ojcu śniadanie i kanapki do fabryki. Gdy *Vati*, podskakując na wertepach na swojej małej victorii V99, znika na drodze do Wüstewaltersdorfu, Mareike przysiadła z kubkiem kawy zbożowej przed domem i przez jakiś czas patrzy na góry, które powoli zaczyna zjadać rdza.

To już druga jesień, od kiedy nie chodzi do szkoły. W marcu skończyła szesnaście lat, a w czerwcu zeszłego roku ośmioklasową *Grundschule*. W innych okolicznościach pewnie kontynuowałaby naukę – tak jak Greta, która wyjechała do *Oberschule*¹⁸ w Breslau. Może Mareike skończyłaby liceum w Waldenburgu – *Oma* Ursula zawsze o tym marzyła, twierdząc, że wnuczka ma najbardziej rzutki umysł z całej trójki małych Rogenów – albo chociaż *Fachschule*¹⁹, żeby wyuczyć się na tkaczkę. Ale nastały dziwne czasy i Mareike niewyobraża sobie, aby mogła zostawić ojca samego na wsi. Nie teraz, kiedy ziemia coraz głośniejszym pomrukiem, a bywa, że drży, jakby ktoś wgryzał się w jej trzewia.

Nie teraz, kiedy już wiedzą na pewno, że Matthias nie wróci.

Wiadomość o jego śmierci przyszła dokładnie przed rokiem, w równie słoneczny jak dzisiejszy, pachnący jesienią dzień. W tamtym czasie Mareike nie chodziła już na pocztę, nie próbowała też się więcej topić: okazuje się, że nawet złość i żal mogą spowszednieć. Zresztą pochłonęły ją obowiązki w gospodarstwie.

W dniu, gdy wreszcie przyszedł list, korzystając z ładnej pogody, urządziła pranie. Zmieniła pościel i pozdejnowała wszystkie firanki

i zasłony. Właśnie rozwieszała je na sznurach przed domem, kiedy usłyszała charakterystyczne podzwanie roweru listonosza na podjeździe.

W tamtym czasie pocztę do Rudolfswaldau, w zastępstwie starego Kurta, dostarczał już szalony Andreas Klimke. Po tym, jak wrócił z lazaretu w Breslau, starał się o pracę w fabryce Websky'ego, Hartmanna i Wiesena. Nie został jednak przyjęty – może obawiano się, że zechce się rzucić pod którąś z maszyn – dlatego matka wystarała się dla niego o posadę na poczcie, żeby z nadmiaru wolnego czasu znowu co głupiego nie strzeliło mu do głowy. Akurat zwolniło się miejsce po Kurcie, który był już zbyt stary, by pedałowac z przesyłkami po górach.

Mareike kilka razy widziała Andreeasa z daleka, gdy przemierzał wieś z nieobecny m wyrazem twarzy na skrzypiącym rowerze, lecz do tamtego dnia nie miała okazji z nim porozmawiac.

Kiedy zobaczyła, jak wjeżdża na podjazd w pocztowym uniformie, prawie go nie poznała. W niczym nie przypominał chłopca z posteru Hitlerjugend, tego, w którym się kiedyś podkochiwała. Schudł, zgarbił się, przedwcześnie postarzał. Jego głowa w granatowej czapce wydawała się nieproporcjonalnie duża w stosunku do reszty ciała. W twarzy było coś ptasiego, ostrego.

Porzuciła pranie i ruszyła w jego stronę. Nie musiała pytać, z czym przychodzi. Od razu wyczytała to z zapadniętych oczu.

– Przykro mi, Mareike – powiedział, podając jej urzędową kopertę z nadrukiem orła Rzeszy.

Odebrała list i schowała do kieszeni fartucha. Wcześniej obawiała się, że gdy długo wyczekiwana przesyłka nadejdzie, znowu poczuje to, co tamtej styczniowej nocy w Hippe's: niedowierzenie i rozpacz, tymczasem doznała wyłącznie ulgi. Ból się przelał. Część serca, która należała do Mattiego, bezpowrotnie obumarła.

– Przekaż *Herr* Rogenowi wyrazy współczucia – rzekł Andreas, nie patrząc na nią, tylko jakby przez nią.

Mareike przytaknęła mechanicznie. Koperta paliła ją w bok. Chciała ją czym prędzej zanieść do gabinetu ojca i zamknąć w szufladzie biurka. Zamknąć w czasie przeszłym.

Andreas odchrząknął. Wyglądał, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz równocześnie nie wiedział, co mogłoby to być. Chociaż kiedyś tak dobrze się znali, dziś byli sobie obcy.

– Jak tam było? – wypaliła Mareike, bo cisza panująca na podwórku ją także zaczęła uwierać i drażnić.

Źrenice Andreasa się rozszerzyły, zgiął się jeszcze bardziej, jakby jej pytanie fizycznie go zabolowało.

– Lepiej, żebyś nie wiedziała – odparł po chwili wahania. – Zresztą ja też wolę nie pamiętać.

– Myślisz, że Matthias... że zginął śmiercią bohatera? – zapytała, chociaż nie miało to już żadnego znaczenia.

Andreas milczał.

– Proszę, powiedz mi, przecież byłeś jego przyjacielem. – Chwycała go za ramię.

Palce, które zaciskał na kierownicy roweru, całkiem mu pobielały, na wierzch dłoni wyszły żyły.

– Powiedz mi! – Potrzasnęła nim. Mocniej, niż zamierzała.

Twarz Andreasa nieoczekiwanie zmieniła wyraz, kąciki ust uniosła drwina, oczy wytrzeszczyło coś zwierzęcego, co Mareike przepełniło strachem i odrazą.

– Śmiercią bohatera? – Zaśmiał się bez grama radości. – Oni z nas wszystkich zrobili durniów, dziewczyno. Myśmy tam robili straszne

rzeczy. Takie, których nie da się pojąć, dopóki się ich nie doświadczy na własnej skórze. Nie, Mareike, myśmy tam nie byli bohaterami. Byliśmy bestiami. Mordercami i gwałcicielami. Ciesz się, że Klaus i Matthias nie żyją. – Nie przestawał się śmiać. – Ciesz się, że są już w innym piekle, bo nawet gdyby żyli, nie byłiby tymi samymi chłopcami, których kochałaś. Nikt, kto stamtąd wróci, nie będzie taki jak kiedyś.

Rzekłszy to, wyrwał ramię z jej uścisku, wskoczył na siodełko i pognał na złamanie karku w dół do drogi. Jego upiorny chichot poniósł się po wiosce i spłynął zimnym dreszczem po plecach Mareike.

Od tamtego dnia minął rok, a jednak czasami wciąż słyszy śmiech szalonego Andreeasa. I teraz także, gdy siedzi na schodkach przed domem i pije kawę. Znowu zastanawia się, ile w słowach chłopaka było prawdy, a na ile stanowiły one wytwór umysłu wariata. Przecież Matthias był najlepszym człowiekiem na świecie. Chodzącym dobrem i miłością. Kimś, kto przynosił jeże przez drogę, by nie zginęły pod kołami wozów, i kto potrafił wstać przed świtem, żeby nazbierać poziomek na śniadanie dla siostry. Ktoś taki nie mógłby trafić do piekła.

Mareike dopija zbożówkę i ostatni raz spogląda na szczyty, po których przewalają się rozczochrane chmury wyglądające jak ptasi puch. Wchodzi do domu, przebiera się w roboczą sukienkę, na ramiona zarzuca sweter i zabiera z kuchni wiklinowy kosz. Przez cały zeszły tydzień padało, a teraz znowu zrobiło się cieplej, więc na pewno są już grzyby. Powinna ich nazbierać, żeby zrobić marynaty na zimę. Zapasy to teraz podstawa.

Wczoraj na drodze Mareike spotkała Annikę Hermann, która przechadzała się z wózkiem, dumnie wypinając pierś i udając dorosłą. Była jeszcze bardziej zwalista niż przed ciążą i pobytem w domu samotnej matki, z którego niedawno wróciła. Chwilę rozmawiały. Annika pokazała jej bobasa śpiącego w wózku – osobliwie

przypominającego akordeonistę z Hippe's, Johanna jąkałę – i zapytała, czy Mareike widziała już druty kolczaste rozciągnięte na zachód od wsi, u podnóży Wolfsbergu, Ramenbergu i Säuferhöhen. Wstępu w góry strzegą podobno uzbrojeni strażnicy i nie wolno tam wchodzić.

Mareike doskonale pamięta słowa Anniki, ale nie zamierza się nimi przejmować. Po prostu pójdzie do lasu za domem, po drugiej stronie doliny.

Zamyka drzwi na klucz i kieruje się ścieżką prowadzącą za stodołę, w stronę łąk. Mija ogródek warzywny, zagony z kapustą i marchwią, staw porośnięty przy brzegach tatarakiem i jabłoniowy sad. Zamyka za sobą furtkę i rusza na przełaj przez pastwisko. Brodzi w nieskończoności zdziczałego lnu, głaszcząc jego kwiatostany, i co chwilę schyla się po białe kapelusze kań, które skrywają się wśród traw.

Wreszcie dociera do polnej drogi. Na lewo, w oddali, widnieje szczyt Neumanns-Koppe, na prawo wznosi się lesista kopuła Schindelbergu. Ptaki śpiewają na drzewach przy miedzy. Słońce na chwilę wyłania się zza chmury i świeci prosto w oczy Mareike, całkiem ją oślepiając, więc zagradzający wejście do lasu szlaban zauważa dopiero wtedy, kiedy dociera do pierwszych świerków. Tuż przy nim, ukryta za krzakami, stoi budka strażnicza zbita z desek. Jeszcze kilka dni temu tego wszystkiego tu nie było.

– *Halt!* – Ze środka wyskakuje mężczyzna z papierosem w zębach, ubrany w brązowy mundur OT²⁰. Wypluwa niedopałek na trawę, gasi go butem i celuje do niej z mauzera.

Mareike zamiera w pół kroku, wpatrując się w oszołomieniu w zimne oko lufy.

– Co tu robisz, dziewczyno?! – krzyczy strażnik w jej stronę.

Ta scena – obcy mierzący do Mareike z karabinu u wrót lasu, który zna od dziecka – wydaje się jej tak pozbawiona sensu, tak nierealna, że nie potrafi wydobyć z siebie głosu. Zamiast odpowiedzieć, wyciąga przed siebie kosz, z którego wystają piegowate główki kań.

Strażnik opuszcza broń, a równocześnie gdzieś zza jego pleców, z głębi gór dochodzi przeciągły niski ryk, jakby ze zboczy Schindelbergu stoczył się gigantyczny głaz. Ziemia wpada w wibracje i Mareike nieomal czuje, jak jej struktury przemieszczają się i ścierają o siebie, jak coś pęka w jej skalnych wnętrzościach.

– Tu nie wolno wchodzić – mówi nieco łagodniejszym tonem mężczyzna, kiedy drgania ustępują. – Nie wiedziałaś?

Mareike kręci głową. Przypomina sobie słowa Anniki o zasiekach, o zakazach, nakazach. Ale to wszystko miało się dzieć po drugiej stronie wsi, pod Wolfsbergiem.

– Ja tu zawsze zbieram grzyby – wyjaśnia, odzyskując głos. – Mieszkam niedaleko.

– Teraz wstęp jest wzbroniony. Cały teren objęty został ścisłym nadzorem. Prowadzone są prace.

– Jakie prace? – Mareike wpatruje się w ścianę drzew, zza której doszedł huk.

Ludzie od miesięcy narzekają, że w spokojnej dotąd okolicy ruch jest jak w Berlinie i dzieje się coś dziwnego. Mareike sama ostatnio słyszała, jak *Vati* rozmawiał o tym z ich sąsiadem, panem Lehmannem, który pracuje na stacji kolejki elektrycznej w Wüstewaltersdorfie. Sąsiad twierdził, że ze względu na cofający się front w Eulengebirge powstaną tajne kwatery wojskowe czy może fabryki, i żalił się ojcu, że przez to mają na dworcu strasznie dużo dodatkowej roboty. Istny kocioł. Ostatnio taki ruch był tu przed wojną, gdy zimą przyjeżdżali narciarze. Teraz

przez dworzec przewalają się podobne tłumy, tyle że zamiast amatorów zimowego szaleństwa wagonami towarowymi przybywają więźniowie w pasiakach.

– Co tam budujecie? – dopytuje strażnika Mareike.

– Nie twoja rzecz, dziewczyno.

– Czyli nie mogę przejść?

– Nie wyraziłem się jasno? – Mężczyzna traci cierpliwość. Potrząsa karabinem, tym razem kierując jednak lufę w ziemię. – Już cię tu nie widzę. No dalej, wracaj do domu.

Mareike rusza z powrotem w stronę wioski. Przemierza pole lnu. W oddali majaczą czerwony dach domu i lustro stawu. Ma wrażenie, jakby niewidzialna obręcz zacisnęła się na jej świecie, a sklepienie nieba się obniżyło. Las nie jest już jej lasem, ptaki nagle przestały śpiewać i nawet łąka zdaje się pachnieć inaczej. Wojna, która dotąd istniała wyłącznie w komunikatach radiowych, w kronice filmowej i listach donoszących o śmierci jej braci, ta odległa, nierealna wojna, nagle tak się zbliżyła, że można poczuć jej zapach i dotknąć palcami.

Słońce chowa się za chmury, które nie przypominają już ptasich piórek, są z ołowiu i łez. Być może po południu będzie lać.

Mareike otwiera furtkę i wchodzi do sadu. Jest już blisko stawu, kiedy ciszę przecina dziwny dźwięk. Jakby westchnienie zakończone świstem, a po nim cichy, nierówny charkot, przypominający szczekanie psa. I cisza.

Słyszała kiedyś coś podobnego. Gdy pewnego razu wraz z Matthiasem natrafili w lesie na koziołka sarny, który wpadł we wnyki kłusownika. Matti za pomocą kija natychmiast rozwarł sprężynę, lecz dla zwierzęcia nie było ratunku. Stalowe zęby, zatrzaszkując się na jego szyi,

niemal odrywały łebek od reszty ciała. Koziółek, bulgocząc krwią, cicho skonał na rękach Matthiasa.

A teraz Mareike znowu słyszy ów znajomy odgłos kojarzący się jej ze śmiercią. Westchnienie, świst, charkot. I znowu cisza.

Robi kilka kroków w stronę stawu. Tatarak szeleści na wietrze, przesłaniając tafelę wody. Mareike rozgarnia trzcinę rękami.

Wtedy go dostrzega.

Jest jak wielki robak zwinięty na trawie. Włosy ma ogolone tuż przy skórze, a na białej jak prześcieradło twarzy szczecinę kilkudniowego zarostu. Czaszkę przecina półokrągła blizna po źle zrosniętej ranie, przy ustach pękają żółte bąbelki śliny. Jest chudy jak sklepowy manekin i chyba życia w nim równie niewiele. Ubrany w brudny i podarty pasiak, który w okolicach krocza znaczy plama krwi. Na jednej stopie tkwi drewniany chodak, drugą, bosą, pokrywa błoto.

Robak wygląda, jakby próbował wcześniej pić ze stawu i tak upadł, z twarzą tuż przy brzegu, z jedną ręką zanurzoną po łokieć w rozerwanej zielonkawej toni. Spierzchnięte wargi oblepia rzęsa wodna.

Chociaż sprawia wrażenie martwego – konający koziółek we wnykach – to gdy Mareike się nad nim pochyla, z jego ust znowu dochodzi świst oddechu. Przerażona robi krok w tył. Mężczyzna, kaszląc, obraca się na plecy, a ona zauważa wyblakłą żółtą gwiazdę na jego koszuli.

Jude!

Żyd w ich ogrodzie. Na pewno uciekinier z jednego z obozów w górach.

Mareike musi natychmiast wsiąść na rower i poinformować posterunek w Wüstewaltersdorfie. Posłuszeństwo i obowiązek ma wdrukowane w swoją aryjską główkę. I nadal jest członkinią Bund

Deutscher Mädel, mimo że *Kluft* jakiś czas temu schowała na dno szuflady, a od zbiórek wymawia się nadmiarem zajęć.

Biegnie w stronę domu. Musi donieść na Żyda – na pewno właśnie tak postąpiłaby Annika i większość mieszkańców Rudolfswaldau – musi na niego donieść, zanim tamten, dzikie zwierzę, ocknie się i z kłami rzuci do jej szyi.

¹⁸ (niem.) Średnia szkoła ogólnokształcąca.

¹⁹ (niem.) Szkoła zawodowa.

²⁰ Organizacja Todt, *Organisation Todt*, stworzona w 1938 roku w celu budowy obiektów wojskowych dla III Rzeszy.

Teraz – Maria

Śni mi się noc na Niczyjej: gwiazdy w dotyku chłodne i śliskie, las i krew. Wszędzie krew. W uszach miarowe postukiwanie kołowrotka, krzyk saren. Nad moją głową świerki. Krążę między drzewami jak po labiryncie. Kręcę się w miejscu. Otwieram usta, ale głos grzęźnie w gardle. W środku mam kłęb przędzy, duszę się nią. Próbuję ją wyciągnąć, ale ona się nie kończy.

Budzę się zrana potem, oversizowy T-shirt, którego używam zamiast piżamy, klei się do ciała, skopana kołdra leży w nogach materaca. Nade mną drewniany sufit pomalowany na biało. Wszystko białe. Obce miejsce, obcy zapach. Chwilę trwa, nim dociera do mnie, gdzie jestem.

Schodzę z antresoli, odnajduję puszkę z kawą i włączam ekspres. Kiedy filiżanka się napełnia, wyglądam przez okno. Słońce pulsuje na bezchmurnym niebie. Nocą musiało padać, ponieważ deski na tarasie są mokre, a z trawnika łypią na mnie oka kałuż – spałam tak mocno, że nic nie słyszałam.

Biorę kawę, telefon i laptopa, wychodzę na zewnątrz. Jest ciepło, ale jeszcze nie upalnie, powietrze przejrzyste i rześkie. Patrę na góry i wsłuchuję się w ich szept. Jest tak spokojnie. Być może umiałabym się cieszyć chwilą, gdyby nie fakt, że w najbliższych dniach będę musiała zmierzyć się ze sprawami, które przekładałam od lat; z tarasu nie mogę zobaczyć domu babki, jest schowany za pagórkami, a jednak bezustannie czuję jego obecność, jakby stary mur nadnaturalną mocą wyczuwał, że tu jestem. Słyszę, jak oddycha, jak pomrukuje, wiem, że mnie obserwuje i czeka. Próbuje mi powiedzieć o czymś, na co wciąż nie jestem gotowa.

Upijam łyk kawy i otwieram Instagrama w telefonie. Odpisuję na komentarze pod wrzuconym wczoraj zdjęciem z przełęczy, potem sprawdzam maile w skrzynce, odpowiadam na najpilniejsze, aż wreszcie zaglądam do kalendarza. Dzisiejsze spotkanie autorskie zaplanowane mam na siedemnastą w wałbrzyskiej bibliotece. Zostało mnóstwo czasu, ale nie mam ochoty czekać tutaj. Wolę jechać do miasta.

Dopijam kawę, biorę szybki prysznic, wkładam białą koszulę i beżowe chinosy podwinięte nad kostkę. Włosy zbieram w niedbały kok na czubku głowy. Nie farbuję ich, ale pierwsze srebrne nitki całkiem nieźle wkomponowują się w mój mysi blond, dodają mu świetlistości.

Myślę, czy nie powinnam się umalować, ale na pełen makijaż nie mam ochoty. Ostatecznie decyduję się pociągnąć rzęsy tuszem, a na usta nakładam wściekle czerwoną szminkę – pomadka w takim kolorze daje mi poczucie bezpieczeństwa, odciąga uwagę od oczu. Zaciskam wargi na chusteczce higienicznej, wtedy kolor utrzymuje się dłużej, i spoglądam w lustro, staram się uśmiechnąć.

Zamykam drzwi domku i wsiadam do samochodu. Gdy jestem na drodze, uchylam okna i szyberdach, wciskam gaz. Mini cooper podskakuje na wertepach. Czuję wiatr we włosach i odzyskuję dobry humor. Wyjeżdżam na asfalt, mijam nieczynny zajazd, kilka rozpadających się chałup, budynek, w którym dawniej, zaraz po wojnie, a może i przed nią, siedzibę miała szkoła podstawowa – a teraz, jak wskazuje czerwona tabliczka, mieści się wiejska świetlica – i mknę doliną w stronę miasta. Na lewo miga mi mały domek Wróblowej. Całkowicie zarósł chaszczami. W żadnym z okien nie ma szyb, dach zapadł się do środka. Na pewno nikt tam od dawna nie mieszka. Dziś kobieta musiałaby mieć z dziewięćdziesiąt lat, więc podejrzewam, że nie żyje.

Z odbicia na Osówkę wytacza się autobus wycieczkowy. Przepuszczam go, bo przecież nigdzie mi się nie spieszy.

Na ostatniej kanapie, tyłem do kierunku jazdy, klęczą dzieciaki. Mają może po dziesięć lat. Nie potrafię dokładnie ocenić ich wieku. Sama nie mam dzieci. Te z autobusu szczerzą się do mnie, stroją miny i machają – kto tego kiedyś nie robił – więc i ja się uśmiecham, odmachując im raz za razem.

Był czas, że bardzo pragnęłam zostać matką, śniłam o tym, wyobrażałam sobie, jak spaceruję z wózkiem, zmieniam dziecku pieluchy, potem czytamy książeczki na dobranoc, układamy wieże z klocków, całuję jego zdarte kolana, chodzę na wywiadówki, a jeszcze później, gdy dorasta, staje się dla mnie partnerem, mamy wspólne pasje, tajemnice, własny świat, przyjaźnimy się, kochamy, obdarzamy szacunkiem i czułością. Matka i dziecko. Bardzo tego chciałam, jednak okazało się to niemożliwe. Nie, to nie moje ciało stanowiło przeszkodę. Przeszkoda tkwiła jedynie w głowie – a dokładniej w tym ciemnym, mrocznym miejscu, ulepionym z trzech sierpniowych dni, o których istnieniu staram się nie pamiętać.

Myślałam, że może z czasem pokonam blokadę, przełamie się. Po prostu pójdę z kimś do łóżka jedynie po to, żeby zostać matką. Plemniki, komórka jajowa, prokreacja, kilka ruchów bioder i po wszystkim. To przecież takie naturalne, takie proste. W moim życiu było nawet kilku mężczyzn, których mogłabym poprosić o przysługę, ale na samą myśl, że musiałabym ich dotykać i sama znieść czyjś dotyk, czułam, jak zamieniam się w kamień.

Przez większość dorosłego życia boję się, że ktoś w końcu odkryje moją tajemnicę, połamie się w misternie skonstruowanym teatrze półprawd. Zrozumie, że wszystkie związki i relacje, w których bywałam,

to zasłona dymna, za którą ukrywam się ja, nastolatka zwinięta w kłębek w poniemieckiej piwnicy.

Ludzie jednak chcą wierzyć w pozory, w najbardziej czasem niespójne, choć łatwe rozwiązania, i mierzą innych swoją miarą. Czy ktoś taki jak ja, ekstrawertyczka otoczona wianuszkami przyjaciół, pisarka prowadząca bujne i ciekawe życie, może być aseksualny? Przecież w powieściach, które tworzę, nie stronię od erotyki, więc czy ktokolwiek uwierzyłby, że przez całe dorosłe życie nie pozwoliłam się nikomu dotknąć?

Na szczęście ludziom wystarczą słowa, ze słów można zbudować każdą prawdę.

Droga wije się dnem doliny. Wyczekuję prostego odcinka, aż wreszcie redukuje bieg, ostatni raz macham dzieciakom z tylnej kanapy, wciskam gaz i wyprzedzam autobus.

Po lewej stronie miga mi dom, który kiedyś często odwiedzałam. Tam mieszkała moja wakacyjna koleżanka. Stare graby stoją, jak stały, ale budynek wygląda na bardziej zaniedbany, niż zapamiętałam. Na podwórku parkuje znajomy land rover discovery tego faceta, Witka. Pod klonem nie ma już bujawki z opony, a zamiast tego królują plastikowa zjeżdżalnia i trampolina. Żywopłot ze świerków, dawniej zasłaniający pensjonat, usechł, ukazując zarośnięty chwastami i krzakami plac. Spoza zieleni wyłaniają się resztki spichlerza. Łypią na mnie czarnymi oczodołami powybijanych okien, ceglane mury wyglądają, jakby były osmolone – musiało tu dojść do pożaru.

Dostaję gęsiej skórki, włoski stają mi na rękach, jest mi zimno, chociaż nie włączałam klimatyzacji.

Dociskam gaz, chcę czym prędzej opuścić to miejsce. Staram się skupić na krajobrazie. Wciąż jest tu bardzo pięknie.

Mijam drogowskaz na cmentarz Ofiar Faszyzmu, a zaraz potem zabudowania przedwojennej fabryki tkackiej. Wygląda na to, że teraz mieści się tu także jakiś zakład, jednak z tego, co opowiadała mi babka Maryjka, w czasie wojny infrastruktura i teren wokół służyły zupełnie innym celom. Pod koniec czterdziestego trzeciego utworzono tu filię obozu Gross-Rosen, a w niej szpital zwany „Rewirem”, czyli umieralnię dla więźniów, którzy żywcem pożerani przez wszy, choroby i głód gołymi rękami wydzielali górom wnętrzości, realizując szalony projekt Riese. Babka opowiadała, że w masowych grobach pod Światowidem pochowano dwa tysiące nieszczęśników, a jednego z nich widziała na własne oczy.

Podobno któregoś razu, gdy szła tędy po zmierzchu, wiele lat po wojnie, zaczepił ją dziwny chudy facet w pasiaku, o twarzy niemal przezroczystej i martwym spojrzeniu. Zwrócił się do niej w języku, którego nie знаła. A potem, tak niespodziewanie, jak się pojawił, rozpląnął się w mroku.

Nigdy nie wierzyłam w tę jej bajeczkę i dziś także nie wierzę. Jestem dorosła. I uporałam się z większością wspomnień dotyczących tamtego lata. Babka Maryjka nie żyje. Tamtej nastolatki, Mani, też już nie ma.

Dawno – Mareike

Żółta gwiazda na pasiaku, sitowie śpiewa: *Jude, Jude...*

Jude!

Umierający Żyd przy ich stawie. Powinna na niego donieść. Na posterunku będą wiedzieli, co z nim zrobić.

Mareike w panice puszcza się biegiem w stronę domu. Przecina w poprzek zagony z kapustą, nie zważając, że depcze warzywa, i zdyszana dopada do torpedo-werke stojącego przy schodach. Tu się zatrzymuje. Serce wali jej w piersi. Stanowczo za dużo się dzieje jak na jeden poranek: najpierw oko mauzera w lesie i ziemia rozstępująca się z trzaskiem pod nogami u stóp Schindelbergu, a teraz to.

Jude!

Mareike pierwszy raz w życiu widzi Żyda z bliska. Podobno dawniej kilka żydowskich rodzin mieszkało w Wüstegiersdorfie, lecz nie byli tu mile widziani i wyprowadzili się na kilka lat przed wojną. Ale i bez tego Mareike wie o nich wszystko, wszak na lekcjach *Rassenkunde*²¹ Frau Paschke drobiazgowo przerabiała to zagadnienie, opierając się na teoriach naukowych i obiektywnych badaniach, a potem jeszcze zaprowadziła klasę do kina na *Der ewige Jude*. Mareike wciąż pamięta, jak szczegółowo omawiały ten temat w salce przy młynie podczas *Heimabend*. Żyd to szczur przenoszący choroby. Podstępna kreatura z wielkim haczykowatym nosem, odstającymi uszami i wyłupiastymi czarnymi ślepiami.

Stojąc przy schodach domu, Mareike słyszy w głowie podniecone krzyki koleżanek i słowa Anniki Hermann: „Żydzi to plaga Europy!”

i ogarnia ją coraz większe przerażenie. Chwyta za kierownicę. Wsiada na siodełko.

Słyszy głos *Ringführerin* Katharine Koch: „Skład jego krwi jest inny niż naszej: ma smak i konsystencję błota”. I świst oddechu unieruchomionej we wnykach sarny. Widzi Matthiasa, który bierze zwierzę na ręce, i ojca stojącego nad dopalającym się w piecu portretem Hitlera, który mówi: „Oszukali nas, Mareike, wszyscy nas oszukali...”.

Zsiada z roweru. Odstawia go z powrotem pod ścianę domu. I robi coś, czego nie rozumie.

Wbiega po schodach, otwiera drzwi i idzie do kuchni. Porzuca kosz z grzybami i chwyta dzbanek z wodą. Zawraca do wyjścia, okrąża dom, mijają zagony z kapustą i marchwią i podchodzi nad staw.

Mężczyzna leży tam, gdzie go zostawiła, i cicho pojękuje. Mareike klęka przy nim, nachyla się. Od jego ciała bije odór potu, krwi i zgnilizny. Pasiak znaczą czarne kropki wszy. Wszystko się na nim rusza. Brunatny zaciek na spodniach chyba jeszcze bardziej się rozrósł.

– Halo. – Delikatnie potrząsa mężczyzną, chwytając go za ramię.

Suche wargi się poruszają i zaczynają chwytać powietrze. Żyd zanosi się kaszlem. Jego twarz pokryta spękany błotem przypomina pośmiertną maskę.

– Halo – powtarza. – Słyszysz mnie pan?

Tamten nieznacznie unosi powieki. W jego spojrzeniu maluje się przerażenie. Tęczówki nie są czarne, jak przekonywała *Frau Paschke*, ale w kolorze łupinek orzecha. Zarost z bliska wydaje się jaśniejszy. Włosy mają złotawy połysk.

Mężczyzna wykonuje niezdarny ruch, jakby chciał się podnieść i uciec, jednak zamiast tego jego ciałem znowu wstrząsa spazm. Dławi

się śliną. Mareike, walcząc z obrzydzeniem, kładzie dłoń na wynędniałej piersi i przytrzymuje go na miejscu.

– Spokojnie. Nic panu nie zrobię. Przyniosłam tylko wodę. *Wasser* – powtarza, wskazując na dzbanek.

Człowiek w pasiaku na powrót nieruchomieje. Być może nie zna niemieckiego i nie rozumie, czego Mareike od niego chce, jednak wiodąc wzrokiem za ręką, którą dziewczyna sięga po wodę, nieco się uspokaja. Wyciąga szyję, jak pisklę, rozchyła usta. Mareike, podtrzymując mu głowę, podsuwa brzeg dzbanka.

– *Langsam...* – Wlewa mu kilka kropel do ust.

Obserwuje go z ciekawością. Nawet jeżeli jest Żydem, to raczej nie miałby siły, by rzucić się jej do gardła czy ją okraść. Nie wydaje się groźny. A przy tym nie tak stary, za jakiego uznała go w pierwszym momencie. Pod warstwą błota ukrywa się wymizerowana młoda twarz. Bardziej nawet chłopięca niż męska.

Obcy pije jeszcze przez chwilę, wreszcie odchyła się i spogląda na nią nieco przytomniej. Zaczyna coś bełkotać, jednak Mareike nic nie rozumie. Nie rozpoznaje nawet języka, w którym do niej mówi. Może to rosyjski, a może polski. Raczej ten drugi, bo słowa przypominają skrobanie paznokciem o bębunki uszu. Mnóstwo w nich szeleszczących i świszczących zbitek „sz”, „cz”, „rz”.

– *Ich verstehe nicht*²².

Chłopak wciąż na nią patrzy, stara się coś tłumaczyć, aż wreszcie daje za wygraną i mówi po niemiecku jedno słowo:

– *Danke.*

Mareike wypuszcza jego głowę. Powinna go tak zostawić.

Przecież nie może go tak zostawić.

– *Komm*. Nie możesz tu zostać. Ktoś mógłby cię zobaczyć. To zbyt niebezpieczne.

Działa instynktownie. Silna dziewczyna z Bund Deutscher Mädel. W końcu – cóż za paradoks! – przyda jej się sprawność fizyczna, której nabyła podczas zbiórek i wielokilometrowych marszobiegów w terenie. Wsuwa ręce pod ramiona omdlewającego chłopaka. Próbuje podźwignąć go z ziemi. Nie jest ciężki – składa się ze skóry, kości i strachu – lecz jego ciało jest zupełnie bezwładne, nie współpracuje.

– Musisz mi pomóc – prosi. – No dalej.

Tamten całym ciężarem opiera się na niej. Należy postawić go do pionu. Pod palcami Mareike czuje kości kręgosłupa i każde żebro. Ciągnie go do góry. Stoi, stoją. On zawieszony na niej jak szmaciana lalka.

Dziewczyna wkopuje do wody chodak, który spadł mu ze stopy. I teraz do przodu, jeden krok i drugi. Każdy ruch musi mu sprawiać ból, bo z ust dobywa się jęk. Krok za krokiem. Metr za metrem. Plama na spodniach pasiaka błyszczący od świeżej krwi. Krok za krokiem.

Zatrzymują się przy zagonach z kapustą. Mareike oblewa pot. Ma wrażenie, że cała jest już brudna i śmierdząca, że oblażą ją wszy. Chłopak wciąż jest półprzytomny, ale próbuje powłóczyć nogami. Posuwają się wzdłuż tylnej ściany domu, w stronę schodów prowadzących na poddasze. Mareike improwizuje, nie wie, gdzie powinna ukryć uciekiniera, nie wie nawet, czy postępuje właściwie.

I znowu przerwa, chwila, by złapać oddech. Smród jest nie do zniesienia. Kręci ją w nosie i zbiera się na wymioty. Chłopak dyszy, zwiesza głowę. Jeszcze tylko kilka metrów.

Teraz najtrudniejsze. Muszą się wspiąć na górę. Schodek za schodkiem. W tym tempie ich wędrówka będzie trwać wieki. Z miejsca,

gdzie stoją, całą wioskę widać jak na dłoni. Ze wsi zaś dokładnie widać ścianę domu, a na niej schody i wejście na poddasze – a w tej chwili również Mareike i człowieka w pasiaku. Wystarczy, że *Herr Schutt* wyjdzie przed swój *Gasthaus* albo ktoś będzie szedł drogą. Ale na szczęście nic podobnego się nie dzieje. Wokół żywego ducha, tylko nad szczytami zbierają się deszczowe chmury.

I znowu w górę. Jeszcze kilka stopni. Mareike w życiu tak się nie zmęczyła. Zatrzymują się na platformie przed drzwiami. Mareike odsuwa drewniany skobel, ze środka napływa zapach drewna i lnianego suszu: woń historii tkackiego domu, *Omy Ursuli* i dobrych wspomnień.

Wprowadza chłopaka do środka. Otwartą przestrzeń zajmują ułożone pod ścianami snopki niewymłóconego lnu, obok nich leżą przygotowane już włókna paździerza, dookoła stoją kołowrotki, krosna, międlarka, trzepak, kilka starych mebli i od dawna nieużywane sprzęty domowe, należące jeszcze do gospodarza Galatkego. Ze sznurów rozpiętych pod krokwiami zwisają surowe, niewybielone kupony płótna. Centralne miejsce zajmuje stary żeliwny piecyk. W świetle wpadającym do środka przez szczeliny między deskami tańczą drobiny kurzu.

Mareike, podtrzymując chłopaka, zamyka drzwi. Poddasze ogarnia półmrok. Prowadzi go w odległy kąt pomieszczenia, pomaga mu usiąść na podłodze i opiera plecami o ścianę.

Uciekinier wygląda, jakby zaraz miał skonać, zamyka oczy i chyba znowu traci świadomość, bo osuwa się na deski. Niech leży. Niech odpoczywa. Mareike tymczasem zabiera się do pracy, przesuwa meble pod ściany, robiąc miejsce na posłanie, zamiata podłogę i przyciąga stary siennik. Na koniec przewiesza kupony płótna, by wydzielić prowizoryczny pokój.

Gdy wszystko jest gotowe, nachodzą ją wątpliwości. Co powie ojcu? A może po prostu nic nie powie? Tak chyba będzie najlepiej. Może ten

tutaj odeśpi i sobie pójdzie? Mareike zerka na plamę krwi na jego spodniach i wie, że nic takiego się nie zdarzy.

Zwrotnica losu przesuwa się ze zgrzytem.

Podchodzi do niego, przykuca, potrząsa chudym ramieniem. Brak reakcji. Chłopak ledwie co oddycha. Mareike pomyśli jutro, co dalej, a teraz trzeba działać, zanim wszy rozleżą się po całym strychu.

Idzie do drzwi, zamyka je na skobel od zewnątrz, zbiega po schodach i okrąża dom. Kieruje się prosto do kuchni. Spogląda na zegar, dochodzi dziesiąta, więc do powrotu ojca zostało mnóstwo czasu. Dorzuca węгла pod kuchnię, stawia na płycie garnek z wodą i czekając, aż ta się zagotuje, do worka po mące pakuje wszystko, co może jej się przydać. Mydło, nóż, szmatki, ręczniki. Z szafki aptecznej wiszącej nieopodal kredensu dobywa bandażę, nalewkę z sabadyli, gazę i jodynę – na zajęciach Bund Deutscher Mädels uczone ją, jak opatruje się rany.

Wreszcie przelewa ukrop do miski, zabiera worek i wraca na poddasze.

Żyd wciąż leży na podłodze. Mareike chwytą go pod pachy i ciągnie na posłanie. To dziwne, że dorosły mężczyzna jest taki lekki. Waży pewnie tyle co ona, a może nawet mniej. Układa go na plecach na sienniku.

O dach uderzają pierwsze krople deszczu.

Mareike przemywa szmatką twarz chłopaka. Od skóry odpadają suche strupy błota. Gdyby nie chudość i bladość, można by go uznać za całkiem niebrzydkiego. Nie ma haczykowatego nosa, o którym Mareike tyle słyszała, ani wyłupiastych oczu, za to ładne małe uszy. Myje mu głowę sabadylą, a potem nożem rozcina koszulę, wyciąga mu ją spod pleców i odrzuca z obrzydzeniem na podłogę. Na zapadniętej klatce piersiowej widnieją siniaki i ślady po ukąszeniach. Mareike delikatnie

obmywa skórę wodą z mydłem. Przesuwa szmatką po przedramionach i dłoniach popękanych do krwi. Próbuje nie myśleć, jak do tego doszło, że to młode ciało wygląda jak nadpsuty worek mięsa, ale w uszach nieoczekiwanie słyszy śmiech szalonego Andreasa Klimkego: „Byliśmy bestiami, mordercami, gwałcicielami...”.

Kończy przecierać ostre krawędzie żeber, które sprawiają wrażenie, jakby w każdej chwili mogły przebić błonę skóry, a potem brzuch. Od pępka ciągnie się pręga poskręcanych włosów, by zginać pod paskiem.

Mareike wie, jak zbudowany jest mężczyzna. Niemieckie dziewczęta nie mogą być pruderyjne, muszą wiedzieć, do czego służy ciało, żeby z radością, w poczuciu powinności, oddawać je do dyspozycji Rzeszy. Zagadnienia prokreacji stanowiły dużą część zajęć już w *Volksschule*²³, a potem *Grundschule* oraz zbiórek BDM, a Mareike miała ponadto dwóch braci, których wiele razy w dzieciństwie widziała bez ubrania. Nie powinno jej nic dziwić ani krępować, a jednak teraz ma opory, by rozebrać chłopaka do końca. Przez chwilę się waha. Gdyby nie rana, która najprawdopodobniej znajduje się w pachwinie, być może zrezygnowałaby z dalszych ablucji.

Znowu chwyta za nóż. Wsuwa go w wylot jednej z nogawek i powoli ciągnie w górę, aż po wystającą kość miednicy. Przecina pasek. Potem to samo robi z drugą nogawką, tu, gdzie znajduje się rana. Na nożu i dłoniach zostaje jej krew. Mareike na moment odwraca głowę i zaciska powieki. Kilka razy głęboko oddycha, a potem wyciąga portki spod chłopaka.

Patrzy na ranę. Skóra rozplątana jest od wnętrza uda i ciągnie się w poprzek ku rzepce kolana. Rozszarpane brzegi rozeszły się na co najmniej dwa palce, odsłaniając żywą tkankę, która nieprzerwanie pulsuje krwią. Całe udo, krocze i włosy łonowe pokryte są skorupą czarnej skrzepliny.

Mareike zanurza szmatkę w misce i centymetr po centymetrze, omijając ranę, przeciera udo, dół biodrowy i włosy. Woda robi się czerwona. Mareike nie ma ani wystarczającej wiedzy, ani tym bardziej medycznego doświadczenia, ale nawet ona jest w stanie ocenić, że rana jest zbyt głęboka i rozległa, by mogła sama się zrosnąć. Należałoby ją zszyć. Może chłopak uciekał przez druty kolczaste i stąd te obrażenia? Pochyliła się nad udem i wącha. Jeszcze nie śmierdzi, a zatem to świeża sprawa. Może jednak wystarczy zdezynfekować i opatrzyć? Powstrzymując mdłości, zaczyna przemywać dziurę w nodze jodyną, ale gdy tylko przykładła zwilżony gazik do rozdartej skóry, z ust chłopaka dobywa się syk. Szarpie się na posłaniu, jęczy.

– Musisz wytrzymać – mówi Mareike, przykładając wacik do różowych tkanek.

Ręce po łokcie ma już uwalane krwią. Krew ma na twarzy, na bluzce i na warkoczach. Czuje ją nawet w ustach. Ta krew w smaku niczym nie różni się od jej krwi. Nie miała racji *Ringführerin* Katharine Koch. Głupia krowa.

Mareike nakłada gazę na ranę, ciasno bandażuje i na koniec okrywa chłopaka dwoma kocami, które znalazła w skrzyni. Ciężkie krople walą o dach. Wiatr wyśpiewuje nokturny w kominie.

Zbiera pokrzwawione szmaty i ręczniki do worka. Zwija w kłęb pocięty pasiak – zaraz wrzuci go do pieca – ostatni raz spogląda na ciało, które leży nieruchomo na sienniku, i wychodzi na deszcz.

²¹ (niem.) Nauka o rasach.

²² (niem.) Nie rozumiem.

²³ (niem.) Szkoła publiczna dla uczniów do 10. roku życia.

Noc Mokosz

Wtedy – Mania

Gdy przekraczam nowy most prowadzący do pensjonatu Wasylków, jest dobrze po dwudziestej i nad górami zapadł już zmrok.

Ostatnio zaczęłam tu przychodzić niemal każdego wieczoru. Nuda w domu babci jest nie do zniesienia, a tutaj przynajmniej mam do kogo otworzyć usta.

Po kolacji, a przed ciszą nocną, uczestnicy obozu sportowego zwykle zbierają się za budynkiem spichlerza. Trochę grają w siatkę, trochę pajacują, za żywopłotem, gdzie znajduje się miejsce na ognisko, popalają fajki i piją piwo przemycone do pensjonatu przez Dominikę. Czasami ktoś wrzuci kilka szczap w palenisko, rozpala ogień i piecze na patyku kielbasę przyniesioną z kuchni od pani Wasylko, a czasami ogarnia nas letnie znużenie, nikomu nic się nie chce i po prostu siedzimy w świetle gwiazd. Góry mruczą za naszymi plecami, a my gadamy o różnych głupotach: o filmach – komu bardziej podobało się *Siedem*, a komu *Adwokat diabła* – albo o wyższości rockowych festiwali nad imprezami techno. Wakacyjna atmosfera gęstnieje, a powietrze tną sprośne żarty.

Chłopaki wydają się zupełnie w porządku. Brakuje im damskiego towarzystwa, bo dziewczyn na obozie jest jak na lekarstwo, w nich zaś buzuje testosteron, ale spod ulizanej uprzejmości czasami wypełza nieudolnie skrywane poczucie wyższości. Oni, licealiści z Warszawy, crème de la crème stołecznej młodzieży, i my, panny nikt, nieobyte prowincjonalne gąski w tanich chińskich tenisówkach. Traktują nas trochę z góry, jednak Dominice to nie przeszkadza. Jest w swoim

żywiolo i flirtuje to z tym, to z tamtym, chociaż upatrzyła sobie szczególnie jednego z nich: chudego, o długich włosach i wyglądzie Jezusa, który ma na imię Juliusz, Julek. Jest nieco dupowaty, ale chyba najsympatyczniejszy z nich wszystkich.

Mnie nikt się nie podoba, więc trzymam się z boku i raczej nie biorę udziału w tych godowych tańcach. Tłumaczę sobie, że przychodzę tu z braku ciekawszych rzeczy do roboty, choć w głębi duszy chyba za każdym razem liczę, że znowu wpadnę na Huberta. Łapię się na tym, że siedząc na boisku albo przy ognisku, raz za razem zerkam w stronę odremontowanej bielarni, która skrywa się w głębi posesji. W środku zwykle świeci się światło, a zatem on tam jest.

Dominika wspomniała, że urządził sobie wewnątrz małą pracownię, siedzi nad książkami albo przy komputerze. Nikomu nie wolno tam wchodzić, żeby nie zakłócać mu niesłychanie skomplikowanych i arcyważnych procesów myślowych. Nawet pani Wasylko rzadko tam zagląda, a jedzenie zostawia synowi na progu.

Samotny naukowiec, pasjonat postmodernizmu i Laury Palmer ukrywający się w tajemniczej poniemieckiej bielarni lnu na zapadłej wsi – coraz bardziej mnie intryguje, a jednak więcej go nie spotykam.

Aż do tego wieczoru.

Przechodzę przez most i mijam staw. Żwir na podjeździe chrzęści mi pod nogami. Zza spichlerza bije światło – nad boiskiem palą się lampy – niebo spowija luna. Odgłosy toczącego się na tyłach meczu niosą się po wilgotnej trawie.

Zauważam ich, gdy jestem już niemal przy samym budynku pensjonatu. Stoją skryci w półmroku, przy bocznej ścianie, tej, po której pnie się winobluszcz. W pierwszej chwili myślę, że chłopak stojący obok Dominiki to Julek, ponieważ opadające włosy zasłaniają mu twarz. Ona przywiera plecami do muru, on, oparłszy rękę nad jej głową, nachyla się

nad nią. Z daleka wyglądają, jakby się całowali. Przez chwilę myślę, czyby do nich nie podejść i nie zażartować, że kiepsko się ukryli, lecz kiedy pokonuję dzielącą nas odległość, dociera do mnie, że to nie chłopak z obozu, lecz Hubert. Siostra i brat. Nieoczekiwane odkrycie sprawia, że porażona zastygam w miejscu. Czuję, że patrzę na coś, czego nie powinnam zobaczyć. Nie takiej bliskości można by się spodziewać po rodzeństwie. Oczy przyzwyczajają się do szarówki, a wtedy z niejaką ulgą zauważam, że Hubert jednak nie całuje Dominiki, ale tylko szepcze jej coś do ucha. Jednak i tak wyczuwam między nimi osobliwe napięcie. Na twarzy Domy rysuje się wyraz, którego dotąd nie znałam – strachu pomieszanego ze złością.

W tym momencie mnie zauważa. Jest zmieszana, natychmiast odpycha brata. Hubert też się orientuje, że nie są sami. Zerka na mnie przez ramię, bąka coś, co brzmi jak „cześć”, a potem szybkim krokiem oddala się w stronę swojej samotni.

Dominika odkleja się od muru. Atmosferę można ciąć nożem.

– Fajnie, że przyszłaś – mówi z głupkowskim uśmiechem, po czym chwyta mnie pod rękę i ciągnie w stronę boiska. – Nie wiem, Mania, co sobie pomyślałaś...

– Nic sobie nie pomyślałam – wchodzę jej w słowo. Nie wiem, co o tym myśleć, nie chcę drażnić tematu. Może faktycznie źle zinterpretowałam to, co zobaczyłam.

– Wiesz, może to dziwnie wyglądało, ale my tylko rozmawialiśmy – tłumaczy dalej z przesadną swobodą. – Hubert chciał się mnie poradzić w pewnej sprawie.

– Okej, naprawdę nie musisz nic więcej mówić – ucinam.

Okrażamy budynek. Mecz chyba właśnie dobiegł końca, bo chłopaki z wygranej drużyny wydzierają się w euforii, poklepując się po plecach.

Julek – tym razem to na pewno on – macha do Dominiki, wskazując głową na żywoplot, za którym zwykle przesiadujemy.

Część lamp nad boiskiem gaśnie.

– Hej!

Obok nas w półmroku wyrasta opiekun chłopaków, Bartek. Wysoki blondyn w koszulce z nadrukiem warszawskiego AWF-u i gwizdkiem na szyi. Ma ładny uśmiech i wysportowane ciało. Widziałam, jak dawał wycisk uczestnikom obozu na treningach. Przedwczoraj całą grupą przebiegli niedaleko domu babci. Obserwowałam ich z okna na piętrze. Bartek nie miał koszulki, na załamaniach mięśni lśnił pot – nie pociągają mnie napakowani goście w jego typie, lecz tego lata coś dziwnego dzieje się z moją wyobraźnią.

– Słuchaj, Dominika... – zaczyna poważnie Bartek, a ja myślę sobie, że zaraz będzie przypał. Koleś nie wygląda na idiotę i zapewne się domyśla, skąd jego podopieczni mają browar i fajki. Dominika, podobnie jak ja, też wyraźnie się spina. – Mam taką nietypową sprawę. Mieszkasz tu, więc na pewno wiesz co nieco o poniemieckich obiektach, które znajdują się w okolicy.

– O Riese? Jasne. – Doma oddycha z ulgą.

– Wczoraj byliśmy na wycieczce w Walimiu – ciągnie Bartek. – Zwiedziliśmy tamtejsze sztolnie, ale kilka osób czuje niedosyt. Przewodnik był do niczego, jakby za karę nas oprowadzał.

– Może zajrzyjcie do Osówki. Od jakiegoś czasu udostępniają turystom fragment kompleksu. To rzut beretem stąd.

– Wiem, ale... Mnie nie chodzi o typowe zwiedzanie z przewodnikiem. Słyszałem, że... Mówiąc wprost: chcielibyśmy w kilka osób zejść na dół i zobaczyć to, czego nie udostępnia się turystom.

Doma kiwa głową.

– Część korytarzy jest zalana – stwierdza z zagadkową miną.

– Tak słyszałem – przytakuje Bartek.

– Jednak część... – Dominika zawiesza głos. – Mieszka tu w okolicy pewien chłopak, Misiek. Mój brat się z nim kumpluje. Ojciec Miśka zna ukryte wejście do kompleksu.

Na wspomnienie Huberta przed oczami znowu staje mi scena sprzed kilku minut. Dominika i jej brat pod ścianą spichlerza. Może naprawdę tylko rozmawiali. Spoglądam w stronę bielarni. W środku właśnie zapaliło się światło. Chciałabym kiedyś tam wejść, zajrzeć w świat tego dziwnego chłopaka.

– Mógłby nas sprowadzić pod ziemię? – pyta Bartek. Słowa Dominiki wyraźnie rozbudzają jego wyobraźnię.

– Pewnie tak, ale on za friko tego nie robi.

– Żaden problem, zapłacimy mu – rzuca coraz bardziej podekscytowany.

– Nie chodzi o kasę. – Doma kręci głową. – Ojciec Miśka ma plantację truskawek. Ponad dwa hektary ziemi w dolinie pod Wielką Sową, a ludzi chętnych do zbierania owoców w okolicy jest jak na lekarstwo. Zarobek gówniany, a harówa okropna. Wszyscy albo wolą kraść na biedaszybach, albo jadać robić do Reichu. Jak ktoś chce, żeby go stary oprowadził po sztolni, musi swoje odrobić na jego polu. Pamiętam, że nie dalej jak w zeszłe wakacje harcerze z obozu wędrownego u niego pracowali. Potem zaprowadził ich pod ziemię. Cały dzień tam łazili. Ojciec Miśka ma mapy po swoim ojcu, to znaczy dziadku Miśka. Tamten łaził po sztolniach zaraz po wojnie, jak jeszcze Ruscy nie wszystko stamtąd wywieźli. Rozrysował przebieg wszystkich szybów,

przejścia, zawały, kanały wentylacyjne i przekazał dokumentację synowi.

Bartek uśmiecha się, ukazując rząd białych zębów.

– Słuchaj, Dominika, a mogłabyś z tym Miśkiem pogadać? Niech zapyta ojca, czyby nas nie zabrał na taką wycieczkę. Jak trzeba, to i truskawek możemy pozbierać. Moje chłopaki chętnie w to wejdą. Popracują zamiast treningu.

– Okej, pogadam.

– Świetnie, daj znać, gdy czegoś się dowiesz – rzuca na odchodne i znika za załomem budynku.

Zostajemy same. Zza żywopłotu niosą się śmiechy, pachnie dymem, widocznie chłopaki rozpalili już ognisko. Dominika odwraca się do mnie.

– I co ty na to, Mania? Miałabyś ochotę na wycieczkę po tutejszych podziemiach?

Przechodzi mnie dreszcz. Z otwartego okna bielarni napływają akordy elektrycznej gitary z *Twin Peaks Theme*.

Dawno – Mareike

Mareike po cichu wchodzi na poddasze i zbliża się do pośłania. Czoło chłopaka jest mokre od potu, ciało drży, więc szczerzej okrywa go kocem.

Minęły trzy dni, odkąd tu jest. Ślady po ukąszeniach wszy zbladły – Mareike codziennie przemywa mu skórę sabadylą – ale gorączka nie ustępuje, a chłopak tylko od czasu do czasu odzyskuje przytomność. Wtedy Mareike karmi go kleikiem z kaszy manny i stara się poić, lecz on większość pokarmu zwraca. Mareike sprząta wymiociny, a potem starannie obmywa ranę w nadziei, że może ta zacznie się goić. Ale nic takiego się nie dzieje. Z dziury w udzie sączy się ropa. Skóra zaczęła puchnąć, a zasinienie rozlewa się wokół. Strych wypełnia coraz większy smród.

Mareike zmienia kompres na rozpalonym czole chłopaka i opuszcza poddasze. Siada na schodach i patrzy na góry. Zastanawia się, co robić. Jeżeli go tak zostawi, na pewno umrze, a jeśli umrze... Mareike nie zdoła sama znieść ciała z góry, a nawet jeżeli, to co z nim zrobi: wrzuci do stawu, wykopie grób w ogrodzie?

Schodzi na podwórko i zamyka drzwi wejściowe, a potem rusza drogą w dół, do wsi. Zostawia za plecami kościół i właśnie mija cmentarz, gdy na drodze pojawia się opel admiral w barwach Wehrmachtu. Ostatnio Mareike często go tu widuje. Ten i wiele innych pojazdów. Samochód wyprzedza ją, zachowując bezpieczną odległość, zjeżdża jeszcze kawałek doliną i parkuje przed Hippe's.

Wystarczyłoby, żeby Mareike machnęła na auto i powiedziała mężczyznom w mundurach i skórzanych płaszczach, kto umiera na jej

poddaszu, a pewnie byłoby po sprawie.

Ale nie macha i nie mówi, tylko skręca w podjazd prowadzący do domu doktora Thiela. Teraz, od czasu, gdy Greta wyjechała do szkoły, rzadko tu gości.

Schwarze podrywa się na widok dziewczyny, ale nie szczeka, tylko macha ogonem. Mareike głaszcze ciepły psi łeb i puka do drzwi. Słyszy dochodzący z głębi głos doktorowej, która prosi, by któreś z dzieci sprawdziło, kto przyszedł. Po chwili zasuwa zgrzyta, a w progu stają dwie młodsze siostry Greta: Birgit i Berta. Bliźniaczki o identycznych twarzach, identycznych ciemnych warkoczach zakończonych kokardami, ubrane w takie same sukienki, na które nałożone mają jednakowe fartuszki z bawełny.

Mareike zawsze, gdy widzi bliźniaczki, czuje się nieswojo. Wie, że Birgit i Berta to dwie osobne istoty, a jednak miałyby ochotę przetrzeć oczy. Dziewczynki są do siebie łudzaco podobne. Kropla w kroplę. Nawet matka ich nie rozpoznaje i dlatego na fartuszkach każdej wyhaftowane zostało imię.

Z wnętrza domu dochodzą krzyki pozostałych dzieci i upomnienia pani doktorowej. Młodsze rodzeństwo Greta nie chodzi do miejscowej szkoły – uczy je matka. Tak zdecydował doktor Thiel.

– Cześć. – Mareike wita się z dziewczynkami, wciąż doznając wrażenia, że jedna z nich nie może być prawdziwa.

– Greta nie ma – mówią jednym głosem siostry, a po jej plecach przechodzą mrówki.

– Przyszłam do doktora – tłumaczy.

– *Vati!* – Jednocześnie odwracają się przez prawe ramię i dwugłosem krzyczą w głąb domu. – *Vati!*

Drzwi do gabinetu się otwierają i w korytarzu pojawia się wysoka postać doktora. Bliźniaczki przepuszczają ojca w drzwiach.

– Mareike? – Uśmiecha się do niej zaskoczony, a potem odwraca się do córek: – No już, lećcie do lekcji.

Bliźniaczki znikają w ciemnościach korytarza.

Doktor nie przestaje się uśmiechać.

– Greta przyjedzie w następną niedzielę – rzuca, zanim Mareike zdąży się odezwać.

– Wiem, ale ja do doktora.

Doktor Thiel przechyla głowę.

– Coś się stało? Jesteś chora? Źle wyglądasz. – Przygląda jej się badawczo.

– Nie, nie chodzi o mnie – wyjaśnia, ściszej głoś.

A potem wspina się na palce i zbliża do ucha doktora. I – raz kozie śmierć – szepcze mu o stawie, o gwieździe na pasiaku, wszach, ropie i strychu.

Uśmiech znika z ust doktora Thiela. Teraz zapewne pójdzie na posterunek i Mareike będzie miała kłopoty. Poważne kłopoty.

– Nie wiedziałam, co robić – kończy spowiedź.

– Ktoś jeszcze o tym wie?

– Oprócz mnie teraz tylko doktor.

– Dobrze, że do mnie przyszedłaś. Zaczekaj, pójdę po torbę.

Chwilę później wędrują drogą z powrotem pod górę. Idą w milczeniu, chociaż Mareike sądziła, że gdy zostaną sami, doktor będzie ją strofował, może zarzuci ignorancję i brak rozsądku. Ale on nic takiego nie robi. Gdy wchodzą na eksponowany odcinek drogi, Mareike

co jakiś czas zerka za siebie, by sprawdzić, czy nikt ze wsi ich nie obserwuje albo czy doliną nie przejeżdża znowu limuzyna Wehrmachtu, ale wkoło panuje spokój.

Bezpiecznie docierają na podwórko i idą prosto pod zewnętrzne schody.

– On jest na górze. – Mareike wskazuje na poddasze. – Będę potrzebna doktorowi?

– Nie, poradzę sobie. – Przystaje na pierwszym stopniu. – Kiedy wraca *Herr Rogen*?

– Dopiero pod wieczór.

– To dobrze. Idź teraz, dziecko, do domu i czekaj tam na mnie.

Sam wdrapuje się schodami na poddasze, Mareike wraca do głównego wejścia i wchodzi do środka.

I czeka. Mija kwadrans, pół godziny, potem godzina. Aby nie oszaleć, sprząta dom, który sprzątania wcale nie potrzebuje, i myje podłogę, która i bez tego była idealnie czysta. Dorzuca drewna pod kuchnię, żeby woda stojąca w garnku na płycie nie ostygła, bo doktor na pewno będzie chciał po wszystkim umyć ręce.

Dopiero po pewnym czasie słyszy pukanie do drzwi. Biegnie do holu, otwiera. Dzień jest chłodny, a mimo to doktor stoi w samej koszuli i kamizelce. Jego dłonie pokryte są śladami krwi, którą chyba próbował wycierać. Marynarkę ma przewieszoną przez ramię, kapelusz i torbę trzyma w drugiej ręce. Przechodzą do kuchni. Doktor odstawia torbę na stół, marynarkę odwiesza na krzesło. Mareike nalewa gorącej wody do miednicy, podaje mu mydło i czysty ręcznik.

– Co z nim? – pyta, gdy tamten zaczyna myć dłonie. – Będzie żył?

– Jest młody, ale skrajnie niedożywiony i stracił mnóstwo krwi. Byłoby najlepiej, gdybym mu ją przetoczył, ale w tych warunkach nie ma o tym mowy. Zrobiłem, co w mojej mocy. Usunąłem martwe tkanki, zaszyłem ranę, ale zakażenie jest znaczne i może się okazać, że to nie wystarczy.

– Co ma doktor na myśli?

Doktor Thiel wzdycha i wyciera palec po palcu. Siada za stołem i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciąga srebrną papierośnicę. Wyjmuje papierosa, zapala.

– Może będę musiał amputować nogę. – Wydmuchuje dym, siadając na krześle. – Chociaż wątpię, czy on by to przeżył. Musimy mieć nadzieję, że moja interwencja wystarczy. Inaczej będziemy mieć problem.

To miłe, że doktor rozmawia z nią jak z dorosłą. I że używa liczby mnogiej. „Będziemy mieć problem”. To oznacza, że nie jest już sama. Teraz umierający chłopak ze strychu to ich wspólny kłopot. Wspólna tajemnica.

Mareike wylewa różową wodę z miednicy do zlewu i siada obok przy stole. Doktor przez chwilę milczy, w zadumie oglądając swoje paznokcie, aż wreszcie przenosi wzrok na nią.

– Powinienem i ciebie zbadać, Mareike. Źle wyglądasz.

– Nic mi nie jest – rzuca nerwowo, czując, jak mięśnie na jej karku się napinają.

Na samą myśl, że miałyby zostać zbadana, robi jej się niedobrze.

– Schudłaś ostatnio i jesteś bardzo blada – mówi łagodnie ojciec Grety.

– Naprawdę dobrze się czuję. Po prostu sporo mam na głowie, od czasu gdy *Vati* i ja zostaliśmy sami.

Mężczyzna kiwa głową.

– Jak uważasz, jesteś już prawie dorosłą kobietą, ale obiecaj, że zadbasz o siebie. Nie tylko o tamtego, tam. – Wskazuje na sufit. – Musisz właściwie się odżywiać, czasami odpocząć. A przede wszystkim: wyrzucić z głowy złe myśli. – Robi pauzę. Znowu się zaciąga. – Ja o wszystkim wiem. Greta mi opowiedziała, co się zdarzyło nad stawem przed rokiem. Ona uwierzyła, że to był wypadek, że muł cię wciągnął, ale ja sądzę, że było inaczej. Chciałaś tego, prawda, Mareike? Rozumiem, że ci ciężko, na pewno tęsknisz za Klausem i Mattim, za dawnym życiem, ale ucieczka nie jest żadnym rozwiązaniem. Pomyśl o ojcu.

Mareike opuszcza głowę. Zaciska dłonie na kolanach. Czuje wstyd.

– Obiecaj, że nie zrobisz już nic głupiego. – Wyciąga rękę i dotyka jej ramienia. Ta dłoń jest ciepła i miękka. *Vati* nigdy jej tak nie dotyka.

– Obiecuję.

Doktor znowu wzdycha, gasi papierosa, wstaje od stołu i sięga do torby. Wyjmuje z niej brązową buteleczkę i stawia na blacie przed Mareike.

– Przemywaj mu tym ranę. To podchloryn sodu. Ja postaram się przyjść jutro po południu. – Zakłada marynarkę i kapelusz. Chwyta skórzany kuferek.

Mareike podnosi się, ale doktor zatrzymuje ją gestem na miejscu.

– Zostań, sam trafię do wyjścia.

Opada z powrotem na krzesło. Teraz, kiedy już nie musi niczego udawać, czuje się naprawdę zmęczona. Zmęczona, jakby przeżyła kilka

żyć.

Doktor obchodzi stół, przecina kuchnię i jest już w drzwiach prowadzących do holu, gdy znowu się odwraca.

– Jeżeli poczujesz się gorzej, przyjdź do mnie, pomogę ci. Nie możesz teraz zaniedbywać zdrowia, Mareike, najgorsze dopiero przed nami.

Noc Mokosz

Wtedy – Mania

Trzeci dzień pracy na plantacji truskawek. Jestem pełna ich ziarnistej, słodkiej tkanki. Nabrzmiała sokiem, który pulsuje pod skórą, sączy się przez żyły, a gdybym zaczęła płakać, pewnie spłynąłby również po twarzy zamiast łez.

Ojciec Miśka, pan Stachu Nawrot, właściciel podupadłego gospodarstwa i pola leżącego u stóp Wielkiej Sowy, syn repatrianta, niski, gibki, o silnych rękach i twarzy, z której można wyczytać szczególne zamiłowanie do trunków, jest całkiem sympatycznym człowiekiem. Owszem, nie daje nam się obijać i pilnuje, żebyśmy z krzaków zebrali każdy dojrzały owoc, lecz przy tym pozwala jeść ich do woli. Z początku pomyślałam nawet, że straszny z niego frajer – wpuścić na zagony bandę małolatów o żołądkach bez dna – ale okazał się sprytniejszy od nas.

Pierwszego dnia faktycznie żarliśmy te truskawki jak opętani: jedna do łubianki, druga do ust. Brzuch miałam po tym jak balon i skręcałam się z bólu przez pół nocy. Dominika dostała wysypki, a kilku chłopaków z ośrodka nawet biegunki. Następnego dnia pan Stachu dalej zachęcał: „Jedzcie, jedzcie, dzieciaki, dobre truskaweczki, słodziutkie, niepryskane”, ale my do owoców zdążyliśmy nabrać dystansu, więc sięgaliśmy po nie tylko od czasu do czasu.

Dzisiaj zaś, czyli ostatniego dnia naszej pańszczyzny, nikomu nawet przez myśl nie przechodzi, żeby skubnąć coś z krzaka, i nasz gospodarz ostatecznie nie jest stratny.

My za to straciliśmy cały entuzjazm i siły. Mamy serdecznie dość truskawek, roboty w bezustannym półzgięciu, a przede wszystkim słońca wyzerającego dziurę ozonową w stratosferze i palącego nasze ramiona i karki. Już nie tylko w myślach, ale i na głos klnę, że dałam się Dominice w to zrobić.

Pracuje nas w sumie dwanaście osób. Kilku chłopaków i jedna dziewczyna z obozu, Anka, ich opiekun Bartek, my dwie z Domą, Misiek, syn Nawrota. I Hubert.

Zdziwiłam się, gdy zobaczyłam go pierwszego dnia na plantacji.

– Nie wiem, co mu młody Nawrot naopowiadał o sztolniach, bo normalnie to wołami nie można go wyciągnąć z bielarni, ale uparł się, że chce tu przyjść – wyznała mi Dominika.

I tak od trzech dni mogę mu się wreszcie przyglądać do woli. Zazwyczaj trzyma się z boku, prawie z nikim nie rozmawia, nawet z siostrą, i tylko czasami przystaje z Miśkiem na skraju pola, żeby zapalić papierosa. Patrzę ukradkiem, jak pracuje, przenosi skrzynki z łubiankami z jednego krańca zagonów na drugi, gdzie stoi przyczepa Nawrota, a na jego szczupłych przedramionach napinają się mięśnie. Podoba mi się, jak niedbałym gestem wsuwa włosy za ucho albo jak nonszalancko trzyma ręce w kieszeniach, opierając się o jabłonkę w czasie przerw od pracy. Zastanawiam się, o czym wtedy myśli.

Staram się być dyskretna, ale chyba słabo mi to wychodzi, bo wreszcie z ust Dominiki pada pytanie:

– Mańka! Co ty tak się ciągle na niego gapisz? Chyba nie chcesz powiedzieć, że mój braciak ci się podoba.

– Daj spokój – zaprzeczam zmieszana.

Ale ona nie odrywa ode mnie spojrzenia. Wrzuca truskawkę do łubianki.

– To nie jest właściwy chłopak dla ciebie – mówi. – Serio.

– Ma kogoś? – wyrywa mi się. Nie powinnam jej o to pytać. Co mnie obchodzi, czy Hubert kogoś ma.

Dominika marszczy czoło.

– Nie wiem, chyba nie. On mi się nie zwierza. Nawet jeśli ktoś jest, to nie tutaj. Może we Wrocławiu. Zresztą nie w tym rzecz. – Robi pauzę, wygląda, jakby zbierała myśli, ważyła słowa. – To mój brat, ale... – Wraca do zrywania owoców. – Po prostu mogłabyś się zainteresować którymś z chłopaków z obozu. Na przykład Piotrkim. Julek mówi, że mu się podobasz.

Piotrek. Ogolony na jeża, pasjonat III Rzeszy ze szczególnym uwzględnieniem nazistowskich młodzieżówek. Bezustannie gada o czystości rasy, Hitlerjugend i Olbrzymie.

Zerkam ukradkiem w jego stronę. Na nogach ma nieodłączne martensy. Nie wiem, jak w nich wytrzymuje przy tej temperaturze.

– Albo Misiek Nawrot – ciągnie Dominika. – Cały czas się na ciebie gapi. Weź się za niego.

Misiek, dresiarz w podróbkach Adidasa z nażelowanymi włosami i postawioną na sztorc grzywką w stylu chłopaków z Backstreet Boys, wydaje się zupełnie w porządku. Pracuje z nami w polu ramię w ramię, ojciec nie daje mu taryfy ulgowej. Trochę pozer, ale nieszkodliwy. Do wszystkich zagaduje, lubi pożartować.

– Nie zamierzam brać się za żadnego Miśka czy Piotrka – obruszam się. – W ogóle za nikogo nie mam zamiaru się brać.

Dominika chce jeszcze coś powiedzieć, lecz naszą rozmowę przerywa pan Stachu, który właśnie ryczy w pole, że czas na przerwę. Wszyscy z ulgą porzucamy łubianki i ruszamy, by schronić się w cieniu. Za stodołą ciągnie się ogród, a przy nim sad. Stare zdziczałe jabłonie.

Nie rodzą już owoców, lecz wciąż dają chłód. Padamy pod drzewami bez sił, jak muchy. Na ścieżce w ogrodzie pojawia się żona gospodarza. Przynosi nam do picia dwa dzbanki zimnego kompotu – na szczęście z rabarbaru, bo truskawkowego nikt by nie przełknął. Chłopcy rozciągają się na trawie, do nich dokleja się Misiek, bezustannie o czymś nadając. Dominika zajmuje miejsce przy Julku. Ja zostaję z Anką, która wyjmuje kanapki z plecaka. Hubert jeszcze nie zszedł z pola.

– Chcesz? – pyta, wyciągając jedną w moją stronę. – W stołówce nam zrobili. Gówno okrutne. – Z obrzydzeniem zagląda między kromki. – To chyba mielonka. Śmierdzi trupem, ale jestem strasznie głodna. Ja pierdołę, co za chujowa robota. Myślałam, że to będzie ciekawsze niż bieganie po lesie na dziesiątkę, ale gdybym wiedziała, że to taka orka, w życiu bym się na to nie pisała... To jak, chcesz tę kanapkę?

Kręcę głową. Nie mam ochoty na jedzenie. Jest zbyt gorąco. Zmęczona opieram się o popękany pień pokryty guzami – płynie w nim czas zapomniany przez obecnych właścicieli – i przymykam powieki.

Mam na sobie szorty i koszulkę na ramiączkach, ale i tak konam z gorąca. Czuję, jak pot spływa mi po szyi, meandruje przez zagłębienie obojczyka i znika między piersiami.

– Mogę się przysiąc? – Słyszę nad głową.

Hubert staje tak, że rzuca na mnie cień. Natychmiast otwieram oczy, usztywniam się. Chwytam jego błękitne, rozpalone spojrzenie – podąża za kroplą potu – miałabym ochotę schować je do kieszeni na później. Policzki zaczynają mi płonąć.

– Jasne. – Anka prycha okruchami kanapki, po czym, pochłonięta mielonką z trupa, przesuwa się pod drugie drzewo, robiąc mu miejsce obok mnie.

Siada bardzo blisko. Tak, że nie mogę skupić myśli. Opiera głowę o pień drzewa tuż przy mnie. Czuję zapach jego spoczonej skóry. Nie przypomina tego, który unosi się po wuefie w szatni chłopaków. Zapach Huberta jest inny. Podniecający.

Wyciąga przed siebie nogi, opalone i pokryte ciemnymi włoskami.

– Nie sądziłem, że interesują cię poniemieckie sztolnie – rzuca od niechcienia w moją stronę.

– Ja to samo myślałam o tobie – odparowuję.

– Myślałaś o mnie? – mruczy, nie otwierając oczu.

Czuję się coraz bardziej idiotycznie. Muszę wybrnąć z sytuacji, więc celuję w jego czuły punkt:

– Sądziłam, że wolisz spędzać czas z nosem w książkach.

– Masz mnie za kujona i nudziarza, co?

– Tak – przyznaję otwarcie.

– A jednak nawet takie jak ja, nudne kujony, miewają czasami pozanaukowe zainteresowania.

– Jakie na przykład?

– Mnie, dajmy na to, bardzo ciekawi przeszłość tych gór, całej okolicy. – Spogląda na mnie spod w półprzymkniętych powiek. – A szczególnie okres wojny i to, co stało się zaraz po niej.

– Lokalny patriota?

– Raczej dociekliwy i świadomy mieszkaniec.

Wzruszam ramionami.

– Ale to jednak wszystko nudy.

– Tak sądzisz? A ja uważam, że to miejsce i jego historia są fascynujące. Szczególnie że jesteśmy ich częścią. Każde z nas jest niczym zębatka w wielkich trybach czasu. Napędzamy koło zdarzeń. Wszystko wynika z czegoś. Przyczyny i skutki. Czy tego chcemy, czy nie. To, co Niemcy robili tu przed półwieczem, wciąż ma na nas wpływ. Dlatego tak bardzo ciekawi mnie czas, gdy te tereny należały do Rzeszy. I tamci ludzie. Co się z nimi stało, kiedy wreszcie wojna dobiegła końca? Zadajesz sobie czasami takie pytania?

Nie odpowiadam. Przeszłość nigdy specjalnie mnie nie obchodziła. Narracja mojego istnienia zaczyna się na porodówce w szpitalu na Ołbińskiej. Ewentualnie, gdyby spojrzeć głębiej w czas, na dansingu, gdy ojciec prosi matkę do tańca, co po pewnym czasie skutkuje małżeństwem, ciążą, a wreszcie rozwodem. Wszystko, co było wcześniej, nie ma dla mnie znaczenia.

– Skąd przesiedlono twoich dziadków? – pyta nieoczekiwanie.

– Nie mam pojęcia – rzucam od niechcienia.

Nigdy nie rozmawiałam o tym z babcią Maryjką, ani tym bardziej z matką, królową *hic et nunc*. Dziadek Edek, gdy żył, też nie zawracał sobie głowy zaszłościami. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wziął mnie na kolana, jak to mają w zwyczaju dziadkowie, i snuł opowieści o dawnych dziejach. W naszym domu nigdy nie poruszało się takich tematów.

– Weźmy na przykład moją rodzinę – ciągnie niewzruszenie Hubert.
– Mój dziadek był repatriantem, przyjechał tu ze wsi pod Lwowem. Przywieźli go z całą rodziną do Wrocławia bydłowym wagonem w czterdziestym piątym, a potem furmanką do Świdnicy. Urząd do spraw repatriantów skierował ich tutaj. Mogli sobie wybrać gospodarstwo, które im się spodoba. Tak po prostu, wyobrażasz sobie? Stanęli na drodze i wskazali dom, który uznali za odpowiedni. A w środku było

wszystko. Całe wyposażenie. Podobno nawet na stole wciąż stały nie do końca opróżnione talerze po poprzednich właścicielach. Na ścianach wisiały zdjęcia Niemców... Tu każdy ma podobną historię.

– Nigdy nie rozmawiałam o tym z babcią. – Ta rozmowa wydaje mi się dziwna. Nie wiem, do czego Hubert zmierza. Mam wrażenie, jakby mnie sondował, jakby ze mną w coś grał.

– Może powinnaś. – Patrzy na mnie, mrużąc oczy. – Nikt z nas nie jest czystą kartką. – Uśmiecha się tajemniczo, jakby wiedział coś, o czym ja nie mam pojęcia.

– Pewnie przybyliśmy gdzieś ze Wschodu, jak wszyscy – mamrocę zawstydzona. Gdybym mogła, wniknęłabym w tę starą poniemiecką jabłoń, której zmarszczki odgniatają się na moich plecach.

– Może tak, a może nie. O twojej babci różne rzeczy się mówi we wsi. Niektórzy mają dobrą pamięć.

Prostuję się.

– To znaczy co się mówi?

Hubert się śmieje. Przez konary drzewa padają promienie, kreśląc na jego twarzy nieregularne plamy. I w tej chwili uświadamiam sobie, kogo mi przypomina. Wygląda jak młodsza wersja *Ralph Fiennesa z Wichrowych Wzgórz*. Jak *Heathcliff*. Te same czarne włosy i profil. Na policzkach ślady zarostu. W jasnych oczach coś dzikiego i niepokojącego.

– Co masz na myśli? – Nie ustępuję.

– Nic. Po prostu uważam, że warto znać swoją historię. Może wcale nie jesteś tym, kim sądzisz – stwierdza tajemniczo.

– Nie rozumiem.

– Po upadku Berlina nie wszyscy Niemcy wyjechali na Zachód. Niektórzy nie chcieli zostawiać swoich domów, uważali, że Rzesza szybko zostanie przywrócona do dawnych granic. Mój dziadek też długo twierdził, że wróci pod Lwów, odzyska dawną ziemię. Trzymał się tej nadziei do samej śmierci.

Nie odrywa ode mnie oczu. Świdruje mnie nimi, przesywa do głębi.

– Chyba nie sugerujesz, że moja babcia jest Niemką. Że niby jak: przez te wszystkie lata ukrywała swoją prawdziwą tożsamość? To niedorzeczne, to idiotyzm jakiś. I kto właściwie we wsi tak uważa?

– W zasadzie – Hubert nagle poważnieje – jakby ci się dobrze przyjrzeć, to rzeczywiście masz wybitnie nordycką urodę. Smukłe ciało, wystające kości policzkowe, niebieskie oczy i jasne włosy – wylicza, po czym nieoczekiwanie wyciąga dłoń i przesuwa kciukiem po moim policzku. – Mogłabyś służyć eugenikom za wzór rasy aryjskiej. Mania, mała folksdojczka...

Dawno – Mareike

Listopadowe światło wlewa się do sypialni, na szybach rozkwita mróz. Mareike kończy ścielić łóżko i podchodzi do lustra. Patrzy w odbicie. Ma smukłe ciało, wystające kości policzkowe, niebieskie oczy i jasne włosy – rozczesuje je srebrną szczotką, którą odziedziczyła po matce, i zaplata w koronę wokół głowy. Idzie do szafy i przegląda ubrania wiszące na wieszakach.

Od dawna nie dbała o to, jak wygląda i co na siebie włoży. Nosila, co wpadło jej w ręce, byleby było ciepło i wygodnie, lecz teraz, kiedy chłopak ze strychu powoli zaczął dochodzić do siebie, nie chce przypominać stracha na wróble. Niby powinno być jej wszystko jedno – przecież tamten nic nie znaczy – a jednak nie jest. Mareike ma szesnaście lat, za cztery miesiące skończy siedemnaście, od zeszłych wakacji miesiączkuje i pierwszy raz w życiu chciałaby się czuć bardziej kobieco, choćby nawet tamten z góry był jedynym mężczyzną, który ją zobaczy.

Zima w tym roku przyszła wcześniej, pierwszy śnieg spadł już w połowie listopada, a zatem wybiera grubą bawełnianą sukienkę, a na nogi wciąga ciepłe pończochy. Przeszukuje szufladę. Gdzieś tutaj trzyma sweter w kolorze groszku, z guzikami z masy perłowej i haftem w drobne kwiatki wokół dekoltu. To jedna z niewielu ładnych rzeczy, jakie posiada.

Swetra jednak nigdzie nie ma – pewnie zostawiła go w szafie w holu na dole. Zamiast niego znajduje swój pierwszy mundur, jeszcze z czasów *Jungmädelsbund*. Leży na dnie dolnej szuflady wyprasowany i złożony pod linijkę: biała bluzka, granatowa spódnica za kolano, czarna chusta

i brunatna kurtka, w której wyłogu wciąż połyskuje odznaka: srebrny romb ze swastyką umieszczoną w centralnym miejscu i emaliowanymi polami dookoła: na przemian czerwonymi i białymi – obiekt jej dziecięcych pragnień.

Mareike wyjmuje kurtkę z szuflady – już dawno z niej wyrosła – i przygląda się, trzymając ją przed sobą w wyciągniętych ramionach.

Znowu wraca do niej tamto okropne wspomnienie sprzed kilku lat. Uważała wtedy, że tę próbę – osobliwe badanie lekarskie – warto znieść, by móc założyć mundur, z dumą wpiąć odznakę w kształcie rombu i być jedną z nich: dziewcząt Führera, dziś jednak nie czuje dumy, dziś już nie jest naiwną dziesięciolatką, ale niemal dorosłą kobietą, i na myśl o tamtym dniu wzbiera w niej obrzydzenie.

A tak bardzo się cieszyła, kiedy zaakceptowano jej wniosek zgłoszeniowy. Wiedziała, że ją przyjmą, bo Klaus i Matthias byli już wtedy w Hitlerjugend, ale lokalne władze NSDAP musiały sprawdzić każdego z osobna, czy ma odpowiednie pochodzenie. W związku z tym należało wypełnić wiele dokumentów. Organizację interesowało wszystko, co się tyczyło rodziny Rogenów do dwóch pokoleń wstecz. A potem przyszło wezwanie na badania przy miejscowym *Reichsjugendamt*²⁴.

Na biurku w gabinecie spoczywał jej akt urodzenia i *Ahnenschein*²⁵. Wzorowy akt. Doktor, przysłany z Waldenburga – i ponoć znający osobiście samego Baldura von Schiracha – kazał jej się rozebrać do bielizny, zanotował wagę, wzrost, kolor oczu oraz włosów.

– Symetryczna budowa ciała, kręgosłup prosty, uzębienie pełne, niegroźne znamię w kształcie serca na prawym udzie poniżej pośladka, trzy na cztery milimetry, brak innych zmian skórnych – dyktował pielęgniarce, kiwając z zadowoleniem głową.

Potem siostra kazała jej się rozebrać do naga. Trochę to Mareike krępowało, lecz pielęgniarka ją uspokoiła, że nie ma czego się obawiać, że to rutynowa procedura. Doktor to nie mężczyzna, to profesjonalista.

Zmierzyli każdy centymetr jej ciała. Odległość od podbródka do obojczyka, długość kości nosowej, a nawet obwód głowy i bioder. Doktor dokładnie obmacał jej piersi, czy raczej to, co dopiero za jakiś czas miało się nimi stać. A potem kazał położyć się na kozetce. Założył gumowe rękawice.

– Rozłóż nogi – rzekł bez emocji.

Mareike nie chciała tego robić. Serce wpadło w nerwowy łopot niczym uderzenia skrzydeł wystraszonego ptaszka.

– Rozłóż nogi, dziewczyno! – ponaglał zniecierpliwiony lekarz.

Więc rozłożyła.

A potem poczuła jego palce w sobie. Wsuwał je tak głęboko, że miała wrażenie, jakby ją w środku rozrywał. Chyba nie powinien tego robić. Chciała krzyknąć – ale czy wtedy zasłużyłaby na odznakę? – dlatego jedynie zagryzła wargi.

– A teraz wstań i się schyl – powiedział lekarz.

Wilgoć zebrała się pod powiekami Mareike, ale wstała i schyliła się, ponieważ nauczono ją, że dorosłych należy słuchać, dorośli zawsze mają rację. A wtedy on włożył palce w jej odbyt. Znowu zbyt głęboko i niedelikatnie. Poczła ostry ból, jeszcze mocniej zagryzła usta. Poczła krew. Nie chciała się mazgać, ale łyzy i tak popłynęły.

– No już – uspokajała ją siostra, kiedy doktor dokończył badanie i zdjął rękawiczki – nie maź się. Wszystkie dziewczynki muszą zostać sprawdzone. Organizacja chce wiedzieć, czy jesteście zdrowe. Kiedyś zostaniecie niemieckimi matkami, matkami żołnierzy.

– A ty będziesz wspaniałą matką. – Doktor podszedł do nagiej Mareike i poklepał ją po mokrym policzku. – Masz wzorcową nordycką urodę i zdrowe organy. Mogłabyś służyć za wzór naszym eugenikom. Powinnaś czuć dumę. Od teraz twoje ciało będzie należeć do Rzeszy, a gdy przyjdzie czas, urodzisz Führerowi mnóstwo zdrowych i silnych dzieci...

Mareike przymyka powieki, jej dłonie mocniej zaciskają się na tkaninie kurtki. Pogniecie ją, ale to bez znaczenia. Wciąż w głowie słyszy słowa doktora i czuje się brudna. Wraca wstyd i poczucie upokorzenia. Nigdy z nikim nie rozmawiała o tym, co się wydarzyło w gabinecie. Ani z *Omą* Ursulą, ani z *Vatim*, ani nawet z Gretą i pozostałymi koleżankami, które – tak jak ona – wstąpiły do organizacji. Dlatego nie wie, czy pozostałe też tak potraktowano, czy tylko ją – przez włosy zbyt jasne i oczy zbyt niebieskie.

Odpina znaczek z wyłogu kurtki i wrzuca do szuflady biurka, a ubranie zwija w kłęb. Wyciąga z szafy pozostałe rzeczy: spódnicę, koszulę, chustę, chwyta wszystko razem i wychodzi z pokoju. Zbiega schodami na parter, przemierza hol i wchodzi do kuchni. Zdejmuje fajerkę z pieca i wszystko wrzuca do środka.

– Co robisz? – Za plecami słyszy głos ojca, który właśnie staje w drzwiach.

Widział, co zrobiła, czy nie widział? Oczywiście, że widział. I co teraz? Wprawdzie sam podobnie potraktował portret Führera, ale jest dorosły, jest mężczyzną, a przez to wolno mu więcej.

– Dorzucam do pieca. – Dopycha rzeczy pogrzebaczem, naciąga fajerkę.

– Aha. – *Vati* z kamienną twarzą siada przy stole.

– Już odgrzewam ojcu śniadanie.

Stawia na kuchni garnek z przygotowaną poprzedniego wieczoru owsianką i zaczyna mieszać gęstą mamiągę. Przez szczeliny w płycie wydostaje się kwaśny dym, ale oboje z ojcem udają, że tego nie widzą. Może gdy mundur się spali, wspomnienia z gabinetu lekarskiego stracą moc?

Nakłada ojcu śniadanie do miski i ustawia przed nim.

Vati chwyta za łyżkę.

– Będiesz dziś przedła? – pyta bezbarwnym tonem.

Mareike kiwa głową i podchodzi do okna, by otworzyć lufcik i wypuścić smród palonego materiału. Białe kłęby wypadają na zewnątrz. Mareike czuje ulgę.

– Ostatnio chyba często bywasz na strychu? – ciągnie niby od niechcenia ojciec.

– Nie mam nic innego do roboty. – Mareike po raz drugi dzisiejszego poranka czuje się przyłapana na gorącym uczynku.

Od pewnego czasu znowu zaczęła prząść i tkać, żeby jakoś wytłumaczyć swoje częste wizyty na poddaszu. Czasami bywa tam kilka razy dziennie. Rana chłopaka ładnie się goi, ale on cały czas jest bardzo słaby.

– To może napal tam sobie w piecyku.

– Mogę? – Spogląda na ojca spod okna.

On wzrusza ramionami.

– Przeziębisz się w tej zimnicy i będzie problem.

– Dziękuję ojcu.

Vati kończy jeść, odkłada łyżkę do opróżnionej miski i wstaje. Mareike podaje mu przygotowane wczoraj kanapki. On wkłada je do

skórzanej teczki i już zamierza wyjść z kuchni, kiedy zatrzymuje się w drzwiach. Obraca się w jej stronę.

– Byłem wczoraj nad stawem – rzuca niespodziewanie. – Znalazłem chodak w wodzie.

– Chodak? – Mareike martwieje. Czuje, że coś zimnego i nieprzyjemnego przepęła jej po karku.

– Tak. Drewniany chodak. Taki, jaki noszą więźniowie z obozów w górach. Musiał wpaść do wody, jeszcze nim mróz chwycił. Wystawał z lodu – kontynuuje ojciec, przyglądając się jej badawczo.

Mareike przestaje oddychać, wraca do okna, by zamknąć lufcik.

– Ciekawe, skąd się tam wziął – bąka przez ramię.

– Ciekawe... Teraz sporo obcych kręci się po okolicy. – *Vati* przewierca ją wzrokiem. – Uważaj na siebie, Mareike.

– Oczywiście, ojcze.

Patrzą na siebie w milczeniu. Mareike czeka, boi się. Zaraz na pewno padną słowa, których nie da się odwrócić, które będą ją srogo kosztować. Ale ojciec mówi tylko:

– Nie czekaj na mnie z kolacją. Zjem u wdowy po buchalterze. I może zostanę u niej na noc.

Odwraca się, by wyjść z kuchni.

– A co z tym chodakiem? – rzuca za nim nieśmiało Mareike.

– Skończył jak twój *Kluft* – stwierdza *Vati* i znika w korytarzu.

²⁴ (niem.) Nazistowski Urząd Młodzieżowy.

²⁵ (niem.) Wykres genealogiczny, dokument potwierdzający aryjskie pochodzenie.

Teraz – Maria

W wałbrzyskiej bibliotece jest ze czterdzieści stopni i nie ma czym oddychać, ale nie zwracam na to uwagi. Lubię spotkania autorskie, to jeden z tych momentów w mojej pracy, kiedy coś tak nienamacalnego jak literatura staje się zupełnie realne. Widzę, jak słowa wydrukowane na kartkach rezonują w twarzach czytelników, odbijają się w nich, wywołują emocje.

Uśmiecham się do zebranych. Doceniam, że przyszli mimo upału; dla mnie i wbrew statystykom, które mówią, że w tym kraju nikt nie czyta. Niby wszyscy jesteśmy przebodźcowani – serwisy informacyjne plujące polityką i wojnami, Netflix, ekrany telefonów, za głośna muzyka, zbyt wiele, zbyt mocno i wszystko naraz – a my jednak siedzimy tu sobie i rozmawiamy o słowach.

Przyszło naprawdę sporo ludzi. W ogromnej sali zostało zaledwie kilka wolnych krzeseł.

Na początku spotkania przeczytałam fragment powieści, potem przez chwilę opowiadałam, o czym traktuje, aż wreszcie oddałam głos czytelnikom.

– Skąd się u pani wzięło zainteresowanie naszym regionem i Górami Sowimi? – pyta starsza kobieta z pierwszego rzędu. Jest starannie uczesana, elegancko ubrana. Na kolanach trzyma egzemplarz *Nocy Mokosz*. Przygotowała się do spotkania. Zaangażowana liderka miejscowego klubu dyskusyjnego.

– Tutejsza okolica jest bardzo inspirująca. Jako dziecko byłam tu na wakacjach – odpowiadam, nie wchodząc w szczegóły.

– A czy zawarła pani jakieś wątki biograficzne w powieści? – drąży temat przodownica.

Dociekliwość czytelników zwykle mnie cieszy, ale nie tym razem. Pisząc tę książkę, wiedziałam, że kiedyś padną podobne pytania, i obawiałam się tej chwili. Mogłabym odpowiedzieć zgodnie z prawdą, że tak, *Noc Mokosz* to wspomnienie lata, gdy odkryłam niewygodne fakty na temat mojej rodziny, inicjacyjna opowieść o dojrzewaniu, literackie rozliczenie z przeszłością i rodzaj autoterapii, lecz niczego takiego nie powiem. Nie mam odwagi. Rzucam więc truizmem:

– Każda książka jest w pewnym stopniu odbiciem przeżyć i doświadczeń autora. Tu jednak niewiele państwo znajdziecie ze mnie. Pozwoliłam sobie na dużą swobodę w kreowaniu tej historii, więc w przeważającej mierze to czysta *licentia poetica*.

Upał wraz z odgłosami rynku nieprzerwanie wlewa się przez otwarte okna, padają kolejne pytania, coraz mniej związane z książką. Pracownica biblioteki jest ciekawa, nad czym teraz pracuję i czy *Noc Mokosz*, tak jak dwie poprzednie moje powieści, trafi na ekrany, lecz wreszcie jej także arsenał tematów się wyczerpuje.

– Czy ktoś z państwa chce jeszcze o coś zapytać naszą autorkę? – rzuca w stronę krzesel.

Nikt się nie odzywa.

– W takim razie, na zakończenie, pragnę podziękować pani, pani Mario, za przybycie i...

– Ja mam pytanie! – Z końca sali dobiega męski głos.

Wszystkie głowy obracają się w jego stronę. Do tej pory nie zwróciłam uwagi na mężczyznę, który zajął miejsce w ostatnim rzędzie.

– Słuchamy pana – zachęca bibliotekarka.

Facet wstaje. Jest dobrze po czterdziestce. Twarz ma nalaną i mocno opaloną, na policzkach kilkudniowy zarost. Głęboko osadzone oczy przypominają guziki zbyt mocno wszyte w łebek pluszowego misia. Topią się w tkance tłuszczowej. Wydatny brzuch opina czarna koszulka z bijącym po oczach logo drogiej marki w typie „tani Armani”, na szyi lśni złoty kajdan. Facet ma w sobie coś z małomiasteczkowego cwaniaka. Nie wygląda na miłośnika literatury.

Patrzy na mnie z dziwnym uśmiechem i w tym momencie dociera do mnie, kim jest. Nie pamiętam, jak naprawdę się nazywał, minęło zbyt wiele lat, ale to on stanowił pierwowzór powieściowego Miśka, syna właściciela plantacji truskawek. Paradoksalnie dziś faktycznie przypomina niedźwiedzia, zwalistego zwierzaka.

– Ja mam do autorki takie pytanie – zaczyna, a ja już wiem, że będą z tego kłopoty. – Bo jak w gazecie napisali, że jest taka książka, co to akcja dzieje się u nas, w górach, to od razu postanowiłem kupić i z ciekawości przeczytałem. No i okazało się, że to wszystko się dzieje w moich okolicach, w czasach, kiedy byłem piękny i młody. Właściwie to w sąsiedniej wiosce. – Wsuwa ręce w kieszenie i patrzy na mnie wyzywająco. Z jego ust nie schodzi irytujący uśmieszek. – Doskonale pamiętam tamte wakacje pod koniec lat dziewięćdziesiątych – kontynuuje. – W górach, w pensjonacie u takich jednych był obóz sportowy. Chłopaczki z miasta. Frajerzy zadzierający nosa. I dziewczyny, co tam się wokół nich kręciły, też pamiętam. Córkę tych właścicieli i jeszcze jedną, przyjezdną. Teraz już tego pensjonatu nie ma, ale wtedy nieźle prosperował. Chyba za Tuska popadł w ruinę. Jak wszystko. Z dymem poszedł. Ludzie mówili, że niby to podpalenie było, żeby wyłudzić pieniądze z ubezpieczenia, ale kto tam wie, może to plotki. Mniejsza zresztą o to. Ja te wszystkie dzieciaki z tamtych wakacji dobrze kojarzę, bo mój ojciec czasami oprowadzał grupy po sztolniach i z nimi też był pod ziemią. – Zawiesza głos, karmiąc się chwilą

zainteresowania, bo oczy wszystkich zebranych na sali wlepione są w niego. – W każdym razie w finale książki jest taka scena, gdy na Niczyjej, znaczy: na tej górze, jest impreza. I tam się bawią i ci z obozu, i cała okolica. Grubo się bawią. W książce w tym miejscu akcja się urywa, a potem jest już tylko ten no... epilog i scena, jak dziewczyna budzi się w jakiejś piwnicy. A przecież tam się wtedy taki burdel zrobił, że gliny miały pełne ręce roboty.

– Nie wiem, o czym pan mówi – rozdrażniona wchodzę mu w słowo. Czuję, że tracę grunt pod nogami. – To nie jest powieść kryminalna, tylko historia o odkrywaniu tożsamości przez bohaterkę. Do tego, jak już wspominałam: stanowi jedynie wytwór wyobraźni, jest fikcją literacką.

– Tak. – Przechyliła głowę. Wiem, że ani trochę nie wierzy w moje zapewnienia. – Niby to wszystko zmyślane, a jednak takie ognisko na Niczyjej naprawdę się odbyło. I ja też tam wtedy byłem. A nad ranem się okazało, że jedna dziewczyna zniknęła, a...

– Proszę pana! – wchodzę mu w słowo, starając się uśmiechać, chociaż mam wrażenie, jakby nerwy mi stężały, czyniąc z twarzy maskę. – Pan chyba naprawdę niewłaściwie odczytał moją powieść i miesza fakty z twórczą kreacją.

Oczy faceta są jak szparki, giną w tłuszczowej zalewie, świdrują mnie.

– Ale dziewczyna naprawdę wtedy zniknęła – upiera się. – Kamień w wodę. GOPR ich szukał i gliny z psami, i cała wieś... A przecież ta Niczyja to nie jest jakaś tam znowu wielka góra, żeby się na niej zgubić, nie? Nawet nas, to znaczy małolaty, co wtedy były na ognisku, przesłuchiowano, ale myśmy tak popili, że niewielki był z nas pożytek.

– Ja też to pamiętam! – wtrąca przodownica z pierwszego rzędu. – O tym nawet w „Tygodniku Wałbrzyskim” pisali.

– No właśnie – cieszy się tamten. – Gruba afera się z tego zrobiła. Dziewczynę znaleziono, zdaje się, po trzech dniach. Ale była w szoku i nic nie pamiętała. – Zawiesza głos.

– I ja to sobie przypominam! – odzywa się babka siedząca kilka krzeseł za przodownicą. Siwe włosy w odcieniu lila korespondują z bladą skórą dekoltu i fioletową sukienką. Przypomina wiecheć bzu. – Ja się tym zdarzeniem interesowałam, można by powiedzieć, z powodów prywatnych i nawet miałam informacje z pierwszej ręki. Teraz to już jestem na emeryturze, ale w tamtym czasie uczyłam biologii w liceum w Nowej Rudzie i kilkoro tych dzieciaków, co się tego pechowego wieczoru bawiły na ognisku, to byli moi uczniowie. I córka jednej mojej koleżanki, polonistki, też tam wtedy była. W mediach sprawa szybko ucichła, ale ja od młodzieży słyszałam, że tę biedną dziewczynę, co ją policjanci odnaleźli na zboczach góry, to tamtej nocy podobno pobili i zgwałcili.

Na sali panuje kompletna cisza. Wszyscy patrzą na mnie. Czekają, że coś powiem, ale w ustach mam piach, suchy i gorący. Zatyka mnie i knebluje. Słyszę walenie własnego serca. Mimo upału panującego w sali po plecach spływa mi zimny pot. Wszystko mi się płacze. Wielka czarna dziura w pamięci. W głowie chaos. Szczątki wspomnień. Niech to spotkanie, do cholery, wreszcie się skończy!

– A zatem jakie jest pana pytanie do autorki? – Bibliotekarka zaczyna nerwowo wiercić się w fotelu.

Gość wysuwa dolną szczękę. Nie mogę na niego patrzeć, na jego nalaną gębę, cwane oczka.

– No tak, pytanie! – Teatralnie klepie się w czoło, a ja już wiem, że zaraz zada cios, po którym ciężko mi się będzie pozbierać. – Tak się składa, że ja doskonale pamiętam tamtą zaginioną dziewczynę, a pani

autorka niesamowicie ją przypomina. Dlatego chciałem zapytać: czy pani to ona?

– Pan mnie z kimś myli. – Z moich ust wysypuje się gorący piasek, plecy mam już kompletnie mokre. Chciałabym zniknąć. Mówię, może nieco zbyt głośno: – Nigdy nie słyszałam o żadnym zaginięciu. Jeżeli znalazł pan jakieś podobieństwo do zdarzeń i osób w mojej książce, to zaręczam, że to przypadek.

Facet nic więcej nie mówi, ale na twarzy maluje mu się zadowolenie, że wyprowadził mnie z równowagi. Opada z plaśnięciem na plastikowe krzeselko. Pozostali uczestnicy spotkania wpatrują się we mnie, jakbym nagle zmieniła się w dwugłowego potwora. Zapadam się w fotel, który nagle robi się miękki i rozłożysty, bez dna, jakby miał mnie pochłonać.

Próbuję się uśmiechać, chociaż brakuje mi tchu. Oprócz mnie wszyscy mają grobowe miny. Panuje cisza. Pracownica biblioteki dyskretnie spogląda na wiszący nad drzwiami zegar i chyba uznaje, że czas kończyć to dziwne przedstawienie.

Rzuca z zakłopotanym uśmiechem:

– Jeżeli nikt z państwa nie ma więcej pytań...

Dziesięć minut później opuszczam bibliotekę. Wychodząc na rynek, rozglądam się, czy facet gdzieś się na mnie nie zaczął – wymknął się niepostrzeżenie, kiedy bibliotekarka dziękowała mi i wręczała kwiaty – ale na szczęście nigdzie go nie zauważam. Wokoło morze parasoli, rzucających cień na kawiarniane ogródki. Z fontanny pośrodku rynku tryska woda. Dzieciaki drą się wniebogłosy, chlapiąc się.

Samochód zostawiłam pod kościołem na Moniuszki i chociaż wcześniej zamierzałam po spotkaniu zjeść obiad w jednej z tutejszych knajpek, teraz idę prosto do niego. Chcę jak najszybciej znaleźć się w moim czarnym domku o białym sercu i zapomnieć o tym, co tu zaszło,

o słowach byłej nauczycielki z noworudzkiego ogólniaka, gustującej w fioletach: „Dziewczynę pobili i zgwałcili”.

Nie chcę o tym myśleć.

Nie chcę myśleć o tym, że kiedy bibliotekarka serdecznie objęła mnie na pożegnanie, nie poczułam jej dotyku.

Dawno – Mareike

Ma na imię Szymon. Tyle Mareike o nim wie. I jeszcze to, że doskonale rozumie niemiecki, ale sam w języku Goethego nie chce mówić. W ogóle rzadko się odzywa. Dzięki radom doktora Thiela, by do rany przyłożyć larwy much, tkanki zaczęły zaskakująco szybko się goić – widmo amputacji minęło – a mimo to Szymon wciąż trwa w osobliwej apatii.

Mareike przychodzi zwykle na poddasze po porannym obrzędku. Zabiera ze sobą jedzenie i wodę, ale dziś do koszyka wkłada również przybory do golenia. Z szafki w łazience bierze stary, dawno nieużywany przez ojca pędzel, a z pokoju Matthiasa ebonitowe pudełko opatrzone sloganem: *Fermarud rasiert gut*.

W środku znajduje się stalowa brzytwa z rękojeścią z imitacji kości słoniowej. Matti otrzymał ją od ojca na szesnaste urodziny, ale ponieważ zarostu miał tyle, że pożał się Boże, korzystał z niej rzadko i teraz nie ma potrzeby ostrzenia tnącej krawędzi.

Mareike ostrożnie stąpa po zewnętrznych schodach. Są pokryte lodem, a przez to śliskie. Odsuwa skobel, wchodzi na poddasze.

Szymon siedzi z podkulonymi nogami na swoim posłaniu w kącie i bujając się w przód i w tył, patrzy w pustkę. Jakiś czas temu przyniosła mu dodatkową kołdrę i kilka ubrań po braciach, żeby nie marzł, ale wszystko jest na niego za duże. Ciągle ma problemy z żołądkiem. Doktor Thiel mówi, że to przez charłactwo, drugi stopień choroby głodowej. Żołądek Szymona nie pracuje jak należy i trzeba mu lekkostrawnej diety. Mareike gotuje mu zatem kleiki, wcześniej na wodzie, teraz na mleku, ale Szymon wciąż jest przejmująco chudy.

I tylko włosy mu nieco odrosły – ciemne o złotawym połysku – podobnie jak broda.

– Jak się dzisiaj czujesz? – pyta chłopaka, ale on nie odrywa wzroku od ściany.

Niezrażona zabiera się do pracy. Stawia wiadro z wodą nieopodal piecyka i wrzuca do niego kilka szczap drewna. Kiedy przychodzi na poddasze, stara się tu utrzymywać odpowiednią temperaturę, ale potem w środku znowu robi się zimno, bo Szymon chyba nie jest w stanie sam dokładać do ognia. Albo może jest mu wszystko jedno, czy marznie.

Gdy ogień zaczyna trzaskać w palenisku, zdejmuje z ramion chustę i odwiesza na haczyk na ścianie. Przelewa wodę do miednicy i ustawia do zagrzania na płycie piecyka, sama w tym czasie zabiera wiadro z fekaliami i wynosi je na dwór. Kiedy wraca, woda jest już ciepła.

– Ogolimy cię dzisiaj – mówi, podchodząc do niego i pokazując przybory do golenia. – To należało do mojego brata. – Wskazuje na ebonitowe pudełko. – Zginął na Ostfroncie w zeszłym roku. Masz chyba tyle samo lat co on.

Przystawia stołek nieopodal posłania Szymona. Pomaga mu się dźwignąć do pionu, a potem usiąść w przygotowanym miejscu – on poddaje się jej zabiegom jak bezwolna kukła.

Mareike osłania mu ramiona przyniesionym ze sobą ręcznikiem, rozpuszcza mydliny w miseczce i zaczyna wyrabiać pianę.

– Wyglądasz jak dzikus. Taki jesteś zarośnięty, że twarzy wcale ci już nie widać. Trzeba cię doprowadzić do porządku – papla nieprzerwanie, jakby w ten sposób próbowała zrównoważyć jego milczenie. – Doktor mówi, że musimy robić takie rzeczy, zwyczajne rzeczy, jakie robiłbyś w normalnych warunkach. Inaczej twój stan się nie poprawi.

Nakłada krem na policzki Szymona i rozprowadza go pędzlem.

– Nigdy tego nie robiłam, ale wiele razy widziałam, jak golili się ojciec i moi bracia. To chyba nic trudnego.

Wyjmuje brzytwę z pudełka i naciska ogon. Stal wyskakuje z rękojeści. Ostrze zostało wypolerowane tak, że przypomina lustro i połyskuje w półmroku panującym na strychu.

Dopiero teraz Szymon odwraca głowę w jej stronę. Nieobecny wyraz znika z jego twarzy, w oczach rysuje się strach.

– Nie – szepcze w swoim języku. Próbuje się podnieść, ale Mareike przytrzymuje go stanowczo, choć delikatnie, na miejscu.

– Nie bój się. Nie chcę zrobić ci krzywdy. Po prostu muszę cię ogolić. Tylko się nie ruszaj, dobrze?

Szymon nie wygląda na przekonanego, ale potakuje.

Mareike staje za jego plecami.

– No to bierzemy się do dzieła.

Podnosi jego brodę i przez chwilę spogląda z góry w przestraszone oczy, a potem wsuwa kciuk pod stabilizator, mały palec opiera na ogonie i wykonuje pierwszy ruch. Ostrze bez problemu sunie po miękkim zaroście na szyi i brodzie. Mareike, zgodnie ze sztuką, goli je z włosem. Przeciąga ostrzem po policzkach, powoli, bez pośpiechu, co jakiś czas wycierając pianę w ręcznik.

Napięcie w ciele Szymona zaczyna ustępować.

Mareike nakłada kolejną porcję kremu na skórę. Dokładnie rozprowadza. I teraz pod włos – to najtrudniejszy moment. Goli jabłko Adama i wystające kości żuchwy. Czuje lekki ucisk w mięśniach przedramienia. Teraz to ją ogarnia lęk. Wystarczy jeden nieostrożny ruch i będzie po chłopaku.

Na koniec policzki i wreszcie robota skończona. Bez jednego zadrapania czy zacięcia. Mareike z satysfakcją wyciera twarz Szymona ręcznikiem, czyści brzytwę i odkłada ją na bok. Obchodzi krzesło i staje naprzeciw niego.

I czuje, jakby widziała go po raz pierwszy, chociaż widuje każdego dnia od dwóch miesięcy.

Bez pasiaka, siniaków i śladów po ugryzieniach wszy, za to z gładkimi policzkami i w za dużych, a jednak całkiem porządnym ubraniach Klause i Mattiego, nie przypomina już uciekiniera z obozu. Ma wyjątkową barwę oczu: przywodzącą na myśl miód, a może łupiny orzecha, symetryczne rysy i ładnie wykrojone usta. Wygląda jak ktoś, kto ma swoją historię, kogo przeszłość sięga dalej niż do wyrobiska we wnętrzu gór i transportu, którym został przywieziony z KL Gross-Rosen. Ktoś, kto miał lub wciąż ma gdzieś matkę i ojca, kto chodził do szkoły, po lekcjach do kina, grał z kolegami w piłkę i może nawet podkochiwał się w jakiejś dziewczynie. Mareike, oddając Szymonowi twarz, nadała mu podmiotowość.

To nagłe odkrycie sprawia, że czuje się dziwnie zmieszana, więc żeby zatrzeć to wrażenie, chwyta brzytwę, poleruje ostrze na mankiecie swetra i podaje ją Szymonowi, by mógł się przejrzeć.

Bierze ją od niej i patrzy w swoje odbicie. Obraca głowę w prawo i w lewo i przesuwa dłonią po twarzy. A potem spogląda na Mareike. I chyba zauważa to, co ona, że oto właśnie odzyskał część siebie, bo pierwszy raz, odkąd tu jest, nieznacznie się uśmiecha.

– Mareike. – Patrzy jej w oczy. – *Vielen dank.*

Dziewczyna kiwa głową i zaczyna nerwowo uprzątać stanowisko pracy – intymność tego, co dzieje się między nią a Szymonem, zaczyna ją krępować. Zdejmuje ręcznik z jego ramion. Zabiera miseczkę z mydlinami i umyka przed uśmiechem chłopaka w kąt, gdzie stoi

kołowrotek. Dokłada kądziel na przęślicę. Siada na niskim zydlu i zaczyna prząść w miejscu, w którym przerwała ostatnio. Na szpuli wciąż jest wczorajsza nitka. Przyciska pedał i wprawia w ruch koło napędowe. Stukot wypełnia poddasze.

Szymon jeszcze przez moment zerka w odbicie na ostrzu brzytwy, a potem wstaje powoli z krzesła i z wyraźnym wysiłkiem, utykając na zranioną nogę, krok za krokiem zbliża się do miejsca, gdzie siedzi Mareike. Staje przed nią.

Przechyla głowę, śledząc ruchy jej palców, a potem wyciąga dłoń i dotyka opuszkami nici, która nawija się na szpulę.

– *Das ist Garn* – tłumaczy mu.

– Przędza – mówi zachrypłym głosem on w tym swoim dziwnym szeleszczącym języku.

– Przędza – powtarza za nim niezdarne Mareike.

Szymon odrywa rękę od szpuli.

– Mój ojciec był dyrektorem w przędzalni bawełny. Kiedyś. Zanim...
– Milknie, przełyka ślinę, odruchowo dotykając gładkiego policzka, jakby w ten sposób próbował odzyskać wspomnienia. – W wielkiej fabryce, w mieście, gdzie się urodziłem.

Przysiada na złożonych pod ścianą workach z niewytrzepanym jeszcze lnianym pokosem.

– Wiele razy odwiedzałem go w pracy – ciągnie. – Fascynowało mnie to. Maszyny parowe napędzające pasy transmisyjne, selfaktory, ruch setek robotników kręcących się po hali, towarzyszący wszystkiemu wielki huk... – Znowu się zamyśla. – Tyle razy obserwowałem proces powstawania przędzy i tkanin w fabryce, a nigdy nie widziałem, jak ta praca wygląda w przypadku produkcji rzemieślniczej. – Przechyla

głowę. – Nie wiedziałem, że potrzeba takiej precyzji i cierpliwości. Ileż w tym spokoju...

Nie odrywa od niej wzroku.

Nitka przędzy prześlizguje się między palcami Mareike. Jest nierówna, tu i ówdzie trochę za gruba. Szeleszczący głos Szymona wybija ją rytmu. Sprawia, że powietrze na poddaszu gęstnieje i wibruje. Mareike bardzo chciałaby wiedzieć, co powiedział. Nie rozumie, dlaczego obecność chłopaka nagle tak ją krępuje. Chyba wołałaby, żeby było jak dotąd: podczas gdy pracowała, on leżał skulony na swoim pośłaniu albo siedział, wpatrując się martwo w ścianę. Mogła przy nim być, opiekować się, nie wchodząc w interakcję. Był, ale jakby go nie było.

A teraz nie przestaje mówić, tym drżącym i dziwnym szeptem, który splata się ze stukotem kołowrotka. I ciągle na nią patrzy. Obserwuje każdy ruch dłoni Mareike.

W dwugłos wypełniający poddasze nieoczekiwanie wkrada się jeszcze jeden dźwięk dochodzący z zewnątrz.

Mareike odrywa stopę od pedału, zatrzymuje koło. Zamiera. Znowu to słyszy. Ktoś ją nawołuje po imieniu, ktoś, kto jest na podwórzu.

Spogląda wystraszona na Szymona i kładzie palec na ustach.

– Ciii.

Szymon milknie, a ona wstaje i jemu również pomaga podnieść się z worków. Odprowadza go na pośłanie, zaciąga zasłonę.

– Zostań tu i ani słowa.

Chwyta chustę i przecina pomieszczenie w stronę wyjścia.

Otwiera drzwi, staje na platformie i spogląda w dół. W zasięgu wzroku nikogo nie widzi, więc zbiega po schodach i okrąża boczną ścianę domu.

Na zasypanym śniegiem podwórku przed frontowym wejściem stoi Annika Hermann. Tym razem jest bez dziecka. Na głowie ma bezkształtną wełnianą czapę, która opada jej na oczy. Mareike podchodzi do koleżanki.

– Pukam i pukam, a ty nie otwierasz. – Annika naciera dłońmi ramiona i przestępuje z nogi na nogę.

– Nie słyszałam. Przędłam na górze.

– Przędłaś? – Annika marszczy brwi. Jej pulchne policzki są czerwone od mrozu.

Mareike otwiera drzwi i wpuszcza ją do holu. Wchodzi za nią, otrzepuje buty ze śniegu. Serce wali jej w piersi, ale stara się zachować spokój.

– Nie mam ostatnio nic innego do roboty – tłumaczy, starając się brzmieć naturalnie. – Zmarzłaś. Chodź, zrobię ci herbaty.

Annika zdejmuje płaszcz, odwiesza go na haczyk i podąża za Mareike korytarzem w stronę kuchni.

– Przyszłam do ciebie, bo przed chwilą usłyszałam straszną wiadomość – rzuca, siadając za stołem. – Nie uwierzysz, co się stało.

Mareike dokłada kilka szczap do pieca, stawia czajnik na płycie i odwraca się do Anniki. Koleżanka zawsze miała słoność do przesady, dlatego Mareike podchodzi do tych słów z dystansem.

– Co takiego się stało? – pyta, wciąż błędząc myślami po strychu.

– Wyobraź sobie: był u nas dziś z rana we młynie stolarz Leuchtmann, ten z Wüstewaltersdorfu. Matka go wezwała, żeby naprawił jedną z łopatek, którą wyłamał lód, ale nic nie zrobił, bo się spieszył. Wypadła mu inna pilna robota. – Robi pauzę, jakby chciała zbudować napięcie. – Ma do zbiccia trumnę. Nie zgadniesz dla kogo.

– Dla kogo?

– Dla szalonego Andreasa Klimkego.

– Andreas nie żyje?!

Mareike w jednej chwili zapomina o Szymonie, o strychu, porzuconym kołowrotku. Czuje, jakby podłoga pod jej nogami nagle zrobiła się miękka. Przed oczami znowu ma tamten dzień na basenie w Wüstegiersdorfie. Słyszy dźwięki *Bei Mir Bist Du Schön*, widzi, jak woda lśni na ciele Andreasa, czuje zapach chloru.

Czuje, że zaraz upadnie. Chwyta za reling otaczający kuchenną płytę.

Annika wolno kiwa głową.

– Kiedyś się w nim kochałaś, prawda? Dlatego pomyślałam, że będziesz chciała wiedzieć.

– Co się stało? – pyta, dławiąc się słowami.

– Wreszcie dopiął swego. Dziś o świcie matka znalazła go w jego pokoju w kałuży krwi. Już nie żył. Musiał to zrobić dzisiejszej nocy. Nawet gdyby z nim była, pewnie nie dałaby rady go uratować. Rozpruł sobie brzuch bagnetem. Całe wnętrzności wybebeszył ze środka. – Wzdycha. – To takie okropne. Śliczny był z niego chłopiec. Biedny Andreas.

Milczą obie. Mareike nadal słyszy w głowie swing, a w nim coraz więcej fałszywych nut. Woda zaczyna bulgotać w czajniku, lecz ona stoi całkiem zabetonowana grozą.

– Boję się – ciągnie Annika. – Boję się, Mareike, że wszyscy oszalejemy tak jak Andreas. Ruscy już podeszli pod Breslau. Kto wie, ile czasu miasto się utrzyma. I co będzie, jeśli się nie utrzyma? Może nie ma żadnej Wunderwaffe, może Hitler nas nie obroni? Co, jeśli Rosjanie dotrą do nas, w góry? Wszystkich w pień wytną albo wyślą na Syberię.

Zobaczysz. Może to już lepiej skończyć ze sobą jak Andreas? Słyszałam, że Ruscy robią straszne rzeczy. Szczególnie kobietom. Naprawdę straszne. Są jak zwierzęta, Mareike.

Noc Mokosz

Wtedy – Mania

Siedzę na parapecie w swoim pokoju na górze. Ze słuchawek cicho sączy się *Lake of Fire* Nirvany. Niebo nad szczytami ma kolor atramentu, granat powoli wlewa się przez otwarte okno do środka i okrywa moje ramiona cieniem.

Uczę się czerpać przyjemność z tych leniwych wieczorów w domu babci Maryjki. We wrocławskim mieszkaniu rzadko bywa równie spokojnie. Zawsze jest włączony telewizor albo radio. Matka mówi, że cisza ją męczy. Ma alergię na szatkujący pustkę dźwięk ściennego zegara. Lubi, gdy coś się dzieje; uwielbia tańczyć wokół stołu i śpiewać na całe gardło. Zwykle jest to coś z repertuaru Kory. *Tysiące twarzy, setki miraży, to człowiek tworzy metamorfozy*. Powtarza, że zrobiłaby większą karierę niż Kora, gdyby ją wtedy przyjęli na studia w Katowicach. Nie wiem, czy tak by było. Za dużo pali, a przez to jej głos jej niski i chropowaty.

Obserwuję dolinę zapadającą w sen. W miejscu, gdzie znajduje się pensjonat, wciąż wisi łuna. Widocznie lampy nad boiskiem jeszcze się palą.

Nie byłam tam od zakończenia pracy na truskawkowym polu. Na zwiedzanie kompleksu jesteśmy umówieni z Nawrotem dopiero pod koniec tygodnia. Dominika przychodzi codziennie po śniadaniu, żeby na poddaszu w spokoju wypalić fajki podwędzone ojcu. Za każdym razem proponuje, żebym do niej wpadła wieczorem na film – jej stary ciągle przywozi coś nowego z wypożyczalni, ostatnio *Dzień niepodległości* –

albo po prostu, żeby poflirtować z chłopakami przy ognisku. Wymawiam się zmęczeniem, po trzech dniach na plantacji z ramion zeszała mi skóra i wciąż jeszcze mam zakwasy, ale to nie jest prawdziwy powód. Po prostu obawiam się, że przypadkiem wpadnę na Huberta.

Od tamtej rozmowy pod jabłonią widziałam go tylko raz, z okna mojego pokoju. Przyszedł na przystanek PKS-u nieopodal nieczynnego zajazdu. Usiadł na ławce pod wiatą, przy ścianie postawił plecak i zapalił papierosa. Wyglądał, jakby czekał na autobus jadący do miasta. Raz za razem zerkał na zegarek, rozglądał się na boki, ale pekaes nie nadjeżdżał. Wreszcie dał za wygraną, wstał, zdusił butem niedopałek i odszedł w stronę domu. Na przystanku został plecak. Pomyślałam, że o nim zapomniał, powinnam tam pójść, zabrać go i oddać Dominice, gdy znowu do mnie przyjdzie. Pospiesznie wyszłam z domu, zbiegłam po zboczu, przez łąkę do drogi. Prawie wpadłam pod nadjeżdżający samochód. Kierowca, ogolony na łyso kark, w ostentacyjnej, czarnej beemce na niemieckich blachach, strąbił mnie, rzucając przez okno:

– *Verpiss dich!*

Odjechał z piskiem opon w górę wsi, ja pokonałam ostatnie metry dzielące mnie od przystanku. To wszystko zajęło mi w sumie nie więcej niż pięć minut, a jednak plecaka już nie było. Ktoś mnie uprzedził. Może zwinął go ten prymityw z bmw? A może po prostu Hubert po niego wrócił i się minęliśmy – pomyślałam, że zapytam go o to, gdy znowu się spotkamy. Jeżeli się spotkamy.

W myślach wciąż odtwarzam naszą rozmowę, minuta po minucie: i każdy gest, i to, jak na mnie patrzył, jak pachniał. Na policzku czuję dotyk jego palców, w uszach dźwięczą dziwne słowa, które wtedy wypowiedział. Sugerował, że nie jestem tym, kim myślę, że jestem. Kim przez całe życie mówiono mi, że jestem. A właściwie nie mówiono.

Bezustannie to analizuję i w duchu obiecuję sobie, że porozmawiam o tym z babcią Maryjką. Lecz na postanowieniach się kończy, bo wciąż brak mi odwagi, i dlatego decyduję rozegrać to inaczej. Przypominam sobie, co Hubert opowiadał o ponemieckich domach. W wielu z nich oprócz talerzy i mebli zostały zdjęcia. W obrazach bywa więcej prawdy niż w słowach, więc może to dobry trop? Od tego zacznę.

Gdy rano babcia wychodzi do sąsiadki po mleko i wreszcie zostaję sama w domu, zakradam się do pokoju stołowego.

To martwe i przygnębiające miejsce, właściwie nieużywane. Przypomina muzeum. Raz do roku jadamy w nim wigilijną kolację i to by było na tyle. Chociaż pokój jest duży, babcia go nie lubi. Telewizor postawiła w znacznie mniejszym i mniej wygodnym przy kuchni. Tu okna wychodzą na północ, więc przez większość dnia jest ciemno. Pachnie kurzem i stęchlizną, chociaż z każdego wazonu sterczą bukiety wonnych ziół. Pod ścianami stoją stare meble – ciężkie, rzeźbione – które nigdy mi się nie podobały. Są jak eksponaty, zbieracze kurzu pozbawione życia. Centralne miejsce zajmuje stół na dziesięć osób, na podłodze leży wyliniąły pers. Między oknami wisi kiczowaty landszaft, na ścianie nad kredensem zaś obraz przedstawiający Maryję z dzieciątkiem Jezus.

To właśnie w kredensie babcia trzyma stare albumy, a w nich zdjęcia, których nigdy nie ogląda. Ludzie w jej wieku lubią wracać do przeszłości, do młodości, ale nie ona. Nie jest sentymentalna. Lubi powtarzać, że to przywilej ludzi bogatych i tych, co to mają za dużo czasu. A ona ani nie jest bogata, ani nie cierpi na nadmiar wolnego czasu; zawsze ma coś do zrobienia. W kurniku, w oborze, w ogrodzie czy kuchni. Wciąż i wciąż. Pełne ręce roboty.

Otwieram drzwi szafki. W albumach panuje chaos, papierowe noski przytrzymujące zdjęcia na miejscu poodklejały się, toteż wiele z nich

leży luzem w stosach. Niektóre włożono do foliowych woreczków po wacie, inne zostały spięte gumkami recepturkami. Jak na archiwum rodzinne nie jest tego za wiele.

Przeważają czarno-białe zdjęcia, z brzegami przyciętymi w wymyślne fale, zwykle niedatowane. Na części z nich widać ludzi, których nie znam, których twarze nic mi nie mówią, lecz na szczęście jest też kilka przedstawiających babcię i dziadka Edka – oni w Jedlinie-Zdroju przy pijalni wód, pod kościołem na jakiejś uroczystości, pozujący na nieznaną mi ulicy na tle połyskującej chromem warszawy, która wygląda jak wielki żuk gnojarsz, na schodach domu z nowo narodzonymi kociętami na rękach.

Na wszystkich fotografiach dziadek się uśmiecha; tym swoim pocziwym, nieco zakłopotanym uśmiechem, który wciąż doskonale pamiętam, chociaż zmarł, gdy miałam siedem lat. Babcia Maryjka natomiast wszędzie pozuje z poważną miną. Jakby obiektyw ją denerwował albo jakby się go bała – niczym dziki z plemienia wierzącego, że aparat fotograficzny kradnie duszę.

Inną ma tylko na jednej fotografii – chyba ze ślubu. Chwytam ją w dłonie i oglądam z każdej strony. Na odwrocie ktoś zapisał datę: rok tysiąc dziewięćset czterdziesty dziewiąty, czerwiec. Tu wygląda na rozluźnioną i spokojną. Stoją z dziadkiem tuż przed wejściem do kościoła Matki Boskiej Śnieżnej, trzymając się pod rękę. On w zbyt luźnym, źle skrojonym garniturze, tym razem zaskakująco poważny i spięty. Ona ze stroikiem z koronki wpiętym we włosy, w skromnej jasnej sukience za kolano, z bukietem polnych kwiatów i pantoflach na niskim obcasie. Przechyla głowę w stronę dziadkowego ramienia.

Na drugim planie uwieczniono weselników, w tym starego mężczyznę w czapce i z dorodnym siwym wąsem, trzymającego za rękę

dziewczynkę na oko cztero- lub pięcioletnią, ubraną w zwiewną sukieneczkę i białe skarpetki do sandałów.

Chociaż tło jest rozmyte, a dziecko ma naburmuszoną minę, od razu rozpoznaję w nim matkę.

I poraża mnie to, co odkrywam. Wplatom włókna faktów w obraz tkany latami z przemilczeń. To zdjęcie stanowi bezsporny dowód, że była już na świecie, gdy dziadkowie brali ślub. Z jakiego powodu tak długo z tym zwlekali po narodzinach córki? Chyba że nie zwlekali. Czy babcia była panną z dzieckiem, a dziadek tylko je adoptował? Przyglądam się twarzy dziewczynki, a potem mężczyźnie w zbyt luźnym garniturze. To przecież oczywiste. Nie mógł być jej ojcem. Uparcie wpatruję się w zdjęcie i żadną siłą nie mogę się dopatrzeć podobieństwa między nimi. On jest niski, ciemnowłosy, czarnooki, matka stanowi jego negatyw.

Zszokowana tym odkryciem, nerwowo chowam fotografię na miejsce.

Kartkuję albumy w poszukiwaniu innych wspólnych zdjęć tej dwójki. Niczego takiego tu nie ma. Fotografii samej matki też jest zresztą niewiele – czy zabrała je ze sobą do Wrocławia, gdy opuszczała rodzinny dom? Znajduję jedynie kilka, w woreczku foliowym po wacie higienicznej. Pochodzą z czasów szkolnych: typowe, pozowane fotki z wychowawczynią. Dzieciaki stojące w rzędach, gdzie jedno zawsze trzyma tabliczkę z numerem klasy. I parę indywidualnych ujęć. Matka pręży się, eksponując odznakę „Wzorowy Uczeń”, przyczepioną do poliestrowego fartuszka z białym kołnierzykiem. Kadr z wycieczki szkolnej do miasta, chyba do Wrocławia, gdzie w towarzystwie koleżanek stroi głupie miny. I z zabawy karnawałowej, na której pozuje ubrana w sukienkę ozdobioną krepiną, z koroną na głowie wyciętą z papieru – papierowa królowa.

Odkładam je na miejsce i już zamierzam zamknąć kredens, kiedy spod stosu zalegającego pod tylną ścianą mebla wysuwa się jeszcze jedna fotografia.

Matka, w moim wieku albo trochę młodsza, stoi w mieniących się słońcem wodach stawu. I jest to na pewno nasz staw, ten za domem. Rozpoznaję od razu po widoku gór w tle. Ten sam, w którym – według babci Maryjki – nikt nigdy się nie kąpał.

Przysuwam zdjęcie do twarzy, by mu się lepiej przyjrzeć. Matka w jasnym jednoczęściowym kostiumie kąpielowym, z włosami zaplecionymi w dwa warkocze podpięte na czubku głowy, spogląda przez ramię w obiektyw. Wygląda na znudzoną, a może przygnębioną. Na pewno nie podoba jej się, że ktoś jej robi to zdjęcie. Na udzie, poniżej pośladka widnieje maleńka czarna kropka – znamię, które doskonale znam. Błyski na wodzie i rozlany, jakby nierzeczywisty górski pejzaż w tle nadają całości klimatu zdjęć wróżek z Cottingley, które jakiś czas temu widziałam w gazecie.

Obracam fotografię w palcach. Różni się od reszty: przez charakterystyczny odcień sepii i pożółkły papier rewersu. Wygląda przez to – choć to niedorzeczne – na starszą niż pozostałe przedstawiające matkę. W dolnym rogu widnieje odręczny napis wykonany ołówkiem, którego jednak nie mogę rozczytać, bo prawie się starł.

Podchodzę do okna, żeby lepiej jej się przyjrzeć, lecz wtedy z korytarza dobiega odgłos otwieranych drzwi wejściowych. W popłochu chowam zdjęcie do kieszeni i zamykam drzwiczki kredensu. Czekam, aż babcia przejdzie do kuchni, a wtedy wymykam się ze stołowego i cichaczem, by mnie nie nakryła, biegnę do pokoju na górze. Wkładam zdjęcie matki pod poduszkę, by móc mu się przyjrzeć później, wieczorem, gdy babcia położy się już spać.

Zniecierpliwiona czekałam przez cały dzień. Wreszcie kilka minut temu usłyszałam, że gasi telewizor i idzie do siebie, więc zeskakuję z parapetu, przemierzam ciemny pokój i wyjmuję zdjęcie. Wracam na miejsce w oknie. Pogłaśniam discmana. Wsłuchuję się w słowa piosenki. Kurt śpiewa, że źli ludzie po śmierci nie idą do nieba, tam gdzie latają anioły, ale schodzą do jeziora ognia, w którym będą się smażyć. Patrzę na twarz mojej matki brodzącej w stawie i zastanawiałam się, dokąd ona pójdzie po śmierci i ile rzeczy o niej nie wiem. Ilu rzeczy nie wiem o własnej rodzinie, o babci, dziadku Edku, który być może wcale nie był moim dziadkiem, o tej wsi pełnej duchów.

Wpatruję się w oczy mojej nastoletniej matki, próbując znaleźć odpowiedzi na wszystkie te pytania, lecz ona milczy.

Dawno – Mareike

– Muszę sprawdzić, co z raną – mówi Mareike, wchodząc z dzbankiem gorącej wody i świeżymi opatrunkami na poddasze. – Zdejmij, proszę, spodnie i połóż się na sienniku.

Na jej włosach lśnią drobiny śniegu. Policzki zaróżowił mróz.

Szymon posłusznie wykonuje polecenia. Rozbiera się za lnianą zasłoną, siada na pościeli, opierając się plecami o ścianę, i nakrywszy się kocem, wystawia zabandażowane udo. Mareike wiesza chustę nad piecykiem, do środka wrzuca kilka szczap. Przez chwilę się krząta, zbierając wszystko, co będzie jej potrzebne, a wreszcie podchodzi do niego, stawia dzbanek na podłodze i przykłęka obok.

Szymon odchyła nogę, by mogła zdjąć stary opatrunek. Mareike delikatnie odwija kolejne warstwy gazy, po czym nachyla się, by lepiej obejrzyć zranione miejsce.

– Naprawdę dobrze to wygląda. Nic już się nie sączy. – Przemywając skórę szmatką, przelotnie zerka na Szymona. – Doktor Thiel jest cudotwórcą.

– To dzięki tobie – odpowiada po polsku Szymon. – To ty o mnie dbasz każdego dnia.

– Nie trzeba już zakładać opatrunku – ciągnie ona. – Zobacz, jak ładnie się zabliznia. Doktor mówi, że teraz trzeba zacząć smarować skórę tłustą maścią, ale to będziesz mógł już robić sam. Przyniosę ją jutro.

Śnieg smaga dach. Wiatr cicho śpiewa między deskami. Mareike wpatruje się w bliznę. Cieszy się, że rana, która z początku tak paskudnie

wyglądała, ostatecznie się zagoiła, że to koniec, lecz z drugiej strony trochę żałuje, że już nie będzie potrzebna Szymonowi; przyzwyczała się do rutyny zmieniania opatrunków, do tych krótkich chwil ich bliskości.

Odkłada na bok moką szmatkę. Powinna poprosić, by już się zakrył, ale zamiast tego znowu wyciąga rękę i wiedzie palcami po zgrubieniu blizny. W miejscu, gdzie doktor musiał usunąć tkankę, skóra się zapada, jest bardzo delikatna, różowa i cienka jak papier.

Szymon nieoczekiwanie chwyta ją za dłoń. Mareike wstrzymuje oddech. Jego dotyk jest ciepły i miękki. Kciuk Szymona przesuwają się po wierzchu jej dłoni.

– Jesteś dla mnie taka dobra – mówi po polsku. – Taka dobra...

Wyciąga drugą rękę i dotyka jej policzka, wiedzie palcami po linii żuchwy, dotyka warg.

Mareike przymyka oczy, chciałaby, żeby czas zakrzepł w lód, żeby śnieżycy na dworze nie ustępowała, a wiatr wył z całych sił. Żeby mogła tu zostać jak najdłużej. By Szymon jej dotykał. Chiałaby móc wsunąć palce w jego włosy, całować chłodną skórę.

Szymon.

Nieoczekiwanie rozjaśnił mrok, który ujrzała na dnie stawu, w którym trwała od śmierci brata. Nadał na nowo sens dniom. Wypełnił pustkę.

Mareike przez całe życie nie wypowiedziała tylu słów co w ostatnich tygodniach. Nikt nie wie o niej tyle co łódzki Żyd, Szymon, uciekinier z obozu. Opowiedziała mu nawet o tamtej okropnej wizycie w gabinecie lekarskim przed przyjęciem do *Jungmädelbund* i o spaleniu portretu Hitlera przez ojca, o jeźdźcu bez głowy, pędzącym na bezgłowym koniu, i o tym, jak bardzo się go bała, będąc dzieckiem, choć to głupie.

Szymon przyciąga ją do siebie.

– Mareike, Mareike... – szepcze, a jego oddech układa się miękko w zagłębieniu między jej szyją a obojczykiem.

Noc Mokosz

Wtedy – Mania

Przed południem, uzbrojeni w plecaki i latarki – a Nawrot także w linę – ruszamy z Rzeczeki. Droga początkowo wiedzie pod górę przez łąki, a gdy docieramy do pierwszych świerków: na przełaj przez las. Pan Stachu z synem idą przodem, przy nich Bartek, Dominika jak zwykle wśród chłopaków, blisko Julka, ja z Anką w ogonie, a kilka metrów za nami, zamykając grupę, Hubert. Dziś jeszcze bardziej osobny niż zazwyczaj, z ironicznym uśmiechem bezustannie błakającym się po ustach. Przywitał mnie z daleka kiwnięciem głowy. Ma ze sobą plecak – ten, który zostawił na przystanku – a zatem nie zwinął mu go Niemiaszek z czarnej beemki.

Idziemy przez las. Doskonale znam okolice – to znaczy wydaje mi się, że znam, ponieważ dziesiątki razy szwendałam się tu z Domą – i dlatego kierunek, który obrał pan Stachu, wydaje mi się chybiony. Na tym zboczach nie ma niczego ciekawego.

Wędrujemy w ciszy. Las gęstnieje, wokoło zaczynają wyrastać pierwsze skały. Nogi zapadają się w ściółce napuchłej od wczorajszego deszczu, jest duszno, komary tną jak oszalałe – to był idiotyczny pomysł z tą wycieczką, żałuję, że tu jestem. Mam w dupie przeszłość tych terenów, wszystkie niedopowiedzenia, tajemnice Hitlera, pożółkłe fotografie i niewygodną prawdę ukrytą pod sepią. Mam dość bezgłowych duchów i mojej postrzelonej babki, która wierzy w pogańskie bóstwa. I Huberta, aroganckiego dziwaka. Jego chyba najbardziej.

Brniemy przez gęstwiny już dobry kwadrans i odnoszę wrażenie, że kręcimy się w kółko – a może rzeczywiście tak jest, Nawrot chce, żebyśmy stracili orientację, by nikt nie zapamiętał drogi.

– To tu. – Zatrzymuje się wreszcie, wskazując na zagłębienie w ziemi.

Z płytkiego leju, jakieś osiem na trzy metry, wyrastają młode buki, nigdzie jednak ani śladu po mitycznym wejściu do sztolni. Żadnych włączów w ziemi czy ukrytych w skale wrót – sama nie wiem, czego się spodziewałam. Tolkienowskich Drzwi Durina otwierających podziemne królestwo Morii?

Chyba nie tylko ja czuję rozczarowanie. Z kwaśnymi minami schodzimy na dno niecki. Nawrot ignoruje nasze komentarze, kiwa na Miśka:

– Synek, podaj łom.

Chłopak wyciąga spod kamienia kawał zardzewiałego żelastwa. Pan Stachu rozgrzebuje butem miejsce, gdzie stoi. Spod cienkiego naskórka mchu wyłania się betonowy właz.

– O ja pierd..., no czad! – ekscytuje się Piotrek, ekspert od Hitlerjugend.

Podchodzimy bliżej. Nawrot bierze łom od syna i wsuwa w szczelinę. Beton ustępuje bez problemu, ukazując okrągły szyb, znikający we wnętrzu góry. W nosy uderza nas fetor zgnilizny.

– Zaraz puszcze pawia – szepcze Anka.

Chłopaków wyziew chyba nie zraża, bo gromadzą się nad włazem i jeden przez drugiego zaglądną do środka. Wyciągają latarki i dziurawią mrok szybu.

– Du-pa! – woła któryś.

Mrok odpowiada echem: dupa, dupa, dupa... Niepokojąco długo.

Nawrot klepie żartownisia w potylicę.

– Więcej tego nie rób – mówi, a potem wyciąga papierosa, zapala. – Zanim zejdziemy, mam do was kilka uwag. Po pierwsze, zachowujemy się cicho, nie drzemy ryja jak ten tu kolega przed chwilą. Żadnych wygłupów. W tunelach pod nami zginęły tysiące ludzi. Nie zakłócajmy ich spokoju, bo to się różnie kończy.

– Jak niby? – docieka Piotrek.

Nawrot patrzy na chłopaka, wydmuchuje dym.

– Był tu kiedyś taki jeden, co się nie umiał zachować, i wylądował w kaftanie.

– To znaczy: zwariował?

– Opętał go duch. – Zamiast ojca odzywa się Misiek.

Wzdycham wymownie, wznosząc oczy do nieba. Znowu duchy. Naprawdę mierzą mnie już te opowieści dziwnej treści. Misiek to dostrzega, ale niezrażony mówi dalej:

– Po powrocie ze sztolni bez przerwy czuł czyjąś obecność. Słyszał głosy. Śniło mu się, że jest żywcem zasypywany w podziemnym tunelu. Z nerwów tak schudł, że zaczął wyglądać jak więzień obozu. Sprowadzono nawet księdza, żeby wypędzić upiora, ale woda święcona nie pomogła, więc w końcu postanowił skrócić sobie cierpienie i się powiesić.

– Umarł? – pyta Anka.

– Odratowali go i umieścili w szpitalu. Zmarł tam kilka lat później, ale duch do śmierci go nie opuścił.

– Bzdury – parska Julek.

– Ja też nie wierzę w takie rzeczy – dołącza Anka.

Misiek wkłada ręce do kieszeni, strzela śliną pod nogi.

– Powiedzieć im, tatuś? – pyta Nawrota.

Pan Stachu przytakuje.

– To był mój wujek, brat matki – mówi Misiek. – Niech zresztą ojciec potwierdzi.

Zapada niezręczna cisza.

– To ja odciąłem szwagra od sznura. – Nawrot potakuje w zamyśleniu głową. Pociąga nosem, wraca do przerwanej wątku: – Po drugie, niczego nie zabieramy na górę, żadnych kamieni na pamiątkę, elementów konstrukcji, śrubek, kabli, niczego. Jasne?

Pierwszy raz spoglądam w stronę Huberta, który stoi po drugiej stronie dziury, nieopodal siostry. Chwytam jego spojrzenie. Uśmiecha się w ten sam sposób co pod jabłonią. Przeszywa mnie dreszcz. Speszona spuszczam oczy.

– I po trzecie, nikt na własną rękę nie oddala się od grupy. Jeżeli ktoś poczuje zmęczenie, zachce mu się siku albo coś innego, zgłasza się do mnie. Zatrzymamy się, poczekamy, ale żadnej samowoli. – Rzuca niedopałek na ziemię i wdusza butem w ściółkę. – Jakies pytania? Nie? To ubieramy się, bo tam zimno, i schodzimy. Tylko uwaga na stopniach, są śliskie.

Zdejmuje linę, którą dotąd miał zwiniętą i przełożoną przez ramię, a jej końcówkę zawiązuje w pasie.

– Ja idę przodem, pan, panie Bartku, za mną, a ty, synek, z Hubertem zamykacie grupę i pilnujecie, żeby nikt nie został z tyłu.

Wkładamy bluzy i po kolei wchodzimy w betonowy szyb. Ma mniej niż metr średnicy. Ze ścian wystają stopnie z prętów. Gdy przychodzi

moja kolej, wyjmuję z plecaka archaiczną latarkę z zielonej blachy. Wczoraj jedno i drugie znalazłam na poddaszu. Grube woskowane płótno plecaka pełne jest plam i przebarwień, ale rzemienne troki, choć popękane, nadal spełniają swoje zadanie. Metalową obudowę latarki muszę uderzyć kilka razy, by żarówka się obudziła. Schodzę na dół. Od ścian odbija się metaliczny odgłos kroków i szeptów. Po raz nie wiem który dzisiejszego dnia wyrzucam sobie, że tu jestem. Czuję strach. Tracę orientację: jestem dziesięć czy sto metrów pod ziemią? Betonowy kołnierz szybu szybko znika, a zamiast niego pojawiają się skały. Robi się tak ciasno, że ledwo mieszczę się z plecakiem.

Chcę wykonać kolejny krok, ale natrafiam na pustkę, pod stopą brakuje kolejnego pręta.

– Mania, musisz się opuścić jak najniżej, a potem skoczyć, złapiemy cię! – Z dołu dochodzi wołanie chłopaków. – To tylko kilka metrów.

Ich głos brzmi, jakby znajdowali się na dnie basenu. Dźwięk miesza się z pluskiem wody, odbija od stropu i niesie gdzieś daleko w głąb sztolni.

Zadzieram głowę. Nade mną jest Anka, a jeszcze wyżej Misiek i Hubert. Nie mam drogi odwrotu. Skaczę. Łapią mnie w kilku i stawiają na ziemi. Woda sięga do kostek. Kieruję w górę światło latarki. Gdybym wiedziała, jak to wysoko, nie skoczyłabym za żadne skarby. Sufit wisi jakieś sześć, siedem metrów nad naszymi głowami.

– To jedna z większych hal, jakie tu wydrążono – mówi Nawrot, zwijając linę, gdy wszyscy jesteśmy na dole. – Ale nie największa. Tam jest zawał. – Wskazuje ręką w ciemność. – Nie wiadomo, kiedy powstał. Czy z przyczyn naturalnych, czy Niemcy wysadzili skałę, kiedy opuszczali góry w czterdziestym piątym. Są hipotezy, że coś tam ukryli.

– Bursztynową komnatę albo złoty pociąg? – pyta Piotrek.

– Raczej dowody zbrodni – rzuca chłodno pan Stachu. – Niektórzy uważają, że za tą halą musiało się znajdować przejście na dolną kondygnację.

– Poniżej nas coś jeszcze jest? – dziwi się Anka.

Nawrot kiwa głową.

– Niemcy, nim uciekli, sprowadzili na dół kompleksu kilka tysięcy więźniów i tam ich pomordowali. Żeby nie było świadków tego, co tu powstawało.

– To znaczy, że pod nami jest masowy grób?

– Cały ten labirynt to grób. – Zarzuca linę na ramię. – Idziemy. Przed nami kilka godzin wędrówki.

Opuszczamy halę tunelem, w którym bez trudu zmieściłby się samochód. Nawrot wyjaśnia, że pod wodą wciąż znajdują się stare podkłady kolejki, którą na zewnątrz wywożono urobek. Na stropie ciągną się stare kable. Czuję się nieswojo, chłód oplata moje ciało. Śmierząca woda, która płynie po dnie, to podnosi się, to opada. Skręcamy w kolejny korytarz i kolejny, o wiele mniejszy niż poprzedni. Woda znika, ale robi się jeszcze zimniej. Mimo grubej bluzy mam gęsią skórkę. Myślę o tonach kamienia nad naszymi głowami: o śmierci, która kiedyś w nie wsiąkła.

Coś strzela pod moim mokrym butem. Echo przepęłza po ścianach. Idąca przede mną Anka odwraca się i celuje mi światłem latarki pod nogi.

– Czy to jest...? – pyta, zmieniając się na twarzy.

Nachylamy się obie nad dziwnie wygiętym, szarym patykiem, który pękł na pół.

– Panie Stachu! – woła Anka. – Niech pan spojrzy!

Misiek i Hubert równają się z nami. Reszta zawraca i gromadzi się wokół.

– Czy to...? – Anka wskazuje na przedmiot na ziemi, którego nie chce nazwać wprost.

Nawrot przykuca, chwytając w dwa palce odłamaną część.

– Tak, to kość – przyznaje.

Czuję, jak robi mi się niedobrze. Macki mroku zaciskają się na żołądku. Pierwszy raz widzę martwego człowieka, a właściwie to, co z niego pozostało: takie nic, szary patyk.

– Może to kość jakiegoś zwierzęcia? – zastanawia się Julek.

– Nie, jest ludzka – stwierdza Hubert, zaglądając mi przez ramię. Czuję na plecach ciepło jego ciała. Przypominam sobie, że trzy lata temu wahał się, czy iść na medycynę, więc być może ma pewne pojęcie o anatomii. – A dokładnie jest to kość obojczyka. Obróć się, Mania. – Zwraca się do mnie nieoczekiwanie.

Zawstydzona staję do niego twarzą, wszyscy patrzą na nas, a on spokojnie rozpinając mi bluzę przy szyi i odciąga koszulkę. Przesuwa palcem po skórze, od mostka, po ramię, w miejscu gdzie wystaje kość. Jego dotyk odczuwam jako drobne wyładowania elektryczne.

– Spójrzcie, to dokładnie ta.

Na chwilę zatrzymuje na mnie wzrok. Uśmiecha się – wie, jaką reakcję w moim ciele wywołał – a wreszcie opuszcza dłoń i przykuca obok Nawrota. Pospiesznie poprawiam T-shirt i zapinam bluzę. Chciałabym się zapaść pod ziemię. Czuję na sobie spojrzenie Dominiki. Stoi nieopodal i z niezadowoleniem kręci głową, jakby chciała powiedzieć: nie rób tego.

Tymczasem Hubert bierze z rąk pana Stacha znalezisko. Łączy dwa pęknięte kawałki w całość.

– Tu jeszcze widać resztki wycisku więzadła zębrowo-
obojczykowego, w tym miejscu jest guzek stożkowaty, a ta podłużna
wypukłość to trzon obojczyka. – Zaciskając pięść w miejscu złamania,
przykłada kość do własnego ciała. – Ktoś, do kogo należała, miał dość
szeroką klatkę piersiową, można więc wnioskować, że był w wieku...

Przestaję go słuchać. Myślę tylko o tym, że znowu mnie dotknął.

Dawno – Mareike

Nocami krzyczą sarny. Na łąkach trwają gody. Powietrze pachnie majem, życiem rozkwitającym w trawach i nowym początkiem.

I końcem.

Mareike wraca od sąsiadki z połową konwi mleka. Z połową zamiast pełnej, ponieważ mleka brakuje, z krowami jest problem, a całą okolicę w ostatnich dniach ogarnął chaos, jakiego nikt wcześniej tu nie widział.

Podobno wczoraj, w niedzielę, po długich walkach, *Festung Breslau* upadła i całe miasto jest już w rosyjskich rękach. W mieszkańcach Rudolfswaldau strach miesza się z niedowierzaniem. Część zabiera dobytek i ucieka w stronę granicy, inni zakopują, co mają najcenniejszego: na polach, w ogrodach, pod drzewami. Nikt już się nie wita, podnosząc dłoń w geście *saluto romano*, a zeszłej nocy od strony Schweidnitz całkiem już wyraźnie słychać było grzmoty artylerii. Słowo „Sowieci!” niesie się przerażonym szeptem z ust do ust i wisi łuną o barwie krasnej gwiazdy nad górami.

Mareike zatrzymuje się, by odsapnąć pod Gasthausem. Do ściany budynku ktoś przykleił afisz.

*Do ludności Dolnego Śląska i południowych
regionów Brandenburgii!*

*Dzięki zwycięskiemu pochodowi alianckiej Armii Czerwonej i bohaterskiej Armii Polskiej
odzyskano dla ojczyzny prastowiańskie tereny odebrane Polsce germańskimi imperialistycznymi
zapędami.*

*Zgodnie z rozporządzeniem Rady Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej przejmuję administrację
państwową na czysto słowiańskich terenach odzyskanych.*

*Wzywam ludność do lojalności i całkowitej uległości oraz ścisłego przestrzegania i wykonywania
poleceń.*

Wszelki opór czynny lub bierny zostanie złamany przemocą, a winni ukarani zgodnie z przepisami stanu wojennego.

Ludność słowiańska, zgermanizowana przemocą i podstępem zostanie przez nas właściwie potraktowana i będzie miała możliwość powrotu do Polski, o co ubiegały się najwspanialsze córki i synowie tych starożytnych terenów słowiańskich.

Pełnomocnik Rządu R.P.

na okręg Dolnego Śląska

Mgr Stanisław Piaskowski

Mareike kończy czytać, kiedy od strony Wüstewaltersdorfu po zboczach stacza się ryk silników, a na szczycie drogi pojawia się zmotoryzowana jednostka Wehrmachtu. Niekończąca się kawalkada sunie w stronę wioski. Mareike przystaje na poboczu, żeby przyjrzeć się niezwykłemu widowisku. Pierwszy raz w życiu widzi tak liczny oddział. Oprócz kilku ciężarówek i aut typu *Kübelwagen*, wypełnionych żołnierzami o szarych twarzach i przekrwionych oczach, w kolumnie ciągnie także wiele dział pancernych oraz małych dział samobieżnych. Ze sprzętem wojskowym tego rodzaju Mareike nigdy nie miała do czynienia, toteż nie ma pojęcia, że to śmiertcionośne *Sturmgeschütze* i Jagdpanzery 38 zwane potocznie Hetzerami – prowokatorami – i że potrafią w kilka chwil zetrzeć świat na proch, a mimo to instynktownie czuje lęk.

Z kilku domów na drogę wychodzą ludzie. Z zajazdu za plecami Mareike wypada chuda, a teraz także roztrzęsiona, *Frau Schutt*, za nią zaś podąża jej mąż. Gdy tylko zauważa obwieszczony przyklejony do ściany zajazdu, natychmiast zrywa je i ze złością zgniata w dłoni.

Pierwsze pojazdy osiągają dno doliny i skręcają w prawo, w kierunku Wüstegiersdorfu. Ziemia drży pod nogami Mareike. *Frau Elsa* robi krok w jej stronę, przystaje obok i odruchowo wsuwa rękę pod ramię dziewczyny.

– Mój Boże – szepcze. – Czy oni uciekają? Jak myślisz, Mareike? – Odwraca pobladłą twarz w jej stronę.

Jedno z terenowych aut ze złożonym brezentowym dachem odłącza się od kolumny i zatrzymuje tuż przed drzwiami Hippe's.

– Pan jesteś właścicielem? – Młody oficer, siedzący na miejscu pasażera, zwraca się wprost do *Herr* Franza, wskazując na szyld Gasthausu. – Możemy dostać coś do picia?

– Dokąd jedziecie? – Właściciel zajazdu odpowiada pytaniem na pytanie.

Mareike czuje na swoim boku, jak bardzo napięte jest ciało *Frau* Schutt. Kobieta trzęsie się jak osika.

– Dlaczego nas zostawiacie bez ochrony? – ciągnie jej mąż.

– Mamy rozkaz ewakuacji – tłumaczy oficer.

– Jak to: ewakuacji? A co z nami?

– Taki mamy rozkaz z góry – powtarza tamten zmęczonym tonem. W jego podkrążonych oczach próżno szukać ducha walki.

– A gdzie teraz znajduje się front? – *Herr* Schutt chwyta się pod boki. – W którym kierunku się posuwa?

– Nie mogę udzielać takich informacji, ale zalecam, żeby czym prędzej ruszali państwo w stronę granicy.

– Mam zostawić zajazd? – obrusza się. – Niby jak pan, panie oficerze, to sobie wyobrażasz? Tu jest cały mój dobytek.

– Choćby teraz, zaraz, z nami. Rosjanie to dzicz. Nikt tu nie będzie bezpieczny, gdy wejdą. Mogę zatrzymać którąś z ciężarówek. Zabierzemy was ze sobą. Niech pan rzuca wszystko i stąd ucieka. Razem z żoną i córką – dodaje, spoglądając przelotnie na Mareike, którą bierze widocznie za dziecko Schuttów.

Frau Elsa coraz mocniej dygocze.

– Nie ma mowy – upiera się *Herr* Franz. – Moja rodzina mieszka tu od pięciu pokoleń. Tu jest nasz dom.

– Jak pan uważa. – Wojskowy wzrusza ramionami. – Dostaniemy wreszcie tej wody?

– Idź, przynieś im – zwraca się do żony Schutt.

Frau Elsa, cicho pochlipping, wyciąga w końcu dłoń spod ramienia Mareike i posłusznie umyka w stronę drzwi.

Kolumna nieprzerwanie przewala się drogą. Mareike ma dosyć tego smutnego przedstawienia, więc zostawia mężczyzn pod zajazdem i rusza z konwią pod górę, w stronę domu.

Vati, podobnie jak *Herr* Schutt, uważa, że powinni zostać, chociaż od kilku dni cały Wüstegiersdorf i każda pomniejsza miejscowość w okolicy oklejone zostały obwieszczeniami. *Vati* uważa, że to niedorzeczność, wojenna agitacja sącząca się z Kremla i nic złego się nie wydarzy. Ani Ruscy, ani Polacy nie zrobią im krzywdy – przecież mieszkańcy tego skrawka ziemi na końcu świata to prości rolnicy, którzy przez wieki w głodzie i znoju walczyli na górskich ugorach o przetrwanie. On sam zaś jest tylko inżynierem w fabryce tkackiej i nigdy nawet w dłoni karabinu nie trzymał. Owszem, był czas, że ulegli propagandzie Berlina – kto by nie chciał żyć godnie – ale to już przeszłość. Zapłacili za błędy krwią swoich synów, więc nawet jeżeli front dotrze do ich wioski, to przecież z domów nikt ich nie wygoni.

Tak twierdzi *Vati*, ale Mareike ma wątpliwości, a to, co zobaczyła w oczach oficera, dodatkowo potwierdziło obawy.

Mareike mija dom doktora Thiela – Schwarze poszczekuje na jej widok – i przez moment ma ochotę zajrzeć do Grety. Przyjaciółka już jakiś czas temu uciekła z Breslau, nim miasto zamknięto i ustanowiono

twierdzą, i teraz siedzi na wsi. Ostatecznie jednak porzuca pomysł spotkania. Nie ma teraz na to czasu. Poza tym ostatnia rozmowa jakoś im się nie kleiła, rwała się, męczyła cichymi pauzami. Wielkie miasto zmieniło Gretę. A może to Mareike się zmieniła? Doktor prosił, żeby ani słowem nie wspomniała jego córce o Szymonie, a przecież to on wypełnia teraz całą jej codzienność, każdą myśl. Więc o czym miałyby z Gretą rozmawiać? Może jak wszystko się przewali, front przejdzie i wróci spokój, wtedy się spotkają – Thielowie też nie zamierzają uciekać, doktor uważa, że jego obowiązkiem jako lekarza jest tu zostać i służyć miejscowej ludności.

Mareike przechodzi obok kościoła i cmentarza, wdrapuje się na wzgórze, przecina podwórko i kieruje się prosto do domu. Wie, co powinna teraz zrobić. Zostawia kanekę przy drzwiach i idzie do pokoju Matthiasa. Zabiera z szafy kilka jego najlepszych ubrań. W gabardynowy płaszcz zawija koszulę, wełniany sweter wydziergany przez *Omę Ursulę*, który nadal pachnie bratem, i sztuczkowe spodnie z szelkami. Z dna szafy wyjmuje porządne marszowe buty, które Matti nosił na obozach Hitlerjugend. A następnie schodzi do kuchni, gdzie do płóciennego worka pakuje bochenek chleba, reszkę sera, która jej została z ostatniego nastawu, i kilka najdorodniejszych ziemniaków.

Wychodzi z pakunkami na zewnątrz. Z szopy przy bielarni lnu wyciąga torpedo-werke i opiera o ścianę. Przez chwilę z czułością przygląda się rowerowi. Wiele dobrych wspomnień się z nim wiąże. Głaszczce chrom kierownicy i przeciera skórzane siodelko. Do bagażnika, na którym kiedyś woził ją Matti, mocuje worek z prowiantem i wreszcie rusza z ubraniami w stronę schodów na poddasze. Spogląda w stronę zajazdu. Drogą w dole wciąż posuwa się oddział.

Gdy dociera na strych, zastaje Szymona stojącego przy szczytowej ścianie nieopodal drzwi, w miejscu, gdzie między deskami utworzyła się szpara. W ostatnich miesiącach to jego jedyny łącznik ze światem,

dlatego Mareike nie broni mu, aby od czasu do czasu sobie wyjrzał. Chociaż widok jest ograniczony, to można dojrzeć kawałek doliny, zajazd i drogę.

Gdy Mareike wchodzi do środka, Szymon natychmiast odrywa twarz od desek i podchodzi do niej.

Wygląda zupełnie inaczej niż w dniu, w którym go tu przyprowadziła. Nie jest już tak przeraźliwie chudy, wyprostował się, policzki mu się zaokrągliły, a martwe wcześniej oczy nabrały blasku. Niedawno ścięła mu nawet włosy, były bowiem za długie, i tylko skórę wciąż ma bladą. Przez brak słońca. Swobodnie można by go wziąć za jednego z mieszkańców Rudolfswaldau, gdyby nie to, że mężczyzna w jego wieku od dawna tu nie ma.

Szymon spogląda ze zdziwieniem na zwinięty płaszcz i na buty w jej rękach, a potem na nią.

– Uciekają – mówi Mareike, podając mu rzeczy. – Jesteś wolny. Dziś albo najpóźniej jutro wejdą tu Sowietci. *Die Sowjets*. Rozumiesz? Na pewno pobliskie obozy również wkrótce wypuszczą więźniów.

Szymon wciąż stoi nieruchomo, trzymając przed sobą ubrania Matthiasa. Na jego twarzy rysuje się coś dziwnego, coś, czego nie spodziewała się zobaczyć. Chyba powinien się cieszyć, dla niego ta wojna właśnie się kończy. On tymczasem wygląda jak zagubione dziecko, które nie wie, co ze sobą począć.

– Przecież wiem, że mnie rozumiesz – strofuje go, nie podnosząc głosu. – Sam przed chwilą widziałeś, co się dzieje na zewnątrz. Nasze wojsko się wycofuje. Ucieka – poprawia się. – Sądzę, że już nic ci nie grozi. Możesz odejść. Jesteś wolny. *Du bist frei*.

– *Frei?* – powtarza za nią matowym, pozbawionym emocji głosem.

Dlaczego nie okazuje żadnych emocji? Dlaczego stoi jak słup soli?

– *Ja* – potwierdza, a potem ciągnie oszołomionego za łokieć w stronę legowiska i zasłania lnianą kotarę. – Przebierz się. Musisz porządnie wyglądać, żeby nie wzbudzać podejrzeń... Chociaż nie sądzę, żeby ktokolwiek cię zaczepiał, nikt tu nie będzie miał teraz głowy do tego. Wszyscy są zajęci sobą.

Mareike przysiada na workach i nasłuchuje, gdy Szymon przebiera się w przyniesione rzeczy. A gdy wreszcie odsuwa zasłonę, doznaje wstrząsu. Ubranie, które z siebie zdjął, złożył w kostkę i równiutko ułożył na posłaniu i teraz stoi przed nią wyprostowany, dumnie wysuwając brodę, całkiem przystojny. *Der Neue Mensch*. Stoi przed nią ciemnowłosa Matti.

Mareike czuje ukłucie pod żebrami, oczy ją pieką, więc mruga nimi, żeby nie przeciekły.

Szymon, Żyd, odrażający stwór z filmu Fritza Hipplera i lekcji ideologii *Frau Paschke*, który na oczach Mareike zmienił się w człowieka, zaraz odejdzie, a ona nawet nie umie nazwać tego, co do niego czuje. Czym jest ten krótki rozdział ich wspólnej drogi, który kończy się właśnie tu, na strychu pachnącym lnem i nieuchronnością nadchodzących zdarzeń?

Stoją naprzeciw siebie i oboje zaczynają rozumieć, że pełna czułości relacja, która już nie zdąży przerodzić się w nic więcej – bo to zły czas, bo on jest synem łódzkiego Żyda, a ona kiedyś uwierzyła Führerowi, przez co jest współwinna Shoah – scala ich na zawsze. I na nigdy, bo właśnie rozdziela ich historia napisana przez innych.

– Chodźmy już – mówi Mareike, powstrzymując wzruszenie, chwytając go za rękę i prowadzi w stronę wyjścia.

Szymon idzie przy niej. Schodzą po schodach na podwórko – we wsi panuje już cisza, na drodze nie ma śladu po wojsku – i zatrzymują się przy szopie, gdzie przygotowała dla niego rower.

Mareike puszcza jego rękę.

– Spakowałam ci jedzenie. Wystarczy na kilka dni. Kieruj się na północ, w stronę Schweidnitz, tam są już Rosjanie i Polacy. Tam będziesz bezpieczny.

Szymon patrzy na torpedo-werke, a potem nagle przyciąga ją do siebie i doskonałym niemieckim szepcze wprost we wrażliwe miejsce między szyją a obojczykiem:

– Nazywam się Szymon Wittkind, Mareike. Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłaś. Obiecuję, że kiedyś tu wrócę.

Mareike czuje muśnięcie jego warg na skórze, przymyka oczy – jest jak wtedy, tamtego zimowego wieczoru na poddaszu – a kiedy znowu je otwiera, stoi sama. Szymon pędzi w dół do wsi, jak oswobodzone z wnyków zwierzę. Na chwilę znika za koronami kwitnących drzew czereśni, a potem pojawia się znowu, gdy z mozołem pedałuje pod górę, drogą do Wüstewaltersdorfu.

Mareike zagania kury do kurnika i zawraca do domu, powtarzając jak mantrę w myślach jego słowa: „Nazywam się Szymon Wittkind i kiedyś tu wrócę”.

A potem sprząta dom, gotuje obiad dla ojca, który powinien wrócić z fabryki około siedemnastej. Obserwuje przez okno, jak część mieszkańców wioski z dobytkiem załadowanym na furmanki, na wózki, z bydłem i zwierzętami domowymi, ciągnie w kierunku przeciwnym niż ten, gdzie zniknął rower torpedo-werke.

Powtarza sobie słowa Szymona, gdy *Vati*, jeszcze bardziej osowiały i przygnębiony niż w ostatnich dniach, wraca z pracy i gdy mówi, że dzisiejszej nocy Ruscy przyjdą, a z Wüstewaltersdorfu prawie wszyscy uciekli.

Powtarza, gdy góry pochłania mrok, czas przelewa się przez brzegi, a ojciec na wszystkie zamki zamyka obejście i dom. Mareike myśli o Szymonie, gdy idzie do swojej sypialni, wkłada koszulę Matthiasa, jego sweter, a na dół siedem par spodni – jedno na drugie – i chowa się pod łóżko. Powtarza, kiedy Rudolfswaldau usypia, świat odwraca oczy, a do wsi wchodzą Sowieci. I kiedy walą do ich drzwi, i te drzwi wyważają. Kiedy tłuką szyby w oknach, plądrują mieszkanie, depczą obrazy, kradną sztuce i tłuką talerze, wszystko wyciągają z szafek, a Mareike spod łóżka, zaś ojca, który próbuje ratować córkę, tłuką kolbami tak, że wybijają mu kilka zębów, tłuką raz za razem, aż traci przytomność. Mareike powtarza sobie obietnicę Szymona, kiedy krew wsiąka w deski, a żołdacy o mongolskich szerokich twarzach i dzikich oczach wyjadają ich zapasy ze spiżarni, dla zabawy wrzucają kota do pieca, piją samogon z manierek, z gwinta i do dna, do urzygu, i dogaszają papierosy na ciele ojca, i oddają na niego mocz z przepełnionych pęcherzy, a ją wyciągają z domu i każą wskazać miejsce w obejściu, gdzie trzymają kosztowności. A kiedy kosztowności tych nie znajdują, ciągną ją na poddasze. Sześciu ich. Mareike myśli tylko o Szymonie, kiedy żołdacy przewracają kopniakiem kołowrotek, dziurawią nożami worki, wybebeszają ich zawartość, gdy tną przędzę, rwą lniane kanwy, które utkała w ostatnich miesiącach, przetrząsają zawartość starych mebli i znowu piją, i śpiewają zwycięskie pieśni, i srają po kątach jak zwierzęta, i gdy nieprzytomnie już pijani, odrażająco brudni i śmierdzący, rzucają ją na posłanie Szymona, na rzeczy, które kilka godzin wcześniej zostawił ułożone tak starannie, i kiedy zaczynają ją bić, i zrywają ubranie – każdą z siedmiu par spodni – i gwałci ją pierwszy z nich, a krew spływa jej po jej udach – wtedy przez chwilę zapomina o Szymonie, a zamiast tego myśli, że rację miał doktor Thiel, mówiąc, że na wojnie nikt nie wygrywa – i kiedy to samo robi z nią drugi i trzeci – jak tamten lekarz w gabinecie, po tym, gdy kazał jej się schylić – i czwarty, i piąty, i...

Teraz – Maria

Dziewczyne pobili i zgwałcili.

Pobili i zgwałcili!

Wrzucam kwiaty od bibliotekarki na fotel pasażera, ruszam z piskiem opon spod wałbrzyskiego kościoła i łamiąc przepisy, opuszczam miasto. Głowę rozsadzają mi słowa. Pobili. Zgwałcili. Wjeżdżam na wąską szosę. Dociskam gaz. Silnik zwiększa obroty. Mini przyspiesza. Wkleja się w nawierzchnię na zakrętach. Stare buki tworzące tunel nad drogą zamykają mnie w tu i teraz i na moment odcinają od owych strasznych słów. Czuję, jak podnosi mi się adrenalina, serce wali ze strachu – jeden nierozważny ruch i jestem na drzewie, i już po mnie – może tak byłoby najprościej.

Zwalniam dopiero na rogatkach Walimia. Staram się uspokoić. Zatrzymuję się przy sklepie naprzeciwko myjni. Bezmyślnie wrzucam rzeczy do koszyka: jakiś chleb, pomidory, ser, wino. Przy kasie proszę o papierosy. Na parkingu lump o sonej bezkształtnej twarzy przypominającej kalafior prosi mnie o kilka złotych. Nie na żarcie, na małpkę. Doceniam szczerłość, więc daję mu dwie dychy. W zamian dowiaduję się, że mam złote serce i wspomniała ze mnie dziewczyna.

Dziewczyne pobili i zgwałcili.

Dość! Bo oszaleję.

Jadę przez miasteczko, które kiedyś musiało być zupełnie ładne, a dziś wygląda jak strup odpadający od rany. Z dawnej fabryki tkackiej została góra cegieł, z kostropatych pruskich murów złazi farba, dachy zżera rdza. Na wielu budynkach wiszą tablice: *For sale*. Miasteczko

czeka na bogatego czarodzieja z zagranicy, który zdejmie z niego złe zaklęcie.

Skręcam na Grządki i sunę pod górę. Tu już nie ma możliwości, żeby się rozpędzić, lawirując między dziurami w asfalcie, jadę więc spokojnie. Po lewej stronie, w oddali, widać Niczyją – mam wrażenie, że góra mi się przygląda, i znowu czuję ucisk w piersi. Nieopodal miejsca, gdzie przed wojną mieściło się podobno schronisko narciarskie, mijam dwoje turystów z plecakami. Wjeżdżam w las, pokonuję siodło i wreszcie jestem w mojej dolinie. Słońce powoli opada za kreskę gór.

Parkuję pod czarnym domkiem. Gaszę silnik, zabieram kwiaty i zakupy. Przy schodach na balustradzie tarasu wisi reklamówka. W środku znajduję jeszcze ciepły bochenek żytniego chleba. W zasięgu wzroku żywego ducha. Nie dołączono żadnej kartki, więc nie dowiem się, kim jest tajemniczy darczyńca. Wchodzę do środka i od razu otwieram wino. Powinnam najpierw je schłodzić, ale mam ogromną ochotę się napić. Napełniam kieliszek, biorę łyk. Dopiero teraz zaczynam czuć głód. Oprócz ciasta, którym poczęstowano mnie w bibliotece, nic nie jadłam. Chleb ze sklepu odkładam na bok i chwytam ten, który dostałam. W szufladzie odnajduję nóż z ząbkami i deskę.

Odcinam piętękę. Ostrze z trudem przebija skórkę i ześlizguje się po moim palcu. Kromka opada na bok, z palca tryska krew.

– Kurwa mać!

Czerwony bąbel na opuszcze rośnie i pęka, a krew leje się po desce, po blacie, ciepłym chlebie i mojej dłoni, kapie na spodnie i białą koszulę, ścieka na podłogę. Patrzę na ranę jak zahipnotyzowana, ale nic nie czuję. Zero bólu, wielkie nic, receptory zaklęte w lód.

A więc znowu to samo.

Odruchowo wsuwam palec do ust. Wypełnia je metaliczny smak.

Już wtedy, gdy bibliotekarka dotknęła mnie na pożegnanie, nic nie poczułam, ale sądziłam, że to przejściowe, reakcja na tamtego gościa i słowa byłej nauczycielki w fioletach, że zaraz mi przejdzie. Najwyraźniej nie przeszło.

Otwieram drzwi łazienki, wyrzucam rzeczy z szafki. Na pewno są tu jakieś środki opatrunkowe. Przewracam butelki z płynami do mycia szyb, kibla i podłóg. Wreszcie mam.

W apteczce są plastry, octenisept i bandaż. Wracam do kuchni. Rana jest chyba głębsza, niż sądziłam, bo krew cieknie bezustannie. Wszystko wkoło jest upaprane. Wkładam dłoń pod wodę, dociskam odcięty fragment opuszki papierowym ręcznikiem, polewam płynem dezynfekcyjnym. Nadal brak czucia, choćby najmniejszego pieczenia. Ciasno owijam bandaż wokół rany.

Podnoszę rękę, by zatrzymać krwawienie, i staram się wyrównać oddech. Drugą ręką wygrzebuje telefon z torebki i wystukuję numer Jakuba.

Chwilę trwa, nim odbiera.

– Halo?

W tle słyszę szum, więc widocznie siedzi gdzieś na mieście.

– Hej, możesz rozmawiać?

– Marysiu, czy to coś pilnego, właśnie jesteśmy z Pablem na kolacji.

– Tak – rzucam, patrząc na bandaż. Jego nitki powoli zabarwiają się na czerwono.

Mam nadzieję, że krwawienie zaraz ustanie, że nie będzie trzeba szyć. Nie znoszę lekarzy. Czuję organiczny lęk przed wszelkimi kontaktami z ochroną zdrowia.

Nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale zawsze tak było. Matka miała tak samo. Też bała się ludzi w kitlach, nigdy nie chodziła się badać, a w konsekwencji umarła nagle. Wylew krwi do mózgu. Lekarz mi powiedział, że musiała wcześniej mieć bóle głowy, ale to zignorowała. Gdyby się badała, może żyłaby do dziś.

Chyba będę musiała zmienić bandaż, bo rana wciąż krwawi.

– Znowu nic nie czuję – rzucam w telefon.

Po drugiej stronie zapada cisza, zmacona odgłosami restauracji.

– Marysiu...

– Kurwa, Jakub, to się znowu dzieje!

– Nie panikuj. Powiedz, co się stało.

– Zraniłam się w palec.

– Nie o to pytam, do palca wrócimy za chwilę. – Mówi łagodnie jak do dziecka. – Najpierw powiedz mi, co tym razem było wyzwalaczem.

Jakub, mój najbliższy przyjaciel. Jedyne człowiek na świecie, który wie o mnie wszystko: że mój uśmiech to maska, że kryją się pod nim ciemność i smutek. Wie o matce, o babci Maryjce i tamtych wakacjach, które wywróciły wszystko do góry nogami. O lukach w pamięci, okresowych objawach konwersyjnych, o zaburzeniach czucia i wreszcie: o wielu nieudanych terapiach.

Wiem, że mogę mu powiedzieć, co wydarzyło się w bibliotece, ale nie chce mi to przejść przez gardło.

– Marysiu, bardzo cię proszę. Martwię się o ciebie.

– Dziś na spotkaniu pojawił się pewien człowiek. Był tu tamtego lata, gdy na trzy dni zapadłam się pod ziemię. Pamiętał mnie i ja też go pamiętam... – Przełykam łzy. Sądziłam, że te słowa nigdy nie padną

z moich ust, że już zawsze będę mogła milczeć. – Kuba, ja zostałam wtedy zgwałcona.

Dawno – Mareike

Mareike już zawsze będzie milczeć o tym, co stało się na poddaszu. Będzie milczeć, bo nie chce pamiętać. Przędza świadomości została zerwana przez ruskich żołdaków, których twarze – w akcie samoobrony – mózg Mareike postanowił wymazać.

Gdy się budzi, nadal leży na skotłowanym pościeli na poddaszu i jedyne, co czuje, to palący ogniem ból między nogami. Nie może się ruszyć. Ciało ma sztywne, jakby cała krew w jej żyłach zakrzepła. W powietrzu unosi się smród, lecz Mareike nie wie, co tak śmierdzi. Wkoło krajobraz jak po bitwie, wszystko porozrzucane, splądrowane, wybebeszone. Obok niej siedem par spodni. Spodnie Matthiasa? Ktoś tu jest? Matthias? Nie, Matthiasa przecież nie może tu być. Nie żyje. Więc Szymon. Oczywiście, na strychu ukrywa się Szymon.

– Szymon – szepcze Mareike, ale odpowiada jej cisza.

To nie on, nie jego zapach. Szymon pachniał mydłem i lnem. I odszedł – teraz Mareike sobie przypomina. Nie ma go. Jest ból.

Powtórnie zasypia – nic przędzy znowu pęka z trzaskiem – i o niczym nie śni.

Gdy ponownie się budzi, czuje dłonie ojca, który zawija jej nagie ciało w koc, bierze na ręce i znosi na dół na podwórko, wchodzi do domu i wysoko unosząc nogi nad połamanymi sprzętami, deptając potłuczone szkło, wnosi po schodach na piętro.

Układa ją na łóżku w jej pokoju. Za oknem jest ciemno. Śliska, nieprzyjemna cisza wpełza do środka przez uchylone okno. Czy teraz już

zawsze będzie ciemno? Wieczna noc? Która jest godzina i jaki dzień tygodnia? A może minął rok?

A może wiele lat? Tak właśnie musi być, bo chociaż wszystko wokół jest czarne, to głowa ojca jest całkiem biała. Czy *Vati* jest starcem, chociaż dopiero co był w sile wieku? Kiedy zdążył tak oswiecić?

Podaje jej wodę, przykładając dłoń do czoła. Mareike dygocze, dlatego okrywa ją dodatkową kołdrą. Czuje się bardzo zmęczona i brudna, więc znowu ucieka w sen, a gdy się budzi, chociaż nadal jest ciemno, leży w zmienionej pościeli, i ma na sobie czystą koszulę. Już nie śmierdzi tym, czym śmierdziała na strychu. Tym odrażającym, strasznym czymś. Czy to *Vati* ją umył? Ojciec chyba nie powinien myć prawie dorosłej córki. To krepujące. Mareike powinna poczuć wstyd, ale nie czuje, bo nie ma siły.

Vati zmienia jej kompres na czole i siada przy łóżku, i płacze, chociaż nie wiedziała, że potrafi. Nigdy tego nie robił; ani wtedy, gdy umarła *Oma*, ani gdy z frontu przyszło zawiadomienie o śmierci Klausea i wreszcie Mattiego.

Płacze ze smutku czy może z bezsilności? Chowa siwą głowę w dłonie. Twarz ma szarą i pogniecioną jak niebielona kanwa, dziąsła wciąż opuchnięte, na koszuli mnóstwo śladów krwi – jej czy jego? – ale rana na wardze już zakrzepła.

– Od dwóch dni masz wysoką gorączkę. Potrzebujesz doktora – mówi, a jego głos sączy się jakby do środka, w głąb ciała i rezonuje w nim jak w pustym pudle. – Ale skąd ja teraz wezmę doktora?

Mareike nie wie, co jej jest, ale czuje, że ojciec ma rację. Ciało na dole tak strasznie ją boli. Musiało jej się przydarzyć coś naprawdę złego. Boi się lekarzy, lecz doktorowi Thielowi chyba jednak pozwoliłaby się obejrzeć.

– Doktor Thiel? – szepcze, a suche głoski kaleczą jej krtań.

Łzy nie przestają płynąć po policzkach ojca.

– Nie ma już doktora Thiela – odpowiada. – Nikogo już nie ma, Mareike. Byłem tam, w ich domu. Zaraz następnego dnia rano, jak cię tylko znalazłem. Schwarze chyba Ruscy zabili, leżała przy budzie z odstrzelonym łbem. A oni się powiesili. Wszyscy. Myślę, że zrobili to, gdy usłyszeli, jak żołdacy wjeżdżają do wioski. Doktor wiedział, co im zrobią, więc wolał uprzedzić fakty. On, jego żona, Greta, chłopcy i te malutkie dziewczynki, dwie krople wody... W sadzie za domem. Na kwitnących jabłoniach wisieli. Boże, jak wymazać ten obraz sprzed oczu: płatki kwiatów pod nogami i trupy na drzewach. – Głos mu się łamie. – To takie okropne, Mareike, takie nieludzkie: zabić własne dzieci. Ale myślę, że doktor dobrze zrobił. On przynajmniej ochronił córki. Tak. To był mądry człowiek, choć dawniej za nim nie przepadałem, bo on nie stąd, nie nasz, wielki pan. Ale we wszystkim miał rację. Myśmy też powinni byli na drzewach się powiesić albo w stawie potopić. Jak oni. Wtedy nic by ci nie zrobili. A teraz za późno. Na wszystko za późno...

Mareike słucha ojca i nic z jego słów nie pojmuje. Jakie kwiaty na drzewach, jakie trupy? Doktor, Greta? Z Gretą Mareike spotka się, gdy tylko to wszystko się skończy. I będzie jak dawniej.

Ale najpierw musi odpocząć, wyspać się, musi...

Przędza pamięci rwie się po raz kolejny.

Noc Mokosz

Wtedy – Mania

Gdy po wielu godzinach docieramy szybem na powierzchnię, obiecuję sobie, że nigdy więcej nie zejść do sztolni.

Jest już dobrze po dwudziestej pierwszej i dzień dogasa. Znajdujemy się w lesie, lecz w zupełnie innym miejscu niż to, gdzie przed południem zaczęliśmy wycieczkę. Jesteśmy przemoczeni, wyczerpani i przytłoczeni tym, co zobaczyliśmy na dole.

– Co się stało z przymusowymi robotnikami, którzy budowali Olbrzyma? Wszystkich pomordowano? – pyta Piotrek, gdy Nawrot z synem zasuwają właz i maskują go mchem i gałęziami.

– Nie wszystkich. Niewielka grupa zdołała doczekać nadejścia Rosjan. Kilku osobom udało się też uciec, chociaż to były rzadkie przypadki. Więźniowie zazwyczaj byli skrajnie wycieńczeni pracą i obozowymi warunkami, wszy zjadały ich żywcem i cierpieli na tyfus albo chorobę głodową, a do ucieczki potrzeba sił. No i należy pamiętać, że tu wtedy była Rzesza, w każdym domu Niemcy. Wyjść za druty to jedno, potem jeszcze trzeba było przetrwać na ziemi wroga. – Pan Stachu wyciąga papierosa, zapala. – Chociaż zachowała się jedna taka historia. Ten ocalały Żyd napisał nawet książkę, jak go pewna Niemka u siebie ukrywała.

Zaczynamy schodzić na przełaj po zboczu, aż dochodzimy do szutrowej drogi. Dopiero teraz dociera do mnie, gdzie jesteśmy i że pod ziemią musieliśmy przemierzyć wiele kilometrów. Las się przerzedza,

w dole widać już światła wioski. Nad boiskiem przy pensjonacie włączono lampy.

Nawrot żegna się z nami i wraz synem ruszają przez zasnute mgłami łąki w kierunku Rzeczeki, my zaś w ciszy schodzimy do głównej drogi. Humory mamy mocno takie sobie. Chyba nie takich emocji spodziewaliśmy się po dzisiejszej wycieczce. Mokre ubrania kleją nam się do ciał. Bartek z chłopakami wyrywają do przodu – myślami są już pewnie przy ciepłej kolacji w Eldorado – za nimi idzie Anka, obok objęci Doma z Julkiem. Hubert podąża kilka kroków za mną.

– Cześć, Dominika! – wołam za nimi, gdy docieramy na dno doliny.

Dom babci znajduje się w przeciwnym kierunku niż pensjonat, więc tutaj muszę się oddzielić od grupy.

– Ciemno już, odprowadzę cię – słyszę głos Huberta, gdy zatrzymuje się tuż obok.

Dominika odwraca się w naszą stronę. Patrzy to na mnie, to na brata. A potem jeszcze mocniej przywiera do Julka i bez pożegnania odchodzi.

Nie rozumiem, co ją ugryzło. Zostajemy sami. Latarnie rzucają mdłe światło na asfalt, powietrze pachnie deszczem. Musiało padać, gdy byliśmy pod ziemią. Jest mi zimno. Odruchowo oplatam dłońmi ramiona. Hubert to zauważa. Zdejmuje z siebie ramoneskę, pod którą ma jeszcze bluzę z kapturem.

– Weź, za lekko się ubrałaś i zupełnie przemokłaś. – Wyciąga ją w moją stronę.

– Nie, dzięki, nie trzeba, dam radę. – Zawstydzona kręce głową.

– Daj spokój, Mania. Włóż to. – Ignorując mój opór, ubiera mnie jak dziecko, a sam naciąga kaptur na głowę.

Ruszamy przez uśpioną wieś. Milczymy. Męczy mnie ta cisza, ale nie wiem, co mogłabym powiedzieć. Czuję się skrępowana jego obecnością, on zaś wygląda, jakby doskonale o tym wiedział i czerpał z tego przyjemność. Idzie, trzymając ręce w kieszeniach, i tylko co jakiś czas zerka na mnie z tym swoim irytującym, enigmatycznym uśmiechem. Włosy opadają mu na twarz, zakłada je sobie za ucho.

Przysuwam nos do kołnierza kurtki. Pachnie wilgotną skórą i nutami bergamotki, cytrusów, mahoni i szaławii. Pachnie nim. Przed oczami ciągle mam scenę, kiedy przesunął palcami po moim obojczyku.

Mijamy opuszczone budynki pegeeru – słychać odgłosy popijawy, którą najwyraźniej ktoś sobie urządza w środku – a potem ciemny dom Wróblowej, starą szkołę, nieczynny zajazd i przystanek autobusowy. Tu zbieram się na odwagę i pierwszy raz się odzywam:

– Dobrze, że wtedy wróciłeś po plecak.

– Plecak? – Wygląda, jakby nie rozumiał, o czym mówię.

– Widziałam, jak go tu zostawiłeś kilka dni temu. – Wskazuję na wiatę, gdzie siedział, czekając na autobus. – Ale jak widzę, odzyskałeś go.

– A tak. – Przestaje się uśmiechać. Marszczy brwi.

– Nawet przyszłam tu chwilę później, żeby nikt go nie zgarnął, tu się kręcą różne typy, ale musiałeś mnie uprzedzić.

Hubert kiwa głową z nieobecnym wyrazem twarzy.

– Przyglądałaś mi się wtedy?

– Widzę przystanek ze swojego okna.

Zostawiamy za plecami remizę, opuszczony dom Świebodów i dochodzimy do kościoła. Na cmentarzu, który przylega do drewnianego

budynku, pali się kilka zniczy. Zatrzymuję się przy murze, w miejscu, gdzie szutrowa droga odbija do domu babci.

– Dzięki za odprowadzenie, dalej mogę iść sama, to już blisko.

Hubert odwraca się do mnie. Nie wygląda, jakby gdzieś się wybierał. To, w jaki sposób na mnie patrzy, odbiera mi resztki pewności siebie.

Robi krok w moją stronę. Ja robię krok w tył. Chwyta mnie mocno za rękę i przyciąga do siebie. A potem całuje. Głęboko i zapalczywie. Czuję w ustach jego język, w głowie się kręci od zapachu bergamotki, cytrusów, mahoni i szaławii. Jego dłoń sunie po moim biodrze, talii, po piersiach i szyi. Palce tańczą na obojczyku, którego dziś już dotykał.

Przechodzi mnie dreszcz. Fala gorąca zalewa ciało. Nie chcę, żeby przestawał. Wsuwam palce pod kaptur, w jego włosy, lecz on właśnie wtedy wypuszcza mnie z uchwytu, odsuwa od siebie. Uśmiecha się jak kot. Kręci mi się w głowie od tego uśmiechu.

Chcę jeszcze – teraz to ja go łapię za rękę. Wsuwam ją sobie pod koszulkę, wciąż wilgotną po wizycie w sztolni. Przesuwam ją na brzuch. Patrzę mu w oczy. Są takie jasne: nieprawdopodobnie błękitne, niepokojące. Brakuje mi tchu.

– Chyba powinnaś iść już do domu, mała – mówi, zdecydowanie cofając dłoń.

Ma rację. Powinnam. W przeciwnym razie zaraz zrobię coś naprawdę głupiego. Zdejmuję z siebie ramoneskę – wolę, żeby babcia mnie w niej nie zobaczyła – i podaję Hubertowi. Teraz nie czuję już zimna, bo w środku mam burzę.

– Dzięki – mówię.

Przerzuca kurtkę przez ramię, a potem ostatni raz się uśmiecha, wreszcie odwraca i odchodzi. Patrzę za nim. Impulsy podniecenia powoli gasną w moim ciele. Chce mi się płakać i krzyczeć, i śmiać.

Wszystko naraz. Na miękkich nogach ruszam pod górę. Mam ochotę zawrócić i pobiec za nim, żeby jeszcze raz poczuć bergamotkę, a w ustach jego język, ale oczywiście niczego takiego nie robię.

Mrok przesącza się przez drzewa porastające wzgórze. Cienie świerków pełzną po ziemi. Za plecami słyszę szelest. Odwracam się z myślą, że to pewnie on. Postanowił wrócić?

Po prawej stronie drogi, w krzakach, majaczy czarny kształt. Zimny podmuch owiewa mi twarz.

– Hubert?

Cisza.

Wyteżam wzrok i wówczas to dostrzegam! Ciemna plama w zaroślach odkleja się od mroku, materializuje kilka metrów przede mną i przecina drogę. Zamieram z przerażenia. Ciemna plama. To coś... Coś! Wygląda jak mężczyzna, zwykły mężczyzna – w nieco może niemodnych, pomiętych ubraniach – ale... nie ma głowy! To znaczy ma ją, tyle że trzyma w ręce, za włosy. Dynda mu na wysokości kolan.

Chcę krzyknąć, lecz nie mogę wydobyć z siebie głosu. Panika knebluje mi usta. Resztki podniecenia i wspomnienie Huberta w jednej chwili wypiera strach.

To c o ś znika równie szybko, jak się pojawiło. Przez moment stoję jeszcze w miejscu, mózg stara się przetworzyć i zrozumieć obraz, aż wreszcie puszczam się drogą pod górę co tchu, na złamanie karku. Zimny pot zalewa mi ciało. Czuję, że drzę. Staram się patrzeć wyłącznie przed siebie. Na drogę: ziarna żwiru i otoczaki wymyte deszczem w koleinach. Czy to, co zobaczyłam, było tam naprawdę, czy mam omamy albo oszalałam? Wyobraźnia płata mi figla, przez długi, męczący dzień spędzony pod ziemią: przez gadanie o śmierci, duchach, hitlerowskich zbrodniach. I przez pocałunek.

Mijam studnię, stodołę, wpadam na podwórko. Pies obskakuje mnie, merdając ogonem, kot miauczy w krzakach, polując na myszy. W kuchennym oknie pali się światło, a zatem gnam do drzwi wejściowych, których babcia na szczęście dzisiaj nie zamknęła, i przez korytarz wpadam prosto do niej.

– I jak, wycieczka się udała? Chyba Nawrot dał wam mocno w kość, co? Tyle godzin cię nie było. – Babka siedzi przy stole i obiera papierówki. Na kuchennej płycie bulgocze kompot, pachnie goździkami. – Myślałam, że wcześniej wrócisz. Kolacja wystygła.

Opadam na krzesło naprzeciw niej. Wciąż cała się trzęsę. Brakuje mi słów, by powiedzieć coś z sensem. Mam ochotę się rozpłakać.

Babka podnosi na mnie wzrok znad stosu jabłek i dopiero teraz zauważa, że coś nie gra.

– A tobie co, Mania? – Marszczy brwi. – Błada jesteś. Źle się czujesz? Wyglądasz, jakbyś ducha zobaczyła.

Opieram dłonie o blat stołu. Patrzę na nie. Drżą, nie mogę ich uspokoić.

– Mańka?! – Podnosi głos, jej czoło szatkuje siatka grubych zmarszczek.

– Chyba tak.

– Co tak?

– Chyba właśnie widziałam ducha.

Na wargach babki Maryjki rozkwita blady uśmiech, jakim się zwykle kwituje bredzenie idioty.

– Co ty, dziecko, opowiadasz?

– Widziałam ducha. Przysięgam. Jak babcię teraz widzę.

Wreszcie poważnieje, przestaje ćwiartować jabłko.

– I co to za duch był?

– A ja wiem. Wyglądał jak zwykły mężczyzna. Tu, niedaleko, na naszej drodze, powyżej kościoła. W takich starych łąkach i... – Nie wiem, jak to powiedzieć, by nie wzięła mnie za obłąkaną do reszty. – Ale był niekompletny.

– Co to znaczy, że był niekompletny?

– No... nie miał głowy.

Wbija we mnie spojrzenie. Sądziłam, że teraz się roześmieje, lecz ona wcale nie wygląda, jakby jej było do śmiechu. W zadumie chwytając kawałek jabłka i wsuwa sobie do ust. Przeżuwa powoli.

– Tu kilka osób już go widziało – mówi po chwili, kiwając głową. – Jest taka stara miejscowa legenda. Podobno to duch starego wojaka z zamierzchłych czasów, jak Niemce we wsi mieszkali. Na wzgórzach, jak na Grządki się jedzie, bitwa wielka była.

– W czasie drugiej wojny światowej? – pytam.

– Nie, no jak? Przecież ci mówię, że w zamierzchłych czasach. Ale nie pytaj, co to za wojna była, bo ja na historii się nie wyznaję. Była bitwa, stracił głowę i od tamtego czasu zjeżdża z pagórka na koniu. I koń też łba nie ma. Wielu go tu widziało. A Wróblowa, ta stara wariatka, to nawet kilka razy. Ale on niegroźny jest. Głowy tylko swojej szuka.

– Ale to nie był żaden wojak czy ktoś taki! – wybucham. – Przecież mówię babci: to był zwykły facet, tylko bez głowy. A w zasadzie z głową, bo w ręku ją niósł.

– Nie wojak...?

– Nie – powtarzam, nie odrywając od niej oczu.

Z twarzy babci odpływa krew. Ucieka spojrzeniem w bok i odkłada resztkę jabłka na stół.

– No to ja nie wiem, co za licho widziałaś – rzuca, a ja czuję, że kłamie. Każdy centymetr jej ciała mówi mi, że coś przede mną ukrywa.
– Zmęczona jesteś. Powinnaś iść spać. Jak chcesz, to ci melisy zaparzę.

Nie chcę melisy. Chciałabym poznać prawdę.

Dawno – Mareike

Teraz tu jest Polska.

Tego dnia, pierwszy raz po ponad miesiącu, Mareike podnosi się z łóżka i to ona otwiera, gdy o świcie słyszy łomotanie do drzwi. *Vati* właśnie się myje przed wyjściem do fabryki. Na progu stoi dwóch uzbrojonych mężczyzn z czerwonymi opaskami na ramieniu. Jeden z nich łamanym niemieckim żąda, by zawołała ojca.

Gdy *Vati* wychodzi z łazienki i wyciera resztki piany z niedogolonych policzków, wyższy z nich, z blizną na twarzy, mówi, że są z milicji, a tu jest teraz Polska i wszyscy Niemcy mają się wynosić. Na co ojciec, zachowując spokój, sięga do wiszącej na haku torby, wyjmując ze środka zaświadczenie wydane mu przez nową administrację fabryki oraz białą opaskę z firmową pieczętą – z której przed kilkoma dniami zniknęły nazwiska założycieli: Websky’ego, Hartmanna i Wiesena, a zamiast nich pojawiło się nieznane Mareike słowo „Wawel” – i pokazuje mężczyznom.

To nie pierwszy raz, kiedy na ich progu pojawiają się różni dziwni ludzie – po jednej z takich wizyt z komórki przy bielarni zniknęła *victoria* ojca, przez co *Vati* musi chodzić teraz do pracy piechotą.

Okazały dom na wzgórzu z przyległą ziemią i stawem jest niewątpliwie łakomym kąskiem dla coraz liczniej napływających polskich osadników, ale do tej pory zaświadczenie ojca zawsze ich ratowało.

– Nazywam się Jürgen Rogen i jestem inżynierem. Ukończyłem technikum włókiennicze w Langenbielau. Wasz rosyjski zarząd fabryki

potrzebuje mnie tutaj. Inaczej nie będziecie wiedzieli, jak obsługiwać nasze maszyny – tłumaczy ojciec, gdy tamci oglądają dokument.

Może nie rozumieją, co *Vati* powiedział, albo nic ich to nie obchodzi, bo ten drugi, z metra cięty, który dotąd nic nie mówił, zdejmuje karabin z ramienia i celuje prosto w ojcowską pierś.

– Macie dziesięć minut – rzuca równocześnie wysoki. – Na dole przy zajeździe czeka ciężarówka. Zawiezie was do punktu zbornego w Wüstewaltersdorfie.

– Macie jakieś papiery z nakazem? To część akcji przesiedleńczej? Dlaczego nic o tym nie słyszałem? – Ojciec, mimo lufy wymierzonej prosto w serce, podejmuje ostatnią próbę ratunku.

Wysoki udaje, że nie rozumie.

– Czyli działacie bezprawnie? – draży *Vati*. – To dzikie wypędzenie? Popełniacie błąd. – Wskazuje na zaświadczenie w rękach Polaka.

– Milcz – warczy tamten.

– Błagam was. Moja córka źle się czuje. Nie jesteśmy nawet spakowani. Mieszkamy tu od kilku pokoleń, wszystko, co mamy, nasze pamiątki...

Niższy z milicjantów opuszcza lufę karabinu i bez słowa wyprowadza cios kolbą w żuchwę ojca. *Vati* dławi się powietrzem. Byłby stracił zęby, gdyby nie to, że już ich nie ma. Spluwa krwią.

– Milcz, niemiecka świni! – Kurdupel tryska mu śliną pod nogi. – Tu już nic nie jest wasze!

Vati z trudem się prostuje, wysoki z blizną wciska mu w garść papiery i opaskę.

– Możecie wziąć rzeczy osobiste, ale cała reszta zostaje. Klucze też mają zostać, w drzwiach. I radzę się pospieszyć, inaczej będziecie szli na

piechotę.

Vati spogląda na Mareike wzrokiem tak pozbawionym wyrazu, że przeszywa ją dreszcz, i smutno potakuje głową.

Mężczyźni schodzą na podwórko, zostawiając ich na progu, i zaczynają krążyć po obejściu, jakby byli u siebie. Zaglądają do każdego z budynków: stodoły, bielarni, do kurnika, który jest pusty, albowiem zwycięscy czerwonoarmiści nie tylko zabrali ze sobą wspomnienia Mareike, ale także cały żywy inwentarz.

Ona i ojciec wchodzą do domu. Co można spakować przez dziesięć minut?

– Nie martw się, Mareike, na pewno niedługo tu wrócimy. To jakieś nieporozumienie – mówi *Vati*. – Weź tylko to, co najpotrzebniejsze.

Zabierają trochę ubrań i na wszelki wypadek, by nie wpadły w niepowołane ręce, także stare zdjęcia oraz kilka pamiątek po *Omie*, *Klausie*, *Matthiasie*. I wreszcie resztki jedzenia, którego jest naprawdę niewiele. Zwartość spiżarni i ziemianki za domem zostały zrabowane przez żołdaków jako trybut wojenny, w ogródku jeszcze nic nie wyrosło, a w sklepach w *Wüstewaltersdorfie* od miesiąca półki są puste. Ostatnio jedzą to, co ojciec dostaje w ramach racji żywnościowych w fabryce. Głodowy przydział na jedną osobę – w skład którego wchodzi chleb, fasola, ziemniaki i czasami olej – musi wystarczyć na ich dwójkę. O zachowaniu czegokolwiek na zapas nie ma mowy.

Z walizką i plecakiem wychodzą przed swój dom, który podobno nie jest ich. Nie oglądają się za siebie, to ponad ich siły, zresztą oboje trzymają się nadziei, że wkrótce tu wrócą. Nawet koniec świata nie może trwać wiecznie – głowę Mareike rozsadza pustka i stukot kołowrotka.

Milicjanci palą papierosy na podwórku. Ten mały ze znużoną miną macha karabinem w stronę drogi, pokazując, żeby się pospieszyli.

„To nigdy nie będzie Polska”, myśli Mareike, spoglądając na czerwone dachy wsi i pruskie mury, gdy schodzą w stronę kościoła.

Przy cmentarzu ojciec zatrzymuje się i prosi, żeby popilnowała rzeczy, a sam zrywa kilka polnych kwiatów na poboczu i znika za kamiennym murem. Mareike spogląda na stojący nieopodal dom doktora Thiela oraz sad rozciągający się na jego tyłach; jakaś nieznajoma kobieta rozwiesza tam pranie.

Ledwie trupy zdjęto z jabłoni, do domu Thielów wprowadzili się Polacy, podobno z Galicji. Świebodowie – Mareike nie umie nawet wymówić tego nazwiska. Któregoś dnia, trzy tygodnie temu, przywieziono ich z biura do spraw repatriacji w Schweidnitz. Przejechali na furmance przez całą wieś, jak po placu targowym, żeby wybrać sobie obejście, które im się najbardziej spodoba. Padło na dom doktora, więc go sobie wzięli. I teraz jedzą na jego talerzach, śpią w jego łóżku i wieszają pranie na drzewach, na których on powiesił rodzinę.

Ojciec wychodzi z cmentarza i ruszają w milczeniu w stronę Hippe's, o którym teraz mówi się: „zajazd”. Przed budynkiem zaparkował wojskowy opel blitz, zarekwirowany niemieckiej armii. Na plandecce ktoś czerwoną farbą niezdarnie wymalował gwiazdę. Wokół zebrała się gromada ludzi z bagażami, podręcznymi tobołkami, plecakami, walizkami, małymi wózkami. Matki z dziećmi i starcy. Niektórzy lamentują, inni przeciwnie: mają twarze jak z wosku.

Jest stary trębacz Peter, wdowa po buchalterze Bartwigu i Annika z dzieckiem na rękach, i jej matka, a przy nich Johann jąkała z akordeonem. Jest także *Herr Schutt* i cień *Frau Elsy*, chociaż oni nie wyglądają, jakby się dokądkolwiek wybierali.

Ojciec wspominał Mareike, gdy jeszcze leżała w gorączce, że już dwa dni po przejściu Sowietów przyjechał do Hippe's jakiś Polak i powiedział, że przejmuje interes. Ale *Herr Schutt* ani myślał dać się

przepędzić, toteż mieszkają teraz razem. Wszyscy na kupie, w mieszkaniu na tyłach zajazdu. Przy jednym stole jedzą, z jednej łazienki korzystają, udając przy tym, że się nie widzą – dom wariatów. I nawet gości w zajezdzie razem obsługują – *Herr* Franz Niemców, co jeszcze w Rudolfswaldau zostali, a ten Polak swoich i tych podejrzanych Rosjan w cywilu, co przybyli, jak front przeszedł, a teraz ciągle chodzą w góry, za druty kolczaste, tam gdzie budowano tajemnicze obiekty.

Mareike patrzy na *Frau* Schutt – zawsze była chuda, a teraz jest własnym wspomnieniem – i zastanawia się, ile jeszcze ta kobieta zniesie, nim zniknie do końca.

Strażnicy zaganiają ich w stronę ciężarówki, pokrzykując szeleszczącymi głoskami. Szczrz, szczrz...

Mareike i ojciec stoją w kolejce, czekając na swoją kolej wejścia na naczepę, gdy nagle obok nich pojawia się obca kobieta. Wyszła z zajazdu, więc może to żona tego, co chce wypędzić z Hippe's *Herr* Schutta. Podchodzi wprost do Mareike i wciska jej coś w garść, szepcząc do ucha kalekim niemieckim:

– *Für dich. Ich brauche nicht mehr*²⁶.

I znika w tłumie.

Mareike otwiera dłoń. Ma w niej plik złotówkowych banknotów. Podaje go ojcu, równie zdziwionemu jak ona. *Vati* pospiesznie chowa pieniądze do kieszeni – nie ma czasu, by szukać teraz kobiety i zwracać pieniądze – i pomaga córce wdrapać się na furgon. Są jedynymi z ostatnich, więc zajmują miejsce na podłodze przy wejściu.

Kłapa naczepy zostaje zamknięta i ciężarówka natychmiast rusza. W środku jest ze dwadzieścia parę osób. Panuje duchota, śmierdzi potem i strachem, ale nikt nie proponuje, by ściągnąć plandekę – nikt nie ma siły patrzeć na to, co tu zostawia. Jedni płaczą, inni pomstują. Annika

przeciska się z wyjącem dzieckiem między ludźmi, by usiąść bliżej Mareike.

Schudła przez ostatni miesiąc i znowu przypomina siebie sprzed ciąży. Byłaby niebrzydką dziewczyną, gdyby nie zaczerwieniony nos i oczy zapuchnięte od płaczu. A także czarny ślad na policzku po zgaszonym papierosie.

– Słyszałam, co ci zrobili i żeś potem chorowała – mówi, przysuwając się bliżej i próbując uciszyć dziecko. – Mnie tylko dwóch, a ciebie?

– Nie pamiętam – odpowiada zgodnie z prawdą Mareike.

– To dobrze. I dobrze, żeś w ogóle przeżyła. Bo ta mała od rzeźnika, Bärbel, ona miała dopiero jedenaście lat i...

– Nie chcę o tym rozmawiać.

Annika ze zrozumieniem potakuje głową. Gdy jej dziecko nieco się uspokaja, odzywa się znowu:

– Ciekawe, dokąd nas wiozą. Niektórzy mówią, że do Polski, a inni, że do Rosji, na Sybir, na roboty albo na śmierć do obozów. W Hippe's nadal jest radio. Nie zostało zarekwirowane, żeby ten Polak mógł gościom puszczać muzykę. *Herr Schutt* czasami nocą zakrada się na dół, jak tamten pójdzie spać, i słucha, czy nasi nadają. Podobno jedną stację udało mu się złapać. Stąd wiem o tej Syberii. I że mają oddzielać matki od dzieci. – Milknie, przytula główkę synka, który ze zmęczenia zaczyna drzemać. – Ale ja nie oddam im Rudiego. Johann obiecał, że się ze mną ożeni, jak Polacy się stąd wyniosą. Da Rudiemu nazwisko i będziemy żyć jak normalni ludzie. Wrócimy tutaj, do domu, do siebie. Zobaczysz, Mareike, jeszcze będzie jak dawniej.

Mareike opiera głowę o plecak. Nie chce dłużej słuchać trajkotu Anniki, udaje, że zasypia. Kołysze się na prawo i lewo, gdy ciężarówka,

postępując, wdrapuje się na wzgórze i pokonuje zakręty, i trwa tak, z zamkniętymi oczami, poza czasem, ukryta głęboko w sobie, do momentu, aż się zatrzymują.

Spodziewała się, że zostaną wysadzeni w Wüstewaltersdorfie na stacji kolejki elektrycznej – odcinek do Hausdorfu wciąż działa – tymczasem opel blitz zaparkował przy Hacketeich, stawie w centrum osady, nieopodal kościoła. Wokoło kłębi się mnóstwo ludzi przybyłych z innych wiosek. Wielka, poruszająca się, przerażona masa. Strażnik każe im wysiadać z ciężarówki i popędza, by dołączyli do grupy, która ustawia się już na Grunder Weg. Pilnują ich milicjanci na koniach. Wszyscy są uzbrojeni.

Vati zaczepia jednego z nich.

- Dokąd nas zabieracie? – Chwyta go za nogawkę.
- Na razie do Schweidnitz – warczy, strzepując rękę ojca.
- A potem?
- A potem *nach Granze*. Na nową polską granicę.

Pochód rusza. Starcy, kobiety i dzieci. Kilkadziesiąt osób. Niektórzy ciągną małe wózki, na których upchnęli dobytek życia, lecz większość po prostu niesie bagaże w rękach, na plecach, pod pachą. Do Schweidnitz jest dwadzieścia kilometrów, a z czerwcowego nieba kapie ogień. W takich warunkach czeka ich wielogodzinny marsz. Mareike idzie i patrzy pod nogi. Wdowa po buchalterze szepcze ojcu, że to wypędzenie nie ma umocowania w prawie, nie jest częścią akcji przesiedleńczej, a jedynie samowolą nowych włodarzy, którzy postanowili przejść co lepsze gospodarstwa.

Niektórzy upadają, mdleją, jeszcze inni wymotują z wysiłku i stresu. Policjanci walą lufami karabinów po głowach tych, którzy się ociągają. Mareike stara się na to nie patrzeć. Próbuje nie myśleć o gorącu,

pragnieniu i głodzie. Porusza się jak nakręcana zabawka. Prawa noga, lewa noga, wdech i wydech.

Gdy mijają Hausdorf, jakaś kobiecina schodzi za potrzebą na pobocze, w krzaki, a po chwili powietrze rozrywa huk. Dwóch milicjantów oddziela się od pochodu i sprawdza, co się stało. Wracają po kilku minutach. Mówią, że biedaczka musiała wdepnąć na minę i jest *kaputt*, i nie ma co zbierać. Lepiej, żeby rodzina tego nie oglądała, oni zawiadomią odpowiednie służby, ale potem, bo teraz trzeba iść dalej. Trzeba iść.

I Mareike idzie, chociaż jest coraz słabsza. Idzie i żałuje, że nie umarła wtedy na strychu, chociaż przecież umarła. Ile razy można umierać? Z ilu warstw składa się śmierć?

Z przeciwnej strony ciągnie ciężarówka, na niej ludzie, którzy mają zająć ich domy – teraz to oni będą patrzeć na góry, uprawiać nieurodzajne pola, wypasać bydło na łąkach i tkać na krosnach niedokończoną kanwę.

Pod Schweidnitz pozwalają im trochę odpocząć. Ludzie rozkładają się na polu przy drodze, gdzie popadnie. Kto ma prowiant, wyjmuje prowiant. Kto nie ma, ten nie ma. Ojciec zmusza ją, by zjadła resztę chleba, i Mareike je, prosi, by napiła się wody, i Mareike pije. Wsłuchuje się w ciszę, nikt już nie płacze, bo nikt nie ma łez. Wokoło pola rozdarte gąsienicami czołgów, w rowie leży martwy człowiek z kulą w potylicy. Dlaczego nikt nie uprzątnie ciała? Leży jak bezpański pies i tylko muchy na nim żerują.

Ruszają w dalszą drogę, omijając miasto i kierując się na północny zachód. Dzień powoli chyli się ku upadkowi. Upał wciąż nie odpuszcza. Znowu ktoś mdleje, ktoś wymiotuje ze zmęczenia.

Kiedy docierają do Striegau, Mareike pierwszy raz tego dnia podnosi wzrok znad ziemi. I widzi, i czuje, i zaczyna rozumieć, czym naprawdę

jest wojna, chociaż wcześniej sądziła, że wie.

W powietrzu nad ruinami miasta unosi się słodkawy odór spalenizny i rozkładających się ciał, a dookoła kopce usypanych naprędce grobów, wszędzie groby, góry cegieł i rozbite czołgi, i rozbite szyby, domy, ludzkie losy. Cały świat Mareike rozbity.

Świat Mareike się skończył.

26 (niem.) Dla ciebie. Ja już nie potrzebuję.

Dawno – Marianka

Marianna Potejko patrzy na góry wyrastające ponad drogą i ogarnia ją lęk. Jak dwadzieścia jeden lat po świecie chodzi, gór takich wysokich nie widziała. U nich we wiosce ziemia była płaska jak placek z zakalcelem, a pola ciągnęły się het, po horyzont. Można było tak patrzeć i patrzeć godzinami, poprzez łany zbóż kołyszących się na wietrze, i końca świata człowiek nie zobaczył. A tu, gdzie głowy nie obrócisz, krajobraz ze wszystkich stron zamknięty, ciasny, że nawet oddech ciężko złapać. Na szczytach lasy ciemne i skały trupio sine. Nigdy Marianka się do tego miejsca nie przyzwyczai, do tych obcych gór, do miasteczek o nazwach niemieckich, których nawet przeczytać nie umie, do potoków niebezpiecznie rwących i zimnych, ceglanych domów. Mowy nie ma! Chociaż tatuś uważają, że im tu na pewno lepiej będzie. Nikt już w nocy do chałupy nie wejdzie, żeby jak psy ich powybijają, wypalić, wyrznąć. Nie trza będzie uciekać i po lasach się kryć, głodować i trawą puste brzuchy zapychać. Tu teraz jest Polska – tak mądre ludzie gadają – i tu teraz trzeba im na nowo się urządzać i gospodarzyć. A przyjdzie czas, o tamtym, co za nimi, zapomną.

Ciężarówka wspina się coraz wyżej. Postępując resorami, wchodzi w zakręt i podskakuje na wertepach. Żar leje się z nieba i pali w głowę tak, że nawet chustka nie pomaga; z naczepy zdjęto brezentową plandekę, żeby se ludziska mogły popatrzeć, jak ich nowa ojczyzna wygląda.

Mariance jest gorąco i niewygodnie na tobole, na którym siedzi razem z ojcem oraz bratem Tomaszkiem, ale ani myśli narzekać. W bydlęcym wagonie, gdzie spędzili ostatnie tygodnie, panowały nieporównanie gorsze warunki. Nocami marzli, za dnia się dusili.

Człowiek siedział na człowieku, upchany na kupie jak sardynka w puszcze. I brud, smród, dziura w podłodze zamiast wychodka. I głód, wszy, tyfus i śmierć. Marianka wiele dni gorączkowała, majaczyła i traciła przytomność. Nadal ma ślady na brzuchu po wysypce i wybroczynach krwawych i słaba jest, i ledwo żywa, i chuda jak patyk. Ale jest. A matulki już nie ma. Leży teraz gdzieś w polu, nieopodal torów, byle jak, na szybko pochowana. Między Wschodem a Zachodem. Marianka nie wie dokładnie gdzie, więc nigdy na jej grobie kwiatka nie położy, znicza nie zapali, nie zapłaczę, modlitwy nie zmówi.

Ciężarówka zwalnia.

Z naprzeciwną, zza zakrętu drogi, wyłania się piesza kolumna, rozciągnięta na całą szerokość szosy i długa na kilkadziesiąt metrów. Ludzie jak mrówki suną w upale, z tobołkami, z wózkami, z grobowymi minami. Dookoła nich milicjanci na koniach. Dzieci płaczą, starcy mdleją. Kierowca wychyla się z szoferki i macha na jednego z mundurowych.

– A co tu za procesję prowadzicie, obywatelu? – pyta, nie wyjmując papierosa z zębów.

– Szwabów pędzimy. *Nach Westen*. – Uśmiecha się pod wąsem tamten, głaszcząc końską grzywę. – Do domu wracają.

– To dajcie mi miejsca, żebym przejechał – prosi kierowca. – Muszę ja tych tu ludzi po okolicy rozwieźć i jeszcze dziś do Schweidnitz nazad jechać.

– Nowi osadnicy?

– Ano. I pewnie jeszcze drugi kurs dziś przede mną. Duży transport dotarł i setki ludzi na dworcu koczują.

– No to jedź, człowieku. – Milicjant popędza konia w stronę kolumny i rozgania tłum na pobocza. – Miejsce dla ciężarówki zrobić.

No już! *Schnell, schnell.*

– To Niemce? – pyta ojca szeptem Tomaszek, który dotąd drzemał i właśnie się zbudził.

Tatuś kiwa głową.

– Tfu! – Tomaszek spluwa, wychylając głowę za burtę furgonu, gdy suną ciężarówką przez rozstępujący się na boki pochód.

– Daj spokój, Tomaszek, widziałeś, jakie biedne ludzie. – Ojciec spogląda w tył, kiedy zostawiają tłum za sobą. – Już żeś zapomniał, jak nas z chałupy przepędzono? Takie same ludzie jesteśmy jak te tutaj.

– Tatuś mają miękkie serce. Nie słyszał tatuś, co te szwabskie skurwesyny przez ostatnie lata robiły? Żydy na mydło przerabiały.

– Cicho bądź, Tomaszek. Ludzie tylko tak gadają – włącza się do rozmowy Marianka.

– A ty, Marianka, cicho siedź! Nikt cię o zdanie nie pyta. Głupiaś i nic o świecie nie wiesz. A od Szwabów to chyba tylko Ukraińce gorsze. Niech ich wszyscy diabli...

Marianka milknie i przez kolejne kilometry się nie odzywa. Patrzy na obcy świat dookoła. Mijają wioski, czasami się zatrzymują. Kierowca wskazuje gospodarstwa, które można zasiedlić, i bywa, że ktoś decyduje się wysiąść, uznawszy, że właśnie ten skrawek ziemi przeznaczają mu los, tu będzie szczęśliwy. Są i tacy, którzy zdają się na rzut monetą. Tatuś wciąż wygląda, jakby jeszcze nie był gotów zsiąść z furgonu, kręci nosem na kolejne obejścia. Tu za małą stodołą, tam poletko na północnym stoku i pewnie nic nie wyrośnie, bo ciemno, tu w chałupie jeszcze Niemce.

Góry zdają się rosnąć. Przy krętej drodze ciągnącej się doliną coraz gęściej wyrastają domy. Piękne, duże, murowane, a do tego kilkupiętrowe, jak pałace. Ich wygląd onieśmiela i przytłacza Mariankę.

W rodzinnej wiosce wszystko było mniejsze, skromniejsze, chałupki maciupkie, drewniane i kryte strzechą, ale przez to swojskie, przytulne, człowiek był blisko człowieka.

W oddali już widać morze czerwonych dachów, kościelne wieże, hale przemysłowe i strzeliste kominy, dziurawiące podbrzusze bezchmurnego nieba. Na drodze w dolinie ruch zaczyna gęstnieć. Wjeżdżają do miasteczka. Mariankę przytłacza mnogość budynków, brukowanych uliczek, chodników, sklepików i szyldów szwabachą pisanych, i ludzie – wszechobecna czystość i zimny pruski porządek – toteż modli się w duchu, coby tatuś nie zechcieli tu wysiąść.

Kierowca wychyla się z szoferki.

– Tu jest Wüstewaltersdorf – mówi – i duża fabryka tkacka, i sklepy, szkoły i karczmy, rzemieślnicy każdego gatunku, wszystko, czego dusza zapagnie. Jak kto ma jaki miastowy fach w rękę, a nie tylko zna się na grzebaniu w ziemi, powinien tu zostać. Lepszego miejsca w tej okolicy nie ma, praca i dom porządny dla każdego się znajdzie.

Wszyscy, którzy jeszcze się wahali, po słowach kierowcy zbierają manatki i wyrzucają na chodnik. Ludzie się tłoczą, by opuścić naczepę. Tomaszek roziskrzonym spojrzeniem spogląda na ojca, ale ten kręci głową:

– My się na miastowym życiu nie wyznajem, tu wszystkiego za dużo, za głośno, za tłoczno. – Uderza dłonią w szoferkę. – Zabierz nas, człowieku, gdzie do wioski, żeby pola kawałek było i łąka, bo ja bym znowu krówki chciał pasać, a jak Bóg da, to i konika.

Marianka oddycha z ulgą. Na twarzy Tomaszka rozkwita grymas zawodu. On jeszcze dzieciak, dopiero co stuknęło mu osiemnaście wiosen, to i ciągnie go do ludzi, jeszcze by się bawić chciał, za dziewczuchami latać, ale Marianka już swoje przeżyła i wie, że od ludzi lepiej się trzymać z daleka. Ludzie to wilcy.

– Jak pan chcesz, panie Potejko – stwierdza kierowca, wyraźnie rozczarowany, że musi jeszcze gdzieś jechać. – Jest tu taka wioska, kilka kilometrów dalej. Ale to już koniec świata.

– I dobrze – cieszy się ojciec – na koniec świata wojny mają najdalej.

Zatem znowu jadą, i znowu wspinają się wyżej i wyżej. Silnik furgonu dławi się, jakby dostał czkawki. Zostawiają za sobą ostatnie domy i duży budynek wyglądający na zajazd, o którym kierowca mówi, że to tawerna narciarska. Marianka nie wie, co to tawerna, a tym bardziej czym są narty, ale przyznać musi, że z przełęczą widok jest wspaniały i wreszcie czuć przestrzeń, i można odetchnąć pełną piersią. Nigdy tak wysoko nie była, prawie w niebie – pierwszy raz od chwili, gdy wsadzono ich do bydłących wagonów i pognano precz, jak bydło przez pół świata, czuje Marianka coś na kształt radości.

– Ta wielka góra z wieżą na szczycie to Hohe Eule, Wysoka Sowa! – Kierowca przekrzykuje ryk silnika. – A ta tu bliżej to Kopa Neumannów.

Wjeżdżają w las. Pod sosnami jagodowe pola, na poboczach kwitną poziomki.

Będzie co jeść, gdyby znowu nam przyszło do lasu się chować, myśli praktyczna Marianka.

Przy jednej z bocznych ścieżek wyrasta opuszczona budka strażnicza i szlaban. Między drzewami ciągnie się drut kolczasty. Tatuś blednie.

– Człowieku, a to co, na Boga?! – rzuca przerażony w stronę szoferki. – Tu łagry? Gdzieś nas wywiózł?!

– Gdzie tam łagry? – Śmieje się tamten. – W głębi lasów, pod Wolfsbergiem, Wilczą Górą, Niemce coś budowali. Jakieś tajne zakłady. Sam nie wiem. Ale nie gorączkuj się pan, panie Potejko, bo już towarzysze Rosjanie tam porządki robią. I tyle tylko, że wchodzić tam nie wolno. Ale we wiosce, na dole, życie normalnie się toczy, nawet nie

zauważycie, że tu prace trwają. Zresztą patrzajcie, my już prawie na miejscu.

Drzewa się przeredzają, ciężarówka zakręca i przed nimi roztacza się panorama kolejnej doliny, chyba jeszcze piękniejszej niż ta, którą widzieli z przełęczy. Zielone łąki poprzecinane zadrzewionymi miedzami spływają w stronę gospodarstw, które wyglądają z góry jak domki dla lalek. Przez wieś płynie potok, pośrodku wznosi się niewielki kościółek.

Marianka rozdziawia gębę w zachwycie, ale i tatusia chyba widoki te cieszą. Taki spokój, jak z obrazka. Chyba zapomina o drutach w lesie, bo się rozchmurza.

– Tak... – Kiwa w zadumie głową.

I tylko Tomaszek ciągle skrzywiony, naburmuszony, wcale na świat wokół nie patrzy, tylko dłubie w zębach i nawija na palec sznurek przy portkach.

Ciężarówka zjeżdża ze wzgórza i parkuje pod wielkim, białym budynkiem, na którym widnieje niemiecki szyld z napisem „Hippe’s Gasthaus”.

Ze środka wychodzi chuda i blada jak cień kobieta. Kierowca przez chwilę rozmawia z nią po niemiecku, ale chyba się nie dogadują, bo tamta znika, a zamiast niej pojawia się gruby mężczyzna o ogorzałej twarzy, w sztywnym od krochmalu fartuchu, opinającym się na krągłym kałdunie.

Kierowca znowu mówi po niemiecku. Tamten coś odpowiada, ale Marianka czuje, że nie podoba mu się to, co usłyszał, bo krzywi się i podnosząc głos, wskazuje na trójkę pasażerów na pace. Kierowca się śmieje, tamten spluwa ze złością, a wreszcie trzasnąwszy drzwiami, znika za drzwiami budynku.

– Co ten człowiek powiedział? – pyta ojciec.

– Nic się nie martw, panie Potejko. To Franz Schutt, nazistowska jego mać! Fryc przekłęty. Zajazd do niedawna prowadził i ciągle za właściciela się uważa, chociaż tu teraz nasz, Polak, gospodarzy. Tylko właśnie do Wüstegiersdorfu po piwo pojechał. Ja żem tego tu wypytał, który dom we wsi pusty. Nie chciał powiedzieć, szwabskie nasienie, ale na pewno coś się dla was znajdzie. W najgorszym razie do jakiej niemieckiej rodziny się dokwaterujecie.

– Żartujesz, człowieku?!

Kierowca wzrusza ramionami.

– Jeszcze nie wszystkie Niemce wyjechały, a wyście tu jako jedni z pierwszych przybyli. Trochę potrwa, zanim ich stąd wyprowadzimy.

– Ale co pan? Że niby my z Niemcami mamy mieszkać? Pod jednym dachem? Jak nas urzędnik na dworcu w Breslau rejestrował, to mówił, że na własność gospodarzę dostaniem, że tu chałupy puste, pola odłogiem leżą.

– Spokojnie, panie Potejko. Zaraz coś wymyślimy. – Zapuszcza silnik. – Pojeździmy, popytamy, popatrzymy.

Ruszają w górę wioski. Marianka czuje, jak pod powiekami wzbierają oceany rozpacz i zaraz jej wszystko z oczu tryśnie. I już nie widzi tych domków jak z obrazka i murowanych stodołek – na poniewierkę ich tu przywieźli, na zatracenie, a wracać przecież nie ma dokąd, mój Boże, mój Boże i o Panienko Najświętsza...

Zanosi się Marianka szlochem, przez co nie słyszy, jak kierowca zaczepia kobietę przy drodze i jak rozmawia z nią po polsku, a ta mówi, że owszem, dom jest, bardzo ładny i duży, że kilka rodzin by się pomieściło. Będzie dziś rano, jak Niemcy go opuścili, milicjanci ich

zabrali gdzieś ciężarówką, het. Stoi i czeka na nowych gospodarzy. Piękny kawałek ziemi i łąka, i staw.

Marianka płacze, chowając twarz w dłonie: dlaczego los ich tu zaprowadził, dlaczego nie pomarli jak tamci, w rodzinnej wiosce albo chociaż jak matula w wagonie?

– Cicho bądź, głupia! – Tomaszek potrząsa ją za ramię. – Co ryczysz? Patrzaj no!

Ciężarówka wjeżdża na rozległe podwórze. Przy nim stodoła, szopy, komórki i dom okazały, piętrowy. Nie może Marianka własnym oczom uwierzyć.

– To nasze? – pyta tatusia.

Stary oszołomiony rozgląda się wokół i nic nie mówi. Na widok tych wspaniałości aż oczopląsu dostaje. Nie wie, na co patrzeć, czym w pierwszej kolejności się cieszyć.

– I co, podoba się, panie Potejko? – rzuca zadowolony z siebie kierowca, jakby to on sam im dom ten darował. – A nie mówiłem, że coś dla was znajdę, he? No już, już, wysiadajcie, ludziska, bo mnie czas goni.

– Bóg zapłać, dobry człowieku. – Teraz i ojciec płacze. Łzy jak grochy mu się toczą po gębie. – Wysiadamy, dzieci, a nuże! – mówi, wyrzucając tobołki za burtę.

Niewiele bagażu mają, bo i niewiele do zabrania było – tyle co tych kilka szmat i obrazek Matki z Dzieciątkiem. Jak ich Ukraińcy spalili, z dnia na dzień dziadami się stali. A tu taki dom, taka ziemia! Po niemal dwóch latach strachu i poniewierki Pan Bóg takie bogactwa im zsyła. Jednak jest sprawiedliwość na świecie.

Ciężarówka znika za świerkami i zakrętem drogi, a oni wciąż niepewnie, jakby swemu szczęściu nie mogli uwierzyć, ruszają w stronę

schodków wejściowych, a w drzwiach kluczyk czeka. Wchodzą do środka.

Chłód murów przyjemnie koi skórę po długiej podróży na słońcu. A wokół tyle pokoi, w nich meble, obrazy, w oknach grubo tkane zasłony.

– O Jezusie, idzie tu tatuś! – krzyczy Tomaszek, zaglądnąc do jednego z pomieszczeń. – Oni tu nawet umywalnię mają i balię porcelanową, i wychodek jak na dworcu!

Ojciec z Tomaszkiem cmokają nad zastanymi cudami techniki, a Marianka szuka kuchni. Kuchnia w domu najważniejsza. Przemierza korytarz – i jest! Jest! Obszerna i piękna jak w pałacu. Na zimnej kuchni jeszcze garnek z owsianką stoi, a na okapie, jak ruskie złoto, lśnią rondle. Wiedzie Marianka po śliskim i błyszczącym metalu i czuje się jak w bajce, jakby śniła. Szczypie się w policzek raz za razem, ale obraz nie znika. To wszystko prawdziwe!

Przysiada na krześle przy stole, bo choć dotąd emocje dodawały jej siłę, to niedawno przebyta choroba znowu przypomina o sobie.

Patrzy na te wszystkie cudeńka i zaczyna płakać – szkoda, że matulka nie może tego zobaczyć. I że Stacha już nie ma, i Rozalki, i Wacka...

Teraz – Maria

Przewracam się z boku na bok w łóżku na antresoli czarnego domu o białym sercu. Za oknem słońce. Ręka nadal mnie nie boli, chociaż o przygodzie z nożem wciąż przypomina mi gruba warstwa bandaża. Wyglądam jak ofiara groźnego wypadku, a to takie nic.

Schodzę na dół i rozglądam się po wnętrzu. Wszechobecna biel i jaskrawe światło dnia kontrastują ze śladami krwi, których nie posprzątałam wieczorem, i potęgują upiorne wrażenie. Domek przypomina miejsce zbrodni. Muszę to czym prędzej ogarnąć.

Wchodzę do łazienki i spoglądam w lustro. Nie wyglądam źle. Można by się nabrać, że wszystko ze mną w porządku. Próbuję się uśmiechnąć. Między nosem a ustami tworzą się niewielkie bruzdy. W dolinie łez ślady łez, których nigdy nie umiałam wypłakać.

Odwijam bandaż. Na skórze zostają porowate ślady. Wreszcie docieram do palca. Opuszka jest opuchnięta, ale już nie broczy, wzdłuż cięcia ciągnie się czarna kreska zastygłej krwi. Rana powinna się zagoić bez interwencji chirurga. Zmieniam opatrunek, a potem wydaję z szafki pod umywalką ścierkę, detergenty i jednorazowe rękawiczki.

Szoruję podłogę, szafki kuchenne, blat, ścianę i zlew. Czerwona smuga ciągnie się w poprzek pobielonych desek, do wejścia, ją także wycieram. Jestem skrupulatna, dokładna. Zawsze taka byłam. Lubię harmonię i porządek, pewnie dlatego, że nie zaznałam ich na pierwszym etapie życia, gdy jeszcze mieszkałam z matką. Kiedy wewnątrz domku lśni czystością, robię sobie kawę i wychodzę na taras. Zapalam papierosa – rzadko palę, ale teraz tego potrzebuję. Zapowiada się piękny dzień, niebo jest niemal bezchmurne. Ze wsi dochodzi szczekanie psa. Siadam na

leżaku i patrzę na góry, zaciągając się nikotynowym spokojem. Kolejne spotkanie autorskie mam dopiero jutro. Korzystając z wolnego dnia, powinnam przejść się do domu na wzgórzu, żeby omówić z najemcą warunki sprzedaży. Taki pierwotnie był plan, lecz przez wczorajsze wydarzenia nie czuję się na siłach, żeby odbyć tę wizytę. Sięgam po telefon i wysyłam mu wiadomość, że muszę przełożyć nasze spotkanie na następny dzień.

Wyłączam komórkę i przymykam oczy. Chciałabym wsiąść w samochód i wrócić do Warszawy, ale wiem, że nie mogę dłużej uciekać. Muszę się wreszcie skonfrontować z tym, co wiele lat temu wyparłam, przypomnieć sobie, co zaszło na Niczyjej. Dziewczynę pobito i zgwałcono. Mnie pobito i zgwałcono. Oprócz mnie zaginął wtedy ktoś jeszcze. Kto i dlaczego? Prawie nic nie pamiętam z tamtej nocy, mam przed oczami zaledwie kilka kadrów: kiedy siedzę przy ognisku, gra muzyka, leje się alkohol, a potem, gdy uciekam przez las, skrywam się w ruinach poniemieckiego gospodarstwa na zboczu góry, w osadzie, która już nie istnieje. Trzy dni i trzy noce. Zapach ziemi, chłód skał i smak jeżyn. Pamiętam światło pełzające po ścianie, po podłodze, dotykające moich stóp. Pamiętam coś, czego nie miałam prawa ujrzeć, a jednak zobaczyłam. Czułam dokładnie dłonie na moich włosach, zapach lnu, słyszałam ciepły szept. Tak, jestem pewna, że nie oszalałam – przecież tamtego lata widziałam wiele różnych rzeczy, których nie da się sensownie wytłumaczyć...

A potem ta chwila, gdy jadę radiowozem w dół wsi. Policyjny duży fiat buja się na zniszczonych resorach. Przedemną krata, na mnie też krata. Ktoś okrył mnie kocem, który drażni skórę. Nitki przyklejają się do ran. Ale ja nic nie czuję. Pierwszy raz nie czuję bólu, chociaż wtedy jeszcze nie do końca rozumiem, że moje ciało przestało działać jak należy, że przydarzyło mi się coś bardzo, bardzo złego, co zostanie we mnie na lata. W dłoni zaciskam starą odznakę w kształcie rombu.

Kogut na dachu suki zawodzi. Bezduzny gliniarz gada w kółko. Pamiętasz, co się stało tamtej nocy? Co robiłaś przez ostatnie trzy dni? Nie słyszałaś, jak cię wołaliśmy? Dlaczego nie wróciłaś do domu?

Co się stało tamtej nocy?

Wspinamy się szutrówką za kościołem i parkujemy przed domem babki. Na podwórku polonez caro pana Romana. Pies wyleguje się przy schodach, kot na balustradzie. W drzwiach stają matka i babka Maryjka, za nimi przezroczysty pan Roman, halabardnik w tym przedstawieniu.

Matka przypada do drzwi fiata, otwiera je, wyciąga mnie ze środka, chce prowadzić prosto do domu, chociaż policjanci mówią, że spokojnie, spokojnie, córka musi złożyć wyjaśnienia. „Nic nie musi!”, krzyczy matka – jest wystraszona i wściekła. Nie pamiętam, kiedy widziałam ją tak przytomną, zdecydowaną.

Babka tkwi przy schodach i się nie odzywa. Pan Roman wygląda, jakby nie chciał tu być – pewnie nie tak sobie wyobrażał scenę finałową wakacyjnego romansu z sekretarką – dlatego jest, lecz jakby go nie było: wkleja się w brudną ścianę domu, wkleja wzrok w ziemię.

Psy znowu: że chwila, chwila, trzeba złożyć wyjaśnienia, wypełnić papiery, zbadać, jechać na komisariat, na obdukcję do miasta, nie tak szybko, obywatelko, córka jest prawdopodobnie ofiarą przestępstwa, szczęśliwie odnalezioną ofiarą! To sukces miejscowej policji, jest prawo, są procedury! Ale matka jest nieugięta, jakby naprawdę ten jeden jedyny raz zamierzała zachować się jak należy i postanowiła mnie chronić przed tym, przed czym już ochronić się mnie nie da. Za późno, mamo.

Słońce wypala dziurę w niebie i we mnie.

Babka stoi jak zaklęta. Kasztanowy ludzik na nogach z zapalek. Patrzy przerażona i cicha na koc, na moje bose stopy, pożyczony od któregoś z mężczyzn T-shirt, ręce, siniaki, zadrapania i z każdą chwilą

staje się coraz bardziej blada i stara. Stara jak jej wytarte wspomnienia. Odbijam się w mokrych oczach Maryjki. Jestem nią, ja i moje okaleczone ciało. Jesteśmy tymi, które poznały smak przemocy. Mamy ów wstyd wypisany na twarzach. Babka Maryjka, a teraz także ja. I to jest ten jedyny jedyny raz w życiu, ulotny moment, gdy czuję z nią więź.

Matka mówi, że w takim stanie nigdzie nie pojedę. Ciągnie mnie do środka. Policjanci uderzają do wtapiającego się w tło podwórka pana Romana – może myślą, że przemówią tu komuś do rozsądku, pogadają jak facet z facetem, bez zbiorowych babskich lamentów, rwania włosów z głowy, bez fochów i dąsów. Ale nic z tego. Pan Roman myśli, jak zwolnić matkę z pracy, gdy wrócimy do Wrocławia. Dostyc ma tej wiochy zabitej dechami, tej patologii. On jest porządnym przedsiębiorcą. Ma żonę, dzieci, telefon w Erze, poloneza w welurze, z fabrycznym radiem i jest tu – do jasnej cholery! – wyłącznie halabardnikiem.

Wchodzimy do łazienki. Matka ściąga ze mnie koc, za dużą koszulkę policjanta i moją, w strzępach, z Kurtem Cobainem, na koniec majtki. Od lat nie widziała mnie nago. Wstydzę się. Nie płaczę. Jest mi wszystko jedno. Jestem brudna. Wanna, woda, gąbka mydło. Tego, co się zdarzyło, nie da się zmyć wodą. Jestem brudna od środka, mam. Woda, mydło. Piana ścieka po ranach. Matka pyta, czy mnie boli. Nic mnie nie boli. Nic nie czuję. „Podmyj się dokładnie”, mówi matka. „Jeśli nie chcesz, nie musisz jechać na komisariat. Nie teraz. To może poczekać. Powinnaś odpocząć, coś zjeść”.

Nie jestem ani głodna, ani śpiąca i chcę jechać, wiem, że tak należy. Przecież i tak nic nie pamiętam, cóż więc im mogę powiedzieć, wyciskanie suchej gąbki. Ale okej, niech dopełnią tych swoich procedur, niech mnie przesłuchają, zrobię, co trzeba, i będę to miała za sobą. A potem stąd wyjadę. Raz na zawsze opuszczę tę przeklętą wieś i góry.

Matka kiwa głową, zrobisz, jak uważasz, ale jadę z tobą. A potem mnie ubiera, idziemy przez korytarz do drzwi wejściowych i na dwór.

Suka czeka. Musimy jechać, mówi policjant. Babka Maryjka, kasztanowy ludzik, nadal stoi przy schodach, patrzy w pustkę.

Matka wsiada razem ze mną na tylną kanapę i krzyczy do babki, że jak ona mogła do tego dopuścić, że to wszystko przez nią! „Milcz sobie, milcz. W milczeniu zawsze byłaś najlepsza. Nigdy nie umiałaś być matką i nie potrafisz być babką! A ty, Roman, wracaj do rodziny, do Wrocławia, tam twoje miejsce, z nami koniec, miły z ciebie facet, ale to nie mogło się udać, nie jesteś tu więcej potrzebny”.

Pan Roman z ulgą wskakuje do wozu. Po podwórku niesie się bulgot silnika poloneza caro, metalik w welurze. My z matką w suce jedziemy za nim. Zjeżdżamy do głównej drogi. On skręca w prawo, do swojego życia, my w lewo, do miasteczka. Matka ściska mnie za rękę. Ludzie z wioski wyszli przed domy, przyglądają się nam z ciekawością, szepczą między sobą. Ale widowisko! Syrena znowu wyje. Zamykam oczy, zaciskam dłoń, w której wciąż trzymam odznakę. Tak bardzo chciałabym już być we Wrocławiu.

Słońce wypala dziurę w niebie i we mnie.

Tak bardzo chciałabym już być z powrotem w Warszawie.

Dawno – Mareike

Poranne słońce wypala dziurę w ruinach Striegau. Śmierdzi spalenizną i trupem. Wczoraj nie byli w stanie iść dalej, więc milicjanci zgodzili się na postój. Spali pod gołym niebem, na obrzeżach miasta, wśród gruzów.

Ojciec potrząsa ramieniem Mareike, żeby ją obudzić. Jest jej tak dobrze i ciepło. Niewygodnie, ale ciepło – *Vati* okrył ją swoim płaszczem – i chętnie pospałaby jeszcze, chciałaby spać już zawsze, tylko spać, ale Polacy każą im się podnosić.

Dzieci płaczą, w matczynej piersi brakuje bowiem pokarmu, starcy pojękują, bo w ich nogach brakuje sił do dalszej wędrówki, lecz tamci nie mają litości. Poszturchują ich lufami karabinów, pokrzykując przy tym: „No, już, już, *schnell*, pachołki Hitlera, zbierać się, wstawać, musimy ruszać w drogę!”.

Kiedy ludzie powoli wygrzebują się z ziemnych legowisk, zza załomu ulicy, lawirując między kupkami cegieł, nadjeżdżają dwa zielone gaziki z białymi gwiazdami w obręczy na masce. Parkują nieopodal. Ze środka wyskakują wojskowi w nieznanych Mareike mundurach i podchodzą do milicjantów. Wskazują na ich grupę i o coś pytają. Tłumacz tłumaczy. Polacy tłumaczowi się tłumaczą. Tłumacz przekazuje to tamtym. A oni nie wyglądają na zadowolonych, podnoszą głos, gestykulują.

Jakaś kobiecina, która spała nieopodal Mareike i ojca, mówi, że u niej przez całą wojnę pracował jeden *Ostarbeiter*, Polak z Warschau, były student, porządny chłopak, pracowity i czysty – choć podobno z Polaków straszne brudasy – więc ona trochę polski rozumie, a z rozmowy wynika, że to są Anglicy, Amerykanie i Holendrzy, alianci,

którym nie podoba się, co tu zastali: że milicjanci ich pędzą bez rozkazu, wbrew wytycznym, a w związku z tym natychmiast mają zawracać. To rozkaz! Wojskowi powiadomią fabrykę w Wüstewaltersdorfie, żeby wysłać im naprzeciw ciężarówkę, bo tułaczkę z powrotem, pod górę, niewielu wytrzyma. Polacy mają ich eskortować. I pilnować, żeby nikomu w drodze powrotnej włos nie spadł z głowy!

Chwilę jeszcze trwa translacyjna przepychanka milicjantów i alianckich żołnierzy, aż wreszcie tamci wskakują na gaziki i znikają za winklem. A Polacy na koń i znowu: „*Schnell, schnell*, wy niemieckie psy, wstawać, wstawać, *na los!* upiekło się wam, *Schweine*, wracacie do domu!”.

Nikt nie ma siły na radość, dlatego niektórzy tylko płaczą. Idą i płaczą.

I znowu upał, i znowu ktoś mdleje. Ciągną jak pokutnicy, noga za nogą, na południowy wschód. Wdowa po buchalterze Bartwigu zdejmuje buty. Ma w nich pełno krwi, na stopach popękane pęcherze, spod których wyziera różowe mięso, a zatem dalej kroczy już boso, ale nieważne, że boso, ważne, że z powrotem do domu.

Idą szybciej niż wczoraj, wypatrując na horyzoncie ciężarówek z fabryki. Przy drodze leży hałda zgniłych ziemniaków. Zeszłego dnia nikt nie zwrócił na nie uwagi, każdy miał jeszcze po kawałku chleba zabranym na drogę, ale teraz kilka osób odrywa się od kolumny, rzuca na ziemię, wygrzebuje cuchnące bulwy i pochłania je łapczywie, na surowo. Mareike, widząc to, pierwszy raz zbiera się na wymioty, ale z całych sił powstrzymuje ów odruch.

Sama wciąż nie czuje głodu, nic nie czuje, nawet zmęczenia, jednak – gdy już widać dachy Schweidnitz, wraz z górującą nad nimi późnogotycką wieżą katedry, a drogą z naprzeciwka, od południa, napływa huk nadjeżdżających furgonów – nie jest już w stanie dalej się

hamować i wymiotuje na pobocze. Ojciec podaje jej chustkę, by przetrąła usta, i mówi, że to pewnie z głodu. W domu coś na pewno do jedzenia znajdą, Mareike odzyska siły i poczuje się lepiej.

Ale potem znowu jej się to przytrafia, w ciężarówce, gdy wspinają się już doliną Weistritz, a wokoło wyrastają szczyty. Na szczęście tym razem plandeka jest odsłonięta, ludzie chcą cieszyć się widokami, słońcem, powrotem, więc Mareike udaje się w ostatniej chwili wystawić głowę za burtę naczepy.

Ojciec patrzy na nią z zaniepokojeniem. Annika siedząca obok, z zasmarkanym od ciągłego wycia Rudim, przygląda się jej uważnie i szepcze na ucho:

– Wszystko dobrze, Mareike?

– To z głodu – kłamie, bo wcale go nie czuje, ale tak uważa *Vati*, więc tak musi być. Jest chora przez to, co ujrzała w Striegau, przez trupi odór, ze strachu i zmęczenia.

– A przemyłaś się wtedy octem?

Mareike marszczy czoło. Wtedy? Kiedy? Jakim octem, co Annika wymyśla?

– Nie? Mój Boże, Mareike! Zapomniałaś, co mówiła Katharine Koch podczas *Heimabend*? Jeżeli nie chce się mieć... – Przęłyka niewygodne słowo. – Po wszystkim należy porządnie przemyć się octem, inaczej...

Mareike dobrze pamięta wieczorne spotkania w pomieszczeniu przy młynie, chociaż wolałaby o nich nie pamiętać. Czy Katharine mówiła coś o occie? O wielu rzeczach mówiła i w wielu się myliła, a w wielu kłamała. Ale może z tym octem miała rację?

Wreszcie Mareike zaczyna coś czuć. I jest to obezwładniający, odbierający zmysły strach.

Ten strach towarzyszy jej, kiedy w Hausdorfie skręcają na znajomą szosę do Wüstewaltersdorfu i kiedy ludzie ze wzruszenia i radości zaczynają płakać, padać sobie w ramiona, krzyczeć. Strach pączkuje i rozrasta się jak nowotwór, obce ciało, w dole jej brzucha, kiedy część pasażerów wysiada pod fabryką, aby udać się do swoich wiosek, a oni z ojcem i resztą sąsiadów jadą dalej, w stronę Grund. Gdy mijają Schirgenschänke, tawernę narciarską i górkę, i siodło, i las, i wreszcie znowu są w swojej dolinie, u siebie, a po wnętrzu naczepy rozchodzi się westchnienie ulgi.

Mareike nie czuje ulgi, jest tylko strachem – gdy wysiadają z ojcem pod zajazdem, mijają dom doktora, w którym nie ma już doktora, cmentarz i kościół i wdrapują się drogą do domu, i wchodzą na podwórko.

Mareike jest strachem, kiedy drzwi otwiera im ta chuda i blada dziewczyna.

Noc Mokosz

Wtedy – Mania

– Mania, wiesz, że ja cię naprawdę lubię, dlatego, stara, dobrze ci radzę: odpuść sobie mojego brata.

Siedzimy na poddaszu domu na wzgórzu. Dominika we wściekle różowej koszulce z napisem Barbie i szortach ledwie zakrywających tyłek pali papierosa, ja bawię się kołem kołowrotka. Dotykam palcem wrzeciona.

– Ale nas nic nie łączy – zaprzeczam.

Nie powiedziałam jej o wieczorze, gdy wróciliśmy ze sztolni, ani o podniecającym zapachu bergamotki i szaławii na kołnierzu kurtki, ani o pocałunku przy cmentarzu, ani tym bardziej o duchu bez głowy, bo to wszystko wydaje mi się dzisiaj, to jest kilka dni później, całkiem nierealne. Ale Dominika nie jest głupia i widocznie czegoś się domyśla.

– Daj spokój, przecież ja widziałam, jak na siebie patrzycie. Ale okej, zrobisz, jak uważasz. – Wyraźnie zdenerwowana obgryza skórę przy paznokciu. Spluwa na podłogę. – Ja cię tylko uprzedzam, że Hubert to nie jest chłopak dla ciebie. Nie jest taki, za jakiego ludzie go biorą. Lepiej na niego uważać.

– Co to znaczy: nie jest taki, za jakiego ludzie go biorą?

– To znaczy: daj sobie z nim spokój. Ty, Mańka, jesteś fajną laską i zasługujesz na kogoś porządnego, sympatycznego, na miłego chłopaka po prostu, a Hubert... – Ucina, gasi papierosa.

Przyglądam się Dominice z uwagą. Nigdy nie widziałam jej tak podenerwowanej, ja też ją lubię i nie chcę się kłócić, dlatego postanawiam nie ciągnąć tej sprawy.

Żeby załagodzić atmosferę, zmieniam temat i wyciągam zdjęcie matki zajumane z babcinej komody, które trzymam w tylnej kieszeni spodenek.

– Zobacz, znalazłam to w domu. – Podaję je Dominice.

Obraca kartonik w palcach

– To chyba wasz staw? – zauważa.

– Tak przypuszczam.

– A ta dziewczyna to kto?

– Chyba moja matka, gdy była w naszym wieku.

Dominika marszczy czoło i przybliża fotografię do oczu.

– Nie wydaje mi się. Za bardzo rozmyta ta fotka. To może być ktokolwiek. – Marszczy czoło.

– Nie, no spójrz, nawet pieprzyk ma na udzie. Matka ma dokładnie taki sam.

– To jakieś przebarwienie. – Pociera palcem we wskazanym miejscu.

– To na pewno nie jest pani Ula. Może ją trochę przypomina, ale to nie ona. I przecież ta fotka musi mieć ze sto lat. – Obraca zdjęcie. – Widziałas, że tu jest coś napisane ołówkiem? – pyta.

– Próbowałam odczytać, ale nie potrafię. Tekst za bardzo się wytarł.

Dominika przesuwając rękę tak, aby światło sączące się przez szparę w deskach padło na papier. Mruży oczy.

– To po niemiecku.

– Serio? – Znowu bezmyślnie zaczynam się bawić wrzecionem.

– Znasz niemiecki?

Kręcę głową. W szkole mam angielski i francuski.

– Trudno to rozszyfrować, ktoś miał dziwne pismo, straszne esy-floresy, ale zaczekaj. To jest chyba *ewiges*, a to *Andenken* i jeszcze dla kogo: *für* Mareike. Czyli coś w stylu: „na wieczną pamiątkę dla Mareike”.

Oddaje mi fotografię, chowam ją z powrotem do kieszeni.

– Sama widzisz, to nie jest twoja matka. Może faktycznie odrobinę podobna, ale to przecież jakaś Niemra. Tu w każdym domu na strychu takie stare zdjęcia po Niemcach się kurzą.

– Niemra...?

Bezwiednie dociskam palec do wrzeciona, na opuszce pojawia się krew.

Dawno – Marianka

– Na wiosnę wszystkie kwiaty z jabłoni opadły, a teraz, chociaż dopiero sierpień i do jesieni daleko, liście zaczynają żółknąć – mówi Świebodowa do Marianki, która czekając, aż sąsiadka naleje jej mleka do kanki, przygląda się martwym drzewkom w sadzie. – Bóg jeden wie, co im dolega. Niby zadbane, wypielęgowane, a owoców w tym roku nie będzie, a może i przyjdzie wszystko w pień wyciąć. A ja, jak żeśmy ten dom wybierali, to właśnie przez wzgląd na te drzewka starego namawiałam: tu zamieszkajmy. Bo do kościoła blisko i ten sad. Myśmy u siebie pod Drohobyczem też sad mieli, ale ładniejszy, a owoce jakie słodkie, jakie soczyste, ale u nas ziemia była czarna, żyzna, nie to co tutaj, wszystko twarde, jałowe gliny. Ale zobaczyłam drzewka, pomyślałam, człowiek przywyknie i chociaż namiastkę starego życia będzie tu miał.

Marianka ze zrozumieniem kiwa głową. Po wsi chodzą wprawdzie plotki, że w tym sadzie ktoś się powiesił, ale pewnie ludzie gadają tak z zazdrości, bo dom Świebodów rzeczywiście jest jednym z ładniejszych. Jakiś doktor tu wcześniej mieszkał. Jednego razu sąsiadka pokazywała nawet Mariance torbę z dziwnymi narzędziami, co ją w szafie znalazła. Nie wiedziała, co z tym zrobić, to małych nożyków używa teraz w kuchni do obierania warzyw, bo takie ostre, a jeden, największy, jak tasak, nawet Mariance podarowała – idealny do sprawiania mięsa.

– Może Niemce, jak odchodziły, czego w korzenie podsypały – myśli na głos Marianka.

– Może – przytakuje Świebodowa, kończąc przelewać mleko z wiadra do kanki. Wyciera dłonie w fartuch i wstaje z zydła, żeby odprowadzić Mariankę do drogi. – A wasze Niemce jak? Kiedy wyjadą?

– Nawet sąsiadka nie pyta. Ten stary to jakiś ważny inżynier w fabryce i Ruscy go trzymają, żeby naszych fachu na maszynach uczył. Czort wie, kiedy go puszczą. Gdybyśmy wiedzieli, że oni wrócą, tobyśmy tu nie zostali.

– No, a mnie teraz głupio, bo to ja wtedy ten dom wam wskazałam. Ale kto to wiedział, że tak się sprawy potoczą?

Marianka smutno się uśmiecha.

– Żadna to Świebodowej wina. Zresztą tatuś mówią, że dom jest duży i miejsca dla wszystkich wystarczy, chociaż dziwnie tak żyć z nimi pod jednym dachem. Oni na górze, my na dole, ale kuchnia jedna. A ta młoda Niemra o wszystko się piekli. Niczego dotknąć nie pozwala, ani rondla, ani talerza, że to niby ich własność. Raz mi wyrwała szczotkę z ręki, jak włosy chesałam. A co ja wszy mam, że jej szczotki wziąć nie mogę? Jak tatuś do miasteczka poszli, żeby zapytać, co mamy robić, to mu w urzędzie powiedzieli, żebyśmy Niemców krótko trzymali i brali, co chcemy, bo jesteśmy w prawie i teraz to nasze. Dom i wszystko, co w domu.

– Sprzykrzy im się życie tutaj, to pójdą w diabły. Sprawiedliwość jest po naszej stronie.

Są już niemal przy drodze, ale Świebodowa wygląda, jakby coś jeszcze leżało jej na wątrobie.

– A Marianka wie – mówi wreszcie – co jej brat nawywijał wczoraj w gospodzie?

Marianka nie wie. Tomaszek wrócił do domu nad ranem, jak zwykle w ostatnich tygodniach, i gdy wychodziła do sąsiadki po mleko, jeszcze

się z łóżka nie wygrzebał. Wzrusza więc ramionami.

– Jakiegoś trupa baby wygrzebał – mówi ściszym głosem Świebodowa. – Jak szabrował po grobach.

– Że co zrobił? – Marianka czuje, jak treść żołądka podchodzi jej pod gardło.

Podejrzewała, że Tomaszek od jakiegoś czasu na szabry chodzi, bo tu przecież prawie wszystkie chłopy chodzą, a i brat nagle pieniądze skądś ma. Ale żeby grób zbeczczyć? Żeby zmarłych niepokoić? Czy to mało dobra Niemce pozakopywali na miedzach, za chałupami? Czy Tomaszek do reszty oszalał? I czy ojciec o tym wie? Pewnie nie, boby szczeniakowi kości porachował. Niemce diabły przeklęte i zasłużyli na to, co mają, ale żeby w poświęconej ziemi grzebać, żeby umarłych okradać? To się Marianne w głowie nie mieści. Matulka, gdyby jeszcze żyła, pod ziemię by się zapadła. Taki wstyd. Taka hańba!

– Mój Józek mówił: trup jak żywy – ciągnie Świebodowa. – W sukni pięknej, w pantofelkach z jedwabiu, z włosami nawet. Suchy taki. I Tomaszek go do gospody przytargał. Usadził sobie trupa na ławce i do niego przepijał, a jak tango z radia poleciało, to i w tany z nim poszedł. Wszyscy dookoła pijani, to im się przedstawienie podobało, ale ja uważam, że to ani trochę zabawne nie było. – Zniesmaczona kręci głową.

– Bożeż ty mój... – szepcze Marianka.

– No właśnie. Ty lepiej z bratem pomów. – Świebodowa kładzie matczynym gestem rękę na ramieniu Marianki. Jest od niej starsza z dziesięć lat, ale od chwili, gdy się poznały, z miejsca poczuły do siebie sympatię. – Jak się rozniesie po okolicy, co Tomaszek wyczynia, to może mu się co złego z rąk Niemców przytrafić.

– Dobrze, że sąsiadka mi mówi, ja się zaraz z Tomaszem rozmówię.

Rusza energicznie w stronę domu. Krew uderza jej do twarzy. Taki wstyd! Mija kościół i odruchowo patrzy na lewo, gdzie na niewielkim wzniesieniu, za drzewami, znajduje się cmentarz ewangelicki. Czy to tam Tomaszek...? Co też mu do łba strzeliło? Co za czort w niego wstąpił?

Marianka od dawna się bała, że bratu w głowie się pomieszało. Po tym, co przeszli przed dwoma laty, stał się innym człowiekiem. Kiedyś taki dobry chłopiec, a wesoły, a uczynny, teraz bez bata nie podchodź. Pyskuje, światem chodzi i ciągle bimbrem śmierdzi. Ale może jak człowiek raz takiego zła jak oni doświadczy, to coś mu się tam przestawia i w charakterze pęka? Marianka była już wtedy dorosła, ale Tomaszek dopiero co z krótkich portek wyrósł. To musiało w nim ślad pozostawić...

Wbiega drogą pod górę, omija stodołę i przemierza podwórko. W drzwiach wpada na Niemkę. Mleko chlusta z kanki, plamiąc tamtej sukienkę. Niemra coś warczy pod nosem, ale do diabła z nią teraz.

Marianka przemierza korytarz i wpada do pokoju, który Tomaszek współdzieli z ojcem. Okrąża stojący pośrodku stół i podchodzi do łóżka. Brat w samych gaciach śpi, rozwalony na kołdrze.

– Tomaszek! – Szarpie go za ramię.

Brat uchyla powieki. Białka ma przekrwione, z ust zieje przetrawioną gorzałką.

– Czego? – pyta zachrypłym głosem.

– Zbudź no się!

– A idźże, Marianka, do jasnej cholery. – Obraca się na drugi bok.

– Wstawaj! – Nie przestaje go szarpać. – Czyś ty groby szabrował?

Tomaszek leniwie obraca ku niej głowę.

– Kto ci nagadał?

– A potem w zajęździe tańcował żeś z trupem?! – Ignoruje pytanie.

Brat podnosi się na łokciu.

– Tu wszystkie szabrują. Co w ziemi, to nasze. Niemce myślały, że takie cwane, skarby pochowają i nic z tego mieć nie bęździem.

– Grób okradłeś.

– Polskiego bym nie okradł.

– To grzech, ciężki grzech, Tomaszek.

Na twarzy chłopaka pojawia się osobliwy grymas – pogarda miesza się w nim z gniewem. Nigdy go takim Marianka nie widziała. Kim jest ten chłopak, który przed nią leży taki rozwalony, bezwstydney, bezczelny? Ogarniają ją przerażenie i rozpacz.

– Zobaczysz, wszystko ojcu powiem – wygraża bratu, czując, że dłużej nie zdoła powstrzymać łez.

– Ty, Marianka, cicho siedź – syczy do niej przez zaciśnięte zęby Tomaszek. – Nie bęździesz mi tu kazań prawić i gadać, co mam robić, bo ty nic do gadania nie masz. Chłopa nie masz i miała nie bęździesz. Kto cię taką popsutą zechce?

– Jak możesz? Co się z tobą dzieje, Tomaszek, na Boga!

– Rycz sobie głupia, rycz. – Uśmiecha się upiornie. – Ja tu kiedyś gospodarzem bęźdę. W tym domu. Jak ojciec pomrą. Tylko ja. Babę sobie zdrową wezmę i dzieci jej zmajstruję. W każdym kątku po dzieciątku. A ty co? Łono masz jałowe i na starość sama bęździesz, na moją łaskę i niełaskę do śmierci zdana. Tyle cię czeka. – Straszny, złym okiem wypala dziurę w jej sercu.

– Tomaszek...

– No! To teraz bądź dla mnie miła, żebym i ja w przyszłości dla ciebie miły był. A teraz won, bo zmęczony jestem i wypaść się muszę.

Teraz – Maria

Kiedy wjeżdżam do przygranicznego miasteczka, jest kwadrans po piętnastej. Spotkanie w bibliotece mam za czterdzieści pięć minut, jednak wolałam przyjechać wcześniej, żeby się nie spóźnić. Nie znoszę się spóźniać. Mijam brudne poniemieckie kamienice, w tle majaczy panorama gór. Wakacyjne popołudnie rozlewa się sennie po ulicach. Niewiele się tu zmieniło przez ostatnie ćwierć wieku, może tylko nawierzchnia jest mniej dziurawa i znikła większość prywatnych sklepików, bo pożarł je skrzydlaty dyskont, który rozsiadł się na głównym placu.

Zatrzymuję się na stacji benzynowej. Tankuję paliwo, kupuję kawę i znowu papierosy – wczoraj z nerwów wypaliłam całą paczkę – i dziesięć minut później siedzę na ławce w ogrodzie jordanowskim pod pałacykiem Kauffmanna, jednego z tutejszych przedwojennych fabrykantów, patrzę na zabandażowany palec, który nadal mnie nie boli, i dzieciaki szalejące na hulajnogach w skateparku. Szum samochodów sunących za parkanem miesza się ze śpiewem ptaków. Wypijam duszkiem pół kubka kawy, a potem otwieram paczkę fajek. Zapalam. To obrzydliwy nałóg, lecz dym mnie uspokaja, a teraz bardzo tego potrzebuję. Czuję, że w środku cała jestem napięta, żołądek mam ściśnięty w kamień. Zabandażowana ręka lekko drży. Spodziewałam się, że tak będzie, gdy tu wrócę. Moje ostatnie wspomnienie z miasteczka to wizyta na obskurnym komisariacie nieopodal i przesłuchanie, a to, w przeciwieństwie do nocy na Niczyjej, pamiętam, jakby się zdarzyło wczoraj.

Wciąż mam przed oczami widok matki, palącej papierosa za papierosem przy zakratowanym oknie na korytarzu, gdy mówi: to moja

wina, niepotrzebnie wysłałam cię do niej na wakacje, i o Boże, mój Boże, co ona ci znowu naopowiadała! nie powinna była, nawet jeśli część prawdy sama już odkryłaś, to nie dla dziecięcych uszu takie historie, było, minęło, gorzej, że mleko już się rozlało, ale trudno, kiedyś może zrozumiesz i postarasz się zapomnieć, jak i ja musiałam zrozumieć i zapomnieć, chociaż łatwo nie było, każda rodzina ma jakieś śmierdzące sekrety, a taka prawda zawsze człowieka boli, ale poboli, poboli i przestanie, wojna to wojna, straszna rzecz, już za nami, trzeba zapomnieć, nie bój się, Mania, Manusia, córeczko moja jedyna, teraz już będzie dobrze, zaraz będzie po wszystkim, no już, już, jestem przy tobie, nie pozwolę, żeby cię tutaj te psy do krwi pogryzły, powiedz im tylko, co wiesz, i wracamy do domu, pierwszym pekaesem, i zapomnimy o sprawie. Zobaczysz, będzie jak dawniej.

Obiecywała.

A jednak nic już nie było jak dawniej, a ja do dziś nie potrafię zapomnieć. I pamiętam jej umalowane na czerwono usta i sukienkę z głębokim dekoltem, i to, jak w ten dekolt pożądliwie zaglądały funkcjonariusze, łażący w tę i we w tę po korytarzu, żeby sobie na nas popatrzeć – zaginiona, szczęśliwie odnaleziona, a jaką mamusię ma laskę – i jak szepczą, jak cmokają między sobą.

Pamiętam, jak z pokoju przesłuchań wychodzi córka właścicieli pensjonatu, jak funkcjonariusz prowadzi ją gdzieś dalej, w głąb komisariatu, a ona w milczeniu odwraca się do mnie przez ramię. Nasze spojrzenia krzyżują się na sekundę, a w jej oczach jest strach, zakłopotanie, ból. Ale także ulga. Wtedy jeszcze tego nie wiem, ale już nigdy więcej się nie zobaczymy.

A potem do tego samego pokoju śledczy wprowadza mnie. W środku stare regały zapchane papierami w szarych teczkach, na podłodze linoleum, na ścianach lamperia z zielonej farby olejnej, pod sufitem

światłówka w plastikowej oprawie. Chciałabym, żeby tę rozmowę odbyła ze mną kobieta, pewnie byłoby łatwiej, ale na posterunku nie pracuje żadna, a moje chciejstwa nikogo nie interesują, więc jest, jak jest. Jest biurko, a na nim lampka jak z ubeckiej katowni, kawa plujka w szklance i komputer, który robi tu jedynie za rekwizyt. Policjant z wąsami zażółconymi od fajek nawet go nie włącza i z góry uprzedza, że z techniką jest na bakier, komputery, szmery, bajery, na co to komu, a zresztą i tak nie mają papieru do drukarki, więc moje zeznanie sporządzi odręcznie, a potem zostanie przepisane na maszynie i włączone do akt.

Krzesło naprzeciwko biurka jest twarde, niewygodnie mi, wiercę się, czuję zmęczenie, ten dzień trwa chyba z rok. Chcę do domu. Gliniarz grzebie w papierach, a potem zadaje te same pytania, które padły w radiowozie, gdy zwożono mnie z gór: dlaczego zniknęłam i ukrywałam się przez trzy dni, czy nie słyszałam nawoływań, czy pamiętam, co się wydarzyło na Niczyjej tamtego wieczoru, a potem jeszcze czy dużo wypiałam, kto wpadł na pomysł imprezy, kto w niej uczestniczył.

Odpowiadam, zgodnie z prawdą, że to córka właścicieli pensjonatu zorganizowała ognisko, że była muzyka, kiełbaski z patyka, przyszli chłopcy z obozu sportowego i wiele innych, nieznanymi mi osób. Jakieś dzieciaki z okolicy, jacyś obcy ludzie. I było głośno i wesoło i tańczyłam, i piłam – niech pan władza tylko nie wyda mnie mamie – a w którymś momencie, gdy już zrobiło się ciemno, chyba urwał mi się film. Obudziłam się dopiero wiele godzin później, zdezorientowana, w piwnicy na zboczu Niczyjej, nic nie pamiętając.

Policjant notuje, a potem wypija łyk kawy i na mnie patrzy. Długo i przenikliwie, jakby chciał mi wywiercić lodowatym spojrzeniem dziurę w głowie, jakby mi nie wierzył, aż wreszcie mówi, że większość uczestników zabawy została przesłuchana i właściwie policja prawie

wszystko wie, ale musi poznać także moją wersję, a zatem on pyta: co mnie łączyło z synem właścicieli pensjonatu, czy był moim chłopakiem, czy ja też brałam narkotyki, czy widziałam Niemców. Czy to oni mnie skrzywdzili, jeden czy obaj?! A może nikt mnie wcale nie skrzywdził, a te zadrapania i siniaki sama sobie zrobiłam.

Mój chłopak? Narkotyki? Nie pamiętam. Niemcy, jacy Niemcy? Napastnicy? Nie pamiętam! On nie był moim chłopakiem, tłumaczę, ale pies mówi, że jego siostra zeznała, że widziała, jak odchodziliśmy w stronę lasu razem.

Milczę. On dopija plujkę, fusy oklejają brzeg szklanki, wyjmuję paczkę cameli, zapala i wypala: czy byłam kiedyś w starej bielarni przy pensjonacie?

Nie pamiętam. Nie pamiętasz?! Byłam. I co tam widziałam? Świetliki. Świetliki?! Chyba ci się, dziewczyno, coś miesza? Chcę do domu. Płaczę. Zaciskam w dłoni odznakę w kształcie rombu. Trzęsę się z przerażenia, a on dalej: czy zamierzam zgłosić przestępstwo z artykułu sto dziewięćdziesiąt siedem Kodeksu karnego, ponieważ według artykułu dwieście pięć tegoż Kodeksu nie jest ono ścigane z urzędu, a na wniosek osoby poszkodowanej, więc jeżeli jestem poszkodowana i wniosek takowy składać zamierzam, to oni zawiozą mnie do szpitala, gdzie zostanie wykonana obdukcja, pobrane próbki krwi i moczu oraz wymaz z pochwy i oczywiście nie jest to przyjemne, ale potrzebne, takie są procedury...

Płaczę. Nie chcę składać żadnych wniosków i nie chcę wymazów! Chcę do domu. Gliniarz oddycha z ulgą. On też chce do domu. Trzy dni na służbie. Oka nie zmrużył, od tej kawy w końcu pikawa mu stanie – narobiłaś nam wszystkim niezłego bigosu, dziewczyno, ale najważniejsze, że się odnalazłaś. Cała i zdrowa. To zasługa i sukces policji!

Płaczę.

Wyjmuję z paczki kolejnego papierosa. Wkładam do ust, zapalam. Dym drapie mnie w gardło, ale zaciągam się raz za razem. Przecieram mokre oczy. Dopijam kawę. Przez korony drzew na moją twarz padają plamy słońca. Pryszczate chłopaczyska ze skateparku stojące nieopodal rampy szepczą sobie coś na ucho, aż w końcu jeden popycha drugiego w moją stronę.

– Obstawia pani? – pyta, zatrzymując się przy ławce.

Wydmuchuję dym i spoglądam na niego. Ma może z szesnaście lat.

– Mama wie, że palisz? – pytam, chociaż nie zamierzam go umoralniać.

Dzieciak się uśmiecha. Z piegowatego nosa złazi skóra. Wygląda na takiego, co to nie tylko smak papierosów już poznał. Wyjmuję paczkę z torebki.

– Dla kumpla też mogę?

– Bierz. – Podaję mu dwa papierosy.

Chowa je do kieszeni szortów.

– Dzięki – rzuca i już zamierza odejść, gdy nagle się zatrzymuje.

– Coś jeszcze? – pytam.

– To pani! – cieszy się.

– Słucham?

– To pani jest tą pisarką.

Widocznie dostrzega moją konsternację, bo wyjaśnia:

– Jest pani na plakatach z biblioteki. Wiszą w całym mieście.

– Jasna cholera! – Spoglądam na zegarek. Straciłam rachubę czasu. Za trzy minuty spotkanie.

Zrywam się z ławki, gaszę niedopałek butem, wciskając go w żwir alejki, i biegnę w stronę bramy. Za plecami słyszę śmiech dzieciaka.

Na szczęście biblioteka znajduje się bardzo blisko, naprzeciwko ogrodu jordanowskiego, po drugiej stronie ulicy – sprawdziłam to wcześniej. Przebiegam przez jezdnię i już z daleka widzę duży plakat wiszący przy wejściu, informujący o spotkaniu autorskim. Nad drzwiami wejściowymi pod półkolistym okapem widnieje psychodeliczna płaskorzeźba słońca o smutnych oczach i zaciśniętych wargach. Wytarty napis głosi, że kiedyś mieścił się tu *Gasthaus zur Sonne* – kolejny artefakt zapomnianej przeszłości. Jestem już na progu, gdy w torebce dzwoni telefon.

Wyjmuję go, patrzę na wyświetlacz. Odbieram.

– Kuba, nie mogę teraz rozmawiać – wyrzucam w zadyszce.

– Daj mi dosłownie minutę.

– Mam spotkanie w bibliotece – tłumaczę. – Właśnie stoję w drzwiach.

– Marysiu – Jakub nie daje się zbyć – próbowałem znaleźć w bibliotekach cyfrowych skany artykułów, o których wspominała tamta babka na spotkaniu w Wałbrzychu, ale numerów z końca lat dziewięćdziesiątych nigdy nie digitalizowano, w ogólnodostępnych archiwach też nic się nie zachowało. Mam jednak we wrocławskim oddziale naszej gazety znajomego dziennikarza śledczego i poprosiłem go o pomoc. Obiecał poszukać akt tamtej sprawy.

Milczę. Patrzę na słońce o smutnych oczach.

– Jakub... Ja chyba nie chcę tego rozgrzebywać.

- Marysiu – przerywa mi. – Musisz to wreszcie zakończyć.
- Proszę cię, nie wiem, czy jestem gotowa.
- A jak palec? Goi się? – pyta nagle.
- Tak sobie – przyznaję.
- Czujesz coś? Ból?
- Nic.
- No to sama widzisz.

Dawno – Mareike

Vati i Mareike nadal zajmują pokoje na piętrze, tamta sypia na kanapie w gabinecie, a jej ojciec i brat, za każdym razem dziwiący się, że z kranu płynie bieżąca woda, zaglądający w porcelanę sedesu, jakby to był niepojęty cud techniki, i dla zabawy włączający i wyłączający światło, zajęli jadalnię.

Mareike ich nienawidzi. Tego, że chodzą po jej domu, jakby byli u siebie, zaglądają w każdy kąt, przestawiają meble. Że ta polska dziewczucha, chyba kilka lat od Mareike starsza, na którą jej ojciec i brat wołają Marianka, zachowuje się, jak gdyby to ona tu była gospodynią: krząta się bez przerwy po kuchni, gotuje w garnkach Mareike – pięknych miedzianych, jeszcze do matki *Omy* Ursuli należących – i panoszy w ogródku, w przedzalni na strychu, i korzysta z jej przyborów w łazience, ze srebrnej szczotki do włosów po matce! i ciągle zaczepia Mareike, i coś od niej chce, i mówi, mówi, mówi, szybko i głośno, gadaniem tym nieznośną swą obecność manifestując.

Mareike nie potrafi znieść ich obecności – i tego, że już wszędzie, na ulicy, w sklepie, we młynie, słyhać język przypominający brzęczenie pszczoł, że Hippe's nie jest już Gasthausem, Wüstewaltersdorf kilka dni temu przemianowano na Łokietek, a Rudolfswaldau nadano nazwę niemożliwą do wymówienia dla rodowitych mieszkańców: Modrzewki. Czymże, u diabła, są owe Modrzewki?

Vati mówi, że nie ma innej rady, że trzeba zacisnąć zęby i traktować Polaków jak tymczasowych, nieproszonych gości – z rezerwą, ale bez wrogości. Ich, gospodarzy tej górskiej doliny, nikt stąd nie przepędzi, są tutaj u siebie: ojciec ma pracę w fabryce, dającą im gwarancję

nietykalności, ten dom, w który wrosli przez pokolenia, i antenatów na pobliskim cmentarzu.

A groby Polaków są gdzie indziej i na pewno oni też tęsknią za swoim Heimatem. Niedługo pójdą, skąd przyszli, na Wschód, bo każdy człowiek ma własne miejsce na ziemi, historię, korzenie, zwyczaje. Tak pokazuje historia i stanowi prawo: ludzkie i boskie. Nie może zasiąść przy stoliku w Poczdamie czy Jałcie trzech polityków – co to sobie roją, że są ważniejsi od Boga – i niby pionki na mapie, z jednego końca na drugi, przestawić całe narody. To niedorzeczne! Tego świat, jak istnieje, nie widział.

I chociaż im tu teraz źle, to i Polaków także ktoś z ich domów wygonił, a Mareike przecież poznała, czym takie wypędzenie smakuje. I przecież nie wszyscy są do Niemców nastawieni wrogo. Ta żona człowieka z zajazdu na przykład, co im na drogę pieniądze wcisnęła. Nie musiała, a jednak zdobyła się na miłosierny gest, gdy zaś ojciec po powrocie poszedł do niej, żeby złotówki zwrócić, nie chciała ich przyjąć, a zamiast tego przy barze piwa mu jeszcze naląła i bardzo przy tym była uprzejma, i nawet coś po niemiecku próbowała zagajać.

Taki to niepojęty czas, ale on minie, bo wszystko kiedyś mija, jak uważa *Vati*. Po lasach podobno wciąż niedobitki wojsk niemieckich się skryją, nawet czasem wystrzały nocą słyhać i przyjdzie dzień, kiedy z tych lasów chłopcy ich wyjdą i odbiorą, co do Niemców należy. Do tego czasu niech Mareike stara się swej niechęci zbyt ostentacyjnie obcym nie okazywać i po prostu w drogę im nie wchodzi i jak powietrze traktuje.

Mareike naprawdę bardzo się stara.

Ze starym najmniejszy jest problem. Zwykle go w domu nie ma, bo albo całymi dniami siedzi w stodole, ogląda narzędzia, albo łązi osowiały po polach i łąkach, kamienie na miedzach układa i trawę kosi,

jakby tam, wśród zieleni i ciszy, szukał sensu swego obecnego położenia. Wieczorami zaś przesiaduje w zajeździe, w towarzystwie innych Polaków, a gdy wraca lekko podpity, od razu kładzie się spać.

Z jego córką jest gorzej – bo tylko siedzi w domu i gada, gada, gada, łązi za Mareike, nawet na poddasze, gdy ta zasiada przed kołowrotkiem, żeby zebrać myśli – jednak najbardziej irytuje ją i wzbudza w niej niepokój obecność tego młodego.

Tomas mu na imię, czy raczej Tomasz, z polskim szelestem na końcu. Chłopaczysko osiemnastoletnie na oko. W mowie, ruchach, obejściu pozbawione szlachetności wszelakiej. Z wyglądu zaś, jak siostra, niskie, krzepkie i smagłe na gębie, o oczach ciemnych, świdrujących i włosach w odcieniu lnianego paździerza. Dziwny typ. Całymi dniami nic nie robi, tylko węszy po kątach, zagląda, zagląda, jakby garnka ze złotem szukał. Ale gospodarstwem samym w sobie, w przeciwieństwie do ojca, nie interesuje się wcale. Zdaje się, że nie najlepsze relacje między nimi panują, bo czasem słyhać nocami, jak go stary beszta, jak się kłóć zawzięcie.

Mareike podskórnie czuje strach wobec chłopaka, szczególnie że gdy tylko pojawia się w pobliżu, zaczyna jak cień za nią podążać. I przygląda się dziwnie. I wwierca się w Mareike spojrzeniem tak, że aż dreszcze jej przechodzą po plecach.

Jak tego dnia pod koniec lata, gdy sierpniowe słońce wysoko już wisi na niebie, taka scena powtarza się znowu. On dopiero wstał – nie wiadomo, co robi całymi nocami, zwykle wraca przed pierwszym kogutem, a rankami odsypia – a Mareike właśnie rozwiesza pranie przy domu. Tomaszek zjadł śniadanie, które podała mu siostra, a teraz wychodzi przed dom i rozsiada się jak basza na schodach. Wyjmuje papierosa, zapala i patrzy na Mareike z lepkiem, nieprzyjemnym uśmiechem. Pali i pogwizduje, i oblizuje usta. Obserwuje każdy jej ruch:

gdy ta się nachyla nad balią z mokrą bielizną i gdy unosi ręce, by przypiąć spinaczami prześcieradła do sznura. Wiedzie wzrokiem po jej szyi, ramionach, dekolcie, po wszystkich krągłościach ciała, jakby próbował przeniknąć ubranie.

Mareike zastanawia się, czy gdy tak patrzy, to się domyśla. Bo *Vati* się nie domyśla, a nawet jeżeli, to nigdy nie poruszył tematu. A to już czwarty miesiąc. Niby nic jeszcze po Mareike nie widać. Brzuch wciąż ma niemal płaski, ale w twarzy pojawił się jakiś szczególny blask, który każdego ranka dostrzega w lustrze, widzi go i czuje do siebie wstręt. Do tego piersi stały nieco pełniejsze i bardziej tkliwe, zaokrągliły się biodra. Nie jest już Mareike płaską, chudą tyczką. Cięża dodaje jej urody, a przecież powinna być brzydka, cała w strupach i parchach, odrażająca jak tamte czarne godziny na strychu, które wymazała z pamięci. Powinna już nie żyć. Tymczasem promienieje, jak słońce, rozkwita życiem niechcianym.

Chociaż ani trochę o siebie nie dba. Ubiera się byle jak, chodzi potargana i nie oszczędza się przy pracach w obejściu. Haruje jak wół, ponad siły, sprząta dom i bez przerwy na kolanach szoruje podłogi, łazienkę. Je byle co, a zamiast się wysypiać, całymi nocami wpatruje w milczące góry – byleby tylko ten pasożyt w niej zdechł, szczeł, przestał istnieć, zniknął, by się nie narodził!

Na początku skakała nawet ze schodów, z drabiny, okładała się pięściami po brzuchu i piła zioła, które poleciła jej matka Anniki, ale wszystko na darmo. Z każdym dniem coraz piękniejsza i pełniejsza się staje.

Ojciec tego nie widzi, albo widzieć nie chce, a tamten na schodach i owszem. I wlepia w nią złe ślepie. Obleśny typ. Bezczelnie obmacuje ją wzrokiem.

Mareike kończy pracę, zabiera balię pod pachę i rusza w stronę wejścia. Wchodzi na schody. Tomaszek, rozwalony na środku, ani drgnie. Pali i dym wydmuchuje wprost na nią. Mareike próbuje go obejść z lewej strony, to i on przesuwa się w lewo. Próbuje z prawej, on natychmiast powtarza swój manewr.

Wreszcie po chwili takich uników udaje jej się zrobić krok w stronę drzwi, a wtedy on chwyta ją za brzeg letniej sukienki. Przyciąga do siebie, zagląda jej w oczy. Mareike chwyta się murowanej balustrady, żeby zachować dystans i na niego nie upaść.

– *Lass mich in Ruhe!*²⁷ – rzuca z pogardą w stronę chłopaka i wreszcie mu się wyrywa. Wpada w drzwi, a gdy je zatrzaskuje, słyszy za plecami jego diabelski rechot.

– Ty kurwo hitlerowska – prycha pod nosem Tomasz, oglądając się za nią – tu teraz wszystko jest moje i jak zechcę, to i ty moja będziesz! Zobaczysz. Poczekam ja tylko sobie, aż to ścierwo z brzucha wyrzucisz.

²⁷ (niem.) Zostaw mnie w spokoju.

Noc Mokosz

Wtedy – Mania

Zbliżam się do Eldorado, kiedy zauważam, jak Hubert wyłania się zza zakrętu drogi naprzeciwko. Idzie ze wzrokiem wbitym w asfalt i opuszczoną głową. Ręce jak zwykle trzyma w kieszeniach, ciemne włosy opadają mu na twarz. Nie chcę się z nim spotkać. I jednocześnie chcę, choć podskórnie się tego obawiam. Nie widzieliśmy się od tamtej chwili przy cmentarzu i nie wiem, jak mam się wobec niego zachowywać, co powiedzieć. Czy to, co zaszło między nami, cokolwiek znaczy? Czy cokolwiek znaczy dla niego?

Przyspieszam kroku, aby czym prędzej znaleźć się na posesji Wasylków. W świetlicy pensjonatu czeka już na mnie Dominika – w to deszczowe popołudnie mamy oglądać z chłopakami film z wypożyczalni. Widziałam *Jerry'ego Maguire'a* dwa lata temu w kinie, ale od biedy mogę zobaczyć drugi raz.

Z nadzieją, że Hubert mnie nie zauważył, szybko przechodzę przez mostek i mijam staw. Dopiero pół godziny temu przestało lać, więc na zwirowym podejździe tu i ówdzie błyszczą oka kałuż. Kluczę między nimi, co wydłuża mi drogę do wejścia. Wokoło panuje cisza. Nikogo nie ma na boisku. Szary dzień skłania do siedzenia pod dachem.

– Mania! – słyszę wołanie Huberta za plecami. – Zaczekaj!

Trafiony, zatopiony. „To nie jest chłopak dla ciebie” – po głowie trzepoczą mi słowa Dominiki, skrzydła spłoszonych ptaków. Zatrzymuję się i powoli obracam w jego stronę. Patrzę, jak energicznie pokonuje dzielącą nas odległość. Dopiero gdy zatrzymuje się przede mną,

dostrzegam, że jest kompletnie przemoczony. Może szedł na piechotę z miasta? Odgarnia mokre włosy z twarzy i wsuwa je za ucho, patrzy na mnie.

Topię się w zimnym błękicie.

– Przyszłam na film – dukam zmieszana, chociaż o nic nie pyta. – *Jerry Maguire...*

Hubert przechyla głowę, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Daj spokój. To *shit*. Mam coś lepszego. Chodź.

Rusza z miejsca, ja się waham.

– No chodź. – Uśmiecha się.

Więc idę za nim – ćma lecąca w ogień. Kierujemy się w stronę bielarni osłoniętej krzakami, mijamy spichlerz i przechodzimy przez trawnik. Tyle razy zastanawiałam się, co Hubert tam robi, i wyobrażałam sobie niestworzone rzeczy, a teraz zajrzę do jego tajemnej jaskini, zaspokoję ciekawość.

Hubert wyciąga klucz z kieszeni szortów i otwiera drzwi, wpuszcza mnie przodem i sam także wchodzi. Potem dokładnie zamyka zasuwę. W małych okienkach wiszą zasłony, przez co do środka dostaje się niewiele światła, króluje miękki półmrok. Kotarą oddzielono także część pomieszczenia, która znajduje się w głębi – to tam sinobrody skrywa tajemnice? – ale wewnątrz bielarni, które widzę, przypomina zwykły pokój. Dziwnie tu pachnie, czymś duszącym i mdłym, mimo że wokół jest bardzo czysto i panuje idealny porządek. Stare deski na podłodze są wyszorowane, ceglane ściany pomalowano na biało. Pod oknem ustawiono biurko, na nim komputer. Po przeciwnej stronie szafa, regały z książkami, mała komódka z wieżą CD, a obok przykryte narzutą łóżko, nad którym wisi – a jakże – poster z *Miasteczka Twin Peaks*; szosa przecięta żółtą linią, jak na zagubionych amerykańskich autostradach,

przy niej witacz, w oddali las i bliźniacze szczyty spowite chmurami podobnymi do tych, które dziś płyną nad Górami Sowimi.

Hubert odkłada na bok plecak, zdejmując przez głowę mokrą bluzę, a potem koszulkę i z gołym torsem przechodzi do szafy, skąd wyjmując suche ubrania. Udając, że przeglądam grzbiety książek na półce, ukradkiem zerkam na niego. Jest naprawdę bardzo szczupły – trudno uwierzyć, że jako nastolatek był przy kości – brzuch ma zupełnie płaski, od pępka w dół schodzi linia włosów, pod skórą na przedramionach wyraźnie rysują się ścięgna i żyły.

Wkłada świeży T-shirt i łapie moje spojrzenie, wie, że mnie zawstydzą, znowu się uśmiecha, podchodzi, chwytając mnie mocno za rękę.

– Pokażę ci coś. Na pewno jesteś ciekawa, co tam jest.

Prowadzi w stronę kotary i jednym ruchem ją odsłania. W tej części budynku nie ma okien, więc jest niemal ciemno. Zapala światło, świetlówka cicho brzęczy. Nie wiem, co spodziewałam się zobaczyć. Tańczące karły mówiące od tyłu, czerwone welwetowe zasłony, czarno-białe zygzaki na podłodze i martwe dziewczyny o sinych ustach? Zamiast tego w głębi pomieszczenia znajduje się coś, co przypomina pracownię chemiczną. I to chyba niezgorzej wyposażoną, chociaż to tylko moje przypuszczenie, bo ani trochę się na tym nie znam. Nie jest tu na pewno tak porządnie jak w części mieszkalnej i jeszcze intensywniej pachnie tym mdławym czymś. Pod ścianami umieszczono metalowe szafy, przy nich różne pojemniki, wiadra, beczki, obok ustawiono stoły, na blatach zalegają, znane mi ze szkoły: kolby, zlewki, płytki Petriego, pipety, próbówki i mnóstwo innego sprzętu, którego w życiu nie widziałam i nie mam pojęcia o jego przeznaczeniu. Na ścianie wisi zielona szkolna tablica. Wyrysowane kredą wzory nieznanymi mi substancji przypominają plastry miodu.

– Jesteś pierwszą osobą, której pozwoliłem tu wejść – mówi Hubert, puszczając moją rękę i podchodząc do stołu.

– Skąd masz to wszystko?

– Kupiłem – odpowiada beztrąsko, jakby posiadanie laboratorium było najbardziej oczywistą rzeczą na świecie i każdy miał podobne u siebie w domu.

– Ale po co?

– Jak to po co? – Przeciąga dłonią po wcięciu kolby z taką czułością, jakby to było kobiece ciało, zagłębienie w talii, przesuwa palcami po szklanym biodrze. – Chemia jest fascynująca. Piękna, chociaż bywa niebezpieczna. Dotyka absolutu: wszystko z niej wynika i w niej się zawiera... Usiądź. – Podsuwa mi wysoki stółek. – Coś ci pokażę.

Sadowię się na twardym zydlu, Hubert tymczasem chwytając jedną z zamkniętych fiolek, które stoją na blacie, i wlewa jej zawartość do największej z kolb. W nos uderza mnie zapach amoniaku.

– Wiem, śmierdzi, ale roztwór musi odparować i wypełnić naczynie – rzuca do mnie przez ramię, kołysząc kolbą.

Ze słoika dobywa trochę białego proszku i wsypuje go do mniejszej z kolb, połączonej z tą pierwszą gumową rurką. W środku znajduje się bezbarwna ciecz, która w chwili, gdy proszek się z nią miesza, zmienia barwę na żółtą.

Hubert zapala palnik i nad jego płomieniem podgrzewa na łyżce coś, co przypomina zielony piasek.

– A teraz uważaj – zwraca się do mnie, równocześnie gasząc światło.

Irytujące brzęczenie świetlóówki cichnie. Wokół nas zapada mrok. Słyszę, jak Hubert coś wsypuje do większej z kolb, a wtedy w jej szklanym brzuchu zaczynają rozbłyskać drobiny ciepłego światła.

Migoczą złotem, rozpadając się na jeszcze mniejsze cząstki. Wirują jak kurz wzbity na drodze przez wiatr i tańczą w ciemności.

– Ależ to piękne – mówię, nie mogąc oderwać oczu od niezwykłego zjawiska. – Wyglądają jak świetliki.

Hubert odwraca do mnie twarz.

– To mechanizm katalitycznego utleniania amoniaku. Nie jest do końca wyjaśniony – tłumaczy – ale rzeczywiście wygląda fascynująco.

Drobiny zaczynają się wypalać, więc żeby lepiej widzieć, podnoszę się ze stołka i staję obok Huberta. Przybliżam twarz do ścianki kolby.

I czuję jego dłoń na szyi. Wsuwa mi palce pod włosy. Przechodzi mnie dreszcz.

– Dominika zamierza w sobotę zrobić imprezę na Niczyjej, słyszałaś? – mruczy mi do ucha. – Pod szczytem, tam gdzie można rozpalić ognisko.

– Wspominała. – Podniecenie knebluje mi usta, ledwie mogę mówić.

– Przyjdiesz?

W kolbie umierają ostatnie świetliki. Znowu pochłania nas mrok, a on całuje mój kark, wkłada dłoń pod koszulkę, przesuwa po plecach. Czuję ten dotyk każdym zakończeniem nerwowym, czuję, jak wpadamy z Hubertem w siebie. Ja w niego jak mucha w pajęczą sieć.

Dawno – Marianka

Marianka wychodzi przed dom i z niechęcią spogląda na pofałdowany krajobraz. Z jej ust dobywa się obłok pary, mróz szczypie w policzki. U nich we wsi z początkiem listopada bywało jeszcze ciepło, jeszcze zdarzały się słoneczne dni, a świat płonął kolorami. Pory roku przepływały łagodnie, jedna w drugą, a tu, w tej wrogiej dolinie, ledwie z ostatnich liści uszło życie, a przyszła zima. Nagle i bez uprzedzenia. Chłód każdą szczeliną wślizguje się do domu na wzgórze i ile by człowiek do pieca nie dorzucił, mury ciągle zimne. Szron pokrył dachy i skuł na beton błoto na podwórku. Ziemia skrzypi złowieszczo przy każdym kroku.

Marianka ciasniej owija się ciepłą chustą, okrąża dom, mija uśpiony ogród i staw pokryty nabłonkiem wodnej roślinności skrzepłym w lód. Kieruje się przez łąki, na przełaj, w stronę szczytu, co go Fryce zwał Kopą Neumannów. Według Marianki góra nie powinna do człowieka należeć – jak chałupa, stodoła, koń czy kura – góra może być tylko Boga albo niczyja.

Pierwszy raz Marianka zapuszcza się tak daleko od domu i wioski. Wcześniej nie miała czasu. W gospodarstwie przez całe lato miała multum roboty: trza było przerobić owoce, zamarynować warzywa, ale dzięki temu nie będzie już nigdy głodna, nie będzie musiała więcej trawy jeść. No i odwagi też Marianne dotąd brakowało. Wciąż nie oswoiła tego miejsca, a ludzie wzajemnie się ostrzegają, że po lasach kryją się niemieckie zbójce, które tylko patrzą, żeby Polaków wyłapać i w pień wytłuc.

Boi się Marianka szkopów, ale idzie. To ważny dzień – Zaduszki – i dziś chciałaby choć na chwilę znaleźć się bliżej nieba. Tam teraz wszystkie one: Stach, Wacuś, Rozalka, matula, babulka.

Z dołu kopa wyglądała niepozornie, a jednak z każdym krokiem Marianka zaczyna się coraz bardziej pocić. Zatrzymuje się, luzuje chustkę, rozpina waciak. Człowiek całe życie po płaskim chodził, to i nie nawykł do takich wędrówek. Góry to siedlisko demonów – tak małej Mariance prawiała babulka Sabina, świeć Panie nad jej duszą, która o świecie rzeczywistym i pozazmysłowym: o Mokosz, babulach, dziwożonach i strzygach wiedziała wszystko, chociaż nosa poza wioskę nie wychyliła i nigdy żadnej góry na własne oczy nie widziała. Marianka nosi w sobie babcine legendy i góry traktuje z respektem, a mimo to, patrząc z wysokości na dom i wieś, na kolejne pasma górskie wyrzuszające się na widnokręgu, zaczyna doceniać ich surową urodę.

Wilgotny wiatr głaszcze ją po twarzy. Dolinę pochwytyją w objęcia mgła i mrok. Tam, gdzie znajduje się cmentarz ewangelicki, między drzewami, migają światełka, które Niemce zapalili wczoraj na grobach swoich bliskich – Mariankę przeszywa ostrze smutku: ona już nigdy nie zapali świeczki na rodzinnych mogiłach.

Wdrapuje się jeszcze wyżej i wyżej. Zbiera przemarzłe pióropusze traw i resztki pordzewiałych polnych kwiatków, a wreszcie siada na gołej ziemi, skąd rozciąga się widok na lasy i łąki mające w dole. Chłód przenika jej ciało, do oczu napływają łzy. Wbija Marianka palce w ziemię, wyszarpuje zmarznięte grudki i usypuje z nich kopczyki: jeden dla Stacha, jeden dla Wacusia, dla Rozalki, dla matulki, dla babulki... Palce ma już zgrabiałe, pod paznokcie wbiła się gliniasta ziemia. Marianka przeciera spoconą twarz i patrzy na kopczyki. Chciałaby tych, których już nie ma, pamiętać żywymi, pamiętać tylko to, co dobre, a jednak, gdy przymyka powieki, napływają pod nie obrazy pełne ognia i grozy.

W obrazach tych, wciąż żywych, są chałupa i syk ognia, i nocne walenie do drzwi. Świst siekier.

Matula uważała, że powinni całą rodziną skryć się w lesie na bagnach, jak pozostali z ich wioski, że tam będą bezpieczni. Ale nikt jej nie słuchał. Baby tak zawsze: wszystkiego się boją. Tatuś i Stach mówili, że nic złego we własnym domu ich spotkać nie może, bo jakże to, nie będzie przecież sąsiad sąsiada mordował.

Układa Marianka na kopczykach bukieciki z traw, a w uszach słyszy świst siekiery i krzyk babulki i Stacha. Płacz Wacusia. I szalony śmiech tamtych, gdy jego roczne ciało nabijają na sztachetę płotu, gdy głowy Stacha i babulki toczą się po podwórku, a Tomaszek z ojcem i matulką, obici kijami do nieprzytomności, wiją się z bólu w ciemności rozpalonej ogniem. Słyszy śmiech tamtych, gdy zrywają z niej sukienkę i widzą brzemienny brzuch i gdy trzymają ją przy ziemi, sześciu ich. Ona błaga o litość, a oni rechoczą, drwią, że ubijają, jeden po drugim, bachora w jej łonie. Jeżeli Marianka jakimś cudem przeżyje, nigdy więcej żadnego poliusa nie spłodzi.

Przywiera ciałem do kopczyków i wtula twarz w ziemię. Mrok głaszczuje ją miękko po plecach. Dlaczego los tak z niej zakpił, dlaczego musiała przeżyć, choć nie przeżyła Rozalka w jej brzuchu; przyszła na świat martwa, kilka godzin później – i o wiele tygodni za wcześniej – gdy pogorzeliśko w ich wiosce dogasło, a tatuś z matulką i Tomaszkiem przeciągnęli splugawione i rozdarte ciało Marianki w las na bagna.

– Dlaczego ja żyję, Mokosz? – szepcze w ziemne ucho śpiącej łąki. – Dlaczego przywiodłaś mnie tutaj?

Dlaczego Marianka do cna się nie wykrwawiła tamtej nocy, a jej ciało, tygodniami potem trawione gorączką, osłabione zimnem bagiennego lasu i głodem, przetrwało? Po co Marianka żyje, chociaż nie żyją jej dzieci i Stach, a wszystko, co kochała, bezpowrotnie straciła?

Straciła nawet nazwisko, które z taką radością i dumą nosiła po ślubie, bo kiedy tatuś wypełniali papiery, kwitując glejt na ich nowe życie, podał ją jako Potejkównę, uznając pewnie, w swej prostoduszności, że dzięki temu córka szybciej zapomni o syku ognia i śmiechu oprawców, o widoku martwej córeczki, o głowach na podwórzu i synku na płocie.

Ale nie zapomniała. Ile razy by Marianka powiekami nie mrugnęła, oni tam są, pod spodem, jak ziarenko piasku. Ich płacz i krzyk.

– Dlaczego ja żyję, Mokosz? – Wyje jak zranione zwierzę. – Co moje życie warte? Czemu tak się pastwisz nade mną i patrzeć każesz, jak tej Niemce brzuch rośnie, kiedy mój już zawsze pozostanie pusty? – Zaciska palce na grudkach ziemi, na suchych trawach. – Martwa jestem w środku, a jednak serce wciąż bije. I na co to wszystko, Mokosz? Po coś do tego właśnie domu mnie przywiodła, na koniec świata, gdzie tatuś usycha z tęsknoty za spaloną ziemią, a Tomaszek gnije od środka i złe rzeczy robi i złym okiem patrzy na tę Niemrę przeklętą. Boję się, Mokosz. Tomaszka się boję i tego, co on w swym szaleństwie jeszcze uczynić może. Pomóż mi, Mokosz, daj znak, jak mam żyć i co czynić...

Maria – Teraz

Nie mogę odkładać w nieskończoność wizyty w domu na wzgórzu, wysłałam nawet wiadomość do najemcy, że dzisiaj przyjdę, dlatego gdy wracam ze spotkania w bibliotece, biorę szybki prysznic, przebieram się w świeże ubrania i ruszam piechotą w stronę wioski.

Kiedy docieram do asfaltu i opuszczonego zajazdu stojącego na rogu, ostatnie promienie słońca układają się miękko w dolinie. Mijam przystanek autobusowy, teraz szklany, dawniej murowany, i przypominam sobie, jak przed laty, obładowane torbami czekałyśmy tu razem z matką na pekaes. Miałyśmy stąd wyjechać i już nigdy nie wracać – nigdy nie wracać do tego, co się wydarzyło.

I to się w zasadzie udało. Obie z dużym zaangażowaniem udawałyśmy, że wszystko jest po staremu, chociaż nic nie było jak dawniej. Odsuwałyśmy się od siebie, ukrywałyśmy za milczeniem jak w skorupie. Może dlatego tak niewiele zostało mi wspomnień z tamtego roku – jak miało się okazać: ostatniego, który spędziłyśmy razem. Ja całkowicie poświęciłam się przygotowaniom do matury, by dostać się na wymarzone studia i uciec z Wrocławia, ona oddała się wypłukiwaniu wspomnień; chyba dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że prawda ją przerasta, że nigdy sobie z nią nie poradziła. I że to się już nie zmieni.

Pamiętam pewną sytuację, która zdarzyła się tuż przed egzaminami. Zawsze nosiłam przy sobie klucz do naszego mieszkania, ale tamtego dnia, przez roztargnienie albo ze zmęczenia, bo znowu całą noc zarwałam na naukę, zapomniałam go zabrać. Wyszłam do szkoły, gdy matka jeszcze szykowała się do pracy. Wróciłam do domu po lekcjach i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że nie mam jak otworzyć drzwi.

Niespecjalnie się zmartwiłam, po prostu musiałam poczekać, aż wróci matka.

Było pewnie około piętnastej, ona kończyła robotę o szesnastej. Usiadłam na schodach i zaczęłam się uczyć. Czas płynął. Minęła siedemnasta. Matka powinna była już dotrzeć do domu. Z nadzieją nasłuchiwałam odgłosu jej obcasów na klatce. Do mieszkań wracali kolejni sąsiedzi. Na dworze zaczęło się ściemniać. Nadszedł wieczór. Jej wciąż nie było, a ja zaczynałam się martwić. A jeżeli coś jej się stało? Nagle zachorowała w pracy albo wpadła pod tramwaj? Nie miałam wtedy jeszcze komórki, by zadzwonić do biura, w którym pracowała po rozstaniu z Romanem. Nie chciałam też iść jej szukać, żebyśmy się nie minęły.

Sąsiadka z naprzeciwka wyjrzała przez szparę w uchylonych drzwiach i zapytała, dlaczego siedzę na schodach. Przyznałam, że nie mam kluczy, a mama jeszcze nie wróciła z pracy. Zaproponowała, żebym weszła do niej i poczekała w środku, ale odmówiłam.

Upłynęła kolejna godzina i następna. Sąsiadka znowu wychyliła się na klatkę, ponawiając propozycję. Było mi wstyd za matkę, więc odmówiłam, tłumacząc, że pewnie zatrzymało ją coś ważnego, ale na pewno zaraz się zjawi, bo niedługo noc. Sąsiadka tylko pokiwała głową, schowała się w mieszkaniu, a potem bez słowa wyniosła mi talerz z kanapkami na kolację.

Było już naprawdę późno. Chciało mi się siku i spać, ogarniało mnie coraz większe zmęczenie, strach i złość. Mogłam oczywiście pójść do ojca, mieszkał na Grabiszynie, po drugiej stronie miasta, ale nie lubiłam jego obecnej żony i dwóch rozwrzeszczanych córek. No i nie chciałam znowu słuchać, jaka to Ulka jest nieodpowiedzialna, jak mu zmarnowała życie i że nie umie się mną zajmować, a w każdym innym, normalnym kraju w ogóle nie dostałaby nade mną opieki.

Nie mogłam też zostać dłużej na schodach, bo sąsiadka na pewno podglądała mnie przez wizjer, toteż postanowiłam poczekać w piwnicy. Bałam się tam chodzić. Męty z okolicy czasami piły na dole wódkę, a korytarzami wędrowały szczury, ale nie widziałam innego wyjścia. Zrobiłam siku w kącie, a potem położyłam się w jednym z otwartych boksów na betonie, pod głowę wsunęłam plecak. Nie pamiętam, czy chociaż na chwilę zmrużyłam oko. Nie wiem, czy bardziej byłam na matkę zła, czy się o nią martwiłam. Była, jaka była, ale nigdy wcześniej nie wywinęła takiego numeru.

Gdy nastał ranek, odczekałam, aż większość sąsiadów wyjdzie do pracy i blok opustoszeje. Dopiero wtedy wróciłam pod drzwi naszego mieszkania. Nie poszłam do szkoły. Ktoś mógłby się zorientować, że coś jest u mnie nie tak.

Matka przyszła po południu. Lekko zawiana i śmierdząca fajkami, wtoczyła się po schodach. Zdziwiła się, że siedzę na klatce. Przyznałam, że zapomniałam klucza, na co ona odrzekła: „aha”, jakby nie łączyła kropek i nie miała świadomości, że przecież ostatnio widziała mnie wczoraj nad ranem, więc muszę tu siedzieć od przeszło doby. Weszłyśmy do środka. Wyglądała okropnie. Podałam jej tabletkę na ból głowy, pomogłam się rozebrać i położyłam do łóżka.

Dotarło do niej, co się stało, dopiero gdy przetrzeźwiała. Płakała, prosiła, bym jej wybaczyła, obiecywała, że to się więcej nie powtórzy, że teraz będzie najlepszą matką na świecie – jej stały repertuar. Ale mnie wtedy było już kompletnie wszystko jedno. Wiedziałam, że zaraz zacznę inne życie, z dala od niej i wspomnień, z którymi obie nie umiałyśmy się uporać.

Ona nie uporała się z nimi do końca.

Mijam zarośniętą krzakami remizę – dawniej wydawała mi się większa – a także dom, który przed laty stał pusty, a teraz chyba znowu

ktoś w nim mieszka, bo na podwórku stoi samochód. Spoglądam na martwy, zdziczały sad na tyłach. Dziwię się, że nikt do tej pory nie wyciął skarłałych drzew.

Rozglądając się po okolicy, doznaję osobliwego *déjà vu* – niby wszystko zostało po starym, ale nic nie jest takie, jak zapamiętałam. Wydaje mi się mniej spatynowane i mroczne. Jakbym cofała się w czasie, a jednak ktoś podkolorował przeszłość.

Zza zakrętu wyłania się kościół otoczony kamiennym murkiem. Pod nim rozciąga się niewielki cmentarz. Opisałam to miejsce w książce, jest dla mnie ważne z wielu powodów, więc kusi mnie teraz, żeby wejść do środka i zobaczyć, czy jeszcze odnajdę tamten grób, lecz ostatecznie tego nie robię.

Skrećam w prawo, w boczną drogę, przy której stoi tablica informacyjna agroturystyki. Idę pod górę. Drzewa są o wiele wyższe, niż zapamiętałam, a szutrową nawierzchnię żłobią głębokie koleiny od kół samochodu. Skupiam wzrok wyłącznie na wyrytych zagłębieniach, żeby nie patrzeć w zarośla, które spletaną ścianą porastają pobocze. Próbuje trzymać fantazję na wodzy, a mimo to w którymś momencie moje ciało tężeje i oblewa je zimny pot. Wiem, że to właśnie tu doświadczyłam czegoś, czego do dziś nie parafię wytłumaczyć. Tym razem nie słyszę żadnych podejrzanych szelestów, wypełnia mnie jedynie unisono ptaków. Zerkam za siebie przez ramię. Przez korony drzew przesączają się promienie słońca, kreśląc na drodze migotliwe cienie. Jestem sama. Jestem kłębkim nerwów.

Ruszam dalej pod górę i wreszcie go widzę. Wyłania się zza świerkowej ściany. Dom Maryjki. Wielki i straszny. Taki obraz noszę w sobie, chociaż w tej chwili wygląda zwyczajnie i naprawdę pięknie. Biała elewacja odcina się od tła, dach także został odnowiony, w miejsce starych wstawiono nowe okna, a nad nimi widnieją ceglane łuki, odkryte

spod tynku. Drzwi wejściowe, dawniej straszące musztardową farbą, przemaalowano na zielono.

Najemca na pewno informował mnie o zmianach, na wszystkie mu pozwoliłam, ale każdego maila, bez czytania, wrzucałam do kosza.

Na podwórku stoi kilka samochodów na tablicach z różnych części kraju. Trawa, kiedyś wydziobana przez kury, teraz jest skoszona i wygląda jak zielony dywan. W donicach kwitną kwiaty. Tam, gdzie dawniej znajdowały się ruiny bielarni lnu, teraz są plac zabaw i sezonowy basen, w którym pluskają się jakieś dzieciaki. Nieopodal schodów rozciągnięto żagiel przeciwsłoneczny, pod którym ustawiono stoliki. Przy jednym z nich siedzi mężczyzna i w skupieniu wpatruje się w ekran otwartego laptopa. Poznaję go. To Krzysztof Karwat, który od lat wynajmuje ode mnie ten dom. To z nim mam się spotkać, ale w tej chwili czuję, że nie dam rady.

Odruchowo wkładam rękę do kieszeni spodni. Natrafiam w niej na starą odznakę w kształcie rombu. Musiałam zapomnieć ją wyjąć i teraz instynktownie zaciskam na niej palce.

Dawno – Mareike

Nad kuchennym stołem pali się lampa, za oknem płowieje granat, przechodząc w blady błękit. Wstaje świt.

Mareike podaje ojcu owsiankę z kilkoma skwarkami – *Vati* mamle ją w bezzębnych ustach i z nieobecną miną patrzy w bok, by nie widzieć jej ogromnego brzucha.

Na drugim końcu stołu pajdy ciemnego chleba z cieniutko krojoną słoniną podaje swojemu ojcu Marianka – stary Potejko też patrzy w bok, na puste krzesło, na którym zwykle zasiada Tomaszek.

Nie ma go od wczorajszego popołudnia. Przepadł – jak kamień w wodę.

– Zapił pewnie. W nocy mróz był duży, to i gdzie kątem przenocował – mówi do starego po polsku Marianka, wycierając szmatką do czysta nóż od Świebodowej, którego zwykle używa do krojenia mięsa.

Mareike dałaby głowę, że to lancet do amputacji i że kiedyś, gdy zjawił się tu Szymon, widziała go w torbie doktora Thiela. Ale skąd się wziął u Polki?

– Niech się ojciec o Tomaszka nie martwi – prosi tamta spokojnie, odkłada nóż i siada przy stole. – Wytrzeźwieje, to wróci.

Mareike nic nie rozumie ze słów dziewczyny, ale doskonale wie, o czym tamta mówi.

Ją także nieobecność chłopaka nieco dziwi – dotąd zawsze wracał do domu, choćby już dniało – lecz równocześnie ani trochę się tym nie martwi. To zły, zepsuty człowiek. Niechby poszedł w diabły i nigdy nie wracał. Wprawdzie w ostatnim czasie, gdy brzuch Mareike urósł jeszcze

bardziej, Tomaszek przestał ją obłapiać, szturchać, ocierać się, niby to przypadkiem, i wgapiać bezczelnie w dekolt – widać i bydlę potrafi powściągnąć żądzę w obliczu misterium rodzącego się życia – nie ma jednak Mareike najmniejszych wątpliwości, że nie zrezygnował ze swych niecznych zamiarów. Wciąż się zdarza, że gdy przechodzi obok, wsącza jej do ucha szelest gróźb, obietnic, sprośności. I Mareike wie, że kiedyś przyjdzie dzień, gdy ów szelest zamieni się w krzyk, a słowa staną się ciałem.

Zegar na ścianie pokazuje kwadrans po szóstej. W ciszy, we czworo, dojadają śniadanie. *Vati* zbiera się do fabryki, stary Potejko idzie zaś do stodoły, gdzie od kilku tygodni trzyma krowę, kupioną od pewnej niemieckiej rodziny, która postanowiła wyjechać z Dorfbachu – czy też z Rzeczeki, jak obecnie każą im mówić o wsi po drugiej stronie Neumanns-Koppe.

Stary całe dni spędza teraz z tą wymizerowaną krasulą, która wygląda, jakby miała nie dożyć wiosny. Karmi ją, czyści sierść pękiem słomy, a nawet z nią gada – Mareike raz go słyszała, przechodząc obok uchylonych wrót. Zajrzała wtedy do środka i zobaczyła, jak Potejko, wtulając się w kark krowy, najpierw coś szepcze w jej włochate ucho, a potem płacze jak dziecko. Pomyślała wtenczas, pierwszy raz bez niechęci, że w sumie nic o tym człowieku nie wie, ale nie może być zły ktoś, kto z taką czułością do krowy przemawia.

Polak znika w stodole, a *Vati* na drodze do wsi. Marianka zbiera statki ze stołu i sprząta kuchnię po śniadaniu. Mareike w tym czasie zmywa: po sobie i ojcu, ale też po tamtych. Już od jakiegoś czasu mają z Polką ustalony, choć niepisany, podział zajęć. Mareike długo nie chciała ustępować jej pola w domowych pracach. Jednak ostatnio sił ma coraz mniej, przy każdym ruchu dostaje zadyszki, ciągle by tylko spała albo leżała, a zatem pozwala, by tamta czasami w robocie jej pomogła.

– *Du*, Mareike. – Marianka podchodzi do niej, skończywszy chować pieczywo do szafy chlebowej. – *Gehe*. – Wskazuje na sufit. – *Schlafen*. – Składa dłonie i przytyka do policzka. – Ja dokończę zmywanie.

Mareike kręci głową. Chętnie by jeszcze wróciła do łóżka. Pół nocy nie spała – pasożyt w jej wnętrzu bezustannie kopał, a przez to cała treść żołądka podchodziła pod gardło – lecz na ten poranek ma już inne plany.

Wczoraj w niedzielę był pierwszy dzień adwentu i chociaż Mareike wcale nie cieszy się na nadchodzące święta, to zamierza zrobić ojcu niespodziankę: ubierze dom jak kiedyś, nim Sowieci przyszli i wyszli i gdy żyła jeszcze *Oma* i Klaus, i Matthias, a ona wierzyła, że świat to dobre i bezpieczne miejsce.

Kończy zmywanie naczyń, a Polka bierze się do ich wycierania. Zostawia ją w kuchni, a sama idzie na górę, gdzie w jednej z szaf znajduje się pudło z ozdobami. Wiele z nich, szczególnie szklane świecidełka, nie przetrwało wizyty zwycięskiej Armii Czerwonej, lecz wciąż jest tu kilka świec, a także rolki białej krepiny, zwój cienkiego drutu oraz gwiazdy z pozłotka, które kiedyś wycięła razem z *Omq*. Na dnie leży też papierowa korona. Mareike wystąpiła w niej kilka lat temu na uroczystych jasełkach zorganizowanych przez zarząd fabryki tkackiej dla pracowników i ich rodzin – to był dobry, piękny wieczór, który nigdy się nie powtórzy.

Znosi pudło do kuchni i stawia na stole. Ze spiżarni, gdzie króluje zapasy zrobione latem przez Polkę, wyjmuje kilka gałęzi świerku, które ścięła zawczasu i przyniosła z dworu. Je także kładzie na blacie. Z szuflady w komodzie wyjmuje nożyczki.

Polka kończy porządkować kuchnię i z rosnącą ciekawością zerka przez ramię na Mareike, na pudło i świerkowe gałązki. Wyciera dłonie w ścierkę i podchodzi bliżej.

Mareike siada na krześle, otwiera wieko i pozwala zajrzeć dziewczynie do środka.

– Niewiele tego mam, tylko tyle ocalało – mówi po niemiecku, a tamta kiwa głową, jakby rozumiała, i zajmuje miejsce obok.

Mareike wyciąga zawartość kartonu, układa i porządkuje wszystko na stole, po czym bierze się do pracy. Przebiera świerk i tnie drucik na małe kawałki. Polka przez chwilę jej się przygląda, a potem nieśmiało podaje jej jedną gałązkę i drugą, i jeszcze kolejną. I tak razem, bez słów, układają wianek i wtykają w niego cztery świece, chociaż Mareike wyczuwa, że dla dziewczyny jest to coś nowego, że nie znała tego adwentowego zwyczaju. Wycinają z krepiny gwiazdy i anioły, wspólnie przygotowują w rondlu klej z mąki, a wreszcie ozdabiają wycinankami szyby w kuchennym oknie, a później także w sypialni Mareike i jej ojca, na piętze.

Gdy zostaje już tylko kilka ozdób, Polka daje Mareike na migi do zrozumienia, że chciałaby je przykleić u siebie w pokoju, więc idą tam razem.

Mareike wchodzi do dawnego gabinetu ojca po raz pierwszy od wielu miesięcy. Nic nie jest tu takim, jak zapamiętała: meble zostały przestawiane, stare rodzinne zdjęcia usunięto z komód, ze ścian zniknęły obrazy i poroże. Za to na szafie wisi sukienka tamtej, a na karniszu, przy żyrandolu i hakach po obrazach, uplecione z traw i polnych kwiatów wianki. Wszędzie wianki, że aż w nosie kręci od zapachu ziół. Na biurku stoi niewielkie lustro, obok w metalowej ramce obrazek Matki Boskiej.

Nie ma już gabinetu, jest kobiecy pokój.

Każdego innego dnia Mareike byłaby pewnie zła na Polkę za te zmiany, ale nie dziś.

Dziś nie chce pamiętać, że dziewczyna jest tu intruzem. Nie chce myśleć, o tym, co zostało zapomniane, o nocy na poddaszu, siedmiu parach spodni i żołdakach o dzikich twarzach – i o tym, co pasożytuje w jej ciele.

W tej chwili Mareike czuje spokój, jakiego od dawna nie czuła, pierwszy raz od miesiący się uśmiecha i po prostu cieszy chwilą: ozdobami, które przykleja z dziewczyną na szybach, śniegiem prószącym powolutku na zewnątrz, białymi szczytami, całym tym czystym i spokojnym dniem. Mareike cieszy się, bo w pobliżu nie ma Tomasza – jego spojrzeń i wulgarnych szeptów. Są tylko we dwie i jest prawie jak wtedy, kiedy odwiedzała ją Greta.

Może dlatego, kiedy kończą przyklejać gwiazdy w gabinecie ojca, który już nigdy gabinetem nie będzie, Mareike rzuca nieoczekiwanie:

– Jeżeli chcesz, możesz pójść ze mną na poddasze. Wiem, że lubisz przyglądać mi się, jak przędę.

Tamta może rozumie, a może nie, ale potakuje na propozycję. Idą więc do holu, gdzie narzucają chustki na ramiona, i wychodzą przed dom, okrążają go, a potem wdrapują się po zewnętrznych schodach.

Mareike coraz trudniej jest je pokonywać, ponieważ nogi ma opuchnięte, a brzuch jej ciąży. Polka chyba to widzi, bo nieoczekiwanie wsuwa jej ramię pod pachę, by się na nim oparła. Tak docierają na górę. Przegrana Niemka i wygrana Polka. I razem wchodzi do środka. Wdychają zapach ziemi, lnu i przeszłości.

Mareike już dawno poprzesuwała meble i na powrót zaciągnęła zasłonę wiszącą na sznurku, tak by oddzielić część, gdzie sypiał Szymon i gdzie... Więc teraz dostępna jest tylko połowa poddasza.

Marianka podprowadza ją do zydła przed kołowrotkiem, a sama podchodzi do piecyka.

– Trochę tu nagrzeję, dobrze? Nie możesz się pochorować.

Mareike kiwa głową, a tamta bierze kilka szczap z kobiałki, wrzuca do piecyka i podpala zapalnikami, które leżą obok. Dmucha w palenisko, żeby wzniecić ogień.

Mareike rozciera zgrabiące dłonie, ślini palce i przeciąga po przędzy naciągniętej między szpulą a wrzecionem. Uzupełnia kądziel na przędzy. Kładzie stopę na pedale. Dziewczyna wraca do niej, przysiadła na worku z lnem, tak jak kiedyś siadywał Szymon, i patrzy, gdy Mareike zaczyna prząść, gdy płynnym ruchem wyciąga włókna. Patrzy urzeczona, wsłuchuje się w rytm uderzeń pedału i śledzi każdy ruch ciała Mareike.

– Ty jesteś Mokosz – szepcze, ale Mareike nie zna tego słowa, więc tylko, skupiona na pracy, uśmiecha się znad kołowrotka.

Wtedy tamta nagle się podnosi, podchodzi i staje za plecami Mareike.

I czuje Mareike na sobie ciepło ciała i ręce dziewczyny. Wędrują poprzez jej przedramiona aż do przędzy. Tu zamierają, na jej dłoniach, a potem podążają z powrotem, do pleców. Marianka przesuwa je powoli w dół i wreszcie kładzie na brzemienym brzuchu. Zamiera w tej pozycji. Ma takie ciepłe ręce. Dobre ręce. Jest w nich siła – siła, która umarła w Mareike kilka metrów dalej, na posłaniu za stosem mebli i zasłoną.

– Ty jesteś Mokosz – powtarza tamta cicho, przejmująco, jakby głos pochodził spoza ciała, z innego czasu i z innego świata. – Ty możesz wszystko, Mokosz, więc weź sobie Tomaszka, a daj mi to dziecko. Mokosz...

Dawno – Marianka

Marianka trzyma ręce na brzuchu Niemki i czuje jak pierwotna i bardzo stara siła wędruje z łona tamtej, z trzewi Mokosz, wprost do jej ciała. Czuje w sobie ruchy dziecka. W głowie kręci jej się od jednostajnych uderzeń kołowrotka i od zapachu lnu.

Nie powinna tego robić, nie ma prawa tamtej dotykać. Niemra na pewno zaraz ją odepchnie, ofuknie.

Ale nie ofukuje i nie odpycha. Nawija przędzę bez końca.

Ciszę przerywa krzyk. Dochodzi z dołu. To głos ojca. Straszny, pełen przerażenia krzyk, niezwiastujący niczego dobrego.

– Marianka! Ma-rian-ka!

Odrywa się od Niemki. Efemeryczna chwila zjednoczenia pryska.

Zostawia dziewczynę przy kołowrotku, a sama rusza do drzwi i zbiega po schodach. Ojciec stoi z dwoma chłopami na podwórzu. Jednego Marianka poznaje, to Józef Świeboda, drugiego widzi na oczy po raz pierwszy. Ojciec chowa twarz w dłoniach. Marianka podchodzi do nich.

Chłopy mają dziwne miny, nie patrzą na nią.

– Tatuś...? – Chwyta ojca za ramię. – Wołał mnie tatuś?

– Tomaszek – szepcze stary.

– Co z nim?

Ojciec milczy, tamci milczą. W powietrzu coraz szybciej zaczynają wirować płatki śniegu.

– No niechże tatuś mówią!

Ojciec wreszcie odsuwa ręce od twarzy. Błady jest jak ściana, oczymu przeciekają.

– Tomaszek zabity.

Marianka robi krok w tył.

– Co też tatuś?

– Tu zaraz, niedaleko. – Stary trzęsie się jak w febrze. – Sąsiady właśnie wieści przynieśli. – Wskazuje głową na mężczyzn.

– Jam go znalazł – odzywa się Świeboda. Nie patrzy na nią. Rozgrzebuje butem pryzmę śniegu. – Zrazu zem go nie poznał, ale to na pewno on.

– Ale jak, gdzie?! – pyta cicho Marianka.

– W strumieniu przy kościele. Pod tym kamiennym mostkiem. Szedłem, zobaczyłem krew.

– To pomyłka. Tomaszek pewnie już w domu, w łóżku. – Marianka robi ruch w stronę wejścia, ale ojciec zatrzymuje ją w miejscu.

– Jużem sprawdzał. On nie wrócił.

– To trza nam, tatuś, iść pod kościół. – Wrywa się ojcu.

– Lepiej go nie oglądać, ciała nie ruszać – mówi Świeboda. – Tam milicji trzeba. Myśmy już powiadomili przez radio w zajeździe.

– Chcę go zobaczyć!

– To nie widok dla baby – odzywa się mężczyzna, który dotąd stał cicho.

Marianka nie zamierza ich słuchać. Rusza biegiem w stronę drogi. Oni puszczają się w ślad za nią.

– Marianka, stójże! – krzyczy ojciec.

Marianka ślizga się na zmarzniętym śniegu, upada, podnosi się i biegnie dalej przed siebie. Mija zakręt drogi. Tamci depczą jej po piętach. W dole już widać drewnianą wieżę kościoła i zbiegowisko przy mostku. Wbiega między ludzi, rozpycha się łokciami.

– To ta Potejkówna, jego siostra. – Ktoś próbuje ją łapać, ktoś inny zastępuje drogę.

Marianka wyszarpuje się, zsuwa po zboczu w stronę zamrzniętego potoku. Dookoła ślady butów.

– Trzymajta ją, ludzie! – krzyczy z drogi Józef Świeboda.

Za późno.

Marianka patrzy na krwawe pręgi przy potoku i ciało Tomaszka, które wywleczono na brzeg. Miejsce, w którym powinna być głowa, zostało zakryte szmatą, poplamioną na czerwono. Nieopodal leży niewielki kulisty przedmiot, także szmatą omotany.

– Tomasz – szepcze Marianka. – Tomaszek...

Wpatruje się jak zahipnotyzowana w pozbawione głowy ciało brata. Śnieg kotłuje w powietrzu.

– Pewnie znienacka go napadli i łeb odrąbali siekierą. Zbóje. – Z góry, z mostku, dochodzi czyjś głos. Kilku mężczyzn stoi tam i pali lulki. Zachowują się, jakby nie patrzyli na miejsce kaźni, ale na przedstawienie.

– E, chyba nie – mówi chłop w dziurawej kufajce i czapce uszatce na głowie. – Byłoby więcej krwi.

– Strumieniem spłynęła.

– Jam żem chłopaka widział, zanim go zasłonili – wtrąca wąsacz z czerwonym nosem. – To nie siekierą. Mnie to na robotę rzeźnika

wyglądało. Takie cięcie proste.

– Szkopy przekłete – pomstuje ten w uszatce. – Teraz ludziska będą się bały wieczorem z chałupy wychodzić.

– Ci, co nie szabrują, niczego nie muszą się bać. Ten tu dobrze rozrabiał, to i się doigrał.

– Tomasz, Tomaszek! – Z brzegu zbiega ojciec. Przypada do zwłok syna. Chce zajrzeć pod szmatę, ale Świeboda w ostatniej chwili chwyta go za rękę.

– Panie Antoni. Niechże pan tego nie robi. Na co to panu, taki widok na zawsze panu zostanie.

– Boże, za co to wszystko?! – zawodzi ojciec, padając na kolana. – Bożeż ty mój, za jakie grzechy...?!

Marianka wciąż trwa w miejscu jak zakłeta. Zbiegowisko gęstnieje. Przychodzą kolejni gapie. Obok niej przystaje córka nowo przybyłych do wioski gospodarzy. Zajęli jeden z domów w górnej części wioski. Dziewczynka, ma na oko dziesięć lat, na prawym policzku duże znamię. Zasłania dłonią rozdziawioną buzię. Wpatruje się w zwłoki oczami jak spodki.

– Czy temu panu głowę odrąbano? – pyta Marianki, wskazując na krwawy śnieg.

Marianka nie odpowiada.

– Tomasz, Tomaszek – powtarza tylko w kółko.

– Zaciukali chłopaka – stwierdza smutno jedna z bab.

– I to prawie pod samym domem – dorzuca chłop stojący przy niej. – Ciekawe, kto to mógł zrobić.

– Przecie nikt z nas. Jak amen w pacierzu to te psy niemieckie. Bo któż by inny?

– A taki młody jeszcze był. Całe życie miał przed sobą.

– Tomasz, Tomaszek... – szepcze Marianka.

– Boże, mój Boże – wyje ojciec.

– Młody, ale za bardzo światem chodził. Pewnie za tamto go zaciukali – zauważyła mężczyzna w uszatce.

– Jakie tamto? – pyta przez łyzy ojciec, chwytając w dłonie rękę martwego syna.

– Co ja będę teraz panu gadał, panie Potejko... – Facet wzrusza ramionami. – Trzeba było lepiej chłopaka pilnować.

Śnieg zalepia Mariance usta, wpada w oczy.

– Szaber szabrem, ale cmentarz święta rzecz. – Kiwa głową ten w walonkach.

– Co wy, ludzie, najlepszego mówita? Jaki cmentarz? Dzieciaka mi zabili. – Ojciec chwyta się za głowę i buja w przód i w tył.

– Syn groby okradał, a ojciec udaje, że nic nie wie, i teraz lament...

Przy Mariance pojawia się Świebodowa.

– Marianka, chodź, dziewczyno. Swoje zobaczyłaś. – Przykrywa jej ramiona chustką i ciągnie na drogę. Ludzie rozstępują się na boki, robiąc im miejsce. – Byście już, ludziska, pozamykali jadaczki! – Świebodowa krzyczy w stronę gapiów. – Nad rodziną chłopaka się zlitujcie. Nie wolno tak zmarłego obmawiać. Do domu wracajcie! Tu zaraz będzie milicja!

Wchodzą z Marianką na most i skręcają na główną drogę.

– Cała się trzęsiesz. Pójdziemy do mnie, dam ci coś na nerwy.

– Słyszała Świebodowa, co ludzie gadają? – Jej głos dochodzi jak ze studni.

- A dajże spokój, Marianka. Pogadają i zapomną.
- To moja wina. Nie umiałam ja go na ludzi wyprowadzić.
- Nie pleć głupot. Tyś mu nie była matką, żeby go wychowywać. Nie twoja to wina, że się chłopak pogubił.
- Moja wina... – powtarza. – Tomaszek był zły człowiek. Ja go już nie traktowałam jak brata, nie kochałam i najgorszego mu życzyłam.
- Cichaj, Marianka. Nic nie mów. Nie wolno tak. Teraz Bóg będzie go sądził, a jaki wyda wyrok, to już nie nasza rzecz.

Noc Mokosz

Wtedy – Mania

Wychodzę z bielarni na miękkich nogach i opieram się plecami o zimną ceglana ścianę. Trwam tak przez chwilę, wyrównując oddech. Już wiem, że nie pójdę oglądać *Jerry'ego Maguire'a*. Wszystko, co przed chwilą zaszło między mną a Hubertem – każdy jego dotyk – mam jak stygmat wypalone na ciele i wypisane w płonących podnieceniem policzkach.

Ruszam prosto do drogi, próbując ochłonać. Gdy docieram na mostek, mijamy się z wjeżdżającym na posesję panem Wasylko. Kłaniam się mu, a on odmachuje mi z uśmiechem. Niebo zaczyna się przecierać. Słońce opada za horyzont, malując chmury na różowo i liżąc mokry asfalt.

Próbuję nie myśleć o Hubercie, lecz przed oczami ciągle mam tańczące za szkłem chemiczne świetliki, czuję na sobie jego dłonie.

Jestem przy nieczynnym pegeerze, kiedy wyprzedza mnie autobus. Zatrzymuje się kilkanaście metrów przede mną ze zgrzytem hamulców i westchnieniem zmęczonych resorów. Drzwi się otwierają i ze środka wytacza się obładowana zakupami kobiecina w chustce na głowie. Poznaje ją od razu po dużym znamieniu na policzku i ptasiej twarzy. Wróblowa jest szara, mała i chuda. Waży pewnie nie więcej niż czterdzieści kilo. Z trudem targa w stronę swojej ukrytej w gąszczu chałupki dwie wielkie ruskie torby w kratę.

Autobus odjeżdża. Przez chwilę patrzę z wahaniem za kobietą, która noga za nogą przemierza ścieżkę, i wreszcie, mimo obaw, ruszam za nią.

– Pani poczeka! – wołam.

Wróblowa się zatrzymuje i zdziwiona zerka na mnie przez ramię.

Zrównuję się z nią.

– Pomogę pani. – Wyciągam ręce po torby.

Przez chwilę przygląda mi się podejrzliwie, jakby zastanawiając się, czy przypadkiem nie zamierzam jej tych tobołów gwizdnąć, ale wreszcie mi je podaje. Ucha toreb natychmiast boleśnie wrzynają mi się w dłonie. Uginam się pod ich ciężarem. W środku podzwania szkło. Nie wiem, jak ta stara dawała radę to dźwigać.

– Co pani tam ma? – pytam.

– Mąkę – wyjaśnia bez mrugnięcia okiem, gdy ruszamy w stronę jej domu. Głos ma chrypliwy. Moja matka na starość będzie miała taki sam, jeżeli nie przestanie palić.

Podążam za Wróblową zarośniętą ścieżką. Wchodzimy na zaśmiecone podwórko. Wszystko wygląda tu równie obskurnie i przygnębiająco jak podczas mojej poprzedniej wizyty. Stara otwiera drzwi i gestem pokazuje, żebym weszła do środka. Robię to niechętnie, ale przecież nie rzucę jej zakupów ot tak, w progu. Idziemy więc ciemnym korytarzem w głąb domu, który ku mojemu zaskoczeniu w środku prezentuje się znacznie lepiej niż na zewnątrz. Jest tu skromnie, a jednocześnie zaskakująco schludnie. Pachnie detergentami i drożdżowym ciastem.

Wchodzimy do kuchni. Tu również wszystko lśni czystością. Stawiam torby pod ścianą na podłodze wyłożonej linoleum. W środku znowu słychać brzdęk mąki.

– Dziękuję ci, dziecko, za pomoc – mówi Wróblowa, zdejmując chustkę z głowy i odwieszając ją na haczyk przy drzwiach.

– Żaden problem. – Cofam się do wyjścia, rozcierając obolałe dłonie.

– Może usiądziesz na chwilę – proponuje znieńacka, wskazując na krzesło przy stole.

– Powinnam już iść.

– Mam ciasto z jeżynami. Dzisiaj piekłam. Zjedz chociaż kawałek.

Jest coś tak sugestywnego w jej szorstkim głosie, co sprawia, że nie potrafię odmówić. Grzecznie siadam we wskazanym miejscu, ona tymczasem podchodzi do kredensu, wyjmuje ciasto, odkrawa kawałek i kładzie na talerzyku.

– A może herbaty się napijesz? – pyta.

– Nie, dziękuję.

– A ja sobie zrobię.

Stawia talerzyk przede mną, a sama zaczyna krzątać się po kuchni. Włącza gaz, nastawia czajnik. Przyglądam się jej. Nie mam pojęcia, w jakim jest wieku, ale na pewno grubo po sześćdziesiątce. Ma ziemistą cerę, na czole głębokie zmarszczki oraz suche, sterczące i niemal białe włosy. Myszka na policzku przypomina kształtem Amerykę Południową.

Odsuwa na bok firankę i uchyla okno sklezione paskiem wyciętym z gazety.

– Będzie ci przeszkadzało, jeśli zapalę?

Kręcę głową.

Wyjmuje z kuchennej szafki paczkę papierosów, na parapecie stawia popielniczkę.

– Niewiele przyjemności na starość człowiekowi zostaje – tłumaczy się.

Odgryzam kawałek ciasta, jest naprawdę smaczne. Słodko-cierpki smak jeżyn wypełnia mi usta. Czajnik zaczyna śpiewać falsetem.

Wróblowa wsypuje łyżeczkę herbaty do szklanki w metalowym koszyczku i zalewa wrzątkiem. Fusy tańczą w wodzie, zabarwiając ją na brązowo. Na ułamek sekundy przed oczami znowu staje mi Hubert i jego świetliki.

– Ty jesteś Mania od Potejków, prawda? – Wróblowa się zaciąga. – Z tego domu na wzgórzu.

– Tak – przyznaję, chociaż nazwisko, które wymienia, znam tylko z opowieści. To panięskie nazwisko babci.

– I to ciebie wtedy widziałam pod moją chałupą z tą małą Wasylkową, jak po jagodzianki przyszła?

Znowu potwierdzam.

– Podobna jesteś bardzo. – Wydmuchuje dym za okno.

– Do kogo?

– No do matki, a do kogo. – Uśmiecha się po raz pierwszy. Nie ma kilku zębów. – Już jak cię tamtego dnia zobaczyłam, to wiedziałam, że ty musisz być córką Uli. Skóra zdarta z matki. Co to była za dziewczyna. – Cmoka. – Żywy ogień. I jaka śliczna. Maryjki oczko w głowie. – Znowu się zaciąga. – A u niej co słyhać? Zdrowa?

– Tak, dziękuję. U babci wszystko w porządku.

– Mieszka człowiek po sąsiedzku, a jeden z drugim prawie się nie widuje. Każdy w swojej chałupie plackiem siedzi. Ale kiedyś inaczej było. Z początku wszyscyśmy trzymali się razem, bo nikt się tu nie czuł u siebie. Ja miałam dziesięć lat, jak z rodzicami mnie do tej wioski przywieźli, taki mały domek żeśmy dostali na górze, we wsi, jak ten młyn, co go już nie ma, stał. – Znowu się zaciąga. – Partyjni wtedy mówili, że to piastowska ziemia, ale tu wszędzie jeszcze Niemce po chałupach siedzieli. U was w domu też. Na kupie wszyscy mieszkali.

Z trudem przełykam ciasto.

– Moja babcia mieszkała z Niemcami?

– A tak. Potejkowie jedni z pierwszych tu przybyli. Dzięki temu taki ładny dom mogli sobie wybrać. Jeden z największych we wsi. Ale niestety z niespodzianką w postaci dotychczasowych właścicieli. Tak wtedy czasami bywało. Nie mówiła ci babcia Maryjka?

Kręcę głową. Tracę apetyt. Odsuwam talerzyk z niedojedzonym kawałkiem ciasta. Ile jeszcze trupów tego lata wypadnie z szafy babki?

Wróblowa przygląda mi się z dziwnym wyrazem na twarzy.

– Powinam już iść – mówię.

– Już? Placka żeś do końca nie zjadła, zresztą do nocy jeszcze daleko. – Patrzy na mnie, przekrzywiając głowę. – Bo ty pewnie boisz się po ciemku chodzić, co? Ale ja to doskonale rozumiem, bo sama też nie lubię po zmroku nosa za próg wystawiać. – Dusi papierosa w popielniczce, zamyka okno i sięga po szklankę z herbatą. – No, zostańże, dziecko, jeszcze chwilę. Ja od czasu, jak mój stary się zapił, ciągle sama tu siedzę. Dzieci żeśmy nie mieli, to i teraz nie ma człowiek do kogo gęby otworzyć. – Siada naprzeciwko mnie. Podsuwa z powrotem talerzyk. – Dokończ ciasto – zachęca. – Chyba że ci nie smakuje?

– Bardzo smakuje – zaprzeczam zmieszana i na dowód sięgam po nie. Znowu odgryzam kawałek.

Wróblowa upija łyk herbaty.

– Ze mnie się tu we wsi śmieją, że od tego siedzenia w samotności to mi się we łbie pomieszało, ale to nie tak. Ja zawsze więcej niż inni widziałam. O, nie dalej jak wczoraj znowu przygodę miałam. I to w ciągu dnia. Właśnie przechodziłam pod domem Świebodów, wracając z jeżyn, jakem usłyszała skrzypienie z tego zdziczałego sadu na tyłach

chałupy. Zdziwiłam się, bo tam od dawna nikt nie mieszka. Ty pewnie nie poznałaś starych Świebodów, bo oni dawno pomarli. Córka chyba do Niemiec wyjechała, a syn od lat w Wałbrzychu mieszka i rzadko tu zagląda, więc obejście w ruinę popada... Pomyślałam sobie: może kto tam obcy łązi, jaki łach pijany, na wódkę potrzebuje i chce coś z chałupy wynieść, bo tu w okolicy ciągle kradną, więc poszłam sprawdzić. – Robi pauzę. Wpatruje się w fusy na dnie szklanki, jakby chciała z nich coś wyczytać. Czuję, że powinnam była stąd wyjść, póki miałam sposobność. – Tam na drzewach... – wraca do przerwanej myśli – wisiały ciała. Ludzie w różnym wieku, dorośli i dzieci. Dwie małe dziewczynki, bliźniaczki, ubrane w takie same sukienusie. Widziałam ich, jak ciebie teraz. Dyndali wszyscy na sznurach, poruszani przez letni wietrzyk.

Milknie, a ja czuję, że oblewa mnie zimny pot.

Wróblowa w zadumie upija kolejny łyk herbaty.

– Ja różne rzeczy widuję. Nikt mi nie wierzy, że niby ja głupia, że szalona, że pijaczka i kocopoły gadam, a przecież u nas we wsi więcej jest teraz martwych dusz niż żywych.

Patrzę na jej pomarszczoną twarz, na chude, spracowane dłonie naznaczone starczymi plamami i siecią grubych żył i zaczynam odczuwać współczucie. Samotna, stara kobieta, którą od ciemności zewnętrznego świata odgradza tylko pęknięta szyba. Miałabym ochotę chwycić ją za rękę, uścisnąć, ale tego nie robię.

– Ja też coś takiego widziałam – przebąkuję zamiast tego nieoczekiwanie.

Podnosi na mnie przekrwione oczy.

– Naprawdę?

Kiwam głową zawstydzona. Czy to znaczy, że obie mamy nierówno pod sufitem?

– A coś, dziecko, widziała? – pyta.

– Ducha bez głowy. Tu, niedaleko, na drodze do domu, za kościołem. Powiedziałam nawet o tym babci. Ona twierdzi, że to duch jakiegoś wojaka, co tu zginął dawno temu w bitwie. I że pani też go kiedyś widziała.

Stara marszczy brwi, a potem nagle zaczyna się śmiać. Nieprzyjemny jest ten śmiech, przypomina skrzypienie styropianu.

– A jaki tam znowu wojak. To se Maryjka wymyśliła. Przecie ona wie, kto to.

Zamieram. Wróblowa nie przestaje się szczyrzyć w szczyrбатым uśmiechu.

– Nie powiedziała ci?

– Czego mi nie powiedziała?

– Jak żeśmy tu z rodzicami przyjechali w październiku czterdziestego piątego, to już wtedy ludzie plotkowali o Potejkach, o domu na wzgórzu. I o tych Niemcach, co tam z nimi mieszkali. Pewnie z zazdrości trochę gadali, bo ten dom taki ładny i staw miał, i dużo budynków gospodarczych. Ale ojciec Maryjki rzeczywiście jako jeden z pierwszych krowy kupił. A niby skąd na to wziął? Powodziło się im. A potem zdarzyło się to nieszczęście.

– Jakie nieszczęście?

– Ja tam plotek nie chcę powtarzać.

– Bardzo panią proszę.

Wzdycha.

– Chodziły słuchy, że młody Potejko był nicdobrego, że dlatego zginął, albo nawet że to ona mu pomogła na tamten świat się przenieść. Żeby dom tylko do niej należał.

– Jaka ona? Co za młody Potejko? O kim pani mówi?!

– No, o bracie Maryjki.

Ciemnieje mi przed oczami, jakbym dostała obuchem w głowę. Niewiele wiem o rodzinie babci, lecz to, co wiem, nijak się ma do słów tej kobiety.

– Babcia nie miała brata – mówię.

– Jakżeż nie miała, jak miała? Toć ja sama przy tym byłam, jak jego ciało znaleźli. Mała wtedy byłam, ale pamiętam jak dziś, bo to wywarło na mnie straszne wrażenie. A potem i na pogrzeb z rodzicami poszłam. On tu, na cmentarzu przy kościele leży. Taki grobek mały, z boku, przy murze. Jak tam ostatni raz byłam, to krzyż jeszcze stał i nawet tabliczka w trawie leżała.

– Musiało się pani coś pomylić. Ja jestem pewna, że... To znaczy wydaje mi się... bo babcia o żadnym bracie nigdy nie wspominała. – Milknę.

Jest mi niedobrze. Zjedzone ciasto podchodzi mi pod gardło. Mam naprawdę serdecznie dosyć tajemnic, nieudomówień i kłamstw, tych wakacji z duchami w nawiedzanej wsi i trupów wypadających z szafy. Chciałabym, żeby przyjechała już po mnie mama i zabrała do Wrocławia.

– Ja tam nie wiem. – Stara wzrusza ramionami. – Ale grób jest, to i można sprawdzić.

Wstaję od stołu. Odsuwam talerzyk z resztkami ciasta.

– Naprawdę powinnam już iść. – Próbuję zapanować nad drżeniem rąk. – Dziękuję za gościnę.

– Nie ma za co. Przychodź, dziecko, kiedy chcesz. – Ona także się podnosi, wpatruje się we mnie ze szczerbatym uśmiechem.

Ruszam do drzwi i idę przez ciemny korytarz, za plecami słyszę podzwanianie szkła wyjmowanego z torby i głos Wróblowej, mówiącej do siebie:

– Do matki podobna niesamowicie, ale do Maryjki to ani trochę.

Wychodzę na zewnątrz. Puszczam się biegiem ścieżką przez chaszczę, byle szybciej, do drogi. Zmierzcha, asfalt lśni jak czarne lustro. Mijam nieczynny zajazd, remizę, opuszczony dom Świebodów i przez kamienną bramę wpadam na cmentarz. Pod kościołem nie ma zbyt wielu grobów, ludzie stąd wolą być chowani w pobliskim mieście, te stare zaś, poniemieckie, znajdują się po drugiej stronie drogi, pochłaniane przez ziemię i niepamięć pośród chaszczy.

Przechodzę raz i drugi między płytami nagrobnymi, ale na żadnej z tablic nie znajduję panińskiego nazwiska babci. Robi się coraz ciemniej. Spoglądam w stronę drogi prowadzącej pod górę, na miejsce, gdzie spotkałam upiora. Czuję, jak narasta we mnie strach. Powinnam ruszać do domu, jeżeli nie chcę, by zmrok zaskoczył mnie tutaj, ale wiem, że powinnam zostać i znaleźć ten grób.

Tym razem idę wzdłuż muru.

I w końcu go zauważam. Zaniedbany kopczyk, w który wbito zwykły drewniany krzyż – dziś całkiem spróchniały i trzymający się tylko dzięki kilku gwoździom – znajduje się po przeciwnej stronie niż brama. Nachyliłam się, żeby rozgarnąć trawę. Chwytam ukrytą pośród zielska tabliczkę. Jest zardzewiała, a farba całkiem zeszła z liter, lecz pod palcami wciąż można wyczuć ich wypukłości.

Przymykam oczy, by nie rozpraszać zmysłów, i wiodę po nich opuszką.

– Tomasz Potejko – czytam półgłosem. – Lat osiemnaście albo dziewiętnaście. – Nie mogę rozróżnić drugiej z cyfr.

Na dole widnieje jeszcze data, chociaż w zasadzie nie ma ona dla mnie znaczenia. Babcia Maryjka naprawdę miała brata. Dlaczego nigdy o nim nie słyszałam?

Przesuwam kciukiem po wybrzuszeniach, by jednak odszyfrować datę.

– Trzeci grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego.

Teraz – Maria

Chowam się za drzewem, żeby Karwat mnie nie zauważył, i czuję się przy tym idiotycznie, jak psychopatka podglądaczka. Bliskość tego domu sprawia, że tracę resztki rozumu i zimną krew. Chyba jednak nie dam rady odbyć dzisiaj rozmowy o sprzedaży. Muszę się stąd dyskretnie ewakuować. Jedyne rozwiązanie to przemknąć się za stodołę. Jeżeli przejdę wzdłuż tylnej ściany, może dotrę niezauważona do ogrodu, a stamtąd już bez trudu da się zejść do drogi przez łąkę.

Robię jeden krok i drugi w kierunku budynku. Poruszam się bezszelestnie i staram wtopić w coraz dłuższe cienie, kładące się na trawie.

– To pani? – Facet siedzący przy stoliku pod domem nagle podnosi wzrok znad komputera i patrzy z uśmiechem wprost na mnie. Wstaje i energicznie przecina podwórko. – Czekałem na panią. Dobrze, że pani przyszła.

Odruchowo chowam skaleczoną rękę do kieszeni. Znowu natrafiam na starą odznakę w kształcie rombu. Zaciskam na niej palce. To mnie w pewien sposób uspokaja.

– A swoją drogą – nie przestaje mówić – mogła się pani zatrzymać u nas. Trzeba było zadzwonić. Mamy co prawda pełne obłożenie, jest szczyt sezonu, ale dla pani miejsce zawsze się znajdzie. W końcu dom wciąż należy do pani. Przyszykowałbym najlepszy pokój.

Jest wysoki i dobrze zbudowany. Ma na sobie niebieską koszulkę polo i beżowe szorty, na nogach modne tenisówki. Okulary korekcyjne w cienkich oprawkach lśnią na rzymskim nosie, broda zaś wygląda, jakby przed chwilą wypomadowała ją czuła ręka barbera – typ miastowego

intelektualisty, chociaż opalenizna i żyły na dłoniach świadczą o tym, że nie stroni od fizycznej pracy.

Muszę mieć mocno skonfundowaną minę, bo uśmiecha się szeroko.

– Pewnie chciała pani pójść zobaczyć staw.

– Staw?

– Tak, pisałem do pani w tej sprawie. Wypełniliśmy go wodą. Niedługo miną dwa lata. Mamy już nawet pstrągi.

Potakuję, udając, że wcale nie przyłapał mnie na próbie ucieczki.

– Ale może najpierw napije się pani kawy, herbaty? Chociaż na kawę to chyba już za późno, więc może wina? Zapraszam.

– Proszę mi mówić po imieniu. – Męczy mnie już to „panowanie”. – Maria. – Wyciągam do niego zdrową rękę.

– Krzysztof. – Potrząsa nią, nie przestając się uśmiechać. – To jak? Kawa, wino? A może najpierw chcesz obejrzeć dom? Sporo w ostatnich latach zrobiliśmy.

Od ścian odbija się śmiech dzieciaków pluskających się w basenie, wokoło panuje beztroska atmosfera letniego wieczoru, a sam Karwat wydaje się niezwykle serdecznym człowiekiem. Mimo to ja wciąż czuję lęk i jedyne, czego bym chciała, to móc się stąd teleportować.

– Dzięki za kawę, za wino też – mówię. Na myśl, że miałabym wejść do środka, ogarnia mnie panika. – Nie chcę przeszkadzać gościom. Może przejdziemy się wokół domu, zobaczymy ten staw i porozmawiamy o warunkach sprzedaży?

Przystaje na propozycję i prowadzi mnie przez podwórko.

– Smakował ci chleb? – rzuca. – Sam piekę. Mam własny zakwas.

– To od ciebie?

Przytakuje.

– Był pyszny – kłamię, ale to białe kłamstwo. Facet jest miły. Nie chcę mu sprawić przykrości. Po akcji z nożem bochenek nie nadawał się do zjedzenia. Był cały we krwi, więc wyniosłam go na łąkę. Zwierzęta zjedzą.

– Włożyliśmy tu z żoną trochę pracy – mówi, kiedy idziemy żwirową alejką wzdłuż stodoły.

– Trochę? Jesteś bardzo skromny. Nie sądziłam, że tę rudere da się odczarować.

– Chciałem zostawić jak najwięcej oryginalnych detali architektonicznych domu i zachować jego dolnośląski charakter. Mój kolega jest konserwatorem zabytków. Trochę mi pomagał i chyba rzeczywiście wyszło nam nie najgorzej. Goście przyjeżdżają tu nie tylko podziwiać góry. Mówią, że lubią klimat tego domu.

Uśmiecham się odruchowo. Dla mnie klimat tego domu zawsze przywodził na myśl tani horror, ewentualnie depresyjny dramat psychologiczny.

Idziemy wzdłuż bocznej ściany i mijamy zewnętrzne schody prowadzące na poddasze. Rozchwianą konstrukcję z drewna zastąpiono porządną, metalową. Zatrzymuję się, zadzieram głowę i spoglądam na drzwi, które też wymieniono. Po obu stronach wbudowano okna. Karwat podąża za moim spojrzeniem.

– Na strychu też wszystko uprzątnęliśmy, ociepliliśmy dach i urządziliśmy pokoje. Wspaniała dodatkowa przestrzeń. W trakcie remontu znaleźliśmy kołowrotek. Nadal tam jest. Zostawiliśmy go jako wystrój wnętrza. Jeżeli chcesz, możesz go zabrać, w końcu należy do ciebie...

Kołowrotek. W uszach wciąż słyszę jego charakterystyczny stukot. Mam wrażenie, że cała się z niego składam. Jestem przędzą na szpuli. Czas przewija się przeze mnie. Jestem lnianą kanwą, utkaną z wielu różnych nici: tych wysnutych moimi palcami, ale i palcami kobiet, które były przede mną.

– Kiedyś przędła na nim moja babka – mówię, chociaż nie wiem, po co mu się zwierzam.

– Wiem.

Przystaję i obracam się w jego stronę.

– Wiesz?

– Czytałem twoją ostatnią książkę. – Poważnieje.

Uświadamiam sobie, że ten obcy facet – przez ten dom, który przypadkiem połączył nasze drogi – jest jedną z niewielu osób na świecie, które znają moją tajemnicę; wie, kim naprawdę jestem, że moja matka pochodzi z tej wioski, że miałam inne życie, nim przeprowadziłam się do Warszawy, nim zaczęłam pisać. Wie, że w *Nocy Mokosz* więcej jest prawdy niż zmyślenia.

– Bardzo mnie poruszyła ta powieść – mówi, patrząc mi w oczy. – To musiało być dla ciebie trudne doświadczenie: tamte wakacje, to, co się wtedy zdarzyło, co odkryłaś.

– Tak – przyznaję.

Zastanawiam się, czy wiedząc, że książka nie jest fikcją, zapyta teraz o staw, lecz jest na tyle taktowny i delikatny, że tego nie robi. Nie drąży tematu.

Ruszamy dalej, kierując się na tył domu. Ogród warzywny wygląda wzorowo, jak z poradnika młodego działkowca. Wypielone inspekty ogrodzono płotkiem. Na trawniku ustawiono parasole i leżaki. Staw szkli

się dalej. Kalina rzuca na niego cień. Jest jeszcze większa i bardziej rozłożysta, niż pamiętam.

Podchodzimy do brzegu zarośniętego tatarakiem. Spoglądam na zielonkawą taflę, na zatopione w niej cekiny słońca. Ten widok robi na mnie piorunujące wrażenie. Wodę w stawie widziałam tylko na zdjęciu. Wciąż je mam. Wprawdzie długo leżało ukryte głęboko na dnie szuflady biurka w moim warszawskim mieszkaniu, ale po napisaniu *Nocy Mokosz* postanowiłam powiesić je na ścianie. Teraz patrzę na nie codziennie. Już nie boję się tego, co na nim widać. Nie boję się tego, kim jestem.

– Odmuliliśmy dno i zasadziliśmy dodatkowe rośliny, żeby napowietrzyć wodę. Dzięki temu jest czysta i ma ten wspaniały zielonkawy kolor – mówi Krzysztof. – Piękny stąd widok, prawda?

– Niezwykły – przyznaję.

Przez chwilę stoimy w ciszy, przyglądając się górom odbijającym się w lustrze stawu. Z tego miejsca mamy doskonały widok na całą dolinę i ukrytą w niej wioskę.

– Wiesz może, co stało się z pensjonatem, tam, na dole? – pytam.

– Tak. Znamy się z Witkiem. Tu wszyscy się znają, jak to zwykle w takich wspólnotach. Ludzie szybko mnie zaakceptowali. Witek pierwszej zimy wyciągnął mnie swoim traktorem z zasy, jak jeszcze nie kupiłem terenówki. Tak się poznaliśmy. To dobry człowiek, pracowity, ale całe życie ma pod górkę. Z tym ich pensjonatem to też przykra sprawa. Ty znałaś jego starszego brata, prawda? Pisziesz o tym w książce.

– Odwraca się do mnie.

– Znałam...

– Po tym, co się wtedy stało, rodzina się rozpadła. To znaczy: nie od razu, ale coś w nich wszystkich pękło. Fama na temat tego, co zaszło, szybko się rozniosła i nikt tu już nie chciał organizować obozów

młodzieżowych. Ojciec Witka nie umiał się z tym wszystkim pogodzić. Turystyczne eldorado podupało. Zaczął mieć problemy ze zdrowiem, jakieś poważne problemy psychiczne. Nie udowodniono mu tego, ale podejrzewano, że sam podpalił pensjonat. Wkrótce potem przeszedł udar. Już się z tego nie wylizał. Witek nie miał jeszcze wtedy osiemnastu lat, a utrzymanie domu i gospodarki spadło na jego i matki głowę.

– On miał jeszcze siostrę. Nie wiesz, co się z nią dzieje?

– Podobno wyjechała zaraz po maturze do Niemiec. Właściwie zerwała kontakt z rodziną. Chociaż wiem od Witka, że jak im tu było, zaraz po śmierci ojca, tak ciężko, to pomagała finansowo. Wyszła tam za mąż, ma dwóch synów, teraz to już dorośli ludzie. Podobno nieźle jej się powodzi. Ale ja osobiście nigdy jej nie spotkałem. Nie przyjeżdża tu.

– Smutne to wszystko.

– Owszem. Witek próbuje na nowo rozkręcić interes. Ma ten jeden domek, który wynajęłaś, ale planuje jeszcze coś zbudować, a w przyszłości może nawet odrestauruje pensjonat. Potencjał wciąż tu jest. Ludzi coraz więcej. Dla wszystkich starczy pracy.

Przez dłuższy moment znowu milczymy. Patrzą na staw i kalinę, której szerokie ramiona pochylają się ku wodzie. Krzysztof też na nią spogląda.

– To największa ozdoba tego ogrodu. Co roku delikatnie ją przycinamy, dzięki temu wiosną pięknie kwitnie, na biało, musiałybyś to zobaczyć, a na jesieni ma mnóstwo czerwonych owoców. Przerabiamy je na dzemy i nalewki.

– To miłe, że wkładasz w to miejsce tyle serca, że o nie dbasz.

– Naprawdę pokochaliśmy z żoną ten dom i ziemię – odpowiada w zamyśleniu. – Nasze dzieci również. Chciałbym, żeby się tu wychowały. Blisko natury, z dala od miejskiego pędu. Żeby poznały

smak zwykłego życia. Sam się dziwię, że tak szybko tu wrośliśmy, ale już sobie nie wyobrażam powrotu do tego, co było.

Słucham go i czuję ulgę. Ten smutny stary dom ostatni raz był tak kochany przez Mareike. Latami czekał, by ktoś tchnął w niego życie. Ja nie dałabym rady po tym wszystkim, co tu się stało, ale Krzysztofowi chyba się udało.

– Jeżeli jesteś zdecydowana, to jutro, najpóźniej pojutrze możemy podpisać umowę przedwstępną – ciągnie. – Mam znajomego notariusza w okolicy, wie, że przyjechałaś. Z kredytem też raczej nie będzie problemu. Tak jak pisałem do ciebie w mailu, w banku już policzyli, że mam zdolność kredytową. Na rozpatrzenie wniosku mają miesiąc. Gdy tylko dostanę zgodę na wypłatę środków, będziemy mogli sfinalizować sprawę.

– Doskonale.

– Na komputerze mam wzór umowy notarialnej, uwzględniającej wszystkie warunki. Jeśli chciałabyś ją przejrzeć...

– Tak, oczywiście, chętnie – wchodzę mu w słowo, błędząc myślami po kresce gór. – Ale czy mogłabym na chwilę zostać tu sama? Zaraz do ciebie przyjdę i przejrzymy te papiery. Dobrze?

– Jasne. Nie spiesz się.

Krzysztof znika za domem. Długo patrzę na kalinę i na taflę stawu, a potem wyjmuję porzewiałą odznakę w kształcie rombu, obracam ją w palcach i wreszcie rzucam w zielonkawą toń. Kręgi rozlewają się na wodzie. Znikają jeden po drugim.

Ogarnia mnie spokój.

Dawno – Mareike

Ostatni dzień stycznia. Trzy lata temu pod Stalingradem pękła wojenna machina Führera, zakrzywiając bieg historii i zmieniając los narodów. Dziś pęknie brzuch Mareike, zmieniając jedynie historię kilku osób i przyszłość domu na wzgórzu.

Poranek zaczyna się jak każdy inny. *Vati* siada na jednym końcu stołu, stary *Potejko* na drugim. Jeden nie patrzy na brzuch córki, drugi na puste krzesło po synu. Mareike przed ojcem stawia miskę z owsianką, *Marianka* przed swoim talerz z chlebem i cienko pokrojoną słoniną. Jedzą we czworo w milczeniu, a potem tamci wychodzą w śnieżną zadymkę: jeden, żeby po niemiecku uczyć Polaków działania maszyn tkackich, drugi, by rozmawiać po polsku z niemiecką krową.

A one zostają same. Wiatr wyje nad górami, śnieg bije w okna. *Marianka* w czarnej żałobnej sukience krząta się po kuchni: zbiera talerze ze stołu, chowa resztki jedzenia i zaczyna zmywać.

Mareike siedzi sztywno na krześle, patrząc w ścianę. Siedzi, ponieważ, skamieniała przerażeniem, nie może się podnieść. Siedzi, bo z chwilą, gdy za mężczyznami zamknęły się drzwi, w jej ogromnym brzuchu coś się poruszyło, a równocześnie dobyło się z niego głucho pyknięcie, jakby pękł zbyt mocno napompowany balon, i teraz wstydzi się Mareike wstać, bo zmoczyła krzesło, a na podłodze rozrasta się kałuża.

Polka kończy wycierać ostatni talerz i dopiero teraz odwraca się w kierunku stołu. I zamiera.

– Bożeż ty mój. – Wpatruje się w plamę na podłodze, a potem podnosi wzrok na pobladłą twarz Mareike. – *Du...* – Szuka słowa. –

Kinder? Już?

Mareike kiwa głową. Już wczorajszego wieczoru to czuła: lekki ucisk w dole brzucha jak przy miesiączce. Przychodził i odchodził. Niezbyt mocny, niezbyt często. W nocy ból się nasilił, a nad ranem przycichł. A teraz ta kałuża. Dziecko? Czy ona właśnie zaczyna rodzić?

Skurcz, tym razem mocniejszy niż poprzednie, zaciska się stalową obręczą poniżej pasa. Z ust Mareike dobywa się syk.

Polka podbiega do niej, dźwiga z krzesła i mówi coś, cały czas mówi, chociaż jej głos jest teraz wyłącznie brzęczeniem pszczoł. Kolejny skurcz łamie ciało Mareike w pół.

Nie tak to sobie wyobrażała.

Frau Paschke wiele razy poruszała temat porodu na zajęciach z biologii i eugeniki. Mówiła, że to nic trudnego, wszystkie kobiety potrafią rodzić. Po to zostały wyposażone w macice: by się rozmnażać, dawać życie. Dzieci, mnóstwo zdrowych i silnych dzieci, należy urodzić na chwałę i potrzeby Rzeszy! Natura jest wspaniała i nieomylna, toteż każdą z nich obdarza instynktem oraz przyrodzoną wiedzą, jak w takiej chwili się zachować, co robić – nie trzeba być lekarzem ani specjalistą. To przychodzi samo. Zwierzęta rodzą same i przecież dają sobie radę, a kobiety – co do ich biologicznego powołania – niewiele się od zwierząt różnią. Poród to nic trudnego, to piękna, podniosła chwila w życiu każdej z nich. Należy tylko zachować spokój.

Zachować spokój?!

Tak mówiła *Frau*, ale Mareike nie ma pojęcia, co robić. Za to ogarnia ją panika. Zimny pot zalewa ciało. *Mein Gott*, jak boli! Mareike umiera. Na pewno umiera. Takiego bólu nie da się znieść. Podobnie czuła tylko raz, gdy zamknęły się nad nią zielone wody stawu.

Polka prowadzi ją, a w zasadzie prawie niesie, do schodów. Skurcz! Mareike nie da rady teraz się po nich wspiać. Jej sypialnia wydaje się równie odległa i niedostępna jak szczyt Hohe Eule. Ale przecież nie może urodzić tutaj, w wejściu do domu, na podłodze, jak suka. Zatem pójdą do gabinetu. To znaczy do pokoju tamtej. Mają do niego najbliżej.

Polka ją podtrzymuje – Mareike ma nogi jak z waty, więc drobia po kilka kroków i zatrzymują się, gdy tylko znowu zgina ją skurcz – wprowadza do środka i kładzie na łóżku. Wokoło zapach martwych polnych kwiatów. Mareike kręci się w głowie. Wszędzie widzi wianki, wianki. Na szafce, na ścianach. Wianki! Z obrazka na biurku patrzy na Mareike Matka Boska z Dzieciątkiem na ręku. Taka spokojna; ona pewnie rodziła bez bólu. Taki cud.

Skurcz!

Dlaczego to tak boli? *Frau Paschke* nie wspominała, że będzie bolało, opowiadała wyłącznie, że to piękna i podniosła chwila.

Oszukała ją. Głupia *Frau Paschke*. We wszystkim kłamała. Jak mogła?! Żeby kobiety kobietom taki los gotowały.

Mareike wyje jak zwierzę. Tak bardzo się boi. Gdyby chociaż ojciec był teraz w domu. Albo gdyby żyła *Oma*, albo *Matthias*, albo *Greta*. Gdyby na strychu był *Szymon*... Usłyszałyby ją, przybiegł tu i złapał za rękę.

Polka pomaga ułożyć się jej na plecach. Podciąga sukienkę, zdejmuje mokrą bieliznę. Co ona wyprawia? – nie ma siły Mareike oponować, gdy tamta rozchyła jej nogi, gdy jej głowa nurkuje między nimi i gdy czuje, jak dotyka jej intymnych miejsc.

– Powinno pójść szybko. Dlaczego nic wcześniej nie powiedziałaś? Przecież to musiało się zacząć już kilka godzin temu.

– Biegnij do młyna, po *Frau* Hermann, matkę Anniki, albo po *Frau* Bartwig!! – krzyczy po niemiecku Mareike, rozrywając się na kawałki.

Ale tamta nie rusza się z miejsca. Może nie rozumie, a może nie chce rozumieć? Patrzy w jej krocze jak zaczarowana.

– Poszłabym po kogoś, ale nie ma już na to czasu.

– *Hilfe!* – błaga Mareike.

– Teraz nie mogę cię zostawić. Zaraz urodzisz. – Nachyla się nad nią i delikatnie głaszcze mokre od potu czoło. – Nie bój się. Poradzimy sobie. Ja już rodziłam. Wiem, jak to się robi. Teraz pójdę zagrzać wody, a ty postaraj się uspokoić. Wdech i wydech. Wszystko będzie dobrze.

Wstaje i wychodzi z pokoju.

Dlaczego wychodzi?! Teraz Mareike na pewno umrze. W samotności. Nie chce w taki sposób umierać.

Skurcz!

Dawno – Marianka

Marianka stawia garnek na fajerce, dorzuca węgla do paleniska i czekając, aż woda się zagotuje, zbiera po domu to, co może jej się przydać: z szafki w holu wyjmuje ręczniki i prześcieradła, z łazienki metalową miednicę i wiadro. Wraca do kuchni.

Po domu niesie się krzyk Niemki.

Z przybornika do szycia zabiera nożyce, igłę i białe nici. Z dna kredensu butelkę wódki, którą ukryła jeszcze wtedy, kiedy żył Tomaszek, bo pełnej flaszce brat by nie przepuścił, szczególnie że to nie byle bimber, a prawdziwa żytniówka, na uroczyste okazje.

Woda wrze. Marianka przelewa ją do miednicy i z naręczem rzeczy wraca do pokoju, dokładnie w chwili, gdy plecy Niemki wygina kolejna fala bólu.

– No już, już. – Podchodzi do niej, uśmiecha się. – Spokojnie.

Znowu nurkuje między nogami dziewczyny. Jej ciało jest gotowe. Szybko poszło, choć to pierworódka. Marianka dotyka czubka głowy dziecka, na którym widoczny jest biały meszek. Dotyka go i czuje, jak również w dole jej brzucha, w jałowym łonie, zaczyna pulsować coś na kształt fantomowego bólu. Ten ból jest przyjemny. Uspokaja ją. Zaraz to dziecko, na które tylko ona tu czeka, które przynosi jej Mokosz, przyjdzie na świat.

– Zaraz będzie po wszystkim – zwraca się do Niemki, zaciskającej pobielające dłonie na kołdrze. – Gdy nadejdzie kolejny skurcz, musisz przeć. Rozumiesz?

Tamta wygląda, jakby nic nie rozumiała, jakby nic nie słyszała. Całkowicie skupiona jest na swoim cierpieniu. Oddycha szybko.

– Tak, dobrze. Oddychaj – mówi głosem słodkim jak miód Marianka, nie odrywając oczu od brudnego od krwi i mazi, pulsującego ciemiączka dziecka. – Pewnie pękiesz. Ja pękłam, gdy rodziłam pierwszy raz. Ale poradzimy sobie z tym.

A potem Mareike znowu się wypręża. Wyje, zaciska powieki i pięści.

Marianka chwyta za główkę, która powoli wysuwa się z krocza.

– Przyj!

Wiatr ze śniegiem wali w okno. Góry czekają w milczeniu.

– No jeszcze trochę. Mocno. Teraz! Przyj!

Krzyk Marianki. Krzyk Niemki. Krzyk gór. Pierwszy krzyk dziecka.

Marianka delikatnie chwyta noworodka. Patrzy na jego ściśniętą twarz, liczy paluszki u rąk i nóg, wreszcie spogląda poniżej sonej żyły pępownicy, której koniec nadal tkwi w Niemce – w miejscu, od którego teraz w kierunku pośladka ciągnie się krwista pręga.

Trzyma w rękach skurczone brudne ciało i zalewa ją fala miłości.

– To dziewczynka – mówi ze wzruszeniem. – *Mädchen*.

– *Mädchen*... – powtarza tamta głosem pozbawionym wyrazu.

Marianka bierze nożyczki i przecina pępwinę. Nitką obwiązuje kikut przy pępku dziecka. Obmywa jego ciało w ciepłej wodzie, zawija w ręcznik i kładzie na piersi Niemki. Chciałaby je potrzymać chwilę dłużej, ale przyjdzie i na to czas. Teraz trzeba doprowadzić sprawę do końca.

– Musisz jeszcze urodzić łożysko. – Chwyta w dwa palce siny sznur i pokazuje tamtej. – Rozumiesz? Musisz znowu przecić.

Niemka wygląda, jakby nic do niej nie docierało, ale kiedy przychodzi kolejny skurcz, prze.

Marianka wyciąga z niej worek przypominający wątrobę, ogląda go ze wszystkich stron, maca, sprawdzając, czy nic nie zostało w środku położnicy, wreszcie wrzuca do wiadra – potem gdzieś go zakopie, w ziemi, ofiaruje Mokosz, jak robiły kobiety w jej wsi.

Sięga po stojącą obok wódkę.

– Będzie dobrze. – Wyciąga zębami korek z szyjki i podaje butelkę Niemce. – Napij się. Muszę cię pozszywać. Paskudnie pękłaś. Będzie bolało, ale nie bardziej niż do tej pory. Wódka przyniesie ci ulgę. No, pij. – Zachęca ruchem głowy.

Mareike chyba nie rozumie, co Marianka od niej chce, więc ta podchodzi do wezglowia łóżka, podtrzymuje jej szyję i sama wlewa alkohol do ust.

– Jeszcze trochę – namawia, kiedy dziewczyna prychnie i z obrzydzeniem przełyka pierwszy łyk. – O tak, właśnie tak, dobrze.

A potem sama także pociąga z gwinta porządny haust, bo chociaż niejedno w życiu widziała, nieco przeraża ją wizja tego, co zaraz będzie musiała zrobić – nigdy wcześniej nie oglądała takiej rany, a tym bardziej jej nie szyła – przemywa wódką dłonie i odstawia butelkę na szafkę.

Nawleka nitkę na igłę. Czuje, jak żytniówka rozlewa jej się po żołądku, jak głaszcze od środka pozornym spokojem. Patrzy z obrzydzeniem na pęknięcie, z którego dość intensywnie sączy się krew, wzdycha – to przecież nie może być trudne – i zabiera się do rzeczy.

Niemka leży bez ruchu, nie patrząc na dziecko, które zawinięte w ręcznik na jej piersi wygląda, jakby spało, i tylko czasem, gdy Marianka przekłuwa jej skórę i przeciąga nić, wydaje z siebie cichy świst.

– Piękna może już tu na dole nie będziesz – mówi Marianka po chwili, zawiązując ostatnią nitkę i obmywając ręce z krwi – ale samo by się nie zrosło, a i umrzeć byś mogła, gdyby się paprać zaczęło. U nas we wsi jednej dziewczuchy, co tak pękła, babka nie zszyła, bo tamta się igły bała. I co? Tydzień trwało, gorączka biedaczkę trawiła, a potem rachuciachu i do piachu.

Przechylając głowę, ostatni raz patrzy na ranę. Cmoka z zadowoleniem – zupełnie niezgorzej się spisała.

Tamta wciąż leży sztywna niczym kłoda, blada na twarzy jak ściana i chyba płacze, choć oczy ma suche – raczej nie ze szczęścia ten płacz – i już Marianka zamierza wziąć od niej dziecko, kiedy z korytarza napływa odgłos pukania do drzwi wejściowych.

– Kogo to lichy... w taką zamieć? – rzuca pod nosem, spoglądając w stronę, skąd doszedł dźwięk.

Niemka nadal obojętnie patrzy w sufit. Znowu pukanie, tym razem nieco głośniejsze.

– Pójdę zobaczyć, co za jeden, a ty leż i się nie ruszaj, i małą dobrze trzymaj. Ja zaraz wracam.

Wychodzi z pokoju, zamyka za sobą drzwi i przemierza korytarz. Odsuwa zasuwę i rozwiera skrzydło na szerokość głowy. Wystawia ją na zewnątrz, na chłód.

Na szczycie schodków wejściowych stoi szczupły młody mężczyzna w porządnym płaszczu, w czarnym kapeluszu i okularach w cienkich metalowych oprawkach.

– *Guten Tag.* – Kłania się Marianne, przekrzykując zamieć.

Niemiec? Raczej nie, bardziej Żyd, ładniutki Żydek, konstatuje Marianka, otwierając drzwi nieco szerzej.

– Dzień dobry – odpowiada niechętnie.

Tamten rozciąga usta w nieśmiałym uśmiechu.

– To pani Polka?

– No. A pan to kto? – pyta, opatulając się połami swetra, albowiem zimno zaczyna przeszywać jej ciało.

– Nazywam się Szymon... – rzuca i milknie, jakby czekał na jej reakcję.

– Szymon jaki?

Mężczyzna wyraźnie się waha. Dziwny się Marianne wydaje. Żyd bez dwóch zdań. Ale skąd tu Żyd? Do tego taki gładki, dobrze ubrany, buty może za lekkie jak na taką zimę siarczystą, ale wypastowane, jak nowe. Tu nikt takich butów nie nosi. Może on jaki miastowy inteligent? A może...?

– Przyjechałem z Łodzi. Szukam Mareike. Mieszka w tym domu.

– Ja jestem Maryjka. I to mój dom – stwierdza hardo.

Tamten wygląda na zakłopotanego. Znowu się uśmiecha.

– Pani jest Mareike?

– Ja – potwierdza bez mrugnięcia okiem.

– Ale mnie o inną chodzi. Mareike Rogen, po polsku: Sarna, taka młoda Niemka, wysoka blondynka, mieszkała tu jeszcze niespełna rok temu – wyjaśnia, a w jego głosie jest coś takiego: zbyt miękkiego, niemal intymnego, co sprawia, że Marianka zaczyna czuć do niego niechęć. Co tę jej Niemkę z takim łączyć mogło? Chyba że...

– Przez jakiś czas mieszkałem u niej. W tym domu – wyjaśnia mężczyzna.

– W tym domu?

– Tak, ukrywała mnie, gdy uciekłem z pobliskiego obozu.

I Marianka doznaje olśnienia. Ależ to jej się w całość układa! A co, jeżeli ta piękna istotka, która przed chwilą na świat przyszła, to wcale nie żadnego Ruskiego żołdaka robota, ale tego tutaj? To by się nawet zgadzało, bo Niemka nigdy o Ruskich nie wspominała. Chociaż, po prawdzie, o niczym nie wspominała. O żadnym Żydku też. Zawsze taka milkliwa, nabzdyczona, wielka dama. Ale ten tutaj... Naprawdę go ukrywała u siebie? A to dopiero. Niemra i Żyd.

W wyobraźni Marianki staje wizja tych dwojga. Zakazana miłość. Tamta taka ładna i on zupełnie niebrzydki. Krew nie woda. Różnie bywa. A teraz on wrócił do niej. Wojna się skończyła, więc mógł już przyjechać. Wolny kraj. Wrócił do swej Niemry i wszystko Mariance odbierze. Odbiorą.

Zza jej pleców dochodzi płacz noworodka. Marianka pokasłuje, żeby zagłuszyć dźwięk.

– Tu jedna taka mieszkała – mówi głośno. – Ale ja nie wiem, panie, czy ona Maryjka, czy inna. Wyjechała stąd, będzie zeszłego lata, na Zachód, z ojcem. A dom i gospodarkę po Niemcach w urzędzie repatriacyjnym nam przydzielono. To teraz nasze.

Resztki uśmiechu spelzają z twarzy mężczyzny.

– I nie ma pani ich nowego adresu, nie wie, dokąd dokładnie się udali, do jakiego miasta w Niemczech?

Znowu płacz w głębi domu, tym razem głośniejszy. Ten w ładnym płaszczu chyba coś usłyszał, bo spogląda pytająco na Mariankę.

– Dziecko mi płacze – stwierdza, bo dalej udawać nie sposób. – Trza mi iść do niego, pewnie głodne.

– Bardzo panią proszę – mężczyzna nie ustępuje – ja ją muszę znaleźć.

– Co panu poradzę – prycha z irytacją – kiedy nie wiem, gdzie oni teraz! Co mnie jakież Niemce obchodzą? Niech wszyscy idą do diabła!

Płacz dziecka miesza się z wyciem wiatru.

– Rozumiem. – Wygląda na głęboko poruszonego, na rozczarowanego. – Gdyby jednak ona tu kiedyś wróciła albo gdyby odezwała się do pani... proszę jej powiedzieć, że tu byłem, że jej szukam. Nazywam się Szymon. Ona będzie wiedziała, o kogo chodzi.

– Tak, tak, oczywiście, powiem, przekażę, ale teraz już muszę do dziecka. Chyba pan słyszysz?

– Bardzo proszę...

– Żegnam.

Zatrząskuje mu drzwi przed nosem.

Rozciera zgrabiałe dłonie, przemierza korytarz, oddychając głęboko, by się uspokoić. Wchodzi do pokoju, gdzie leży Niemka.

– Głodna jest. – Wskazuje od progu na dziecko, które Mareike, coraz bliższa leż, trzyma nieporadnie. – *Kind, Milch, Essen.* – Wskazuje na usta. – Musisz dać dziecku jeść. Na pewno masz pokarm.

– *Wer es war*²⁸?

Marianka ignoruje pytanie dziewczyny.

– Dziecko jest głodne, rozumiesz? Trzeba je nakarmić. Dlatego płacze.

Nie pytając o zgodę, rozpina górne guziki sukienki Mareike i przykłada dziecko do piersi. Dziewczynka natychmiast zaczyna łapczywie ssać. Marianka przysiada na skraju łóżka, patrzy.

– Jak jej dasz na imię? *Kind, Name.* – Dotyka opuszkami palców jedwabistej główki.

Niemka również patrzy na córkę, ale wygląda, jakby pytanie Marianki ją zaskoczyło. Może dotąd nie myślała, jak nazwie dziecko?

– Ursula – mówi po dłuższym namyśle.

– Urszula? – powtarza Marianka. – Po naszymu Ula. Ładnie, krótko. Niech będzie.

28 (niem.) Kto to był?

Noc Mokosz

Wtedy – Mania

W sobotę budzę się, kiedy słońce wisi już wysoko na niebie, malując złotem i ochrą trawy na zboczach Gór Sowich. Ubieram się i schodzę do kuchni. Na stole stoją kanapki, ale babci Maryjki już nie ma. Wczoraj wspominała, że zamierza iść do kościoła na mszę z okazji święta Matki Boskiej Zielnej.

Spoglądam na zegar w kuchni. Dochodzi dwunasta. Impreza ma się rozpocząć wraz zachodem słońca, więc zostało wiele godzin. Napełniam szklankę sokiem z jeżyn, siadam przy stole, żeby zjeść śniadanie, i właśnie chwytam za kanapkę, kiedy od strony drzwi wejściowych dochodzi dźwięk klucza przekręcanego w zamku. Słyszę, jak babka wchodzi do domu, a potem idzie prosto na górę. Przez kilka minut krząta się po sypialni, pewnie przebierając się z kościółkowej sukienki w domową, wreszcie schodzi do holu i staje w drzwiach kuchni.

– Śpiąca królewna wstała? – rzuca na mój widok z wystudiowaną wesołością. – Słyszałam, że znowu tłukłaś się do późna. Masz problemy ze snem?

– Cześć – witam ją.

Nalewa sobie soku i wypija duszkiem.

– Okropny upał – wzdycha, przecierając usta. – W kościele duchota, a ksiądz chyba specjalnie przeciągał kazanie.

– Babciu... – Odkładam kanapkę z powrotem na talerz.

Ona nerwowo zaczyna się krzątać po kuchni, jakby uciekała przed pytaniami, których i bez jej uników nie umiem zadać.

– Nie mam teraz czasu, Mania, muszę iść na łąkę nazbierać ziół. Dzisiaj święto Mokosz.

Przed oczami staje mi scena, gdy zastałam ją klęczącą pod krzakiem kaliny przy stawie i szepczącą w ziemię. Czuję skurcz w żołądku. A równocześnie nie mogę powstrzymać uśmiechu – uderza mnie absurd sytuacji: babka właśnie wróciła z kościoła, gdzie w pierwszym rzędzie modliła się do Maryi, żeby teraz iść na łąkę i oddawać cześć pogańskiej bogini. Cyrk.

– Chyba ma babcia na myśli święto Matki Boskiej Zielnej? – bąkam.

– A ty, widzę, nadal nic nie rozumiesz – zaperza się. – Jedno drugiego nie wyklucza. Nie dziwi cię zbieżność dat?

Kręcę głową.

– Przecież opowiadałam ci o Mokosz. Zanim człowiek wymyślił sobie chrześcijaństwo, te wszystkie kościoły, złote ołtarze, była ona. Tylko ona. Matka ziemi wilgotnej i jej życiodajnych soków, Wielka Tkaczka losu. Mokosz jest stara jak świat i to przede wszystkim jej należy dzisiaj oddać cześć jako bogini urodzaju, wieczności łąk i płodności.

– Będziesz, babciu, znowu składać ofiary? – Staram się zachować powagę. Przypominam sobie stare porzekadło o Bogu, diable, świeczce i ogarku.

Ignoruje moje pytanie. Chwyta koszyk i najwyraźniej zamierza wyjść z kuchni.

– Babciu!

– Tak? – Niechętnie zatrzymuje się w drzwiach.

– Dziś wieczorem jest ognisko na Niczyjej. Chciałabym pójść, ale pewnie wrócę późno.

– No nie wiem. To nie jest dobry pomysł. Wolałabym, żebyś dziś została w domu. – Poważniej. Minę ma tak grobową, jakbym nie wybierała się na imprezę, ale na wojnę.

– Możesz być o mnie spokojna. Dominika też tam będzie. I jeszcze inni znajomi.

– Mówisz o tych chłopakach z pensjonatu? – pyta.

– Jutro kończy się turnus, wyjeżdżają, więc pewnie też przyjdą, żeby się pożegnać – przyznaję z ociąganiem.

– Tym bardziej nie powinnaś tam iść. Pamiętaj, Mania, że to jest noc Mokosz. – Jej głos się zmienia. Staje się niski i gardłowy. Tak mówiła w ziemię. – To czas pożądania i nowego początku. A czasami także końca. W takie noce różne namiętności potrafią człowiekiem zawładnąć.

– Co ty znowu, babciu, wymyślasz? – Próbuję się uśmiechnąć, chociaż nie jest mi do śmiechu. To, jak mówi, jak na mnie patrzy, przyprawia mnie o dreszcze.

– Wiesz, że dawniej ludzie świętowali noc Mokosz, spółkując na wilgotnej ziemi – dodaje nagle.

Odruchowo myślę o Hubercie i zalewa mnie fala wstydu. Nerwowo zaciskam drżące dłonie. Na wskazującym palcu wciąż tkwi ślad po igle wrzeciona. Rana jest dość głęboka i od kilku dni nie chce się zagoić. Teraz znowu na opuszce pojawia się czerwona kropka.

– Babciu, proszę cię, to przecież zwykłe ognisko, nie planujemy żadnych orgii.

– Zrobisz, co zechcesz, ja cię tylko ostrzegam.

Wychodzi, a po chwili słyszę, jak zamyka drzwi wejściowe.

Wkładam palec do ust. Wypełnia je smak krwi.

Nie mam już ochoty na śniadanie, więc dopijam tylko sok, chowam do lodówki talerz z nadgryzioną kanapką i idę na górę. Przebieram się w świeże ubranie, bo przez wzmagający się upał czuję się brudna, skórę mam lepka od potu. Kładę się na łóżku, zakładam słuchawki i na cały regulator włączam *Smells Like Teen Spirit*, żeby monotonnym rockowym riffem wykastrować myśli z głowy. Babka i te jej bóstwa, duchy, bracia bez głowy, groby i tajemnice! Przekręcam się z boku na bok. Wstaję, podchodzę do okna. Nie umiem znaleźć sobie miejsca. Muzyka nie pomaga. Wyłączam discmana i rzucam na łóżko. Do wieczora zostało jeszcze kilka godzin, ale muszę się gdzieś ruszyć, coś ze sobą zrobić, żeby nie oszaleć.

Zbiegam po schodach i wychodzę na podwórko. Po babce nie ma śladu i tylko czarny kocur drzemie w cieniu stodoły. Ruszam bez celu przed siebie. Okrążam dom i mijam ogródek. Przez chwilę patrzę na góry – są takie spokojnie, dlaczego, kurwa, są takie spokojne, kiedy we mnie toczy się burza? – i wreszcie mój wzrok wędruje w stronę pustego stawu i krzaku kaliny.

W miejscu, gdzie kiedyś zastałam babkę na kolanach, z uchem przy trawie, teraz widzę jej psa. Stary bury kundel grzebie w ziemi jak oszalały. Już prawie cały przód psiego tułowia ginie w wykopanej dziurze. Zabawa najwyraźniej sprawia mu przyjemność, bo merda ogonem.

Zaciekawiona podchodzę bliżej.

– Da ci babcia popalić, sierściuchu, gdy zobaczy, jaką jamę wywaliliś w jej ukochanym ogródku. – Próbuję się uśmiechnąć.

Pies na dźwięk głosu na moment odwraca łeb w moją stronę, ale zaraz znowu zabiera się do rycia.

– Coś ty tam, piesku, znalazł? – Postępuję jeszcze kilka kroków naprzód. – Dokopałeś się do złotego pociągu albo innego poniemieckiego skarbu?

Pokonuję ostatnie metry dzielące mnie od psa.

– No pokaż, co tam masz. – Kucam przy nim i kładę rękę na futrzanym grzbiecie.

Wtedy unosi łeb, a ja widzę, co trzyma w zębach. Cała krew odpływa mi z ciała. Tym razem, inaczej niż w sztolni, nie mam wątpliwości, co to takiego. Przerazona krzyczę i opadam na plecy. Pies, zadowolony ze znaleziska, odchodzi kawałek dalej, układa się na brzuchu i przytrzymując kość łapą, zaczyna ją podgryzać. Z trudem dźwigam się z trawy – zbiera mi się na wymioty, przed oczami pulsują wielobarwne plamy.

– Oddaj mi to, piesku – proszę, nachylając się nad zwierzęciem.

Nie ma ochoty dzielić się zdobyczą, więc muszę siłą wyciągać kość z psiego pyska. Warczy na mnie, ale wreszcie odpuszcza. Wycieram ją ze śliny i ziemi – przeciągam palcami po podłużnej wypukłości trzonu, dotykam guzka stożkowatego – a potem przykładam do własnego obojczyka. Są tej samej długości.

Po twarzy ciekną mi łzy. Zasłaniam usta pięścią, żeby zdusić krzyk. Wszystko robi się jasne.

Czuję dotyk dłoni na ramieniu, podskakuję jak rażona piorunem. Za mną stoi babka Maryjka z naręczem ziół. Wpatruje się w kość.

– Źle się stało – szepcze tak cicho, że niemal jej nie rozumiem. – Źle, żeś to znalazła.

– Co to jest, do cholery? Powiedz, co to jest?! – Podnoszę się powoli z ziemi.

Ona milczy, jej blade wargi drżą. Stoję przed nią. Jestem wyższa od niej o głowę. Podobna do matki, niepodobna do babki.

– Kim była Mareike? Czy to jej kości? – pytam, ale ona ciągle nie odpowiada. Teraz i ona ma mokre oczy. Taka mała mi się wydaje i taka stara. Taka bezbronna. Miałabym ochotę ją zgnieść. – Kim ona była?! Zabiłaś ją?! – krzyczę. – Tak jak swojego brata?! Powiedz mi! No powiedz!

Babka wyjmuje mi kość z zaciśniętej dłoni, odchylając palec po palcu.

– Cichaj, Mania, no już, już cichutko, dziecko.

Płaczę.

– Ja ci wszystko wyjaśnię. Wszystko ci opowiem.

Dawno – Mareike

Czerwcowe słońce wlewa się do kuchni. Dochodzi czternasta.

Ta Polka ma niespożyte pokłady energii, myśli Mareike, patrząc, jak tamta krząta się po kuchni, przerabiając pierwsze tego roku truskawki.

A Mareike nie ma na nic siły, chociaż Ursula nie jest uciążliwa. A jednak od chwili, gdy przyszła na świat, Mareike z każdym dniem słabnie coraz bardziej i coraz mniej ma chęci do życia. Niemal fizycznie czuje, jak odkleja się od świata. Rzadko wychodzi z domu, a granic gospodarstwa nie przekroczyła ani razu. Z nikim też się nie spotyka. Nawet z Anniką, która gościła tu ostatnio wiele miesięcy temu, jeszcze gdy Mareike była w ciąży.

Beznamiętnie buja małą w kołysce stojącej przy stole. Stary Potejko wygrzebał ją spośród rupieci zgromadzonych w komórce przy bielarni. Uzupełnił ubytki w drewnie, wyczyścił i pomalował na niebiesko, bo jak wytłumaczył Mareike na migi, od tego koloru muchy trzymają się z daleka.

Spogląda na śpiącą córkę. Na szczęście Ursula nie przypomina nikogo, kogo Mareike nie chce pamiętać. Nie ma w niej ani skrawka ciemności. Skóra zdarta z matki. Ma jasne oczy i włosy, a nawet małe znamię w kształcie serca na prawym udzie poniżej pośladka: miękkim i tłuściutkim udzie, przypominającym drożdżowe ciasto. I jest wyjątkowo spokojna. Przesypia noce, rzadko płacze, za to często się uśmiecha. Wyciąga rączki, gdy ktoś zamierza wziąć ją na ręce. Potrafi gugać i wodzić wzrokiem za zabawkami. Jak na czteromiesięczne niemowlę naprawdę sporo potrafi.

A Mareike nie potrafi – nie potrafi tej istoty pokochać.

Nawet karmić szybko przestała, kilka dni po porodzie zaledwie, bo w piersiach nie miała pokarmu – tyle dobrego, że ci, co dom po doktorze zajęli, teraz trzymają kozę i z mlekiem nie ma problemu.

Mareike prawie nie dotyka córki, nie przytula, nie lula. Nie czuje żadnego instynktu, o którym tyle opowiadała *Frau Paschke*.

W zasadzie, gdy tylko może, oddaje dziewczynkę pod opiekę Polce, bo ta na jej punkcie zwariowała do reszty. Całe dni tylko by ją na rękach nosiła. Śpiewa jej jakieś dziwne ludowe przyśpiewki, chodzi do ogrodu, karmi i zmienia pieluchy.

– *Mir geht es nicht gut. Ich gehe nach oben, das klar?*²⁹ – rzuca w stronę dziewczyny.

Tamta odwraca się od wielkiego gara stojącego na kuchni, w którym miesza owoce, by nie przywarły do dna, i potakuje głową. Mareike puszcza krawędź kołyski, podnosi się i idzie do siebie na górę, do sypialni. Siada na parapecie i patrzy na góry. I zastanawia się, co powinna zrobić. Czas się dopełnia. Niewiele go Mareike pozostało na podjęcie decyzji.

Tydzień temu po pracy w pokoju odwiedził ją *Vati*. Stanął przy oknie, zerknął obojętnie na puste łóżeczko Ursuli – chwilę wcześniej Polka zabrała dziecko na wieczorny spacer – a potem na zachód słońca rozpalający góry i powiedział, że ich czas tutaj właśnie dobiegł końca.

Pewien mężczyzna, z którym *Vati* pracuje w fabryce, ostrzegł go, że znowu są na liście wysiedleńczej i że kolejny transport rusza już za kilka dni. Można by spróbować za łapówkę wykreślić ze spisu ich nazwisko, lecz podobno to ostatni rzut, który trafi na Zachód, do brytyjskiej strefy okupacyjnej. Wszystkie kolejne pojedą na tereny podległe Rosjanom.

Wdowa po Bartwigu też jest na liście i Shuttowie, i *Frau Hermann* z Anniką, Johannem jakąś i Rudim. Wszyscy zdecydowali się jechać.

Vati wolałyby zostać, bo wciąż uważa, że tu jest ich dom i przyjdzie moment, że Niederschlesien znowu będzie niemiecki, aczkolwiek długo nad tym myślał i doszedł do wniosku, że chyba na tę chwilę nie mają innego wyjścia. Muszą opuścić Heimat. Tak będzie dla nich najlepiej. Prędzej czy później i tak ich stąd przepędzą, a trafić pod zarząd Ruskich to jak trafić do piekła.

A zatem plan jest taki: *Vati* przez najbliższe noce, gdy Potejkowie zasną, będzie pakował co cenniejsze przedmioty: porcelanę, pamiątki – żeby Polacy nie próbowali przywłaszczyć ich rzeczy – a rankiem po trochu wynosił je do pracy, gdzie w magazynie fabrycznym wszystko przetrzyma do wyjazdu. Wtedy też Mareike zabierze kilka ubrań, swoich i dziecka – ale też niepostrzeżenie, by nie wzbudzać podejrzeń tych z dołu – i przed siedemnastą, gdy zaplanowany jest odjazd furgonów, dołączy do ojca w Walimiu. A stamtąd ruszą dalej, w nieznaną.

Mareike, słuchając go, czuła, jakby ktoś na żywca wycinał z niej duszę, kawałek po kawałeczku, i chyba bardziej to nawet bolało, niż gdy Polka po porodzie cerowała jej ciało. I znowu uderzyła ją myśl, że jednak umrzeć można na wiele sposobów, na wielu poziomach, niekoniecznie wtedy, gdy się przestaje oddychać.

Gdy *Vati* skończył mówić, przez długą chwilę trwali w ciszy – oni i ten wielki dom, i góry za oknem – a wreszcie Mareike wyznała, że nie jest gotowa, że to ponad jej siły, a i dziecka na trudy podróży na pewno wystawić nie można. Nadal jest zbyt małe. Dlatego lepiej, by Mareike przez czas jakiś jeszcze tu pozostała. Niech *Vati* sam jedzie. Niech znajdzie nowe miejsce do życia, uwije gniazdo i wtenczas ich ściągnie do siebie.

Vati w milczeniu tylko kiwał głową. W jego oczach Mareike nie była już dzieckiem, osiemnastoletnim podlotkiem. Teraz przede wszystkim była matką i miała prawo decydować o sobie.

– Zrobisz, jak zechcesz – rzekł bez wyrzutu. – Lecz ja i tak będę czekał na ciebie do chwili, nim zapuszczą silniki.

Mareike myśli o tamtej rozmowie i patrzy na góry, to znowu na zegarek stojący przy łóżku – jest za kwadrans piętnasta, zaraz na wszystko będzie za późno. I słyszy wciąż słowa ojca, który wychodząc dziś raniem, jak gdyby nigdy nic, do pracy, znów szepnął jej w ucho, że liczy, iż zmieni decyzję i przybędzie na miejsce zbiórki przy stawie.

Potem zarzucił teczkę na ramię, ogarnął córkę spojrzeniem pełnym miłości, której nigdy nie umiał wyznać słowami, i pocałował w głowę Ursulę, trzymaną przez Mareike na rękach – pierwszy raz to zrobił i może ostatni. Wkrótce zniknął na drodze, która już nie jest drogą do Wüstewaltersdorfu, ale tylko drogą donikąd.

Mareike wspomina ten moment i dociera do niej, że *Vati* miał rację – to już nie jest ich miejsce. Wszystko skończone. Czas po brzegi nalany. Nigdy nie będzie jak kiedyś, nie ma *Omy*, *Matthiasa* i *Klausa*, i nawet *Szymon*, choć obiecywał, nie wrócił.

Zeskakuje z parapetu, wyciąga z szafy stary plecak, którego używała jeszcze na obozach BDM, a potem także podczas dzikiego wypędzenia przed rokiem, i wrzuca do środka trochę najpotrzebniejszych rzeczy. Ubrania, śpioszki i pieluchy Ursuli.

Ostatni raz patrzy na pokój i zbiega do holu, zostawia plecak przy drzwiach wejściowych i wchodzi do kuchni. Polka wciąż miesza w garnku truskawki, słodka woń kojarząca się z bezpieczeństwem i domem uderza Mareike w nos.

Wyjmuje drzemiące dziecko z kołyski.

– *Ich gehe mit meinem Kind spazieren*³⁰ – rzuca w stronę dziewczyny i nie czekając na jej reakcję, wycofuje się do holu, gdzie zostawiła plecak.

Zakłada go na ramiona – jest ciężki, ale to dobrze – i wychodzi przed dom. Stoi na szczycie schodów i przez chwilę patrzy na drogę. Na kościół, cmentarz i zajazd. Mareike jest częścią tego wszystkiego. Ona i góry są jak jeden organizm, i to się nigdy nie zmieni. Nie zmieni tego nawet śmierć.

Ursula podnosi wzrok i ciekawie przygląda się matce. Z wnętrza domu dochodzą kroki. Polka chyba zrozumiała, co się dzieje. Nie pozwoli jej odejść i zabrać ze sobą dziecka.

Mareike bierze głęboki oddech – powietrze pachnie wilgotną ziemią i przeznaczeniem – a potem zbiega na podwórko po schodach.

.....
29 (niem.) Nie czuję się dobrze. Idę na górę, dobrze?

30 (niem.) Idę z dzieckiem na spacer.

Noc Mokosz

Wtedy – Mania

Gdy wdrapuję się polną ścieżką, przecinającą zbocze Niczyjej, w kotlinach umierają resztki dnia. Zapada zmrok i robi się chłodno.

Góra przede mną rośnie, wyszeptując w wieczornym tchnieniu opowieść o końcu lata i utracie niewinności. Góra tajemnic we mnie z każdym krokiem eroduje i rozsypuje się w proch – słowa babki ciągle huczą mi w głowie.

Mareike, Marianka, Maryjka. Dziewczyna w kolorze sepii, dziewczyna ze stawu, spoglądająca smutno przez ramię w obiektyw: matka mojej matki. W dłoni zaciskam starą odznakę, która podobno dawniej należała do niej.

Mareike, Marianka, Maryjka. Śmierć, kości, bezgłowe upiory, stare domy, stare groby, *bór nici wąskie palce i krosna wierności, oczekiwania ciemne flukta* – przędza nieskończoności snuje się we mnie.

Zatrzymuję się, żeby wyrównać oddech. Łzy wciąż cieką mi po twarzy. Szczyt Niczyjej nie jest wysoki, ale podejście, szczególnie jego ostatni odcinek, męczy.

W oddali widzę już ognisko i ludzi zgromadzonych wokół. Po zboczu przetacza się muzyka i śmiech. Dym splata się w siwy warkocz i rozplywa w granacie wieczoru. Iskry rozsiewają pierwsze gwiazdy na niebie.

To noc Mokosz – szepczą trawy. Czas pożądania i nowego początku.

Wycieram łzy, staram się uciszyć słowa babki Maryjki w głowie – dziś już nie będę o tym myśleć. Teraz zamierzam się bawić. Poprawiam włosy i pokonuję ostatni odcinek dzielący mnie od ognia. Wchodzę w czerwony krąg światła.

Wszyscy już tu są: Dominika, jej koleżanki, chłopaki z obozu, syn Nawrota, Misiek, a także wiele innych osób, których nie znam.

I jest Hubert – siedzi na jednej z kamiennych ławek i patrzy wprost na mnie.

Na turystycznym stoliku obok stoją napoje, plastikowe kubki, torby z chipsami i kielbasą na ognisko. Boombox dudni basem, wprawiając górę w drzenie. *Wszystko się może zdarzyć*, zapewnia nas Anita Lipnicka, jakby to była prawda objawiona, o której dotąd nie wiedzieliśmy.

Dominika odrywa się od Julka i koleżanek, podchodzi do mnie, rzuca się na szyję z przesadną wesołością i całuje w policzek, zostawiając na nim lepki ślad błyszczyka.

– Fajnie, że przyszedłaś – ćwierka mi w ucho. Śmierdzi fajkami, wódką i słodkimi perfumami. – Płakałaś? – Przygląda mi się uważnie.

Mareike, Marianka, Maryjka, śmierć, kości, bezgłowe upiory, stare domy, stare groby...

– To przez dym. – Wierzchem dłoni przecieram policzek z błyszczyka.

– No to luz. Zajebista noc, co nie? Wszystko się może zdarzyć – wtóruje Lipnickiej. – Chodź, przedstawię cię dziewczynom. Większość to moje kumpele z Nowej Rudy, ale jest jedna fajna laska z Jugowa, też od nas z ogólniaka. Właśnie dostała się na informatykę w Warszawie. Tak samo jak ty zakręcona na punkcie grunge i też nosiła żałobę po Cobainie. Na pewno się polubicie – papla jak nakręcona.

Jej koleżanki nic mnie nie obchodzą. Większość przypomina Spicetki – w kusych kieckach, z głębokimi dekoltami, z powiekami błyszczącymi od brokatu – i tylko ta z Jugowa, niebrzydka blondynka z piegami na nosie i czerwonymi ustami, wygląda jak Gwen Stefani w teledysku *Don't Speak*. Doma rzuca ich imionami. Nina, Ola, Kasia, Basia... Żadnego nie zapamiętuję. Słowa przepływają przeze mnie, nie pozostawiając po sobie śladu. Witam się z Julkiem i resztą chłopaków z obozu.

Któryś wsadza mi w dłoń plastikowy kubek.

– Co to? – pytam.

– Kompozycja autorska. Duch Gór.

– No nie wiem.

– Z nami się nie napijesz?

Mareike, Marianka, Maryjka...

– No dawaj, Mania!

Przechylałam kubek. Spod smaku coli wybija syntetyczny smród wódki brzoskwiniowej, na języku bąbelkuje ruski szampan.

– Obrzydliwe. – Krzywię się.

Dominika rechocze.

– Dajcie jej na drugą nóżkę.

Znowu przechylałam do dna. Tym razem smakuje lepiej. Wódka rozpala wnętrze, brzoskwiniowy ogień musuje mi w gardle.

– Przyszłaś – słyszę przy uchu głos Huberta. Obejmuje mnie poufale. Usta Dominiki przecina grymas, odwraca się do Julka, by na nas nie patrzeć.

Czuję, jak alkohol rozlewa się po moim pustym żołądku – nic dzisiaj nie jadłam – i powoli wpompowuje spokój w żyły. Kolory stają się

żywsze, ogień cieplejszy, głosy w mojej głowie są już tylko cichym szelestem. Hubert otacza mnie ramionami. Noc otacza mnie ramionami. Dobra, ciepła Mokosz.

Siadamy przy ogniu.

– Zrobię ci kielbaskę, żebyś się za szybko nie złożyła.

Jakie to miłe, że o mnie dba. Bo o mnie nikt nie dba. Moja matka to egoistka. Woli ode mnie pana Romana i caro z radiem, w welurze metalik. Głupia kurwa – chyba jestem coraz bardziej pijana. Niepostrzeżenie spoglądam na starą odznakę, którą wciąż ściskam w dłoni. Jestem wnuczką nazistki i córką kurwy.

Hubert podaje mi kielbaskę. Jem. Pyszna. Uśmiecham się do niego. Teraz już wszystko jest super. Kciukiem wyciera mi resztki ketchupu z kącików ust. Ktoś znowu podaje mi kubek. Znowu piję. Znowu się śmieję. Jestem królową wieczoru.

Hubert mnie całuje. To takie przyjemne. Niech scałuje ze mnie cały ten szlam, który mi dziś babka Maryjka wylała na głowę.

Wokół ogniska robi się tłoczno. Przychodzą kolejne osoby. Dzieciaki z pobliskiej wioski i jacyś dziwni kolesie w czarnych skórach. Jednego poznaję, to ten z beemki, który mnie prawie przejechał. Chaos i śmiech. Dicho i dres. Umcy-umcy.

– Muszę z kimś pogadać. Poczekaj tu na mnie. – Hubert całuje mnie w ucho. Odchodzi. Niech idzie.

Gada z tamtymi w ciemnościach. Ja patrzę sobie w ogień. Rozmawiam z kimś. Nie wiem z kim. Chyba z tą Gwen Stefani czy też Niną. Czas płynie obok. Kolejne kubki z Duchem Gór. Dużo plastiku. Pod nogami, w trawie, pogryzione drobiny w ustach. Hubert znowu jest przy mnie. Pali elemy, jakiś taki zmartwiony. A ja znowu piję. I tańczę, tańczymy. I coraz bardziej jestem nawalona, i coraz bardziej znikam.

Wreszcie mogę odkleić się od tego lata, od Mareike, Marianki, Maryjki, od wiochy pełnej duchów i kości. Chuj im wszystkim w dupę... Mam ochotę na chipsa.

Jem chipsy i piję. A jego dłonie wciąż na moich plecach. Palce pod koszulką. Na obojczyku. Wypukłość trzonu, guzek stożkowaty. Kość. Mareike...? Jego dłonie na moim brzuchu.

Ktoś puszcza *When You're Gone The Cranberries*.

– Mam coś ekstra na dzisiejszy wieczór. – Hubert niepostrzeżenie wyciąga z kieszeni strunową torebkę z proszkiem.

– Co to?

– Zrobi ci się po tym lepiej. Przetrzeźwiejesz. – Bierze odrobinę na palec i przystawia mi do nosa, tak by nikt nie widział. – Wciągnij.

Zasłania mnie ciałem, gdy wdycham proszek. Potem sam też wciąga kreskę.

I zaczyna piec mnie w nosie, i spływać goryczą do ust. I robi się fajnie. A on znowu mnie całuje. Czuję wszystko po stokroć. Ciepło z ogniska na twarzy i podniecenie wypełniające brzuch. Ciepłe ramiona Mokosz. Noc płynie i ja płynę po niebie, aleją gwiazd, aleją gwiazd.

– Chodźmy stąd – mówi Hubert i pociąga mnie w ciemność.

Widzę, że Dominika odprowadza nas wzrokiem. Nie podoba mi się, jak na nas patrzy. Niech się wali. W krzakach ktoś się obmacuje, ktoś puszcza pawia. Musimy iść dalej. Musimy być sami. Mrok i las. Pokonujemy stary piarg usypany przez pasterzy. Kamienie wysuwają się spod stóp. Jego ręce na mojej szyi, na ramionach i piersiach.

Opadamy na trawę.

Zaciskam w dłoni odznakę w kształcie rombu. Mareike, Marianka, Maryjka. Nad głową majaczą mi czarne świerki i zbocze góry o dwóch

wierzchołkach, którą kiedyś, na długo, nim się urodziłam, nazywano Neumanns-Koppe. Jej trawiaste wilgotne ciało niecierpliwie unosi się i opada, las porastający szczyty zdaje się oddychać. Powietrze pachnie dymem i tajemnicą kryjącą się w trzewiach Olbrzyma.

Czuję, że ktoś nas podgląda.

Kto tu jest?

Teraz – Maria

Znajduję się na poddaszu domu na wzgórzu. Oddycham tajemnicami, kurzem i drobinami lnianego paździerza unoszącymi się w powietrzu. Nocny krzyk saren wypełnia mi głowę. Nie boję się. Wiem, że to sen, chociaż nie potrafię się obudzić. Siadam przy kołowrotku. To ja przy nim siadam czy Mareike, a może babka Maryjka? Jestem nią, nimi? Przędę. Dokładam kądziel na przęślicę. Przyciskam pedał i wprawiam w ruch koło napędowe. Nitka zaczyna żyć między moimi palcami.

Musisz uważać, Mareike. Mario, jeżeli ukłujesz się w palec, zapadniesz w sen na sto lat. Dotykam wrzeciona. Opieram na nim opuszkę palca. Chcę poczuć ból. Chcę się obudzić. Przez sen słyszę swój tłumiony głos, ale stukot go zagłusza. Usta mam zakneblowane przędzą. Duszę się nitkami. Wyciągam je, jedna po drugiej, uwalniam się z ciszy i niemocy. I wreszcie czuję ból. Czuję!

Budzę się na antresoli czarnego domku zlana potem. Chwytam powietrze jak topielec wyciągnięty z wody. Przecieram oczy i spoglądam na dłoń, którą trzymałam pod głową. Na bandażu widnieją ślady świeżej krwi. Niewiele jej, ale ubrudziłam także poszewkę poduszki. Podnoszę się, żeby ją zdjąć. Kiedy dotykam bawełny zranionym palcem, czuję ból.

Czuję?! A więc wszystko wraca do normy.

Zabieram brudną poszewkę na dół i idę prosto do łazienki. Wrzucam ją do umywalki, zalewam zimną wodą, a sama idę pod prysznic.

Potem robię sobie kawę i wychodzę na taras. Moja komórka wibruje na stole. Dostaję wiadomość od Krzysztofa Karwata. Zawiadamia, że notariusz będzie na nas czekał o czternastej.

A zatem dziś po południu będę mogła wrócić do Warszawy. Wreszcie! Wpatruję się w zamyśleniu w wyświetlacz telefonu. Sądziłam, że kończąc sprawę domu, poczuję ulgę, i czuję, ale tylko częściowo. Wiem, że to jeszcze nie koniec.

Wybieram z listy ulubionych kontaktów numer Jakuba. Odbiera po jednym sygnale.

– Masz coś dla mnie? – pytam bez wstępów.

– Właśnie miałem do ciebie dzwonić – mówi wyraźnie podekscytowany, nim jeszcze sama zdążę się odezwać. – Dziś z samego rana dostałem mailem skany od tego kumpla z redakcji we Wrocławiu, o którym ci wspominałem. Wyciągnął papiery z wałbrzyskich archiwów. Właśnie skończyłem czytać. Nie jest tego wiele jak na sprawę dotyczącą morderstwa.

– Morderstwa?

Przysiadam na leżaku.

– Tak.

Telefoniczne łącze zalepia na chwilę tłusta cisza.

– Mów – rzucam.

Słyszę, jak Jakub ciężko wzdycha.

– Na ciało chłopaka natrafiono z początkiem września, ponad dwa tygodnie po tym, jak odnaleziono ciebie. Wpadł na nie jakiś grzybiarz w miejscu, które, jak twierdziła policja, nie zostało wcześniej przeszukane. Nikt się nie spodziewał, że zwłoki mogły zostać ukryte tak blisko ogniska. Ciało w znacznym stopniu rozkładu leżało na skraju lasu, tam, gdzie zaczynają się pasma łąk. Było przysypane zwałem kamieni, ale widocznie, gdy zaczęło się psuć, musiał je wygrzebać na wierzch jakiś dziki zwierzak. Może lis albo wilk. Kojarzysz, co to piarg?

– Usypisko skalne w górach.

– Dokładnie. Zwykle jest to formacja naturalna, ale na tym zboczu, o którym mówimy, od zawsze działali ludzie. Tamtejsze piargi były więc dziełem rąk rolników bądź pasterzy, pewnie jeszcze z czasów niemieckiego osadnictwa. Kto znalazł na łące kamień, zaniósł go na skraj górskiej półki i tak powstawały podłużne, wysokie kopce, jakby-murki na miedzach.

– Wiem, jak to wygląda, tu jest tego mnóstwo. – Patrzę na zbocze po przeciwnej stronie doliny. Nawet teraz widzę kilka podobnych formacji. Siekają pola na długie zielone pasy.

– Podczas sekcji ustalono, że chłopak musiał zostać dotkliwie pobity i to było głównym powodem zgonu. Zbadano też miejsce zdarzenia, ale za dużo czasu upłynęło od zajścia, kilka razy spadł deszcz, więc żadnych konkretnych śladów wskazujących na sprawcę bądź sprawców nie znaleziono.

– On... – zacinam się. Ważę słowa. Wiem, o kim mówi Jakub, oczywiście, że wiem, ale muszę to usłyszeć. – To był syn właścicieli pensjonatu, prawda?

– Tak.

– Nie uważasz, że to dziwne, że tak długo tam leżał, nawet jeżeli przykryto jego ciało kamieniami? Przecież gdy poszukiwano mnie, były tam nawet psy tropiące. – Głośno myślę.

– Może dlatego go nie odlezione, bo wcale nie szukano.

– Ale dlaczego? Nic z tego, Kuba, nie rozumiem.

Po drugiej stronie zapada cisza, słyszę tylko szelest przekładanych kartek.

– Z akt wynika – Kuba wraca na linię – że większość uczestników ogniska w ogóle nie zauważyła, że ktoś tamtej nocy zniknął. Potem, już podczas przesłuchań, któryś dzieciak się wysypał, że oprócz alkoholu na imprezie były narkotyki. Głównie amfetamina, ale też kwas i skun. To by zresztą wiele tłumaczyło.

– Co tłumaczyło? Dlaczego mnie szukano, a jego nie? – Zaczynam się irytować. – I kto zgłosił moje zaginięcie?

– Twoja babcia, gdy rano zorientowała się, że nie wróciłaś. Zresztą policja nie od razu przystąpiła do poszukiwań. Zbagatelizowali to. Sądziła, że leżysz gdzieś w lesie nawalona i przed wieczorem sama wrócisz do domu. Dopiero gdy tak się nie stało, a równocześnie przyjechała twoja matka i narobiła rabanu, zaczęło się pospolite ruszenie. No a potem zgłosili się rodzice tego chłopaka. Podejrzewano, że razem oddaliliście się od ogniska. Więc w pierwszych godzinach rzeczywiście szukano ciebie i jego, ale tylko do czasu. – Milknie na moment. – O, tutaj to mam. Słuchaj: w wyniku zeznań siostry po dwóch dniach zaprzestano poszukiwań mężczyzny – czyta z akt.

– Co takiego zeznała?

– Cierpliwości, Marysiu, w tej sprawie jest więcej wątków, niż sądzisz.

Znowu słyszę szelest. Kuba wertuje papierzyska.

– Dzieciaki zaczęły zeznawać dopiero drugiego dnia po imprezie, gdy minął im kac, ale ich początkowe wyjaśnienia niewiele wniosły. Wszyscy potwierdzali, że grała głośna muzyka, więc nikt nic nie słyszał, wokoło ciemna noc, no i wszyscy byli nagrzani. Dopiero gdy śledczy zaczęli mocniej drążyć temat dragów, ktoś przyznał, że w pewnym momencie na imprezę wbiło dwóch kolesi około trzydziestki, typowych karków, których nikt z obecnych nie kojarzył. Jeden podobno mówił po polsku, z silnym niemieckim akcentem, drugi śniady, w typie Turka,

tylko po niemiecku. W aktach określani są po prostu jako „Niemcy”. To oni dealowali.

– Skąd się tam wzięli? – Odruchowo sięgam po papierosa. Każdy nerw w ciele mam napięty.

– Sprawiali wrażenie, jakby dobrze się znali z tym chłopakiem, który potem zginął. Tak wynika z zeznań. Podobno to on ich zaprosił. Zresztą według świadków kilkakrotnie w trakcie wieczoru rozmawiali ze sobą gdzieś na uboczu, po niemiecku. Ktoś nawet przypominał sobie, że się szamotali, wyglądało, jakby o coś się spierali. To był pierwszy moment, kiedy śledczym zapaliło się czerwone światło. Sporządzono portrety pamięciowe tych gości, ale w zasadzie każdy dzieciak inaczej ich zapamiętał. I tu właśnie najbardziej istotne okazały się zeznania siostry ofiary. To one ostatecznie doprowadziły do przełomu w sprawie. Podobno tamtej nocy dziewczyna sporo wypła, ale nic nie wciągała. Zeznała, że widziała, jak ci mężczyźni oddalają się od ogniska w stronę, gdzie wcześniej jej brat z kimś odszedł. To znaczy z tobą. Potem, jak twierdziła, urwał jej się film i ocknęła się dopiero rano, ale gliniarze już wtedy podejrzewali, że coś tu nie gra – miała za dobrze pamiętała twarze tych facetów – więc docisnęli ją, czy nie widziała ich w towarzystwie brata wcześniej. Przyznała, że tak, a potem poszło gładko.

Jakub milknie. Ja również się nie odzywam. Wydmuchuję dym. Wiem, co będzie dalej. Powoli wszystko do mnie wraca, staje się klarowne. Boleśnie jasne.

– On produkował fetę, prawda? I siostrę także próbował w to wciągnąć.

– Tak. Zeznała, że chciał się uniezależnić od zleceniodawców i zbudować własną sieć dystrybucji, wybić się na niepodległość. Prosta sprawa: mógłby produkować na znacznie mniejszą skalę, bezpieczniej, a jednocześnie zarabiać na tym samym poziomie. Siostra była jeszcze

w szkole średniej, mogła dealować wśród znajomych, a przy tym znajdować kolejne zaufane osoby, by je wprowadzić w interes. Twierdziła, że nie chciała w tym uczestniczyć, ale brat jej groził, że jeśli mu nie pomoże, to on zna właściwe osoby i ją sprzeda do burdelu na Zachód. Cóż, zdaje się, że to był kawał skurwysyna. – Kuba nabiera powietrza, ja prawie nie oddycham. – W każdym razie dzięki zeznaniom siostry jeszcze tego samego dnia przeszukano posesję ich rodziców. Pensjonat, dom, wszystkie budynki. W jednym z nich odkryto doskonale wyposażone laboratorium.

– Stara bielarnia... – szepczę w słuchawkę, a oczami wyobraźni znów widzę chemiczne świetliki, ich zwodniczy blask.

– Tak. Było tam wszystko, co potrzebne do produkcji, a także sporo gotowego towaru i kilka tysięcy marek. Okazało się, że to znacznie grubsza sprawa, niż się zdawało na początku. Niestety nie podam ci szczegółów, bo sprawę przejęło Biuro do Walki z Przystępczością Zorganizowaną, a właściwie współpracująca z nim komórka do spraw narkotyków, i ta część akt trafiła do Warszawy, więc mój kumpel z Wrocławia nie miał do nich dostępu. Tak czy inaczej, po zeznaniach siostry i analizie znalezionych w gospodarstwie dowodów na produkcję mety przyjęto dwie hipotezy. Pierwsza z nich zakładała, że ten młody, jej brat, po prostu uciekł. Być może „Niemcy” wyczuli, że zaczyna grać do własnej bramki, pogrozili mu palcem, więc postanowił prysnąć. To by potwierdzały zeznania dzieciaków z imprezy, które widziały szamotaninę. Albo jak zakładała druga wersja: został przez tych dwóch typów porwany. W jednym i drugim przypadku dalsze poszukiwania go w tutejszych górach nie miały sensu. Założono, że jest już za granicą.

– Dlaczego nie brano pod uwagę, że ci mężczyźni go zamordowali?
– Gaszę papierosa. Dzisiaj dym mnie nie uspokaja, w ogóle nie smakuje.

– Po co mieliby zabijać kurę znoszącą złote jajka? – mówi Jakub. – Zresztą bardziej przychyłano się do wersji z ucieczką. Przy tym obstawała jego siostra.

– A co właściwie z nią się stało?

Widzę przed sobą jej ciemne oczy. Pamiętam chwilę, gdy minęliśmy się na korytarzu w komisariacie podczas przesłuchań.

– Nie wiem. Ale zakładam, że objęto ją programem ochrony świadków, na wypadek gdyby tamci chcieli się zemścić. W końcu to przez nią „Niemcy” stracili sporo towaru i cały sprzęt do produkcji, który był w laboratorium.

Znowu zapada cisza. Myślę o tym, co Jakub powiedział.

– Czy sądzisz, że mogłaś być świadkiem morderstwa tamtego chłopaka? – pyta.

– Nie wiem. Nie pamiętam.

– Cały czas się nad tym zastanawiam. A może ci dwaj pobili cię i zgwałcili na jego oczach, w ramach kary za niesubordynację, a dopiero potem... Spuścili mu ostrzegawczy łomot, ale coś poszło nie tak. Wtedy uciekłaś i się ukryłaś.

– Nie wiem, Jakub, naprawdę. Mam w głowie czarną dziurę. – Czuję suchość w ustach, z trudem przełykam ślinę. – Znalezione ich ostatecznie?

– Tutaj jest informacja, że prawdopodobnie obaj byli obywatelami Niemiec bądź Austrii, ale działali zapewne jako pośrednicy w większej międzynarodowej strukturze. Pamiętaj, że w latach dziewięćdziesiątych Polska była czołowym producentem fety na Europę. Mieliśmy niskie koszty produkcji i pracy oraz zdolnych chemików, którzy robili najczystszy towar. – Przerywa na chwilę. – W aktach twojej sprawy nie ma informacji, by ich ujęto, podobnie w przypadku chłopaka. Ale może

jest coś na ten temat w warszawskich archiwach CBŚ, które po dwutysięcznym przejęło sprawy Biura do spraw Narkotyków.

Nad łąką krąży drapieżny ptak, patrzę, jak szybuje, rozkładając wielkie skrzydła, jak zawisa w powietrzu, szukając ofiary, aż wreszcie pikuje. Znika za linią drzew.

– Co dokładnie jest w aktach na mój temat? – odzywam się po przerwie.

– Odnaleziono cię pólżywą po trzech dniach w górach i odtrąbiono sukces. Kwestii pobicia i ewentualnego gwałtu nigdy oficjalnie nie potwierdzono. W tamtym czasie dochodzenie w takich sprawach prowadzono na wniosek ofiary, a nie z urzędu. Albo ty, albo twoja matka musiałybyście wyrazić wolę wszczęcia śledztwa, co oczywiście wiązałoby się z badaniami, obdukcją i wreszcie dalszymi przesłuchaniami. Być może obawiałaś się tych wszystkich nieprzyjemnych procedur, a może też matka nie chciała cię na to narażać, szczególnie że wykrywalność tego typu przestępstw i wysokość kar były śmiesznie niskie. Pewnie dlatego odstąpiłyście od założenia sprawy.

– Pamiętam, jak zeznawałam, ale byłam wtedy w szoku, więc szczegóły mi się rozmywają – mówię cicho.

– Czytałem to zeznanie. Tam słowo „gwałt” nie pada ani razu. W ogóle całość brzmi dość ogólnikowo i niezbornie. Nie umiałaś wytłumaczyć śledczemu, co się stało tamtej nocy, co dokładnie tamci dwaj ci zrobili. I wreszcie: co się działo przez kolejne trzy dni. W którymś momencie policjant nawet sugeruje, że ślady na twoim ciele mogły powstać później, gdy już się ukrywałaś, że przedzierałaś się przez krzaki i po ciemku wpadłaś w ruiny piwnicy – stąd to podarte ubranie, zadrapania na nogach, ramionach i siniaki na twarzy. Robił wszystko,

żeby cię skołować, wzbudzić wątpliwości. Żebyś za dużo sobie nie przypomniała.

– Ale dlaczego?

– Na pewno nie z dobrego serca. Umorzenie śledztwa było policji na rękę. Spójrz na to z boku. Gdybyś zgłosiła swoją sprawę, mieliby na głowie dwa dochodzenia, twoje i tego chłopaka, który, jak zakładała wtedy jedna z hipotez, mógł być ofiarą porwania. Oba w zasadzie skazane na porażkę, bo domniemani sprawcy byli obcokrajowcami i zapewne jeszcze tamtej nocy uciekli za granicę, z chłopakiem, czy bez niego, i zadekowali się na jakiejś Majorce czy innej Malcie. Dwie nierozwiązane sprawy psułyby statystyki wykrywalności przestępstw naszej dzielnej policji, a tak, dzięki tobie, bo siedziałaś cicho, została jedna, i to ta priorytetowa, bo dotycząca narkotykowych porachunków.

Jakub milknie, ja zaś próbuję poukładać sobie wszystkie fakty. Patrę z tarasu na dolinę, w to miejsce, w którym niedawno zniknął ptak, i dalej, gdzie znajdują się spalone resztki pensjonatu, a na tyłach ruin także bielarnia. Ciekawe, czy jeszcze stoi. Pamiętam, gdy tam byłam jeden jedyny raz w życiu. Dopuścił mnie wtedy do swojej tajemnicy, a ja jej nie zrozumiałam, uległam jego złudnemu urokowi i w rezultacie zapłaciłam za to wysoką cenę. Pamiętam dotyk jego ust. I plakat z *Miasteczka Twin Peaks*. Dopiero teraz rozumiem jego fascynację tą historią. Mała góraska osada skąpana w morzu tajemnic. Zdolna dziewczyna, miejscowa gwiazda, udająca kogoś, kim nie jest, prowadząca podwójne życie. Dziewczyna, która ginie... On był Laurą – piękny, tajemniczy i mroczny. Że też do tej pory mi to umykało.

– Marysiu, jesteś tam jeszcze?

– Tak.

– I jak się czujesz, znając już prawdę?

– Jeszcze nie wiem. Muszę to przetrwać, ale... Chyba mimo wszystko doznałam ulgi, że mam to już za sobą. No i sprzedaję dom – mówię, by zakończyć temat.

– To chyba dobrze?

– Chyba tak. Mam spotkanie u notariusza o czternastej.

– A jak palec?

– Zaczął boleć.

– To też dobrze.

Uśmiecham się pod nosem, bo to zdanie – i radość w głosie Kuby – w każdym innym przypadku zabrzmiałoby dziwnie.

– Kiedy wracasz do Warszawy?

– Myślę, że jeszcze dziś, gdy tylko podpiszę papiery.

– To może przyjeźdź prosto do nas. Pablo planował dziś na kolację zrobić swoje popisowe carpaccio z buraka. Lubisz je przecież. Zjemy, posiedzimy, pogadamy. Jak będziesz chciała, to upijemy się na smutno, wypłaczesz się nam w ramię, a potem pościelę ci na kanapie, a jak nie, to tylko się upijemy. Nie mieliśmy jeszcze okazji uczcić premiery *Nocy Mokosz*.

– Będę późno. Nie chcę wam się zwałać na głowę po nocy.

– Nie żartuj. Odkąd wyjechałaś, Pablo cały czas się o ciebie martwi. Reszta znajomych też ciągle mnie wypytuje, kiedy zamierzasz wrócić. No i ja za tobą tęsknię. Wszyscy tęsknimy. Wszyscy cię tu kochamy, Marysiu. Dlatego pochowaj dziś raz na zawsze te swoje demony i wracaj do domu. Razem ze wszystkim sobie poradzimy.

Dawno – Marianka/Mareike/Maryjka

Marianka przestaje mieszać w garnku i patrzy w ślad za Niemką. Dziwna wydała jej się na twarzy. Zawsze jest blada, mimoza taka, ale teraz jak trup, prawie sina, oczy w kole, jakby Zły ją opętał. I małą zabrała. Dokąd niby? Na spacer, *spazieren*? Przecież nigdy z aniołkiem tym słodkim na dwór nie wychodzi. W domu jak w twierdzy siedzi, sobą tylko zajęta – czyli nie wiadomo czym – w smutkach się nurza, jakby jakieś miała. A przecież ona pączek w maśle. Chyba że ją żałość za Hitlerem tak ściska. Pewnie nie w smak jej, że on *kaputt* sobie w bunkrze zrobił, że wojnę przegrali. Nazistka jedna! I ciągle taka zmęczona, a przecież to ona, Marianka, przy małej biega, mleczek warzy, gówna z pieluch wypiera. A tamta ledwo chodzi, że niby Marianka źle ją pozszywała. Ale która kobieta po porodzie nie cierpi? Kto to widział, żeby tak się nad sobą rozczulać. Niemra okropna. Matka wyrodna.

Owoce kipią w garnku – jasna cholera, zaraz się przypała i cała robota w kibinimater. Powinna Marianka robotą się zająć, ale coś jej nie daje spokoju. Odciąga zazdrostkę w oknie. Widzi, jak tamta z plecakiem na plecach i dzieckiem na ręku w dół schodków podąża. Z plecakiem? Gdzież ona się tak nagle wybiera? Ucieka?

Ucieka!

– Jezusie Maryjo, dziecko moje – szepcze Marianka z przerażeniem, ściągając garnek z fajerki.

Wyciera dłonie w ścierkę i puszcza się prosto korytarzem do drzwi. Otwiera. Na schodach śladu po tamtej. Na podwórku też pusto. Gdzież ona? Jeszcze przed chwilą tu była.

Biegnie Marianka przez podwórze, wzdłuż stodoły i dalej, gdzie zaczyna się droga. Zawezwałaby ojca na pomoc, ale ten akurat dziś nową krowę poszedł kupić do wioski sąsiedniej. Serce wali jej w piersi. Aż się w środku cała trzęsie. Żar oblepia ciało. Zbiega za zakręt, w kierunku kościoła. Niemka jakby się pod ziemię zapadła.

Rozgląda się Marianka bezradnie wokoło.

I przed oczami staje jej twarz tamtej, gdy wyciąga małą z kołyski – twarz trupio blada, a w niej oczy nieobecne, szalone.

– Boże... – W jednej sekundzie wszystko jej się układa w całość. Dopadają ją najgorsze przeczucia.

Biegnie z powrotem pod górę, pot zalewa jej skronie. Dociera na podwórze, dyszy, zagląda do studni, woła po imieniu tamtą:

– Mareike, Mareike! Ty cholero przeklęta!

Odpowiada jej cisza. Okrąża więc dom i mija zagony w ogródku. Spogląda w stronę stawu i serce bić jej przestaje.

Niemka już po czubek głowy jest w wodzie. Napuchły becik dryfuje tuż obok.

Marianka w kilku susach dociera do brzegu, wchodzi w malachitową toń, w butach, w chustce na głowie, we wszystkim, co ma na sobie. Czuje, jak chłód betonuje jej członki, stopy zapadają się w muł, wodna roślinność czepia się do ciała i ciągnie w dół. Marianka z trudem pokonuje kolejne metry. Jest już naprawdę blisko. W miejscu, gdzie głowa tamtej przed sekundą całkiem zniknęła, zasklepia się teraz rżęsa i pękają bąbelki powietrza. Marianka wchodzi coraz głębiej i głębiej, mętna breja już jej sięga do brody, ciało drży ze strachu i zimna. Wyciąga skostniałą rękę i gdy becik zanurza się w zieleń, chwytą za jego skraj.

Przyciąga dziecko do siebie i brnie w stronę brzegu. Dociera do linii traw, kładzie zawiniątko na ziemi, nachyla się nad nim, odsłania twarzyczkę. Mała dławi się wodą, więc żyje, jeszcze żyje! ale skóra ma już kolor niezdrowy. Marianka przeciera pobladłą buzię z rzęsy, wyjmując z ust wodne zielsko.

– Nie umieraj, nie możesz mi umrzeć! Uła, Uleńka!

Co robić, co robić!? Nikt przecież Marianki nie uczył, jak się ratuje topielca, robi zatem to, co podpowiada jej instynkt – rozciera ciało, wdmuchuje powietrze w sine usteczka, poklepuje po pleckach. I znowu. I znowu! I wreszcie! – mała rozdziawia buzię, jak ryba i wymiotuje pianą. Otwiera przerażone oczy i zaczyna płakać.

– No już, maleńka, już dobrze. – Marianka głaszcze dziecko po policzku. Skóra zaczyna odzyskiwać naturalną barwę.

Mała płacze i Marianka płacze, czuje niewysłowioną ulgę. Chciałaby dziecko od razu do domu zanieść, lecz jest jeszcze tamta. Wciąż w stawie. Niemra przeklęta. Dzieciobójczyni!

Przykrywa więc płaczące dziecko chustką zdjętą z głowy – dzięki temu niezupełnie mokrą – zostawia je na trawie i znowu wchodzi do wody. Na środku wciąż pękają bąbelki powietrza, więc może tamta wciąż żyje. I znowu chłód, macki roślin i muł obrzydliwy i grząski. Rozgarnia Marianka rękami kożuch na stawie. Krok za krokiem posuwa się głębiej i głębiej. Niemka zniknęła gdzieś tutaj. Nabiera powietrza i zanurza się cała pod wodę. Wokół martwa cisza. Nic nie widać, wszędzie zieleń. Marianka czuje ból w płucach, wyciąga ramiona i przeczesuje ciemność.

W końcu natrafia na coś pod palcami. Plecak Niemki. Chwyta za płótno i ciągnie z całych sił. Wynurza głowę, chwyta powietrze, parska wodą i brnie w stronę brzegu. Ciało tamtej wyłania się z toni. Wiotkie ciało.

Marianka, całkiem wyczerpana, dociera do płycizny, wywleka Niemrę na trawę – przez to, że jest bezwładna, zdaje się ważyć tonę – i układa tuż obok ciała dziecka, które w tym momencie jakby coś rozumiało, przestaje żałośnie zawodzić i wyczekując, spogląda na matkę.

Marianka opada wyczerpana obok. Dyszy. Ociera twarz z wodorostów, wyjmuje je spod mokrej sukienki. Słońce odbija się w wodzie, w miejscach, gdzie powoli zasklepia się rzęsa. Góry oddychają spokojnie, jak gdyby nic się nie stało.

Spogląda na siną twarz dziewczyny. Przykleiły się do niej włosy i wodne pnącza.

Marianka przenosi spojrzenie na dziecko – niebieskie oczy wciąż utkwione są w matce.

– Nie będziesz tego pamiętać – mówi, dotykając rączki Ursuli i próbując uporządkować myśli.

Powinna zejść do wsi i powiedzieć, co się stało? A może lepiej nic nie mówić, a gdy ktoś o Niemkę zapyta, skłamać, że wyjechała, bo przecież chciała wyjechać. Ale co zrobić z ciałem? Może do księdza się zwrócić? Ale jak niby? Toż ksiądz nie pochowa samobójczyni w ziemi poświęconej.

Jest tylko jedno wyjście. Najprostsze ze wszystkich. Marianka dźwiga się z ziemi i bierze dziecko na rękę.

– Tak trzeba, córuś – mówi do niej, idąc przez ogród w stronę domu. Wchodzi do środka, wyjmuje z szafy lniane prześcieradło i wraca na podwórko. Z komórki przy bielarni zabiera łopatę.

Znowu okrąża dom i przemierza ogród. Staje nad ciałem Niemki. Lula dziewczynkę w ramionach, cicho nucąc starą dumkę.

– Śpij, maleńka, mamusia musi teraz coś zrobić, ale potem już cię nie zostawi nigdy.

Gdy dziecko przysypia, kładzie je w cieniu kaliny i zabiera się do pracy. Ziemia wokół stawu jest miękka i wilgotna, toteż poddaje się bez trudu pod naporem łopaty.

Marianka kopie pod kaliną, nieopodal miejsca, gdzie kilka miesięcy temu złożyła w ofierze Mokosz łożysko tej Niemry. Kopie, a pot z czoła jej kapie. Zdejmuje darń i układa obok, a gdy natrafia na kamień, wyciąga go i ciska do stawu, a gdy na korzeń, odcina i też go wyrzuca. I znowu kopie, a im niżej schodzi, tym gleba robi się bardziej gliniasta i ciężka.

Słońce grzeje ją w plecy, Marianka wyciera twarz. W trawach brzęczą pszczoły, ptaki w koronach drzew wyśpiewują nokturny. Jest tak pięknie i spokojnie. To dobry dzień na życie i dobry dzień na śmierć.

Ma już Marianka tę gliniastą ziemię wszędzie: we włosach, w ustach i pod paznokciami, ale wreszcie dół wydaje się wystarczająco głęboki. Podchodzi do leżącej w trawie dziewczyny, zdejmuje plecak z jej ramion i zawija ciało w len.

– Nie umiem się modlić po twojemu i nawet nie wiem, czyś ty w cokolwiek wierzyła, może tylko w tego swojego Hitlera, ale niech Bóg ci wybaczy – mówi, a potem chwyta ciało za nogi i przeciąga do dołu.

Kokon miękko opada w ziemię pod kaliną. Marianka zasypuje grób, układa na nim darń i udeptuje nogami. Rozgarnia dłońmi resztki ziemi, które poczerniły trawę. Resztę załatwi najbliższy deszcz.

Nie ma już Niemki, a teraz także śladu rozkopu obok stawu, gdzie spoczęła. Nikt nie będzie o niej pamiętał. Nikt oprócz Marianki. I oprócz kaliny.

Zabiera łopatę, mokry plecak, podnosi śpiące dziecko i wraca do domu.

Chowa plecak do szafy – zajmie się tym później – i przechodzi do kuchni. Układa małą w kołysce, a sama siada obok. Dopiero teraz czuje, jak bardzo wyczerpały ją ostatnie godziny. Jest śmiertelnie zmęczona – może jednak i w niej coś razem z Niemką umarło? Co za myśl niedorzeczna? Marianka ją od siebie odpycha. To ze zmęczenia. Powinna się umyć, zdjąć mokre ubranie, a potem nakarmić małą i dokończyć gotowanie truskawek, bo pewnie już całkiem ostygły.

Ale najpierw musi odsapnąć.

Siedzi w bezruchu kolejne minuty, kwadrans, godzinę. Siedzi, gdy słyszy ojca wchodzącego do holu i gdy ten staje w wejściu do kuchni.

– Dobrą krowę zem kupić, Marianka. Jeden Niemiec sprzedał półdarmo, bo dziś wyjeżdżał. Zresztą dużo ich dzisiaj wyjechało. Prawie wszystkie Niemce z okolicy. Z Walimia ciężarówki jakoś niedawno ruszyły – papła, zzuwając buty i stawiając przy progu, jak miał zwyczaj w ich dawnej chałupie.

Odwraca się w stronę stołu.

– Matko Przenajświętsza, a tobie co, dziewczyno? Coś ty taka uwalana ziemią?

– W ogrodzie robiłam – mówi głucho.

Stary kiwa głową.

– A wiedzą tatuś, że nasze Niemce też wyjechały? – rzuca Marianka.

– Wyjechały. Tak bez słowa. A to małe? – Wskazuje na kołyskę.

– Tamta zostawiła.

Ojciec badawczo wpatruje się w córkę i z powątpiewaniem kręci głową:

– Coś chyba zmyślasz, Marianka? Jaka matka dzieciaka by zostawiła? – Mruży oczy.

– Niechaj mnie tatuś Marianką nie wołają!

– A niby jak mam wołać?

– Maryjka.

– A toż my ci dali na chrzcie świętym Marianna.

– Marianna, Maryjka, co za różnica?

Ojciec coraz bardziej zdziwiony drapie się po łepetynie.

– Jak na tamtą Niemrę mam ci mówić? W głowie całkiem ci się pomieszało, dziewczyno?

– Nazywam się Maryjka – powtarza lodowato ona. – I niech tatuś jutro do Walimia, do urzędu jadą i zgłoszą, że dziecko urodziłam. I do księdza. Trza chrzest umówić.

– Co ty mówisz? Matko Boska! Toż raczej trzeba gdzie władzom donieść, że ona porzuciła to małe.

– I na co to nam? Tylko problem będzie. Chce tatuś, żeby tego aniołka do sierocińca zabrali?

Stary zbliża się do kołyski. Zagląda do środka i na widok niemowlęcia mięknie.

– No nie. Tak to nie.

– A właśnie tak będzie! Niech se tatuś pomyślą. Zabiorą ją nam. A przecież tu już nikogo nie ma, kto tamtą w ciąży widział, a i potem nawet raz z dzieckiem z domu nie wyszła. Mała nawet nieochrzczona.

Stary wygląda, jakby rozważał słowa córki. Dodaje dwa do dwóch, analizuje jej słowa. Patrzy na śpiącą dziewczynkę i milczy.

– No to ustalone! Teraz to jest moja córka, Urszulka. Rozumieją tatuś? A tatusiowa wnuczka. – Maryjka dźwiga się z krzesła. – Posiedzą

z nią tatko przez chwilę? Ja się doprowadzę do ładu i zaraz tatusiowi obiadu dam. Kluski z twarogiem i truskawkami będą, jak tatuś lubią.

Teraz – Maria

Zostawiam za plecami ostatnie zabudowania wsi i parkuję samochód na przełęczy. Łagodny wiatr porusza trawami na łąkach, po niebie płyną chmury z różowej waty. Gaszę silnik, z fotela pasażera zabieram torebkę i teczkę z aktem notarialnym sprzedaży domu. Przechodzę do bagażnika i chowam rzeczy do środka. Zmieniam buty na wygodniejsze, wodę wkładam do plecaka, który zarzucam na ramię.

Nim opuszczam klapę, patrzę jeszcze na leżący obok walizki kołowrotek, dotykam palcami matowego drewna, a w końcu zamykam samochód.

Ruszam pod górę znajomym szlakiem. Jestem sama. Jestem spokojna. Wokół mnie tylko śpiew ptaków. Chłonę zieleni, upajam się nieskończonością horyzontu. Wiem, że idę tędy ostatni raz, i czuję ulgę.

Docieram na górę, piję wodę, uspokajam oddech i pokonuję grzbiet w stronę wzniesienia Niczyjej, a potem wchodzę w las. Przedzieram się przez zarośla, kluczę po zboczu ścieżkami wydeptanymi przez zwierzęta. Kluczę myślami między teraz a kiedyś.

Las się przerzedza i docieram na miejsce. Patrzę na kamienne ławki i palenisko. Słońce wciąż wisi wysoko nad górami. Nie ma szesnastej. Jeszcze tylko jedno mam do zrobienia i będę wolna, będę mogła stąd odejść.

Siadam na ławce. Oplata mnie zapach suszonego lnu i mułu; tej martwej substancji, zalegającej na dnie stawu, gdy spuścić z niego wodę.

Słyszę przy uchu ciepły szept Mareike:

– *Du musst aufwachen.*

Tak. Muszę się wreszcie obudzić. Przed oczami staje mi noc sprzed lat. Zakończenie tej historii formuje się w obrazach...

Noc Mokosz

Mania

Opadamy na trawę.

Zaciskam w dłoni odznakę w kształcie rombu. Mareike, Marianka, Maryjka. Nad głową majaczą mi czarne świerki i zbocze góry o dwóch wierzchołkach, którą kiedyś, na długo, nim się urodziłam, nazywano Neumanns-Koppe; jej trawiaste wilgotne ciało niecierpliwie unosi się i opada, las porastający szczyty zdaje się oddychać. Powietrze pachnie dymem i tajemnicą kryjącą się w trzewiach Olbrzyma.

Palce chłopaka wędrują w dół mojego brzucha i dalej, między uda.

Nieopodal, przy ognisku, wciąż trwa zabawa. Ktoś puścił *Polly Nirvany*. Słyszałam tę piosenkę niezliczoną ilość razy, ale dopiero teraz dociera do mnie sens słów, które niosą się po zboczach góry i spływają doliną w nieckę uspiętej i pogrążonej w ciemnościach wsi; gdzieś tam, w dole, jest dom i staw, a przy nim kości mojej babki. Od strony drogi na Walim dochodzi ujadanie psa.

Chłopak nachyla się nade mną. Spodziewam się, że teraz mnie pocałuje, ale tego nie robi. Wsuwa mi rękę pod koszulkę i zaciska dłoń na piersi. Zbyt mocno, niedelikatnie. Przestaje mi się to podobać. Próbuje się poruszyć, ale z moich ust dobywa się jedynie niezrozumiały świst. Za dużo wypłam i niepotrzebnie wciągnęłam proszek. Robiłam to po raz pierwszy w życiu i chyba tylko dlatego, że bardzo chciałam zapomnieć o dniu, który minął, o kościach przy stawie, o słowach babki, która nie jest moją babką. O gwałcie pod płótnem, o gwałcie na strychu,

wyczekanych dzieciach, które nie zdążyły się urodzić, i tych, które się urodziły, choć nikt na nie nie czekał...

Chłopak wyjmuję rękę spod koszulki, chwyta moją dłoń i wciska sobie w rozporek. Jest podniecony. Ja już nie. Znowu próbuję mu się wyrwać, strącić go z siebie, ale nie daję rady. Błagałam, żeby przestał, ale nie słucha. Jest silniejszy i na pewno mniej otumaniony niż ja. Przytrzymuje mnie i rzuca ze zniecierpliwieniem, że przecież sama tego chciałam, przez całe wakacje za nim łązę, łąszę się jak pies. A potem zasłania mi usta, rwie na mnie ubranie i jednym szarpnięciem ściąga majtki.

Promise you, have been true.

Let me take a ride, cut yourself.

Want some help, please myself.

Ogarnia mnie przerażenie.

Próbuję się jeszcze szamotać, ale jestem zbyt pijana, by odwrócić bieg zdarzeń, a jego mój opór wyraźnie podnieca. Rozpina rozporek, zsuwa dzinsy z pośladków.

Próbuję krzyczeć, ale wymierza mi cios w twarz, jeden i drugi, kolejny, czuję, że z nosa cieknie mi krew. Nie mogę oddychać, a on dodatkowo zasłania mi usta. A zaraz potem we mnie wchodzi. Ból rozrywa moje ciało. Zdrętwiała ze zgrozy, przestaję się wyrwać, a on zaczyna się poruszać, miarowo, coraz szybciej i szybciej.

Z boku dochodzi szelest. Ktoś tu jest. Patrzy na nas. Może mnie uratuje. Uratuj mnie! Obracam głowę w tamtą stronę. Widzę, jak stoi w ciemności lasu, w kusej spódnicy i opiętej bluzce. Czarne włosy lśnią w ciemnościach. Zawsze jej ich zazdrościłam. Patrzy na mnie i na niego rozszerzonymi strachem oczami. Może tak patrzy, bo nie wierzy w to, co widzi, albo dlatego właśnie, bo zawsze wiedziała, że kiedyś to ujrzy,

a teraz się dopełniło. Zasłania usta, by nie krzyknąć. Chyba płacze. Odchodzi. Ucieka. Nie uciekaj. Dokąd idziesz? Ratuj mnie! Dlaczego mnie nie ratujesz?! Żadne słowa, które niedługo wypowiesz, które tobie dadzą wolność, a ze mnie zmyją wszelkie podejrzenia, nie wywabią plamy, jaka tej nocy powstanie na twoim sumieniu.

Kręci mi się w głowie, oczy łzawią. Ściskam starą odznakę w dłoni i patrzę w sklepienie nieba. Wisi tak nisko, że palcami można wydłubać okruchy gwiazd. W dotyku są zimne i śliskie.

Jeszcze kilka mocnych ruchów bioder i dochodzi, opada na plecy obok mnie. Wtedy już nie płaczę. Leżymy w ciszy. Wreszcie się podnosi, jak gdyby nigdy nic zapina spodnie, podaje mi paczkę chusteczek, żebym się wytarła, i mówi z wyrzutem, że mogłam go uprzedzić, że to mój pierwszy raz, wtedy może byłby... No właśnie, jaki byłby?

Zapala papierosa i rusza przez zarośla w stronę ogniska. Błysk żaru z jego papierosa wypala dziurę w nocy. Przesuwam ręką po wilgotnej ziemi, po chropowatości żwiru i obłościach kamieni, które leżą wokół mnie. O niczym nie myślę. Czuję, jak wnikają we mnie ciemność i smutek, starsze i pierwotniejsze od tutejszych gór – zostaną na długo. Gdy natrafiam na wystarczająco dużą i luźną skałę, moje palce się na niej zaciskają.

Dźwigam się z ziemi. Alkohol i narkotyki rozmywają kontury nocy. Staram się osłonić ciało resztkami ubrania i ruszam w ślad za nim.

Skradam się bezszelestnie jak kot, jak duch. Widzę, jak chłopak powoli schodzi zboczem w stronę, skąd napływa muzyka. W jednej ręce wciąż trzyma papierosa, drugą wsuwa włosy za ucho, gestem, który kiedyś tak mi się podobał.

Jestem cicha i niewidzialna. Kamień ciąży mi w dłoni. Znajduję się kilka kroków za nim. Zatrzymuję się na piargu. Kiedyś nie było tu lasu, musiała być łąka. Ale teraz jest i odgradza nas od świateł ogniska. Las

potrafi dochować tajemnic. Jakiś skalny okruch wysypuje się spod moich stóp. Chłopak się do mnie odwraca. Marszczy czoło i patrzy z krzywym uśmiechem, wydmuchując dym.

Podnoszę rękę. Nie boi się, nie robi uniku. Niczego się nie spodziewa. Jest jak zawsze pewny siebie i chyba szczerze rozbawiony sytuacją. Oni zawsze tacy są: ruski żołdak czy banderowski kmiot. Bez względu na czas i dekoracje traktują nasze ciała, jakby należały do nich. I ten tutaj pewnie myśli podobnie.

She caught me off my guard

Amazes me, the will of instinct

Potem słyszę chrzęst i czuję, jak kamień wgniata mu czaszkę. Czuję wściekłość i ulgę. Może właśnie tak musiało się to skończyć? Mareike, Marianka, ja. Zębatki w wielkich trybach czasu, który właśnie się dopełnia.

Uśmiech zamiera na wargach chłopaka, źrenice rozwierają się w niedowierzaniu, papieros wypada z palców, żar z sykiem gaśnie w namokłej trawie.

Nawet nie krzyczy, osuwa się na kolana, wciąż na mnie patrząc, a ja zadaję kolejne ciosy. Krew zaczyna kapać, kropla za kroplą, a w końcu spływa strużką, która między brwiami rozdziela się na trzy mniejsze ciekły, kreśląc na skórze chłopaka żyły przypominające te w marmurze. Upada na bok, tuż przy progu skalnego usypiska, przez setki lat z mozołem układanego ludzką ręką. Zapada się między luźne kamienie, w ciepłe ramiona Mokosz. Nachylam się i wymierzam ostatnie uderzenie, wymierzam sprawiedliwość – śmierć zmienia jego twarz w plamę i przecieka w dół, ku ziemi.

Chłopak zamyka oczy – starannie, skała po skałe, zamykam jego kamienny grób – jest martwy.

I ja przez wiele lat również będę, lecz to koniec. Czas się zbudzić.

Koniec

Warszawa – Rudolfswaldau
wrzesień 2021 – październik 2022

Copyright © by Katarzyna Zyskowska

Projekt okładki

Eliza Luty

Fotografie na okładce

© kobieta © Dana Saparova / Stocksy; paproć © Anna Malgina /
Stocksy;

czaszka © Matthew Spaulding / Stocksy

Fotografia autorki

© Weronika Kuźma

Mapa na wewnętrznej stronie okładki

© Dawid Kwoka

Redaktorka inicjująca

Agata Pieniążek

Redaktorka prowadząca

Dominika Ziemba

Opieka promocyjna

Zofia Kotecka

Opieka produkcyjna

Ewelina Wójcikowska-Jakubiec, Maria Gromek, Dawid Kwoka

Redakcja

Ida Świerkocka

Korekta

Sylwia Chojecka, Patrycjusz Pilawski

ISBN 978-83-240-9635-0

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak

ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, Kraków 2023

Na zlecenie Woblink

The logo for Woblink features the word "woblink" in a bold, lowercase, sans-serif font. Above the letters 'o', 'b', and 'l' are three small colored dots: a blue dot above the 'o', a red dot above the 'b', and an orange dot above the 'l'.

woblink.com

plik przygotowała Aneta Vidal-Pudzisz